

KAPITAŁ I ZYSK Z KAPITAŁU

EUGENJUSZ BÖHM-BAWERK

KAPITAŁ I ZYSK Z KAPITAŁU

DZIAŁ PIERWSZY

HISTORIA I KRYTYKA TEORJI ZYSKU Z KAPITAŁU

TLUMACZENIE Z TRZECIEGO WYDANIA NIEMIECKIEGO

POD REDAKCJĄ

WŁADYSŁAWA ZAWADZKIEGO

II



NAKŁAD GEBETHNERA I WOLFFA
WARSZAWA—KRAKÓW—LUBLIN—ŁÓDŹ
POZNAŃ — WILNO — ZAKOPANE

Komputer



148106

2

SKŁADY GŁÓWNE:

»THE POLISH BOOK IMPORTING CO. INC.« NEW YORK
»KSIĘGARNIA POLSKA NA ŚLĄSKU, SP. AKC.« KATOWICE

KRAKÓW — DRUK W. L. ANCYCA I SPÓŁKI

1925

D-160/83/148107

SPIS RZECZY

Strona

XII. Teoria wyzysku.

Poddział pierwszy. Rzut oka na historję doktryny.

Ogólna charakterystyka teorii wyzysku. Pochodzenie jej. Najstarsi poprzednicy. Locke, Steuart, Sonnenfels, Büsch i inni. Tworzenie się teorii wyzysku ułatwione przez teorię wartości Smitha i Ricardo. Thompson i Sismondi. Socjaliści. Proudhon, Rodbertus, Lassalle, Marx. Przyjęcie teorii wyzysku i poza kołami socjalistycznymi. Guth, Dühring, J. S. Mill, Schäffle. Socjaliści z katedry. Zdanie o jedynie wartościotwórczej zdolności pracy 1

Poddział drugi. Krytyka.

Plan wykładu.

- A. Rodbertus. Szczegółowy wykład jego nauki. Braki jej.
1. Nieprawdą jest, iż dobra rozpatrywane z punktu widzenia gospodarczego, są wyłącznie produktami pracy.
 2. Zdanie, iż robotnicy mają prawo do całej wartości swego wytworu, jest do przyjęcia, ale Rodbertus i socjaliści nadają mu błędne znaczenie. Jego treść istotna.
 3. Hypoteza, iż wartość dóbr mierzy się kosztami ich produkcji, jest fałszywa. Rozpatrzenie teoretycznego błędu, który Rodbertus z powodu tej hipotezy popełnia.
 4. Nauka Rodbertusa przeczy sama sobie w ważnych punktach. Przyjęte przez niego działanie prawa zrównania zysków nie daje się pogodzić z najważniejszymi punktami jego teorii renty w ogólności, a teorii renty gruntowej w szczególności.
 5. Teoria Rodbertusa jako całość, nie jest w stanie dać jakiegobądź wyjaśnienia dla poważnej części istniejących zjawisk z zakresu zagadnienia zysku. Ostateczny wyrok na naukę Rodbertusa.
- B. Marx. Wykład jego teorii wartości i zysku. Rzeczy nowe w porównaniu z Rodbertusem. Najważniejsza znajduje się w usiłowaniu znalezienia przekonującego dowodu twierdzenia, iż praca jest zasadą wszelkiej wartości dóbr. Badanie tego twierdzenia. Kruchosć dowodów au-

torytatywnych, opartych na Smithie i Ricardo. Badanie i odrzucenie racji, które Marx przytacza na swoją korzyść. Badanie materiału doświadczalnego. Ten również przeczy prawu o wartości opartej na pracy. Zupełna niemożliwość jego utrzymania. Pośmiertne części systemu Marxa. Nauka o »cenach produkcji« i »stopie przeciwnego zysku«. Jej sprzeczność z podstawami teorii Marxa. C. Nauka Marxa u jego następców. Starania przekształcenia ze strony Sombarta i C. Schmidta. Krytyka ich. Bernstein. Zakończenie 14

XIII. Eklektycy.

Ogólna charakterystyka i sąd o eklektyzmie. Poszczególne ugrupowania. Połączenie teorii produkcyjności z teorią abstynencji. Rossi, Molinari, Leroy-Beaulieu, Roscher i inni. Cossa, Jevons. Kombinacje z teorią pracy. Read, Gerstner, Cauwés, J. Garnier. Połączenia teorii przychylnych zyskowi z wrogimi mu. Hoffmann, J. St. Mill, Schäffle 112

XIV. Dwie najnowsze próby.

Wstęp. a) Nowa teoria fruktyfikacji George'a. Wykład jej. Wyprowadza ona zysk z twórczej siły przyrody. Zastrzeżenia. Powtarza ona błąd fizjokratów. Pozostawia też niewyjaśnionym zysk z dóbr z natury swej owocnych, tembardziej zysk z innych dóbr. b) Zmodyfikowana teoria abstynencji Schellwiena. Wykład jej. Krytyka. Dwuznaczność pojęcia »spożycia kapitału«. Stosunek Schellwiena do teorii wartości, opartej na pracy. Niebezpieczeństwo, grożące przy fałszywej idealizacji naturalnych podstaw gospodarki 130

XV. Zakończenie.

Trzy zasadnicze ujęcia zagadnienia zysku. Zagadnienie to nie jest czystem zagadnieniem produkcji, ani podziału, ale zagadnieniem wartości. Kolejne stopnie rozwoju. Najniższy stopień. Przesąd o siłach wartościotwórczych i jego historia. Wyższe stopnie. Linja rozwoju. Punkt wyjścia dla ostatecznego rozwiązania zagadnienia . . . 146

Dodatek.

Współczesna literatura zysku (1884—1914).

I. Rzut oka. II. Teoria agia i niektóre inne nowe próby wyjaśnienia. III. Teorie usług kapitału W szczególności

teoria Oswalta. IV. Teoria abstynencji. Dalsze jej kształtowanie, szczególnie przez Macvane'a i Marshalla. Próby przekształcenia Carvera. V. Teorie pracy. Teoria Stolzmann'a. VI. Motywowane teorie produkcyjności, szczególnie teoria Wiesera. VII. Teoria wycisku i jej »wulgarno-ekonomiczna latorośl«. Dietzel, Lexis, Oppenheimer, Tugan-Baranowski. VIII. Zasadnicza obrona eklektyzmu u Dietzla. IX. Dzisiejsze poglądy 154

ROZDZIAŁ XII.

Teorja wyzysku.

PODDZIAŁ PIERWSZY.

Rzut oka na historję doktryny.

Przechodzę obecnie do tej godnej uwagi teorji, której powstanie nie należy może do najszcześniejszych wydarzeń naukowych XIX-go stulecia, ale jest napewno najbogatszem w skutki; teorji, która stała u kolebki współczesnego socjalizmu, rozwinęła się z nim i rozrosła, a dokoła której jako punktu centralnego obracają się obecnie spory prowadzone nad organizacją społeczeństwa.

Teorja ta nie posiada jeszcze krótkiej określającej nazwy. Gdybym chciał nazwę taką wyprowadzić z jakiejś właściwości głównych jej zwolenników, mógłbym ją ochrzcić socjalistyczną teorją zysku. Ponieważ jednak uważam za najbardziej celowe oprzeć się na teoretycznej treści doktryny, to najodpowiedniejszym określeniem wydaje mi się: teorja wyzysku. Tą więc nazwą będę się w dalszym ciągu posługiwał. — Istota doktryny da się scharakteryzować na razie w paru zdaniach w sposób następujący:

Wszystkie dobra, posiadające wartość są produktem ludzkiej pracy, i to, z punktu widzenia gospodarczego, wyłącznie produktem ludzkiej pracy. Robotnicy nie otrzymują jednak całego produktu, który sami wytworzyli, gdyż kapitałści korzystają z zapewnionej im, przez instytut własności prywatnej, możności rozporządzania niezbędnymi pomocniczymi środkami produkcji, by zatrzymać dla siebie część należącego do robotników produktu. Środkiem, wiodącym do tego, jest umowa najmu, za pomocą której kapitałści nabywają siłę roboczą, zmuszonych głodem do zgody wytwórców tylko za część tego, co ma być wytworzone,

podczas gdy reszta produktu dostaje się kapitalistom, jako dochód, bez żadnej pracy uzyskany. Zysk z kapitału jest więc częścią produktu cudzej pracy, zdobytą przez wyzyskanie ciężkiego położenia robotnika.

Powstanie tej teorii przygotowane było oddawna, a nawet stało się koniecznością wobec szczególnego zwrotu, jaki przyjęła w ekonomji nauka o wartości dóbr od czasu Smitha, a tembardziej od czasu Ricarda. Wierżono i twierdzono, iż wartość wszystkich, a przynajmniej znacznej większości, dóbr gospodarczych mierzy się ilością zawartą w nich pracy, i że to ona właśnie jest przyczyną i źródłem wartości dóbr. Przy takim stanie rzeczy wcześniej, czy później musiało stanąć pytanie, dlaczego robotnik nie otrzymuje całej wartości, której przyczyną jest jego własna praca? A skoro pytanie to zostało postawione, to nie można było dać innej odpowiedzi w duchu tej samej teorii wartości, jak ta, iż jedna część społeczeństwa, kapitaliści, w drodze przymusu przywłaszcza sobie część wartości produktu, wytworzonego wyłącznie przez inną część społeczeństwa, robotników.

Wprawdzie twórcy teorii pracy, jako jedyne źródła wartości, Smith i Ricardo, jak widzieliśmy, odpowiedzi tej jeszcze nie dają. Omijają ją też i niektórzy bliżsi ich uczniowie, którzy wprawdzie już mocno podkreślają wartośćotwórczą zdolność pracy, ale w całokształcie poglądu swego na życie gospodarcze trzymają się jeszcze drogi mistrzów: np. Niemcy Soden i Lotz. Ale odpowiedź ta zawarta była w konsekwencjach ich doktryny, i trzeba było tylko sprzyjających okoliczności i konsekwentnego ucznia, by ją niezawodnie, trochę wcześniej, lub trochę później, wy dobyć na powierzchnię. Smith i Ricardo mogą więc być uważani za mimowolnych ojców chrzestnych teorii wyzysku. Traktują ich też w ten sposób jej zwolennicy. Ich też i prawie ich jedynych traktują najbardziej zdecydowani socjaliści z pewnym szacunkiem, należnym wynalazcom »prawdziwego« prawa wartości, a jedyny zarzut, jaki się im stawia, to zarzut braku konsekwencji, który nie pozwolił im samym już wyprowadzić ze swej teorii wartości — teorii wyzysku.

Kto lubi szperać w genealogjach nietylko rodzin, ale i teorii, może znaleźć już w minionych stuleciach niejedno

twierdzenie, obracające się w kręgu myślowym teorii wyzysku. Pomijając całkowicie kanonistów, którzy raczej przypadkiem zgadzają się z nią we wnioskach, wskazać możemy Locke'a, który raz bardzo wyraźnie wskazuje na pracę, jako na źródło wszelkich dóbr¹⁾, a gdzieindziej przedstawia zysk, jako owoc cudzej pracy²⁾; Jamesa Steuarta, który wprawdzie nie wypowiada się wyraźnie, ale obraca się w tym samym kręgu myśli³⁾; Sonnenfelsa, który określa kapitalistów, jako klasę ludzi, »którzy nie pracują wcale, a żywią się potem klas pracujących«⁴⁾, lub Büsch'a, który również zapatruje się na zysk z kapitału (zajmując się wprawdzie tylko umownym procentem), jako na »dochód z posiadania, spowodowany przez cudzą pracę«⁵⁾. Przykłady te, przy szczegółowszem zbadaniu starszej literatury, dadzą się prawdopodobnie pomnożyć.

Pomimo to, przyjdzie na świat teorii wyzysku, jako świadomej i powiązanej w szczegółach spójnej doktryny umieścić należy w okresie znacznie późniejszym. Poprzedziły je dwa przygotowawcze okresy rozwoju. Najpierw, jakśmy już wyżej wskazywali, rozwój i rozpowszechnienie teorii wartości Ricarda, dostarczającej teoretycznego podłoża, na którym zupełnie naturalnie wyrosnąć mogła teoria

¹⁾ Civil Government. Księga II, rozdz. V, § 40. Ustęp ten, który podaje według przekładu Roschera z pracy jego »Zur Geschichte der englischen Volkswirtschaftslehre«, brzmi w całości jak następuje: »Nie jest wcale tak oczywiste, jakby się na pierwszy rzut oka zdawać mogło, iżby prawo własności do pracy miało zawsze odnieść zwycięstwo nad wspólnością gruntu. A jednak praca to nadaje każdej rzeczy jej właściwą wartość. Dosyć się zastanowić, jaka jest różnica pomiędzy morgiem ziemi, zasadzonym tytoniem, lub trzciną cukrową, zasianym pszenicą, czy prosem, a morgiem tej samej ziemi, ale nieuprawnej, aby dostrzec, iż ulepszenie przez pracę stanowi tu bardzo znaczną część ogólnej wartości. Sądę, że biorąc zgruba, możemy przyjąć, iż $\frac{9}{10}$ użytecznych dla życia człowieka produktów rolnych jest wynikiem pracy; jeśli jednak chcemy ściśle oceniać rzeczy, które otrzymujemy do użytku i obliczyć, co zawdzięczamy samej tylko przyrodzie a co pracy, to dojdziemy do przekonania, iż w większości wypadków 99 procent przypada całkowicie na rachunek pracy«.

²⁾ Considerations of the consequences of the lowering of interest etc. 1691, str. 24. Porówn. wyżej rozdział III, t. I, str. 44.

³⁾ Patrz wyżej rozdział III, t. I, str. 46.

⁴⁾ Handlungswissenschaft, wyd. 2, str. 430.

⁵⁾ Geldumlauf, księga III, § 26.

wyzysku; następnie zaś zwycięski wzrost i rozpęd wielkiej produkcji kapitalistycznej, która, pogłębiając i uwydatniając jaskrawą różnicę pomiędzy kapitałem i pracą, postawiła też w pierwszym szeregu wielkich zagadnień społecznych zagadnienie zdobywanego bez pracy zysku z kapitału.

Wśród takich wpływów nasze czasy, mniej więcej od drugiego dziesiątka lat XIX-go stulecia, dojrzały do systematycznego rozwoju teorii wyzysku. Do pierwszych teoretyków, którzy ją szczegółowo uzasadnili — pomijam w tych dziełach teorii »praktycznych« komunistów, których dążenia wyrosły oczywiście z podobnych przekonań — zaliczam Williama Thompsona w Anglii i Sismondiego we Francji.

Thompson¹⁾ rozwinął główne zasady teorii wyzysku krótko, ale z godną uwagi jasnością i przenikliwością. Znajdujemy u niego teoretyczny punkt wyjścia, iż praca jest źródłem wszelkiej wartości i praktyczne zastosowanie tej myśli w twierdzeniu, iż wytwórcy powinni otrzymać całkowitą sumę tego, co wytworzyli; w przeciwstawieniu do tego postulatu całkowitego wyniku pracy, autor konstatuje, iż w rzeczywistości robotnicy muszą się ograniczyć do płacy, zaledwie wystarczającej na nędzne życie, podczas gdy nadwartość (additional value, surplus value), którą dzięki używaniu maszyn i innych kapitałów uzyskać można przy tym samym nakładzie pracy, zagarniają kapitaliści, którzy zgromadzili kapitał i dostarczyli go robotnikom. Renta gruntowa i zysk z kapitału przedstawiają się więc, jako sumy, potrącone z pełnego wyniku pracy, należnego robotnikom²⁾.

Co do stopnia wpływu, jaki wywarł Thompson na późniejszy rozwój literatury, zdania są bardzo podzielone. Wyraźne ślady jego są bądź co bądź nieznaczne. W literaturze angielskiej kierunek Thompsona znalazł niewielu zwolenników³⁾, a wybitniejsi francuscy i niemieccy socja-

¹⁾ An inquiry into the principles of the distribution of wealth most conducive to human happiness. 1824. O Thompsonie i jego bezpośrednich poprzednikach Godwinie i Hallu patrz Anton Menger »Das Recht auf den vollen Arbeitsertrag«, Stuttgart 1886, §§ 3—5 i Held »Zwei Bücher zur sozialen Geschichte Englands«, Leipzig 1881, str. 89 i nast. i 378 i nast.

²⁾ Patrz Anton Menger, op. cit. § 5.

³⁾ Do tego samego czasu i kierunku należą pisma Hodgskina, mało znana »Popular Political Economy« i anonimowa

liści, przynajmniej zewnętrznie, wcale twierdzeń swych do jego wywodów nie nawiązują. Ostatnio Antoni Menger bardzo żywo broni przypuszczenia, iż Marx i Rodbertus wzięli swe najważniejsze socjalistyczne teorie ze starej angielskiej i francuskiej literatury, a szczególnie od Thompsona¹⁾, ale trudno orzec, czy przypuszczenie to jest uzasadnione. Dla mnie nie jest ono wcale przekonujące. Skoro dana doktryna wisi już, że tak powiem, w powietrzu, ujęcie tej samej myśli nie może być zawsze traktowane, jako zależność; oryginalność pisarza nie bywa w takich wypadkach oparta, lub podana w wątpliwość na podstawie tego, że wypowiedział o parę lat wcześniej czy później myśl zasadniczą, już znajdującą się w powietrzu; jego twórcza siła w tem się raczej uwidocznia; że jest on w stanie przez oryginalne ujęcie tej myśli zbudować na jej podstawie jednolitą i żywotną teorię. Wogóle w sprawach nauki — zdarzają się oczywiście i wypadki odwrotne — »intuicyjne« wypowiedzenie jakiejś myśli jest często rzeczą o wiele łatwiejszą, niż jej wywiedzenie.

praca pod znamiennym tytułem »Labour defended against the claims of capital«. Ja sam pracy tej odszukać nie mogłem, a dowiedziałem się o jej istnieniu z cytatem innych współczesnych autorów angielskich. Szczególnie Read i Scrope cytują ją często, polemizując z jej ideami. Całkowity tytuł pracy anonimowej brzmi: »Labour defended against the claims of Capital; or the Unproductiveness of capital proved. By a labourer, London 1825«. Twierdzenie, iż autorem jej jest Hodgskin, wyjąmuje z pewnej uwagi Scrope'a w Principles of Political Economy, London, 1833, str. 150. Załączam tu parę charakterystycznych ustępów według cytatu Read'a: »All the benefits attributed to capital arise from co-existing and skilled labour« (Wstęp). Dalej autor przyznaje, iż z pomocą warsztatów i maszyn wytworzyć można więcej produktów i w lepszym gatunku, ale wnet dołącza taki pogląd: »But the question then occurs what produces instruments and machines, and in what degree do they aid production independent of the labourer, so that the owners of them are entitled to by far the greater part of the whole produce of the country? Are they or are they not the produce of labour? Do they or do they not constitute an efficient means of production separate from labour? Are they or are they not so much inert, decaying, and dead matter, of no utility whatever, possessing no productive power whatever, but as they are guided, directed and applied by skilful hands?« (str. 14).

¹⁾ Patrz Anton Menger op. cit. Wstęp, str. V, następnie str. 53, 79 i nast., 97 i inne.

twiejszą i dziełem mniejszej zasługi, niż poparte przykładami udowodnienie i przeprowadzenie tej samej myśli, że wspomnę tu tylko znany stosunek Darwina do Goethego w dziedzinie teorii ewolucji, a z zakresu naszej specjalności, Adama Smitha, który zdołał rozwinąć swój głośny »system przemysłowy« z zarodków idei, wyrażonej już przez Locke'a, że praca jest źródłem wszelkiego bogactwa. W naszym też wypadku wydaje mi się, iż Robertus i Marx w tak odrębny sposób ujęli i rozwinęli ideję wyzysku, którą bezpośrednio nasunęło im rozpowszechnienie teorii pracy, jako jedyne źródła wartości, że ani w stosunku jednego z nich do drugiego, ani w stosunku do wcześniejszych pisarzy nie mogą ich traktować, jako »nasładowców«¹⁾.

Natomiast wpływ Sismondiego był niewątpliwie znaczny i rozległy.

Zaliczając Sismondiego do zwolenników teorii wyzysku, muszę to uczynić z pewnem zastrzeżeniem. Doktryna bowiem Sismondiego posiada wszystkie zasadnicze cechy teorii wyzysku, oprócz jednej: nie wydaje wyroku potępienia na zysk z kapitału. Jest to właściwie pisarz okresu przejściowego: w istocie rzeczy wyznaje nową teorię, ale ze starą jeszcze nie zerwał całkowicie, i cofa się przed pewnemi ostatecznemi konsekwencjami swego nowego stanowiska.

Wielkiem i wielki wpływ wywierającym dziełem Sismondiego były jego *Nouveaux Principes d'Economie Politique*²⁾, i one to głównie obchodzą nas dla tych badań,

¹⁾ Podobnie wypowiedział się A. Wagner: *Grundlegung*, wyd. 3-e, cz. I, str. 37, odsyłacz 1 i cz. II, str. 281.

²⁾ Wyd. 1-sze 1819, wyd. 2-e, Paryż 1827. Cytuję według ostatniego. We wcześniejszej pracy Sismondiego, o wiele bardziej zbliżonej do doktryny klasycznej, »De la richesse commerciale« 1803, znajdujemy pomiędzy innemi ciekawą uwagę tej treści, że w każdym wypadku najmu produkcyjnego robotnika, powstaje wymiana dóbr istniejących na przyszłe; wymieniana się istniejąca dobra to jest płace, którą się daje robotnikowi, na dobra przyszłe, które się kiedyś otrzyma, jako produkt jego pracy; op. cit. str. 53. Na to wczesne wypowiedzenie myśli, którą w wiele lat później rozwinąłem obszernie w mojej teorii zysku (porówn. np. moją »Positive Theorie« wyd. 3-e, str. 503 i nast. i 524 (zwróciła uwagę moją cytata, zamieszczona przez Salza w »Beiträge zur Geschichte und Kritik der Lohnfondstheorie«, 1905, str. 65.

Sismondiego nawiązuje tu do Adama Smitha. Z żywym uznaniem przyjmuje jego zdanie, iż praca jest jedynym źródłem wszelkiego bogactwa¹⁾; gani często spotykane odnoszenie trzech gatunków dochodu, renty, zysku z kapitału i płacy roboczej do trzech różnych źródeł, ziemi, kapitału i pracy; w rzeczywistości wszelki dochód pochodzi wyłącznie z pracy, a te trzy gałęzie są tylko trzema różnemi sposobami korzystania z owoców pracy ludzkiej (str. 85). Robotnik, który, pracując, wytwarza wszystkie dobra, »w istniejącym stanie cywilizacji« nie uzyskał posiadania niezbędnych środków produkcji. Z jednej strony ziemia stanowi zazwyczaj własność innego człowieka, który tytułem wynagrodzenia za współpracę tej »sily produkcyjnej« odbiera robotnikowi część owoców jego pracy, i ta część stanowi rentę gruntowną. Z drugiej strony produkujący robotnik najczęściej nie posiada wystarczającego zapasu środków żywności, z którego by mógł żyć w czasie wykonywania swej pracy; brak mu również niezbędnych dla produkcji surowców i — często kosztownych — warsztatów i maszyn. Bogacz, posiadający wszystkie te przedmioty, uzyskuje przez to pewną przewagę i prawa do pracy biedaka: nie biorąc sam udziału w pracy, tytułem wynagrodzenia za korzyści, których mu udziela, zagarnia najlepszą część owoców jego pracy (la part la plus importante des fruits de son travail). Ta część stanowi zysk z kapitału (str. 86 i 87). Tak, dzięki urządzeniom społecznym, bogactwo uzyskało zdolność odtworzenia się za pomocą cudzej pracy (str. 82).

Pomimo, że robotnik jednodniową swą pracą wytwarza o wiele więcej, niż wynoszą jego jednodniowe potrzeby, przy podziale z właścicielem ziemi i kapitalistą rzadko otrzymuje coś więcej, niż niezbędne koszty utrzymania, które dostaje w postaci płacy roboczej. Przyczyną tego jest zależność jego od posiadającego kapitał przedsiębiorcy. Robotnik o wiele gwałtowniej potrzebuje swego utrzymania, niż przedsiębiorca jego pracy. Robotnik potrzebuje swego utrzymania, by móc żyć, przedsiębiorca potrzebuje jego pracy tylko po to, by z jej pomocą otrzymać dochód. To też umowa pomiędzy nimi wypada prawie zawsze na niekorzyść robotnika:

¹⁾ Zdanie, którego zresztą sam Smith niezawsze konsekwentnie się trzymał. Obok »labour« często wymieniał też »land« i »capital«, jako źródła dóbr.

musi się on zawsze zadawać najskromniejszymi kosztami utrzymania, podczas gdy lwią część wyników wzrastającej dzięki pracy produktywności przypada przedsiębiorcy (str. 91).

Każdy, kto dotychczas śledził wywody Sismondi¹⁾ego i między innymi przeczytał w nich też zdanie, iż »bogacze spożywają produkt cudzej pracy« (str. 81), oczekuje, iż Sismondi w końcu uzna zysk z kapitału za nieusprawiedliwiony, wymuszony dochód i potępi go. Tymczasem Sismondi tego wniosku nie wyprowadza, natomiast nagłym zwrotem przechodzi do kilku ogólnikowych i niewyraźnych ustępów na korzyść zysku z kapitału tak, że w końcu całkowicie go usprawiedliwia. Najpierw mówi o właścicielu ziemi, że uzyskał prawo do renty gruntowej przez pierwszą pracę użyczenia swego gruntu, albo przez zajęcie niezamieszkałego kraju (str. 110). Podobnie właścicielowi kapitału przypisuje prawo do zysku z kapitału, oparte na »pierwotnej pracy«, której kapitał zawdzięcza swoje powstanie (str. 111). O obu wymienionych gałęziach dochodu, które razem, jako dochód z posiadania, stanowią przeciwieństwo do dochodu z pracy, umie oświadczyć, że mają zupełnie to samo pochodzenie, co dochód z pracy, tylko, że ich pochodzenie odnosi się do innej epoki. Robotnicy mianowicie zdobywają rok rocznie nowe prawo do dochodu przez nową pracę, gdy posiadacze w pewnym wcześniejszym okresie czasu zdobyli stałe prawo przez jakąś pracę pierwotną, która pracę doroczną czyni korzystniejszą¹⁾ (str. 112). »Każdy« — kończy Sismondi — »otrzymuje swoją część dochodu narodowego tylko zależnie od tego, w jakim stopniu on sam, lub jego zastępca, przyczynił się, lub przyczynia do jego powstania«.

Czy to zdanie zgadza się z poprzednimi, według których zysk z kapitału jest częścią potrącaną z owoców cudzej pracy, i w jaki sposób się to dzieje? ta kwestja musi pozostać na stronie.

Konsekwencje, których sam Sismondi nie ośmielił się wyciągnąć ze swojej teorii, wyciągnęli wkrótce i dobitnie wypowiedzieli inni pisarze. Sismondi więc stanowi pomost pomiędzy Smithem i Ricardem z jednej, a później-

¹⁾ Kto zechce, może w tych słowach dostrzec, w najwyższym stopniu sumaryczne, streszczenie teorii pracy Jamesa Mill'a. (Patrz wyżej t. I, str. 302 i nast.).

szym socjalizmem i komunizmem z drugiej strony. Pierwsi w swojej teorii wartości dali podstawę do ukształtowania się teorii wyzysku, ale sami jej jeszcze nie rozwinęli. Sismondi faktycznie rozwinął teorię wyzysku całkowicie, ale nie dał jej zastosowania w zakresie społeczno-politycznym. Za nim wreszcie idzie zwarta masa socjalistów i komunistów, która doprowadza starą teorię wartości do wszystkich jej teoretycznych i praktycznych konsekwencji i dochodzi do wniosku: zysk jest wyzyskiem, więc musi upaść.

Z teoretycznego punktu widzenia nie byłoby wcale ciekawe, gdybym chciał wyjmować z olbrzymiej literatury socjalistycznej XIX-go stulecia wszystkie wywody, głoszące teorię wyzysku. Znużyłbym czytelnika niezliczoną ilością bardzo zbliżonych ustępów, mało różniących się w słowach, w istocie rzeczy przedstawiających raczej nudną monotonię, i w dodatku zadawałających się przeważnie podtrzymywaniem zasadniczych twierdzeń teorii wyzysku, powołujących się przytem na autorytet Ricarda lub przytaczających w charakterze dowodu parę ogólników. Większość teoretyków socjalizmu wysilało swój umysł nie tyle na utwierdzenie własnej teorii, co na zjadliwą krytykę teorii przeciwników.

Zadowolę się tedy wymienieniem wśród masy pisarzy o socjalistycznym zabarwieniu niewielu ludzi, którzy położyli szczególne zasługi dla rozwoju, lub rozpowszechnienia naszej teorii.

Na pierwszy plan wybija się wśród nich, dzięki czystości myśli i świetnej dialektyce, autor »Contradictions économiques«, P. J. Proudhon, którego te właściwości uczyniły najdzielniejszym apostołem teorii wyzysku we Francji. Ponieważ treść obchodzi nas tu więcej, niż forma, nie będę przytaczał szczegółowych próbek stylu, a zadowolę się streszczeniem w kilku zdaniach jądra doktryny Proudhona. Zobaczmy zaraz, że, jeśli pominąć parę odrębności układu, różni się ona bardzo mało od podanego na początku schematu teorii wyzysku.

Przedewszystkiem uważa Proudhon za pewne, iż praca stwarza wszelką wartość. Robotnik ma przeto naturalne prawo do własności całego swego produktu. W kontrakcie najmu ustępuje to prawo właścicielowi kapitału wzamian za płacę roboczą, mniejszą, niż ustąpiony produkt. Zo-

staje przytem oszukany, gdyż nie zna ani swego naturalnego prawa, ani zakresu ustępstw, które czyni, ani sensu kontraktu, który zawiera z nim właściciel. Ten zaś posługuje się błędami i zaskoczeniem, żeby nie powiedzieć nieuczciwością i oszustwem (*«erreure et surprise, si même on ne doit dire vol et fraude»*).

Tak się tedy dzieje, że w czasach obecnych robotnik nie może kupić swego własnego produktu. Produkt jego na rynku kosztuje więcej, niż on sam otrzymał, jako płacę roboczą; kosztuje więcej o całą sumę wszelkich zysków, które dopuszcza istnienie prawa własności, a które pod różnemi nazwami, dochód, zysk, procent, renta, czynsz dzierżawny, dziesięcina i t. p. stanowią tyleż »danin« (*«aubaines»*), nałożonych na pracę. To np. co 20 miljonów robotników wytworzyło wzamian za płacę roczną 20 miliardów franków, kosztuje ostatecznie wskutek istnienia tych zysków 25 miliardów. Oznacza to, że robotnicy, którzy, by móc żyć, zmuszeni są odkupywać te same produkta, muszą płacić pięć za to, co wytworzyli za cztery, albo, że z każdego pięciu dni jeden muszą pościć. Tak więc zysk jest pośrednim podatkiem, nałożonym na pracę, zatrzymaniem (*«retenue»*) płacy roboczej¹⁾.

Podobny Proudhonowi czystością zamiarów, przewyższający go o wiele trzeźwością i głębokością myśli, ale niższy od zapalnego francuza darem wykładu, jest Niemiec Rodbertus. Dla historyka doktryny jest to najważniejsza z wymienionych tu osobistości. Znaczenie jego naukowe przez długi czas zapoznawano, i to, rzecz szczególna, właśnie z powodu wybitnej naukowości jego pism. Ponieważ nie zwracał się, jak inni, bezpośrednio do ludu, ponieważ, ograniczając się głównie do teoretycznego uzasadnienia kwestji socjalnej, umiarkowanie i wstrzemięźliwość odnosił się do praktycznych haseł, z którymi wiąże się bezpośrednio zainteresowanie szerokich mas, pozostał długo

¹⁾ Patrz liczne pisma Proudhona. Szczególniej »*Qu'est ce que la propriété* (1840; w wyd. Paryż 1848, str. 162); »*Philosophie der Not*« (niem. przekł. Wilhelma Jordana, wyd. II) str. 62, 287 i nast.; Mowę obrończą przed sądem w Besançon, z 3 lutego 1842 (Wydanie zbiorowe, Paryż 1868, tom II). — O Proudhonie patrz przedewszystkiem obejmującą całość tematu pracę Diehla »*P. J. Proudhon, seine Lehre und sein Leben*«, w trzech częściach, Jena 1888—96.

mniej znanym od ludzi, wcale nie tak wybitnych, którzy z drugiej ręki wzięli jego myśli i na swój sposób podali je zainteresowanemu ludowi. Dopiero ostatnie czasy oddały pełną sprawiedliwość temu najuprzejmieszmemu z socjalistów i uznały go za to, czem jest w istocie, za duchowego ojca współczesnego naukowego socjalizmu. Zamiast namiętnych wypadów i dialektycznych antytez, którymi się tak chętnie posługuje ogół socjalistów, Rodbertus pozostawił głęboko i uczciwie przemyślaną teorię podziału dóbr, która, choć w wielu punktach błędna, dosyć posiada wartości, by twórcy swemu zapewnić trwale miejsce pomiędzy teoretykami ekonomji politycznej.

Zastrzegając sobie szczegółowe omówienie jego sformułowania teorii wyzysku na później, przechodzę do dwóch jego zwolenników, różniących się znacznie zarówno pomiędzy sobą, jak i od poprzednika swego Rodbertusa.

Jednym z nich jest Ferdynand Lassalle, najwymowniejszy, ale co do treści najmniej oryginalny z przywódców socjalistycznych. Wymieniam go tu jedynie dlatego, że jego świetna wymowa przyczyniła się znacznie do rozpowszechnienia teorii wyzysku; na rozwój jej teoretyczny natomiast nie wywarł Lassalle prawie żadnego wpływu. Nie będę tedy odtwarzał jego doktryny, która co do treści pokrywa się z doktryną jego poprzedników, zapomocą cytata i wyjątków z jego pism, tylko wskażę w odsyłaczu na niektóre z wybitniejszych ustępów¹⁾.

Podczas gdy Lassalle jest wyłącznie agitator, w Karolu Marxi widzimy znów teoretyka, i to, obok Rodbertusa najwybitniejszego teoretyka socjalizmu.

¹⁾ Wśród licznych jego pism »*Herr Bastiat-Schulze von Delitzsch, der oekonomische Julian, oder Kapital und Arbeit*« (Berlin 1864) zawiera najszczegółowiej podane poglądy na zagadnienie zysku, a zarazem jest najlepszym przykładem jego agitatorskiego geniuszu. Główne ustępy: Praca jest »źródłem i czynnikiem wytwarzającym wszelką wartość« (str. 83, 122, 147). Robotnik jednak nie otrzymuje całkowitej wartości, tylko cenę rynkową pracy, traktowanej, jako towar, cenę, równającą się kosztom wytwarzania, t. j. niezbędnym kosztem utrzymania (str. 186 i nast.). Cała nadwyżka przypada kapitałowi (str. 194). Zysk z kapitału jest więc sumą, potrąconą z produktu pracy robotnika (str. 125 i, bardzo drastycznie, str. 97). Przeciwno teorii produktywności kapitału str. 21 i nast. Przeciwno teorii wstrzemięźliwości str. 82 i nast., szczególnie str. 110 i nast. Porówn. też inne prace Lassalle'a.

Doktryna jego styka się wprawdzie w wielu punktach z zajmującymi pierwsze miejsce badaniami Rodbertusa, ale z niezaprzeczoną oryginalnością i bardzo przenikliwą konsekwencją uczynił z niej autor odrębną całość, którą wkrótce szczegółowo będziemy poznawali.

Chociaż teoria wyzysku głównie ukształtowaną została przez teoretyków socjalizmu, właściwe jej idee znalazły dostęp i do innych kół uczonych, a to w rozmaitej formie i różnym stopniu.

Niektórzy w całości przyjmują teorię wyzysku, cofając się co najwyżej przed przyjęciem ostatnich jej konsekwencji praktycznych. Takie jest naprz. stanowisko Gutha¹⁾. Przyjmuje on wszystkie zasadnicze postulaty socjalistów w całości. Praca stanowi dla niego jedyne i wyłączne źródło wartości; zysk powstaje wskutek nieszcześliwych stosunków współzawodnictwa, utrzymującego zawsze płacę roboczą poniżej produktu pracy; nie powstrzymuje się nawet przed wprowadzeniem dla określenia tego faktu ostrego wyrażenia »wyzysk«, jako terminu technicznego. W końcu jednak powraca do pewnych zastrzeżeń i cofa się przed praktycznymi konsekwencjami tej doktryny. »Dalecy jesteśmy od przedstawiania wyzysku robotnika w charakterze źródła pierwotnej stopy zysku jako aktu nieusprawiedliwionego z punktu widzenia prawa, opiera się on raczej na dobrowolnej umowie pracodawcy z robotnikiem, umowie dochodzącej zresztą do skutku w stosunkach rynkowych, z zasady dla ostatniego niepomysłnych«. Ofiara, którą ponosi »wyzyskiwany« robotnik jest raczej »zwrotnym zadatkiem«. Pomnożenie kapitału stale podnosi produktywność pracy; wskutek tego tanieją produkty pracy, i robotnik za swoje wynagrodzenie może ich kupić więcej, — a w ten sposób powiększa się jego faktyczna płaca; z drugiej strony wzrasta też wskutek »większego popytu zakres pracy robotnika, a to znowu powiększa płacę pieniężną«. »Wyzysk« więc upodobnia się tu do wkładu kapitału, który, w swych pośrednich skutkach oddaje robotnikowi wciąż wzrastające procenty²⁾. — Dühring również stoi w swej teorii zysku na zupełnie socjalistycznym gruncie. »Charakter zysku z kapitału

¹⁾ Die Lehre von Einkommen in dessen Gesamtzweigen, 1869. Cytuje według 2-go wydania z r. 1878.

²⁾ Op. cit. str. 109 i nast., 122 i nast. Porówn. też str. 271 i n.

polega na przywłaszczeniu większej części wyniku siły roboczej... Wzrost wyniku i oszczędność na pracy są skutkami rozszerzonych i ulepszonych środków produkcji; ale okoliczność, że zmniejszają się przeciwności i trudności wytwarzania i że naga praca, zaopatrzona w ułatwienia techniczne, staje się produkcyjniejszą, nie daje martwemu warsztatowi żadnego prawa do pochłonięcia chociażby odrobiny ponad to, co jest niezbędne dla jego odtworzenia. Dochód z kapitału nie jest więc wcale pojęciem, któreby się dało rozwinąć na podstawie czystej produktywności i według schematu jednolitego gospodarczego podmiotu. Jest to forma przywłaszczenia i wytwór stosunków podziału¹⁾.

Inna grupa pisarzy dołącza eklektycznie idee teorii wyzysku do innych swych poglądów na zagadnienie zysku; tak czynią np. John Stuart Mill i Schäffle²⁾.

Inni znów wreszcie nie poddają się wpływowi pism socjalistycznych do tego stopnia, by uznać teorię ich w całości, ale przyjmują poszczególne ważne rysy. Najważniejszym zjawiskiem tego rodzaju jest dla mnie powtarzanie przez poważną część niemieckich socjalistów z katedry starego zdania, iż jedynie praca jest źródłem wszelkiej wartości, że ona tylko jest siłą »wartościotwórczą«.

Zdanie to, którego przyjęcie, lub odrzucenie posiada ogromne znaczenie dla oceny najważniejszych zjawisk gospodarczych, przechodziło szczególne koleje. Wyszło początkowo z ekonomji angielskiej i w ciągu pierwszych dziesiątków lat po ukazaniu się Smithowego systemu zdobyło sobie wraz z nim znaczną popularność. Następnie, pod wpływem doktryn Sava, który stworzył teorię trzech czynników produkcji — przyrody, kapitału i pracy — a potem Hermanna i Seniora, przeważna większość ekonomistów, nawet z angielskiej szkoły, zaczęła traktować je nieufnie, i przez czas dłuższy powtarzali je jedynie pisarze

¹⁾ Kursus der National- und Sozialökonomie, Berlin 1873, str. 183. Nieco dalej (str. 185) oświadcza, w widocznej zależności od proudhonowskiego »droit d'aubaine«, iż zysk z kapitału jest »daniną« pobieraną za wyrzeczenie się potęgi ekonomicznej: stopa zysku przedstawia stopę opodatkowania.

²⁾ Patrz niżej w rozdziale XIII.

socjalistyczni. Ale gdy niemieccy socjaliści z katedry przejęli je z pism Proudhona, Rodbertusa i Marxa, zdanie to zdobyło sobie znów silne oparcie w naukowej ekonomii i można by prawie przypuścić, iż, wyniesione przez szacunek, należy wybitnym przywódcom tej niemieckiej szkoły, rozpocznie po raz drugi marsz tryumfalny poprzez literaturę całego świata¹⁾.

Czy należy sobie tego życzyć, wykaże krytyczne badanie teorii wyzysku, którem się teraz zajmamy.

PODDZIAŁ DRUGI.

Krytyka.

Krytyk teorii wyzysku ma przed sobą kilka dróg, któremi może dążyć do swojego celu. Mógłby krytykować z kolei wszystkich poszczególnych zwolenników tej teorii. Byłaby to droga najprostsza, ale wobec małych różnic pomiędzy poszczególnymi doktrynami doprowadziłaby do zbyt wielu i nadzwyczaj nużących powtórzeń. Mógłby też, nie zajmując się wcale indywidualnymi sformułowaniami, zastosować krytykę do ogólnego schematu, służącego za podstawę poszczególnym interpretacjom. Ten sposób ma dwie złe strony. Z jednej strony grozi niebezpieczeństwo istotnego pominięcia pewnych indywidualnych odcieni doktryny; z drugiej zaś, gdyby się nawet udało ominąć to niebezpieczeństwo, spotkałby krytyka zarzut, iż ułatwiał sobie zadanie i zajął się krytyką nie samej doktryny, tylko dowolnie skonstruowanej jej karykatury. Zdecydowałem się tedy na wybór trzeciej drogi; z masy poszczególnych wykładów doktryny wybiorę niektóre, uznane przez siebie za najlepsze i najdokładniejsze, i te poddam krytyce indywidualnej.

Do celu tego wybrałem teorię Rodbertusa i Marxa. Są to jedyne, które przedstawiają głębszą i spójną motywację: przytem pierwsza jest, zdaniem mojem, najlepszym,

¹⁾ Pisane w r. 1884; od tego czasu nastąpił, zdaje mi się, zwrot. Wprawdzie narazie, w ciągu lat kilku, teoria pracy, jako jedyne źródło wartości, rozpowszechniła się jeszcze łącznie z rozwojem idei socjalistycznych, ale w najnowszych czasach straciła znacznie na terenie w teoretycznych kołach wszystkich krajów, i to głównie na korzyść coraz to się na powierzchnię wybijającej teorii »użyteczności krańcowej«.

druga najbardziej przyjętą i uznaną, do pewnego stopnia oficjalnym wykładem doktryny dzisiejszego socjalizmu. Podając je obie szczegółowemu zbadaniu, ujmuję też teorię wyzysku z jej najsilniejszej strony — zgodnie z pięknym powiedzeniem Knies'a: »Kto chce być zwycięzcą w państwie badań naukowych, musi pozwolić przeciwnikowi wystąpić w całkowitem uzbrojeniu i w pełni sił«¹⁾.

I jeszcze jedna uwaga dla uniknięcia nieporozumień. Celem niniejszego jest wyłącznie krytyka teorii wyzysku, jako teorii, t. j. zbadanie, czy przyczyną ekonomicznego zjawiska zysku z kapitału są istotnie okoliczności, które teoria wyzysku przedstawia, jako przyczyny powstawania zysku. Nie mam wcale zamiaru wydawać wyroku o praktycznej, społeczno-politycznej stronie zagadnienia zysku, o słuszności, czy niesłuszności, utrzymaniu, czy odrzuceniu zysku z kapitału. Nie znaczy to wprawdzie, bym miał pisać dzieło o zysku z kapitału i pomijać przytem milczeniem najważniejszą kwestję, która z nim jest związana. Ale praktyczną stronę przedmiotu dopiero wtedy z pożytkiem będę mógł omawiać, gdy teoretyczna zostanie całkowicie wyjaśnioną, i dlatego muszę te badania zachować dla drugiej części mojej pracy. Tutaj — powtarzam — chcę tylko zbadać, czy zysk z kapitału, — dobry, czy zły, — wpływa z tych przyczyn, które podaje teoria wyzysku.

A. Rodbertus²⁾.

Punktem wyjścia dla teorii zysku Rodbertusa jest zdanie, »wprowadzone do nauki przez Smitha, a głębiej uzasadnione przez szkołę Ricarda«, »iż wszystkie dobra z gospodarczego punktu widzenia są tylko produktami pracy,

¹⁾ »Der Kredit«, część II, Berlin 1878, str. VII.

²⁾ Dostęć wyczerpujący wykaz licznych pism dr. Karola Rodbertus-Jagetzowa znajdujemy u Kozaka »Rodbertus sozialökonomische Ansichten« Jena 1882, str. 7 i nast. Ja posługiwałem się przeważnie 2-im i 3-im listem do v. Kirchmanna w (nieco zmienionym) przedruku, który Rodbertus wydał w roku 1875 pod tytułem »Zur Beleuchtung der sozialen Frage«; następnie pracą »Zur Erklärung und Abhilfe der heutigen Kreditnot des Grundbesitzes« (2-e wyd., Jena 1876) i wydanym ze spuścizny po Rodbertusie przez Adolfa Wagnera i Kozaka pod tytułem »Das Kapital« czwartym społecznym listem do

kosztują wyłącznie jakąś ilość pracy». Rodbertus wyjaśnia bliżej to zdanie, które też często wyraża w tej formie, iż »jedynie praca jest produkcyjną«, w ten sposób: po pierwsze tylko te dobra należą do dóbr gospodarczych, które kosztowały pewną pracę, a inne dobra, chociażby równie człowiekowi niezbędne, czy użyteczne, są dobrami naturalnymi, które gospodarki nie dotyczą; po drugie, wszystkie dobra gospodarcze są tylko produktem pracy i w gospodarczym ujęciu nie mogą być traktowane, jako produkty przyrody, lub innej jakiejś siły, a tylko, jako produkty pracy; wszelkie inne ujęcie jest przyrodniczem, a nie gospodarczem; wreszcie, po trzecie, dobra, wzięte z gospodarczego punktu widzenia, są tylko produktem tej pracy, która wykonała niezbędne dla ich wytworzenia operacje materialne. Należy do tego jednak nie tylko ta praca, która dobro bezpośrednio wytwarza, ale i ta, która wytworzyła narzędzie, niezbędne do wytworzenia tego dobra. Zboże np. jest produktem nie tylko tego, co pług prowadził, ale i tego, co pług zbudował etc.¹⁾

Pracujący materialnie, wytwarzający cały w dobrach wyrażający się produkt, przynajmniej »według czystej idei prawa« mają zupełnie naturalną i usprawiedliwioną pretensję do posiadania całego swego produktu²⁾. Są tylko dwa dosyć poważne ograniczenia. Po pierwsze, system podziału pracy, według którego wielu robotników bierze udział w wytworzeniu jednego produktu, technicznie uniemożliwia otrzymywanie przez robotników produktów ich pracy in natura. Prawo do całego produktu musi być tedy zastąpionem przez prawo do całkowitej wartości produ-

v. Kirchmanna. (Berlin 1884). — Teoria zysku Rodbertusa została w swoim czasie przez Knies'a (Der Kredit, część II, Berlin 1878, str. 47 i nast.) poddana bardzo szczegółowej i naukowej krytyce, z którą w najważniejszych punktach się zgadzam. Pomimo to nie mogę się wyrzec samodzielnego ponowienia tej krytycznej pracy, gdyż teoretyczne moje stanowisko dosyć znacznie różni się od stanowiska Knies'a, tak, że niektóre rzeczy oglądamy w zupełnie różnym świetle. — Porówn. też o Rodbertusie uwagi A. Wagnera w jego »Grundlegung«, III wyd., cz. I, § 13, cz. II, § 132, następnie Dietzela, C. Rodbertus, Jena 1886—1888.

¹⁾ Zur Beleuchtung der sozialen Frage, str. 68 i 69.

²⁾ Soziale Frage str. 56; Erklärung u. Abhilfe str. 112.

ktu¹⁾. Następnie z narodowego produktu muszą być jeszcze oddzieleni ci wszyscy, którzy oddają społeczeństwu użyteczne usługi, nie biorąc udziału w materialnym wytwarzaniu dóbr, więc np. duchowny, lekarz, sędzia, badacz przyrody, nawet, zdaniem Rodbertusa przedsiębiorcy »umiejący produkcyjnie zatrudnić wielu robotników i kapitał«²⁾. Ale taka, tylko »pośrednio gospodarcza, praca« pobierać winna swe wynagrodzenie nie przy »pierwotnym podziale dóbr«, w którym biorą udział tylko wytwórcy, ale przy »drugim, pochodnym podziale dóbr«. To, czego według czystej idei praca, mogą się domagać materialnie pracujący, jest więc, aby przy pierwotnym podziale otrzymywali całkowitą wartość swej pracy — nie uszczuplając przez to wtórnych praw do żądania płacy ze strony innych użytecznych członków społeczeństwa.

To naturalne prawo nie jest według Rodbertusa zaspokojone przy dzisiejszym ustroju społeczeństwa. Robotnicy bowiem otrzymują dziś przy pierwotnym podziale tylko część wartości swego produktu w postaci płacy, gdy reszta, jako renta, przypada w udziale właścicielom gruntu i kapitału. Jako rentę określa Rodbertus »wszelki dochód otrzymywany bez własnej pracy, jedynie na podstawie posiadania«³⁾. Bywa ona dwu rodzajów: renta gruntowa i dochód z kapitału.

»Skoro zaś każdy dochód jest jedynie produktem pracy« — zapytuje Rodbertus — »to jakie przyczyny wywołują fakt, że w społeczeństwie mają dochód (i to dochód pierwotny) osoby, które nie ruszyły nawet palcem dla jego wytworzenia?« — W ten sposób stawia Rodbertus ogólne teoretyczne zagadnienie renty⁴⁾. I znajduje na nie następującą odpowiedź.

Renta istnienie swe zawdzięcza związkowi dwóch faktów, jednego gospodarczego i jednego z dziedziny pozytywnej prawa. Gospodarcza przyczyna istnienia renty polega na tem, że od czasu wprowadzenia podziału pracy, praca przynosi więcej, niż robotnicy potrzebują dla utrzymania się

¹⁾ Soziale Frage str. 87. 90; Erklärung i t. d. str. 111; Kapital str. 116.

²⁾ Soziale Frage str. 146; Erklärung u. Abhilfe str. 109.

³⁾ Soziale Frage, str. 32.

⁴⁾ Soziale Frage str. 74 i nast.
Kapitał II.



przy życiu i dla możności dalszej pracy, tak, że inni z tego żyć mogą. Prawna przyczyna polega na istnieniu prawa własności do ziemi i do przedmiotów, stanowiących kapitał. Skoro więc własność prywatna nie dopuszcza robotników do rozporządzania tymi niezbędnymi środkami produkcji, nie pozostaje im naogół nic innego, jak wytworzenie na podstawie zawartej uprzednio umowy, w służbie u klas posiadających; te zaś wzamian za dostarczenie tych warunków produkcji nakładają na nich obowiązek odstąpienia części produktu ich pracy w charakterze renty. Odstąpienie to przytem zachodzi w tej uciążliwej postaci, że robotnicy pozostawiają posiadaczom własność całego swego produktu, a otrzymują sami jako płacę roboczą, zaledwie część jego wartości, tyle, ile niezbędnie potrzebują dla utrzymania się przy życiu i możności dalszej pracy. Siłą, która zmusza robotników do zgody na taki kontrakt, jest głód. — Posłuchajmy, co mówi sam *Rodbertus*.

»Ponieważ nie może istnieć żaden dochód, nie powstały z pracy, renta opiera się na dwóch nieodzownych warunkach. Po pierwsze: renta nie może istnieć, jeżeli praca nie przynosi więcej, niż koniecznie potrzeba dla umożliwienia robotnikom dalszej pracy — gdyż niemożliwem jest, by bez takiej nadwyżki, ktoś mógł stale mieć dochód, sam wcale nie pracując. Po drugie: renta nie może istnieć, jeśli nie istnieją ustawy, które tę nadwyżkę całkowicie lub częściowo robotnikom odbierają i skierowują do innych ludzi, własnoręcznie nie pracujących — gdyż robotnicy z natury rzeczy są najpierwsiymi posiadaczami swego produktu. Fakt, iż praca daje taką nadwyżkę, opiera się na przyczynach gospodarczych, podnoszących produktywność pracy. Fakt, iż ta nadwyżka całkowicie lub częściowo odbierana jest robotnikom i oddawana innym, opiera się na przyczynach pozytywnie-prawnych; prawo, połączone jak dotychczas z przemocą, pod stałym przymusem dokonywa tego odbierania«.

»Pierwotnie wyrazem tego przymusu było niewolnictwo, którego powstanie zbiega się z powstaniem uprawy roli i własności ziemskiej. Robotnicy, którzy w produkcji swej pracy wytwarzali taką nadwyżkę, byli niewolnikami, a pan, do którego należeli robotnicy, a co za tem idzie i produkt ich pracy, dawał niewolnikom tyle tylko, ile było niezbędne, by mogli dalej pracować, resztę zaś, czyli nad-

wyżkę, zatrzymywał dla siebie. Gdy cała ziemia w kraju stała się własnością prywatną, gdy w ślad za tem własnością prywatną stał się wszelki kapitał, własność ziemi i kapitału wywierała podobny przymus na wyzwolonych i wolnych robotników. Skutkiem tego, jak za czasów niewolnictwa, po pierwsze, produkt pracy należy nie do robotników, a do panów ziemi i kapitału, powtórę zaś, robotnicy, którzy nie posiadają, wobec panów, posiadających ziemię i kapitał, szczęśliwi są, że otrzymują z produktu własnej pracy część, niezbędną dla utrzymania się przy życiu, t. j. znów dla możności dalszej pracy. Tak więc wprowadzie niewolnictwo zastąpionem zostało przez umowę robotnika z pracodawcą, ale umowa ta swobodną jest tylko formalnie, nie materjalnie, i głód zastępuje bicz prawie całkowicie. To, co się nazywało pokarmem, nazywa się teraz płacą roboczą¹⁾.

Według tego renta jest więc wyzyskiem²⁾, albo, jak się *Rodbertus* jeszcze ostrzej wyraża³⁾, *rabunkiem* produktu cudzej pracy. Charakter ten noszą w równym stopniu wszystkie rodzaje renty, tak renta gruntowa, jak dochód z kapitału i wyprowadzone od nich czynsz dzierżawny i procenta. Ostatnie są równie usprawiedliwione w stosunku do przedsiębiorców, którzy je płacą, jak nieusprawiedliwione w stosunku do robotników, na koszt których są w rezultacie opłacane⁴⁾.

Wysokość renty wzrasta z produktywnością pracy. Robotnik bowiem przy systemie wolnego współzawodnictwa otrzymuje naogół i w sposób trwały tylko sumę niezbędną dla utrzymania się przy życiu, t. j. określoną realną ilość produktu. Im większą więc jest produktywność pracy, tem mniejszą część całkowitej wartości produktu będzie przedstawiała ta ilość, i tem większa suma produktu i wartości pozostaje w udziale właścicielowi, czyli rencie⁵⁾.

Pomimo, iż, jak to z powyższego wynika, wszelkie renty faktycznie tworzą jednolitą masę, opartą na identycznych przyczynach, to w praktycznem życiu gospodar-

¹⁾ Soziale Frage, str. 33. Podobnie szczegółowiej str. 77—94.

²⁾ Soziale Frage, str. 115 i gdzieindziej.

³⁾ Op. cit. str. 150; Kapital str. 202.

⁴⁾ Soziale Frage, str. 115, 148 i nast. Porównaj też krytykę *Bastiaty*, op. cit. str. 115—119.

⁵⁾ Soziale Frage, str. 123 i nast.

czem dzielą się, jak wiadomo, na dwie gałęzie: na rentę gruntową i zysk z kapitału. Przyczyny i prawa, rządzące tym podziałem, wyjaśnia Rodbertus w nader swoisty sposób. Przedewszystkiem zaznaczyć trzeba, iż we wszystkich odnośnych badaniach wychodzi z teoretycznego założenia, że wartość zamienna każdego produktu równa się kosztom jego produkcji, innemi słowy, że wszystkie produkty wymieniane są pomiędzy sobą w takim stosunku, w jakim została w nie włożona praca¹⁾. Należy przytem odpowiedzieć ściśle rzeczywistości. Przypuszcza jednak, że faktyczne odchylenie polega na tem tylko, że »prawdziwa wartość zamienna przechyla się to na jedną, to na drugą stronę«, przyczem następuje przynajmniej dążenie do osiągnięcia punktu, »któryby przedstawiał naturalną i sprawiedliwą wartość zamienną²⁾. Myśl, iż dobra normalnie wymieniają się inaczej, niż w stosunku do zawartej w nich pracy, że odchylenia od tego stosunku nie są jedynie skutkiem przelotnych wahań rynkowych, ale stałego prawa, inaczej kierującego wartością, wyklucza Rodbertus całkowicie³⁾. Zwracam raz jeszcze uwagę na tę okoliczność, która później będzie dla nas bardzo ważną.

Ogólna produkcja dóbr daje się według Rodbertusa podzielić na dwie gałęzie, na pierwotną produkcję, która z pomocą ziemi wytwarza surowce i na fabrykację, która te surowce w dalszym ciągu przerabia. Zanim wprowadzony został podział pracy, wytwarzanie i dalsze przerabianie surowców następowało bezpośrednio po sobie pod kierunkiem jednego przedsiębiorcy, który też bez różnicy otrzymywał całą wynikającą stąd rentę: w tem stadjum rozwoju gospodarczego podział renty na rentę gruntową i zysk z kapitału nie istniał. Od czasu wprowadzenia podziału pracy przedsiębiorcy w pierwotnej produkcji i idącej za nią fabrykacji, są to już osoby różne. Powstaje pytanie, w jakim stosunku renta, wynikająca z całkowitej produkcji ma być podzieloną pomiędzy wytwórcę surowców z jednej, a przedsiębiorcę fabrycznego z drugiej strony.

¹⁾ Op. cit. str. 106.

²⁾ Soziale Frage str. 107. Podobn. str. 113, 147, Erklärung I, str. 123.

³⁾ Soziale Frage, str. 148.

Odpowiedź na to pytanie wypływa z samego charakteru renty. Renta jest sumą, potrąconą z wartości produktu, częścią tej wartości. Suma wypływającej z pewnej produkcji renty będzie się tedy stosowała do rozmiarów wytworzonej w tej produkcji wartości produktu. Ponieważ zaś wielkość wartości produktu stosuje się znowu do sumy zużytej nań pracy, to pierwotna produkcja i fabrykacja będą się dzieliły całą rentą zależnie od tworzącej kosztu pracy, użytej w każdej z nich. Rozwinę to na konkretnym przykładzie¹⁾. Jeśli zdobycie pewnej ilości surowców wymaga 1.000 dni pracy, a dalsza ich przeróbka 2.000 dni pracy, renta zaś wogóle obejmuje na korzyść posiadaczy 40% wartości produktu, to wytwórcy surowca przypadnie, jako renta, produkt 400 dni pracy, a przedsiębiorcy fabrycznemu — 800 dni pracy. — Zupełnie natomiast obojętną jest przy tym podziale wielkość zastosowanego w danej gałęzi produkcji kapitału: renta oblicza się wprawdzie od kapitału, ale określa się nie według kapitału, lecz według włożonych ilości pracy.

Właśnie ta okoliczność, iż wielkość zastosowanego kapitału nie wywiera żadnego przyczynowego wpływu na sumę renty, wypływającej z danej gałęzi produkcji, stanowi przyczynę powstawania renty gruntowej. A to w sposób następujący. Renta, pomimo, że jest wytworem pracy, uważaną jest za dochód z posiadanego bogactwa, gdyż nic nie posiadając uzyskać jej nie można. Ponieważ przy fabrykacji zastosowuje się tylko posiadany kapitał, a nie ziemię, cała uzyskana przy fabrykacji renta uważana jest specjalnie za dochód kapitału, czyli za zysk z kapitału. Gdy się dalej, jak to jest we zwyczaju, oblicza stosunek, zachodzący pomiędzy wysokością dochodu, a wielkością dającego dochód kapitału, dochodzi się do skonstatowania istnienia określonej, procentowej stopy zysku, która daje się przy fabrykacji osiągnąć z kapitału. Ta stopa zysku, która, na skutek znanych dążeń współzawodnictwa, będzie usiłowała ustalić się mniej więcej na jednym poziomie we wszystkich gałęziach, będzie też miarodajną przy obliczaniu dochodu kapitału w pierwotnej produkcji; już dlatego, że w fabrykacji zastosowaną jest znacznie większa część kapitału narodowego, niż w rol-

¹⁾ Tego u Rodbertusa niema, podaje to tylko, by wzmocnić i ustrzec od nieporozumień ten trudny bieg myśli.

nietwie i że, jak łatwo zrozumieć, dochód znacznie większej części kapitału może narzucić mniejszej stopę, według której ma ona swój dochód obliczać. Wytwórcy surowców będą więc sobie z całej renty, wypływającej z produkcji pierwotnej odliczali tyle na zysk z kapitału, ile odpowiadać będzie wielkości zastosowanego kapitału i wysokości normalnej stopy zysku z kapitału. Reszta renty traktowaną będzie, jako dochód ziemi i stanowić będzie rentę gruntową.

Taką rentę gruntową musi, zdaniem Rodbertusa, dawać produkcja pierwotna pod jednym jedynym warunkiem, że produkty wymieniane są w stosunku do zawartej w nich pracy. Rodbertus uzasadnia to w następujący sposób. Wielkość uzyskiwanej przy fabrykacji renty, zależy, jak wykazano, nie od wielkości wydatkowanego kapitału, ale od ilości włożonej w fabrykację pracy. Ta znów składa się z dwóch części: z jednej strony z bezpośredniej pracy, niezbędnej przy fabrykacji, z drugiej z pracy pośredniej, »którą trzeba doliczyć ze względu na zużywanie się maszyn i narzędzi«. Z różnych części składowych wydatkowanego kapitału niektóre tylko wywierają wpływ na rozmiary renty, a mianowicie te, które stanowią płace robocze i wydatki na maszyny i narzędzia. Wydatek kapitału na surowce natomiast nie wywiera tu żadnego wpływu, gdyż nie odpowiada mu żadna praca, wykonana w stadjum fabrykacji. Ta część wydatku zwiększa jednak kapitał, do którego odnosi się uzyskaną rentę, jako jego dochód. Istnienie części kapitału, z jednej strony zwiększającej kapitał wytwórczy, do którego odnosi się, jako jego dochód, otrzymana część renty, a z drugiej strony nie zwiększającej wcale tego dochodu, musi oczywiście obniżyć stosunek dochodu do kapitału, innemi słowy, stopę zysku z kapitału przy fabrykacji.

Dochód z kapitału przy pierwotnej produkcji oblicza się również według tej niższej stopy. Tutaj jednak stosunki układają się korzystniej. Ponieważ rolnictwo zaczyna produkcję *ab ovo* i nie przerabia żadnego materiału, pochodzącego z innej, dawniejszej produkcji, w jej wydatku kapitału niema części składowej »wartości materiałów«. Odpowiednikiem jej może być tylko ziemia, o której wszystkie teorie twierdzą, że nic nie kosztuje. Wskutek tego nie bierze udziału w rozdziale dochodu żadna część kapitału, która by nie wpływała na wysokość tego dochodu, a w dalszym

jeszcze skutku stosunek pomiędzy uzyskiwaną rentą, a wyłożonym kapitałem jest w rolnictwie korzystniejszy, niż w przemyśle. Ponieważ jednak dochód z kapitału i w rolnictwie obliczany być musi według obniżonej w przemyśle stopy zysku, musi pozostawać zawsze z renty pewna nadwyżka, która przypada właścicielowi ziemi, jako renta gruntowa. Takie jest, według Rodbertusa, pochodzenie renty gruntowej i różnica, pomiędzy nią, a dochodem z kapitału¹⁾.

Dla pełności zwrócę jeszcze w krótkości uwagę, iż pomimo bardzo ostrego teoretycznego wyroku, wydanego na charakter wyzysku w dochodzie z kapitału, Rodbertus nie dąży jednak do zniszczenia własności kapitału ani dochodu z kapitału. Przypisuje raczej własności ziemskiej i własności kapitału pewną »zdolność wychowawczą«, która wcale nie jest zbyt dużą; mówi o niej jako o »pewnego rodzaju domowej władzy, którą możnaby zastąpić przez zupełnie zmieniony system narodowego kształcenia, nie spotykający jednak jeszcze wcale potrzebnych mu warunków«²⁾.

Własność ziemską i własność kapitału wydaje mu się »rodzajem urzędu, pociągającego za sobą funkcje ekonomiczne, które właśnie na tem polegają, by ekonomiczną pracę i ekonomiczne środki narodu kierować odpowiednio do jego potrzeb«. Ale z tego — przychylniejszego dla niej — punktu widzenia możnaby rentę uważać za formę wynagrodzenia, które ci »urzędnicy« pobierają za spełnianie swych obowiązków³⁾. Zwróciłem już wyżej uwagę, jak Rodbertus tem dosyć pobieżnem — w odsyłaczu tylko umieszczonem — wypowiedzeniem się poruszył myśl, z której późniejsi pisarze, chociażby Schäffle, stworzyli odrębną odmianę teorii zysku, opartego na konstrukcji pracy.

Zwracam się teraz do krytyki Rodbertusowej. Bez ogródek stwierdzam natychmiast, że zawartą w niej teorię zysku z kapitału uważam za zupełnie fałszywą. Po-

¹⁾ Soziale Frage, str. 94 i nast., szczególnie str. 109—111; Erklärung I, str. 123.

²⁾ Erklärung II, str. 303.

³⁾ Erklärung II, str. 273 i nast. W pośmiertnej pracy o »Kapitale« wypowiada się jednak Rodbertus ostrzej przeciw prywatnej własności kapitału i domaga się, wprawdzie nie prostego skasowania jej, ale jednak ograniczenia.

pełnia on, mojem zdaniem, cały szereg ciężkich teoretycznych grzechów, które postaram się zaraz wskazać, o ile możliwości najjaśniejszej i najbezbstronnej.

Krytyczne badanie zatrzymuje się już odrazu na pierwszym kamieniu, na którym R o d b e r t u s budowę swą opiera: na zdaniu, iż wszystkie dobra, z gospodarczego punktu widzenia, są jedynie produktem pracy.

Przedewszystkiem, co ma oznaczać wyrażenie »z gospodarczego punktu widzenia?« R o d b e r t u s wyjaśnia to za pomocą przeciwstawienia. Przecistawia punkt widzenia gospodarczy przyrodniczemu. Przyznaje wyraźnie, że z przyrodniczego punktu widzenia dobra są produktami nie tylko pracy, ale i sił przyrody. Jeśli jednak z gospodarczego punktu widzenia dobra mają być wyłącznie produktami pracy, to może to mieć jedno jedyne znaczenie: to mianowicie, iż współdział sił przyrody w produkcji jest czemś zupełnie obojętnym dla rozważań i obliczeń ludzkiej gospodarki. R o d b e r t u s daje też raz temu ujęciu wyraz drastyczny, mówiąc: »Wszystkie inne dobra (oprócz tych, które kosztowały pracę), chociażby były niezbędne, lub użyteczne dla ludzi, są dobrami naturalnymi, które gospodarki nie dotyczą«. »Człowiek winien być wdzięczny przyrodzie za to, czem się przyczyniła do powstania dóbr gospodarczych, gdyż oszczędziła mu przez to tyleż pracy, ale gospodarkę obchodzi to tylko o tyle, o ile praca dokończyła dzieła przyrody«¹⁾.

Jest to wręcz fałszywe. Czysto naturalne dobra, o ile tylko są rzadkie w porównaniu do ich zapotrzebowania obchodzą również gospodarkę. Czyż czysty stop złota, jako meteor spadający na ziemię jakiegoś człowieka, albo żyła srebrna, którą on przypadkiem w ziemi swojej odkryje, nie obchodzą wcale gospodarki? Czy ten człowiek pozostawi niedbale to ofiarowane mu przez naturę złoto i srebro, podaruje je komu, lub wyrzuci, dlatego tylko, że otrzymał je od przyrody bez żadnego trudu ze swojej strony? Czy, przeciwnie, nie schowa go starannie, nie będzie go strzegł od cudzej pożądlivosti, nie sprzeda go na rynku, jednym słowem nie zużyje go na utrzymanie czy na jakiś przemysł lub handel, zupełnie tak samo, jak złoto i srebro, zdobyte pracą rąk wła-

¹⁾ Soziale Frage str. 69.

nych? — A gdy chodzi o dobra, które kosztowały pewną pracę, to czy gospodarka interesuje się nimi istotnie tylko o tyle, o ile praca dokończyła dzieła przyrody? Gdyby tak było, musieliby gospodarujący ludzie jednakowo cenić beczkę najdoskonalszego reńskiego wina i beczkę dobrze zrobionego, ale z natury gorszego wina krajowego: bo w obu wypadkach praca ludzka miała równy udział! Fakt zaś, że reńskie wino może nieraz być dziesięć razy wyżej cenione gospodarczo, jest wymownym dowodem, który życie przytacza przeciw twierdzeniom R o d b e r t u s a. Zarzuty takie tak łatwo się nasuwają, że możnaby było oczekiwać, iż R o d b e r t u s nader starannie zaslaniać będzie przed nimi swe pierwsze i najważniejsze zasadnicze twierdzenie. Oczekiwaniu temu nie udało się zadość. Przygotował wprawdzie R o d b e r t u s pewien zapas argumentów na korzyść swojej tezy. Przedstawiają one jednak poczęści niezbyt przekonujące powoływanie się na autorytety, poczęści zaś równie mało przekonującą dialektykę, raczej omijającą odnośny punkt, niż go dotykającą.

Do pierwszej kategorii należy wielokrotne powoływanie się na S m i t h a i R i c a r d a, jako obrońców tego zdania, »poza którem nie ma już miejsca na krok jeden dla postępowej ekonomji«, które głęboko się zakorzeniło pośród ekonomistów angielskich, we Francji ma w każdym razie zwolenników, »a co najważniejsze, wycisnęło się niezatartem piętnem w świadomości ludu wbrew wszelkim sofizmatom doktryn, budzących wątpliwości«¹⁾. Nieco później zajmujemy się ustaleniem ciekawego faktu, że S m i t h i R i c a r d o odnośne zdanie przyjmowali tylko, jako aksjomat, wcale go nie uzasadniając; a w dodatku obaj, jak K n i e s bardzo ładnie udowodnił²⁾, sami nie trzymali się tego zdania konsekwentnie. W dyskusji naukowej działają oczywiście przekonująco i autorytety, ale nie samem swoim nazwiskiem, a siłą dowodów, którymi się posługują; ponieważ zaś w danym wypadku poza nazwiskami nie stoją nie tylko dowody, ale nawet konsekwentne przyjęcie, to powołanie się na autorytety bynajmniej materialnie nie mogło wzmocnić pozycji R o d b e r t u s a; opiera się ona więc wyłącznie na dowodach, które on sam przytacza na obronę swojej teorii.

¹⁾ Soziale Frage, str. 71.

²⁾ Kredit, cz. II, str. 60 i nast.

Jako takie brać musimy pod uwagę nieco dłuższe dowodzenie w pierwszym z pięciu twierdzeń »zur Erkenntnis unserer staatswirtschaftlichen Zustände« i treściwszy sylogizm w pracy »zur Erklärung und Abhilfe der heutigen Kreditnot des Grundbesitzes«. W pierwszym miejscu wywodzi Rodbertus, na razie zupełnie trafnie, iż musimy gospodarować za pomocą dóbr, kosztujących pracę, i tłumaczy dlaczego musimy to robić. Najpierw wysuwa najsluszniej na plan pierwszy ilościową dysproporcję pomiędzy »nieskończonością i nienasyconiem naszej żądzy bogactw«, albo naszych potrzeb z jednej, a ograniczonością naszego czasu i potęgi z drugiej strony; dopiero w drugiej linii i raczej mimochodem mówi też o tem, iż praca jest »męcząca«, stanowi ofiarę ze »swobody« i t. p.¹⁾ Podobnie słusznie dowodzi, że — i wyjaśnia, dlaczego — wydatek pracy musi być uważany za »koszt«. »Należy sobie tylko« — mówi²⁾ — dobrze wyjaśnić pojęcie »kosztów«. Oznacza ono więcej niż to, że coś jest potrzebne dla wytworzenia czegoś innego. Zasadniczo należy do niego zarówno fakt, iż zrobiony został wydatek, uniemożliwiający przez to odpowiedni wydatek na coś innego, jak fakt, że wydatek ten zrobił podmiot, w którego godzi ta niepowtarzalność wydatku. To ostatnie zawiera myśl, iż tylko ludzie mogą ponosić jakieś koszty.

Zupełnie słusznie! — Równie słusznem jest też, że, jak Rodbertus dalej wywodzi, gdy chodzi o pracę, obie cechy szczególne kosztów są w porządku. Wydatek bowiem pracy, którego wymaga każde dobro »nie może być zastosowany w żadnym innym wypadku« — pierwsza cecha — i »nikt nie jest niem dotknięty, oprócz człowieka, gdyż składa się z jego siły i z jego czasu, które są ograniczone wobec nieskończonego szeregu dóbr« — druga cecha.

Ale teraz idzie Rodbertusowi o dowiedzenie jeszcze, że »koszt«, a co za tem idzie, podstawa do gospodarki, istnieje jedynie tylko przy pracy i przy żadnym innym pierwiastku. Przedewszystkiem musi on przyznać, że przy wytwarzaniu dóbr czynnym jest i potrzebnem jeszcze coś innego (oprócz pracy), a mianowicie — pomijając czynności umysłowe — materiał, dostarczany przez przyrodę i siły

¹⁾ Zur Erkenntnis unserer staatswirtschaftlichen Zustände (1842), Twierdzenie pierwsze, str. 5 i 6.

²⁾ Op. cit. str. 7.

przyrody, które »służąc pracy dopomagają do przerobienia lub przystosowania materiału«. Ale udział przyrody nie odpowiada żadnej z dwu cech szczególnych kosztów. Czynne bowiem siły przyrody są »nieskończone i niezniszczalne: siła, która niezbędne substancje przetwarza w zboże, jest zawsze na usługach tych substancji. Materiał, którego natura używa dla wytworzenia jednego dobra, nie może być wprawdzie jednocześnie zastosowany przy wytwarzaniu innych. Ale gdybyśmy chcieli mówić o kosztach, to musielibyśmy przyrodę uosobić i dopiero mówić o jej kosztach. Materiał nie jest wydatkiem, który człowiek ponosi na korzyść danego dobra; kosztami zaś tego dobra są dla nas tylko te, które on ponosi«¹⁾.

Pierwsza część tego wniosku, podająca w wątpliwość istnienie pierwszej cechy charakterystycznej, jest najzupełniej błędna. Siły przyrody są wprawdzie wieczne i niezniszczalne, ale kwestję wydatków produkcyjnych nie a nie nie obchodzi, czy te siły wogóle trwają nadal, a obchodzi ją tylko, czy one trwają i działają nadal w pewien określony sposób, który czyni je zdolnymi do dalszego produkcyjnego, użytecznego działania. W tem zaś, jedynie kwestję naszą obchodzącą, znaczeniu niema wcale mowy o niezniszczalnym trwaniu. Jeśli spaliliśmy posiadany węgiel, to trwają wprawdzie nadal chemiczne siły węgla, które łącząc go z tlenem atmosferycznego powietrza wytworzyły miłe nam ciepło; ale działanie ich wyczerpuje się w utrzymaniu związku atomów tlenu i atomów węgla, połączonych w kwasie węglowym, i o ponownem użytecznem działaniu tych sił narazie niema mowy. Wydatek sił chemicznych, któryśmy zrobili na rzecz produkcji pewnego dobra przez spalenie węgla, nie może być już zrobiony na rzecz innego dobra²⁾. To samo zupełnie dotyczy też oczywiście materiałów produkcyjnych. Rodbertus przyznaje to właściwie w stosunku do nich, choć w sposób niewystarczający, mówiąc, że »jednocześnie« nie można ich zastosować przy wytwarzaniu innego dobra. W istocie nietylko »jednocześnie« z tem, gdy się znajdują w pierwszym

¹⁾ Op. cit. str. 8.

²⁾ Łatwo spostrzec, iż Rodbertus, chcąc być konsekwentny, musiałby też siłę roboczą uznać za coś wiecznego i niezniszczalnego, ponieważ chemiczne i mechaniczne siły, znajdujące się w ludzkim organizmie, również nie giną ze świata!

dobrze, ale zasadniczo i później nie mogą być zastosowane przy produkcji innych dóbr. Jeśli drzewa użyjemy na belki, to nie tylko w czasie tych stu lat, przez które służy ono w domu w postaci belek i powoli gnije, nie może być użyte do wytwarzania innych dóbr, ale i po całkowitem spróchnieniu będzie to samo, gdyż istniejące w niem wprawdzie i nadal chemiczne pierwiastki znajdują się w takim stanie, że nie mogą już służyć dla jakichś celów użyteczności człowieka. Nieco później, przy rozbiórce zrobionej przez siebie samego uwagi, zarzuca R o d b e r t u s ten pierwszy argument i opiera się już tylko na braku drugiej charakterystycznej cechy, odniesienia kosztów do jakiejś osoby.

Ale i tu nie ma R o d b e r t u s racji. Wydatek rzadkich darów przyrody jest też wydatkiem, którego bezzwrotność dotyka pewną osobę, tak, jak tego wymaga R o d b e r t u s w swem określeniu kosztów, i to z zupełnie tych samych przyczyn, które on sam uważa za słuszne dla pracy. Bo cóżby to miało oznaczać, że R o d b e r t u s uznaje za przyczynę, zmuszającą nas do gospodarnego obchodzenia się z pracą i jej produktami, nie związane z tą pracą cierpienie, ale, i to z powtarzającym się naciskiem, ilościową ograniczoność pracy w stosunku do nieskończoności naszych potrzeb? Nic innego, jak tylko, że każde marnotrawienie, i tak niewystarczającej dla zaspokojenia potrzeb naszych, pracy zwiększa jeszcze niedostateczność tego zaspokojenia. Ten motyw pozostałby nawet, gdyby praca nie była związana z żadnym osobistym cierpieniem, przykrością, przymusem i t. p., a dostarczała robotnikowi czystego niezmaconego zadowolenia, nie będąc jednak w stanie wytworzyć wszystkich pożądaných dóbr. Poszczególne osobę dotyka więc wszelka zmarnowana, czy wogóle wydatkowana praca, poprostu dlatego, że pozbawia ją to pełniejszego zaspokojenia jej potrzeb¹⁾. Zupełnie to samo dzieje się, gdy się zmarnuje, lub wogóle zużyje dar przyrody. Jeśli bezmyślnie zmarnuje, lub przez rabunkową

¹⁾ Pomyślmy np. nad tem, czy właściciel cudzej pracy, pracodawca, głowa rodziny, właściciel niewolników, również niema rozsądnej przyczyny oszczędzania cudzej pracy. Naturalnie nie może tu być mowy o tem, by przyczyna ta wynikała ze szkody, którą ponosi jego czas, jego siła, albo jego osobista ofiara ze swobody, natomiast najwyraźniej daje się tu zastosować opisany w tekście stosunek do zaspokojenia potrzeb jego (albo jego rodziny).

gospodarkę zniszczyć cenne pokłady węgla, czy jakichś mineralów, to marnuje przez to sumę zaspokojenia potrzeb, któreby mógł uzyskać przy rozumnej gospodarce, a które uniemożliwiam przez gospodarkę nieoszczędną i lekkomyślną¹⁾.

R o d b e r t u s zdaje sobie sprawę z możliwości tego zarzutu — który zresztą sam się nasuwa. Można by temu rozumowaniu zarzucić, powiada, iż np. posiadacza lasu, oprócz pracy, zastosowywanej przy wyrębie i t. p., kosztuje też i sam materiał, »ponieważ, zużyty na wytworzenie jednego dobra, nie może już być zużytym inaczej, i w ten sposób stanowi wydatek, dotyczący właściciela«²⁾. Ale zaraz odpiiera ten zarzut sofistycznym rozumowaniem. Zarzut ten polega, mówi, na »fikcji«, »gdyż stosunek pozytywnego prawa robi się podstawą gospodarczą rozumowania, gdy do tego celu służyć mogą jedynie wolne naturalne stosunki. Tylko z punktu widzenia istniejącego pozytywnego porządku prawnego można przyjąć, że dary natury, zanim jeszcze włożą się w nie pewną ilość pracy, mają »właścicieli«, z chwilą zaś zniesienia własności ziemskiej postać rzeczy natychmiast by się zmieniła.

Tymczasem w decydującym punkcie postać rzeczy nie zmienia się wcale. Skoro drzewo na pniu jest naogół stosunkowo rzadkim darem przyrody, to, niezależnie od wszelkiego porządku prawnego, natura rzeczy już wymaga, by wszelkie marnotrawienie tego rzadkiego daru przyrody wpływało na dobrobyt poszczególnych osób: porządek prawny odgrywa rolę tylko w wyborze osób dotkniętych. Jeśli istnieje prywatna własność ziemska, to zainteresowaną, a zarazem dotkniętą osobą jest właściciel; jeśli istnieje własność zbiorowa, jest nią całe koło członków społeczeństwa; jeśli niema żadnego porządku prawnego — faktyczny posiadacz, czy to najsilniejszy z członków danego społeczeństwa, czy taki, co pierwszy lasy objął w posiadanie. Ale w żadnym razie nie da się zaprzeczyć, że strata, czy zużycie rzadkich darów na-

¹⁾ Znajdujące się we wszystkich kopalnianych ustawach zastrzeżenie przeciwko rabunkowej gospodarce, są namacalnym zaprzeczeniem twierdzeń R o d b e r t u s a, ponieważ zobowiązują do gospodarnego traktowania rzadkich darów przyrody — z bardzo rozsądnych przyczyn!

²⁾ Op. cit. str. 9.

tury zawsze dotyka jedną lub szereg osób, odbijając się na stopniu zaspokojenia ich potrzeb — chyba, że wyobrazimy sobie, iż las nie ma wogóle żadnych mieszkańców, albo też, że ci mieszkańcy z jakichś pozagospodarczych, a np. religijnych względów zupełnie się powstrzymują od jakiegokolwiek korzystania z lasu. Wtedy wprawdzie nie będzie gospodarnego obchodzenia się z drzewem, ale nie dlatego, iżby same dary przyrody zasadniczo nie mogły być przedmiotem czyjeś straty, tylko dlatego, że konkretne okoliczności wykluczyły je w tym wypadku z takich osobistych stosunków, do których zresztą najzupełniej się nadają.

W jednej z prac późniejszych poświęca znów Rodbertus swojej tezie krótkie uzasadnienie, zawierające napozór te same myśli, ale po części rozwinięte w innym kierunku. Powiada, że wszelki produkt, który się staje dla nas dobrem dzięki pracy, dla tego winien być z gospodarczego punktu widzenia zapisany jedynie na rachunek pracy ludzkiej, że praca jest jedyną pra-silą i jedynym pra-nakładem, jakimi gospodarka ludzka rozporządza¹⁾. Argumentacji tej przeciwstawić można przedewszystkiem poważną wątpliwość, czy użyte w niej przesłanki są prawidłowe; wątpliwość tę wyraził już Knies bardzo stanowczo i, jak sądzę, zupełnie trafnie to umotywował²⁾. Następnie zaś, gdyby nawet przesłanki były prawidłowe, to wniosek jednak takim nie jest: Gdyby nawet istotnie praca miała być jedyną pra-silą, którą rozporządza gospodarka ludzka, to nie widzę wcale, dlaczego by gospodarka ludzka nie miała rozporządzać czemś więcej, niż »pra-silami«? Dlaczego nie pewnymi skutkami tej pra-siły, albo skutkami innych pra-sił? Dlaczego np. nie wyżej wymienionym złotym meteorem? Dlaczego nie przy-

¹⁾ Erklärung u. Abhilfe II, str. 160. Podobnie Sozialer Frage str. 69.

²⁾ Der Kredit, cz. II, str. 69: »Jedyna podstawa, na której się opiera Rodbertus, twierdzenie, iż »praca jest jedyną pra-silą i jedynym pra-nakładem, jakimi gospodarka ludzka rozporządza«, jest wręcz rzeczowo fałszywe! Cóż za zaślepienie, tem bardziej zadziwiające u właściciela ziemskiego, twierdzić, iż siła rolna, działająca w naszych ograniczonych kawałkach ziemi, nie może być »pozostawiona odlogiem«, »zmarnowana przez zachwaszczenie« i t. d. przez nierządnego człowieka. Tak absurdalny pogląd może wkońcu doprowadzić do wygłoszenia zdania, że utrata x morgów ziemi dla rolnika, a y mil kwadratowych dla państwa »nie stanowi szkody z gospodarczego punktu widzenia«.

padkowo znalezionymi drogimi kamieniami? Albo naturalnymi pokładami węgla? Rodbertus właśnie za ciasno ujmuje istotę i motywy gospodarki. Obchodzimy się gospodarnie z pra-silą: pracą, jak mówi całkiem słusznie Rodbertus, »gdyż ta praca, ograniczona jest w czasie i rozmiarach, raz zastosowana już przez to samo jest wydana, a wreszcie czyni uszczerbek w naszej swobodzie«. Są to jednak tylko motywy pośrednie, ale nie ostateczny motyw naszego gospodarnego zachowania się. Ostatecznie oszczędzamy męczącą i ograniczoną ilościowo pracę, gdyż niegospodarnie obchodzenie się z nią wywołuje uszczerbek w naszym dobrobycie. Ale ten sam motyw popycha nas również do oszczędzania wszelkich użytecznych przedmiotów, posiadanych w ograniczonej ilości i których nie możemy stracić, ani obywać się bez nich bez szkody dla naszego dobrobytu: niezależnie od tego, czy to pra-siła, czy też nie, czy to kosztowało pra-silę pracę, czy też nie.

Przyjęte przez Rodbertusa stanowisko staje się zupełnie niemożliwe przez dodatek, że dobra należy uważać jedynie za produkty materialnej ręcznej pracy. Zdanie to, które między innymi wyklucza z szeregu gospodarczych produkcyjnych czynności bezpośrednie umysłowe kierownictwo produkcyjnej pracy, prowadzi do mnóstwa wewnętrznych sprzeczności i fałszywych konsekwencji, które nie pozostawiają żadnych wątpliwości co do jego nieprawidłowości, a które Knies wskazał tak dobitnie, że wszelkie dalsze omawianie sprawy byłoby tylko zbytecznem powtarzaniem¹⁾.

Tak więc już formułując swe pierwsze podstawowe twierdzenie rozmija się Rodbertus z prawdą. Zresztą,

¹⁾ Patrz Knies, Der Kredit, cz. II, str. 64 i nast. Naprzykład: »Kto chce »wytworzyć« węgla kamiennego, musi nie tylko kopać, ale kopać w określonym miejscu; w tysiącach miejsc może wykonywać tę samą materialną czynność kopania zupełnie bezskutecznie. Skoro zaś trudne i konieczne zadanie prawidłowego określenia miejsca przypaść musi określonej osobie, geologowi; skoro bez dalszej pomocy »siły umysłowej« żaden szyb nie może być porządnie wykonanym i t. d. — jakże »gospodarczą« czynnością może zostać jedynie kopanie? Czyż skoro wybór materiałów, określenie ich stosunku i t. p. należy do innej osoby, niż ta, która »kręci pigułki«, wartość gospodarczą tego środka leczniczego ma być tylko produktem odnośnej ręcznej pracy?

aby być zupełnie w porządku, muszę tu zrobić pewne zastrzeżenie, którego K n i e s, z punktu widzenia swojej teorii usług kapitału zrobić nie mógł. Zastrzegam mianowicie, że obalenie tego zasadniczego twierdzenia nie oznacza wcale obalenia całej teorii zysku R o d b e r t u s a. Twierdzenie to jest błędne, ale nie dlatego, że zapoznaje udział kapitału w wytwarzaniu dóbr, tylko dlatego, że zapomina o udziale przyrody. Sądę, podobnie jak i R o d b e r t u s, że, jeśli będziemy rozpatrywać szereg stadjów produkcji, jako całość, to kapitał nie zajmuje samodzielnego miejsca wśród kosztów produkcji; nie jest on wprawdzie wyłącznie »uprzednio wykonaną pracą«, jak chce R o d b e r t u s, ale w części, i zazwyczaj w większej części, tą »uprzednio wykonaną pracą«, a oprócz niej nagromadzonemi wartościowemi siłami przyrody. W tych wypadkach, gdzie takie siły nie występują — w produkcji, która we wszystkich stadjach posługuje się tylko wolnemi darami przyrody i pracą, albo takimi produktami, które same pochodzą wyłącznie z pracy i wolnych darów przyrody — możemy istotnie powiedzieć z R o d b e r t u s e m, że dobra, z gospodarczego punktu widzenia, są jedynie produktami pracy. Ponieważ więc główny błąd R o d b e r t u s a dotyczy tylko roli przyrody, a nie roli kapitału, to dalsze twierdzenia o naturze dochodu z kapitału, wyprowadzone z tego pierwszego, chociaż błędnego twierdzenia, same mogą wcale nie być błędne. Dopiero jeśli w dalszym ciągu znajdują się nowe błędy, będziemy je musieli wskazać i odrzucić. Takie błędy spotkamy jeszcze niejednokrotnie. Aby nie wyciągnąć przesadnej korzyści z tego pierwszego przeoczenia R o d b e r t u s a, będę w dalszem badaniu tak stawiać wszystkie hipotezy, by skutki tego błędu zostały zupełnie usunięte. Przypuścimy, że wszystkie dobra powstały tylko dzięki współdziałaniu pracy i wolnych sił przyrody, oraz przy pomocy wyłącznie takich dóbr-kapitałów, które same powstały dzięki współdziałaniu pracy i wolnych sił przyrody bez pomocy wartościowych jej darów. Przy takim ograniczającym zastrzeżeniu i ja mogę się zgodzić na podstawowe twierdzenie R o d b e r t u s a, iż dobra, z gospodarczego punktu widzenia, są jedynie produktami pracy. — Zobaczmy, co będzie dalej.

Następna teza R o d b e r t u s a głosi, że, zgodnie z naturą i z »czystem pojęciem prawa« cały produkt przez ro-

botnika wyłącznie wytworzony, bądź cała jego wartość bez wyjątku do niego powinna należeć. — Zgadza się też najzupełniej z tą tezą, której prawidłowości i słuszności, z powyższej zrobionem ograniczającym zastrzeżeniem, nie się mojem zdaniem nie da zarzucić. Ale sądę, że R o d b e r t u s, a z nim wszyscy socjaliści wyrobili sobie zupełnie fałszywe pojęcie o wprowadzeniu w życie tego zupełnie słusznego zdania, i przez nie w błąd wprowadzeni, pragną przywrócenia stanu, któryby temu zdaniu wcale nie odpowiadał, a przeciwnie, znajdował się z niem w sprzeczności. Ponieważ, rzecz dziwna, w licznych próbach zwalczania teorii wyzysku ten wybitny punkt w najlepszym razie był tylko powierzchownie wspominany, a nikt go dotąd nie przedstawił w należnem mu świetle, sądę, iż mogę sobie pozwolić na nieco dłuższe rozwinięcie tej sprawy, i proszę czytelników o trochę uwagi, której trudny przedmiot rzeczywiście wymaga.

Zacznę od wymienienia błędu, który wytykam, a następnie go oświetlę. Zupełnie słusne zdanie, że robotnik powinien otrzymać całą wartość swego produktu, może rozsądnie oznaczać albo, że robotnik powinien zaraz otrzymać całą obecną wartość swego produktu, albo, że ma całą przyszłą wartość swego produktu otrzymać w przyszłości. R o d b e r t u s natomiast i socjaliści wykładają je tak, że robotnik powinien całą przyszłą wartość swego produktu otrzymać zaraz i dają przytem do zrozumienia, że to jest zupełnie oczywisty i jedynie możliwy wykład tego zdania.

Wyjaśnijmy sobie rzecz na konkretnym przykładzie. Wyobraźmy sobie, że wytworzenie pewnego dobra, np. maszyny parowej, kosztowało 5 lat pracy, a wartość zamienna, którą osiągnęła gotowa maszyna, równa się 5.500 fl.

Wyobraźmy sobie dalej — abstrahując dla ułatwienia od faktu podziału pracy pomiędzy licznych robotników, że jeden robotnik wytworzył tę maszynę przez pięć lat ciągłej pracy i zapytajmy, jakie wynagrodzenie mu się należy w myśl zdania, iż robotnik powinien otrzymać cały produkt swej pracy, bądź całą jego wartość? — Odpowiedź ani na chwilę nie pozostawia wątpliwości: należy mu się cała maszyna parowa, bądź całe 5.500 fl. Ale kiedy? — I co do tego niema żadnej wątpliwości: oczywiście po upływie — pięciu lat. Oczywiście bowiem nie może on posiadać maszyny pa-

rowej, dopóki ona nie istnieje, ani stworzonej przez siebie wartości 5.500 fl., zanim nie została stworzoną. W tym więc wypadku wynagrodzenie swe otrzyma według formułki: cały przyszły produkt, czyli całą jego przyszłą wartość w przyszłym momencie czasu.

Ale bardzo często się zdarza, że robotnik nie chce, lub nie może czekać, zanim produkt jego zostanie całkowicie skończony. Nasz robotnik np. pragnie otrzymać odpowiednią część wynagrodzenia już po upływie jednego roku. Powstaje pytanie: jak ma być obliczoną ta część w zgodzie z powyższą zasadą? — Sądzę, że i tutaj żadne wątpliwości powstać nie mogą: sprawiedliwość wobec robotnika zostanie zachowana, jeśli zaraz otrzyma wszystko, nad czem dotychczas pracował. Jeśli np. do tego czasu wytworzył pewną ilość surowej rudy, żelaza, albo stali, to sprawiedliwość wobec niego zostanie zachowana; jeśli dostanie całą tę ilość rudy, żelaza, albo stali, bądź całą wartość tych surowców, i to, naturalnie, ich wartość obecną. — Nie sądzą, by jaki socjalista mógł coś zarzucić temu rozstrzygnięciu.

Jaką będzie ta wartość w stosunku do wartości gotowej maszyny parowej? — Oto jest punkt, w którym powierzchowny myśliciel łatwo może się omylić. Robotnik wykonał piątą część technicznej pracy, której wymaga wytworzenie całej maszyny: a więc — skłonni jesteśmy rozumować przy powierzchownem badaniu — dotychczasowy jego produkt posiadać będzie również piątą część wartości całego produktu, czyli wartość 1.100 fl. Robotnik więc powinien otrzymać płacę roczną wysokości 1.100 fl.

Jest to fałszywe. 1.100 fl. stanowi piątą część wartości gotowej, istniejącej parowej maszyny. Ale to, co robotnik dotychczas wyprodukował, nie stanowi wcale piątej części gotowej maszyny, tylko piątą część maszyny, która za cztery lata będzie gotową. A to są dwie różne rzeczy, nietylko z punktu widzenia sofistycznej zabawy w słowa, ale i z samej istoty sprawy. Ta piątą część inną posiada wartość, niż tamta, podobnie jak cała istniejąca maszyna ma przy dzisiejszem oszacowaniu inną wartość, niż maszyna, którą dopiero za cztery lata będziemy rozporządzać, podobnie, jak wogóle istniejące dzisiaj dobra inną mają wartość, niż przyszła.

Fakt, iż istniejące dobra, szacowane w chwili obecnej, w której odbywa się gospodarzenie, mają większą wartość, niż

przyszłe dobra tego samego rodzaju i jakości, jest jednym z najbardziej rozpowszechnionych i najważniejszych faktów gospodarczych. W drugiej części pracy niniejszej będę szczegółowo badał przyczyny, którym fakt ten zawdzięcza swoje istnienie, rozliczne sposoby, na które się przejawia, i równie liczne konsekwencje, do których w życiu gospodarczem prowadzi; badania te nie będą ani tak łatwe, ani tak proste, jakby to pozwalała przypuszczać prostota zasadniczej idei. Ale zanim przeprowadzę te szczegółowe badania, muszę się jednak powołać na fakt, iż istniejące dobra posiadają większą wartość, niż takie same przyszłe; najpierwotniejsza empiryka życia codziennego nie pozostawia co od jego istnienia żadnej wątpliwości. Jeśli damy do wyboru 1.000 osobom czy wolą otrzymać prezent 1.000 fl. natychmiast, czy też za 50 lat, wszystkie dadzą pierwszeństwo natychmiastowemu 1.000 fl.; albo jeśli spytamy inne 1.000 osób, które potrzebują konia i za odpowiednie zwierzę gotowe są dać 200 fl., ile dadzą zaraz za takiego samego zupełnie dobrego konia, którego otrzymają dopiero za 10 lub 50 lat, wszyscy ofiarują sumę nieskończenie niższą, jeśli wogóle jakąś sumę ofiarują, i dowiodą przez to, że wszyscy gospodarujący ludzie uważają obecne dobra za bardziej wartościowe, niż zupełnie identyczne dobra przyszłe.

Tak więc wytworzona przez naszego robotnika w ciągu roku piątą część maszyny parowej, która ma być skończoną za cztery lata, nie posiada całkowitej wartości piątej części gotowej już maszyny. O ile jej własna wartość będzie mniejszą? — Tego narazie nie mogę powiedzieć, nie wchodząc w zbytne szczegóły. Wystarczy tu stwierdzenie, że znajduje się to w pewnym, znanym nam z doświadczenia, związku z przyjętą w kraju stopą zysku¹⁾ i z odległością momentu, w którym maszyna ma być skończona. Jeśli przyjmujemy, że przyjęty zysk wynosi 5%, to produkt pierwszego roku pracy przy końcu jego wyniesie mniej więcej 1.000 fl.²⁾ Wobec tego płaca robocza, która się należy robotnikowi

¹⁾ Nie mam oczywiście zamiaru wprowadzać tu stopy zysku, jako przyczynę niższego szacunku dóbr przyszłych. Wiem doskonale, że zysk i stopa zysku mogą być jedynie skutkiem tego pierwotnego zjawiska. Wogóle zresztą nie chcę tu nic wyjaśniać — wskazuję tylko fakty.

²⁾ Bardzo szybko uwydatni się trafność tego na pierwszy rzut oka dziwnego zestawienia cyfr.

w myśl zasady, że powinien otrzymywać cały swój produkt, czyli całą jego wartość, wyniesie za pierwszy rok pracy sumę 1.000 fl.

Gdyby, pomimo powyższych wywodów, ktoś miał jeszcze wrażenie, że to za mało, to niech jeszcze rozważy następujące uwagi. Nikt nie zaprzeczy, że robotnikowi nie dzieje się krzywda, jeśli otrzymuje po pięciu latach całą maszynę, czyli całą jej wartość, wynoszącą 5.500 fl. Obliczmy, by móc porównać, wartość z góry wypłacanej części wynagrodzenia za końcowy moment piątego roku. Ponieważ 1.000 fl., otrzymane w końcu pierwszego roku, można do tej chwili jeszcze przez cztery lata odkładać tak, by się procentowały, i dzięki temu przy stopie zysku 5% zwiększyły o dalsze 200 fl. (bez złożonych procentów), zastosowanie, dostępne też i wynagradzanemu robotnikowi — to 1.000 fl., wypłacone w końcu pierwszego roku odpowiadają 1.200 fl. w końcu piątego. Skoro więc za piątą część technicznej pracy robotnik otrzymuje po upływie roku 1.000 fl., to wynagradzany jest według równie korzystnej miary, jak gdyby po upływie 5 lat za całość otrzymał 5.500 fl.

Ale jakże sobie *Rodbertus* i socjaliści wyobrażają wypełnienie postulatu, że robotnik winien otrzymać całkowitą wartość swego produktu? — Chcą oni, by cała wartość, którą będzie posiadał gotowy produkt po ukończeniu pracy, zużyta była na płace robocze, z tem, że nie będą one wypłacane po ukończeniu całej produkcji, ale ratami w ciągu trwania pracy. Rozważmy, co to oznacza. Dla naszego przykładu oznacza to, że całe 5.500 fl., które gotowa maszyna będzie warta po pięciu latach, robotnicy powinni otrzymać w częściowych wypłatach przeciętnie po $2\frac{1}{2}$ latach pracy. Muszę stwierdzić, że uważam za zupełnie niemożliwe wprowadzić to wymaganie z dotychczasowych przesłanek. Jak możemy zgodnie z prawami natury i z czystym pojęciem prawa uzasadnić fakt, że ktoś po upływie $2\frac{1}{2}$ lat otrzymuje całość, którą wytworzy dopiero po upływie lat pięciu? Jest to tak mało »naturalne«, że oczywiście nie daje się uzasadnić. Nie dałoby się to wykonać nawet wtedy, jeśli zwolnimy robotnika ze wszystkich więzów tak oczerńionej umowy najmu i przeniesiemy go na korzystniejsze stanowisko przedsiębiorcy na własną rękę. Jako robotnik-przedsiębiorca otrzyma wprawdzie całe 5.500 fl., ale nie wcześniej, niż zostaną wytworzone,

t. j. po upływie pięciu lat. W jaki tedy sposób to, czego natura rzeczy odmawia samemu przedsiębiorcy, ma być, w imię czystej idei prawa, urzeczywistnione przez umowę najmu?

Jeśli określić żądania socjalistów właściwymi słowami, chcą oni, by robotnicy na mocy kontraktu otrzymywali więcej, niż wypracowali, więcej, niżby mogli uzyskać, będąc przedsiębiorcami na własny rachunek, więcej, niż sami wytwarzają dla przedsiębiorcy, z którym zawarli umowę. To, co wytworzyli i czego mają prawo wymagać, to 5.500 fl. po pięciu latach. Ale 5.500 fl. po $2\frac{1}{2}$ latach, których się dla nich wymaga, jest to więcej, jeśli zysk wynosi 5%, mniej więcej tyle, co 6.200 fl. po pięciu latach. I ten stosunek wartości nie jest tylko skutkiem urządzeń społecznych, podlegających krytyce, które zysk wytworzyły i utrzymały na wysokości 5%; jest to bezpośredni skutek tego, że życie nas wszystkich rozegrwa się w czasie, że dzień dzisiejszy ze swemi troskami i potrzebami idzie przed jutrem, a pojutrze może wcale już dla nas istnieć nie będzie.

Nietylko dla chciwego kapitalisty, ale i dla każdego robotnika, dla każdego wogóle człowieka istnieje ta różnica wartości pomiędzy teraźniejszością, a przyszłością. Jakby się skarżył na krzywdę robotnik, gdyby wzamian za 10 fl. jego tygodniowej płacy, należących mu się dzisiaj, ofiarowano mu 10 fl., płatnych za rok! Czemuż tedy ma być obojętne dla przedsiębiorcy to, co nie jest obojętne dla robotnika? Dlaczego ma po $2\frac{1}{2}$ latach dać 5.500 fl. wzamian za 5.500 fl., które otrzyma dopiero po pięciu latach w postaci gotowego produktu? Nie jest to ani słuszne, ani naturalne! Zupełnie słuszne jest, raz jeszcze to przyznać, by robotnik otrzymywał całe 5.500 fl. po upływie lat pięciu. Jeśli nie chce, czy nie może pięciu lat czekać, to również powinien otrzymać całą wartość swego produktu, ale oczywiście o b e c n ą wartość o b e c n e g o produktu. Wartość ta musi być mniejszą, niż odpowiadająca technicznej pracy wysokość przyszłej wartości produktu, ponieważ światem gospodarczym rządzi prawo, że obecna wartość dóbr przyszłych jest mniejszą, niż wartość dóbr istniejących. Prawo to zaś nie zawdzięcza swego istnienia jakimś społecznym, czy państwowym instytucjom, tylko bezpośrednio naturze ludzkiej i naturze rzeczy.

Jeśli kiedy, to w tym wypadku należy mi wybaczyć

wielomówność, skoro chodzi o zabicie doktryny, tak poważne skutki za sobą pociągającej, jak teoria socjalistyczna wyzysku. To też, pomimo obawy znudzenia niejednego czytelnika, przytoczę jeszcze jeden konkretny przykład, który, mam nadzieję, dostarczy sposobności do zupełnie przekonywającego wykazania błędu socjalistów.

W pierwszym przykładzie abstrahowałem jeszcze od faktu podziału pracy. Teraz zmienię przyjęte przez siebie dane tak, że zbliżą się do rzeczywistości życia gospodarczego. Przypuśćmy tedy, że w wytwarzaniu maszyny bierze udział pięciu rozmaitych robotników, dzielących pomiędzy siebie pracę, z których każdy wykonywa pracę jednego roku. Jeden robotnik wydobywa z kopalni niezbędną rudę żelazną, drugi wytopia z niej żelazo, trzeci wyrabia z żelaza stal, czwarty wykonywa ze stali potrzebne części składowe, piąty wreszcie składa z nich całość i wogóle wykańcza maszynę. Ponieważ każdy robotnik już z natury rzeczy wtedy tylko może zacząć pracę, gdy poprzednicy jego swoją zakończyli, pięć lat pracy naszych robotników będą się musiały odbywać nie jednocześnie, ale z kolei; wykończenie maszyny będzie tedy trwało pięć lat, jak w pierwszym przykładzie. Wartość gotowej maszyny pozostaje, jak dotychczas 5.500 fl. Czego tedy ma żądać za swoją pracę każdy z pięciu jej uczestników, w myśl twierdzenia, że robotnik powinien otrzymać całą wartość swego produktu?

Spróbujmy rozwiązać najpierw to pytanie, przyjmując, że kwestję płac załatwiają pomiędzy sobą sami robotnicy, bez mieszania się obcego przedsiębiorcy, bądź, że wytworzony produkt dzieli się prosto pomiędzy pięciu robotników. W tym wypadku dwie rzeczy przedewszystkiem nie ulegają wątpliwości. Po pierwsze, że podział nastąpić może dopiero po upływie pięciu lat, bo przedtem niema prosto co dzielić; gdyby się bowiem oddało dwom robotnikom, jako ich płacę, zdobyte w ciągu dwu lat rudę i żelazo, to zabrakłoby surowca do dalszej produkcji; jasne jest, że zdobyte w ciągu pierwszych lat niewykończone produkty muszą być wykluczone z tego wcześniejszego podziału i uwięzione w produkcji aż do jej końca. — Po drugie nie ulega wątpliwości, że do podziału pomiędzy pięciu robotników ma być oddana ogólna wartość 5.500 fl.

Według jakiego klucza ma być dokonany podział?

Oczywiście nie na równe części, jakby się to mogło wydawać na pierwszy powierzchowny rzut oka. W takim bowiem razie powstałoby znaczne uprzywilejowanie tych robotników, których praca przypada na późniejsze stadjum całkowitej produkcji, w stosunku do poprzednio zatrudnionych kolegów. Robotnik, wykańczający maszynę, otrzymałby za swoją pracę 1.100 fl. bezpośrednio po jej zakończeniu; ten, który wytwarzał części składowe maszyny otrzymałby tę samą sumę, ale musiałby na nią czekać jeszcze rok po ukończeniu swojej pracy; ten zaś, który wydobywał z ziemi rudę żelazną, otrzymałby tę samą płacę dopiero w cztery lata po skończeniu pracy. Ponieważ takie opóźnienie nie mogłoby być obojętne stającym do podziału, każdy chciałby wykonywać końcową pracę, nie pociągającą za sobą żadnej zwłoki w wypłacie wynagrodzenia, a niktby się nie zgadzał podjąć prac przygotowawczych. Aby znaleźć takich, co by to robili, pracujący w ostatnich stadjach musieliby przyznać przygotowującym ich dzieło kolegom większy udział w ostatecznej wartości produktu wzamian za to opóźnienie. Wysokość tego udziału zależałaby w części od długości zwłoki, w części od wielkości różnicy, która zachodzi pomiędzy szacunkiem wartości dóbr teraźniejszych i przyszłych, zależnie od gospodarczych i kulturalnych stosunków, panujących w naszym małym społeczeństwie. Jeśli ta różnica wynosi 5%, to udziały pięciu robotników tak się będą stopniowały:

Robotnik najpierw zatrudniony, który musi czekać na wynagrodzenie jeszcze cztery lata po skończeniu swego roku pracy, w końcu piątego roku otrzymuje	1.200 fl.
drugi, który musi czekać trzy lata	1.150 fl.
trzeci, który musi czekać dwa lata	1.100 fl.
czwarty, który musi czekać rok	1.050 fl.
ostatni, który swoją płacę otrzymuje bezpośrednio po skończeniu pracy	1.000 fl.
Razem	5.500 fl.

Tylko w takim wypadku mogliby wszyscy robotnicy otrzymać jednakową sumę 1.100 fl., gdyby różnica czasu była im całkowicie obojętną, i gdyby uważali się za równie dobrze wynagrodzonych, otrzymując 1.100 fl. po trzy- lub czteroletnim wyczekiwaniu, jak gdyby je otrzymali natychmiast po skończeniu pracy. Nie potrzebuje jednak zwracać uwagi,

że to przypuszczenie nie odpowiada i nie może odpowiadać prawdzie. To zaś, aby każdy z robotników otrzymywał po 1.100 fl. bezpośrednio po wykonaniu swej pracy jest wogóle niemożliwe, o ile nie występuje tu jeszcze jakaś trzecia osoba.

Zanim pójdziemy dalej, warto zwrócić szczególną uwagę na pewną okoliczność. Nie sądzę, by ktoś mógł uznać powyższy schemat podziału za niesłuszny i by mogła być mowa o jakiejś niesprawiedliwości, którejby się miał dopuścić kapitalista-przedsiębiorca, skoro robotnicy własny swój produkt dzielą tylko pomiędzy sobą: a jednak ten robotnik, który wykonywa przedostatnią piątą część pracy, otrzymuje nie pełną piątą część ostatecznej wartości produktu, ale tylko 1.050 fl., a ostatni robotnik otrzymuje wreszcie tylko 1.000 fl.

Przypuśćmy tedy, że, jak to zwykle dzieje się w rzeczywistości, robotnicy nie chcą, lub nie mogą czekać na swe wynagrodzenie aż do całkowitego zakończenia wytwarzania maszyny, i że wchodzi z jakimś przedsiębiorcą w umowę, mocą której otrzymują od niego płacę zaraz po wykonaniu pracy, on zaś zostaje natomiast właścicielem ostatecznego produktu. Przypuśćmy dalej, że przedsiębiorca ten jest najzupełniej uczciwym i bezinteresownym człowiekiem, który wcale nie ma zamiaru wyzyskiwać trudnej sytuacji robotników dla lichwiarskiego obniżenia ich płac i spytajmy, na jakich warunkach może być w takich okolicznościach zawartą umowa?

Na to pytanie dosyć łatwo będzie znaleźć odpowiedź. Oczywiście robotnicy nie będą wcale pokrzywdzeni, jeśli przedsiębiorca ofiaruje im, jako płacę roboczą to, co by otrzymali jako swój udział przy podziale, pracując na własny rachunek. Zdanie to daje nam mocny punkt oparcia przede wszystkim dla określenia płacy jednego robotnika, a mianowicie ostatniego. Otrzymałby on, pracując na własny rachunek 1.000 fl. bezpośrednio po wykonaniu swojej pracy, taką więc sumę musi mu ofiarować przedsiębiorca, jeśli chce być sprawiedliwy. Dla określenia płacy innych robotników nie daje zdanie powyższe żadnego bezpośredniego punktu oparcia. Ponieważ bowiem chwila otrzymania wynagrodzenia jest teraz inną, niż w poprzednim wypadku, sumy płacy nie mogą też być bezpośrednio miarodajne. Mamy natomiast inny mocny punkt oparcia. Ponieważ wszyscy ro-

botnicy zupełnie tak samo przyczynili się do wykonania maszyny, należy im się słusznie to samo wynagrodzenie; skoro zaś każdy robotnik opłacany jest bezpośrednio po wykonaniu swej pracy, wynagrodzenia te muszą się wyrażać w takich samych sumach. Każdy z pięciu robotników będzie tedy słusznie otrzymywał w końcu roku pracy 1.000 fl.

Każdego komu by się ta cyfra wydała zbyt niską, odsyłam do następującego prostego rachunkowego przykładu, który wykaże, że robotnicy otrzymują dokładnie tę samą wartość, którąby otrzymali przy — niewątpliwie słusznym — podziale pomiędzy siebie całego produktu. Robotnik Nr. 5 otrzymuje w razie podziału 1.000 fl. bezpośrednio po zakończeniu roku pracy, w razie zawarcia kontraktu z przedsiębiorcą otrzymuje tę samą sumę w tym samym czasie. Robotnik Nr. 4 w razie podziału otrzymuje 1.050 fl. w rok po zakończeniu pracy, w razie zawarcia kontraktu z przedsiębiorcą — 1.000 fl. bezpośrednio po jej zakończeniu; jeśli by zostawił tę sumę na rok, by się procentowała, to byłby dokładnie w tej samej sytuacji, co w razie podziału: miałby 1.050 fl. w rok po skończeniu pracy. Robotnik Nr. 3 w razie podziału otrzymuje 1.100 fl. w dwa lata po skończeniu pracy, w razie umowy z przedsiębiorcą 1.000 fl. natychmiast, co, przy dwuletnim procentowaniu wzrosłoby do tej samej sumy 1.100 fl. Podobnie wreszcie 1.000 fl. otrzymywane przez pierwszego i drugiego robotnika, po doliczeniu procentów, odpowiadają najzupełniej sumom 1.200 fl. i 1.150 fl., któreby w razie podziału otrzymali we trzy, bądź we cztery lata po skończeniu pracy. Jeśli jednak poszczególne wynagrodzenia odpowiadają odnośnym udziałom robotników, to oczywiście suma poszczególnych wynagrodzeń musi odpowiadać sumie wszystkich udziałów: suma 5.000 fl., którą przedsiębiorca wypłaca robotnikom bezpośrednio po zakończeniu ich pracy najzupełniej odpowiada sumie 5.500 fl., którą w innym wypadku podzieliłoby pomiędzy sobą robotnicy po upływie pięciu lat¹⁾.

¹⁾ Stolzmann (Soziale Kategorie, str. 305 i nast.) przeciwstawił mojemu przykładowi rozważania, mojem zdaniem, drugorzędne, i pozatem zawierające nieporozumienia. Wychodząc z błędnego mniemania, że chciałem, czy musiałem przedstawić w mojej grupie robotników rodzaj pierwowzoru, rodzaj małego państewka z całkowitą, zamkniętą w sobie gospodarką, zarzuca mi, że i ostatni robotnik »nie może jednak na razie nic zrobić

Wyższe wynagrodzenie, np. wynagrodzenie rocznej pracy 1.100 fl., byłoby możliwe tylko wtedy, gdyby to, co nie jest obojętne robotnikowi, t. j. różnica czasu, — było całkowicie obojętne przedsiębiorcy, albo też, gdyby przedsiębiorca chciał robotnikom podarować różnicę wartości pomię-

z gotową maszyną i nie zapewnił sobie przez nią utrzymania ani na jeden dzień swego życia» (307), a także, że przyjęte przezemnie wynagrodzenie pierwszego robotnika 1200 fl. w końcu piątego roku jest niewystarczającym odszkodowaniem za jego pięcioletnie czekanie; musiałby on raczej, »jeśli nie chce przez cały ten długi czas głodować«, »zmuszony do siedzenia z założonemi bezużytecznie i próżniaczo rękami«, otrzymać całkowitą płacę pięcioletnią w sumie 5.000 fl. (308).

W odpowiedzi na to wystarczy mi ustalić, że wcale nie było moim zamiarem dawanie przykładu zamkniętego pierwowzoru, że chciałem przedstawić i przedstawiłem stowarzyszenie pięciu osób, istniejące wewnątrz współczesnego życia gospodarczego, jedynie w celu zajęcia się jedną jedyną gałęzią produkcji, mianowicie budową maszyny. Odsyłam czytelnika do jasnego dosłownego brzmienia rozwiniętych na str. 33 założeń mego przykładu, gdzie pomiędzy innemi mowa jest o »wartości zamiennnej« maszyny gotowej, a abstrahuje się jedynie od podziału pracy — i to tylko chwilowo i tylko odnośnie do wytwarzania maszyny. Niema tam wcale mowy o tem, że robotnicy, biorący udział w tej produkcyjnej operacji muszą próżnować w czasie, kiedy nie są dla niej niezbędni. A gdy mi Stolzmann dalej na str. 313 zarzuca »srogi error dupli«, gdy przypuszczam, że któryś z robotników może odłożyć swą wcześniej otrzymaną płacę do końca piątego roku, by się procentowała, a przez to »zaliczam robotników obok przedsiębiorcy do kapitalistów«, to zwracam uwagę, że żadne słowo mego przykładu nie wyklucza dla tego czy innego z robotników możliwości posiadania własnych środków, któreby mu pozwoliły czekać. Przeciwnie, zarówno na str. 34, jak na str. 40 (392 i 399 pierwszego (niemieckiego) wydania) wyraźnie przyjąłem dwie rzeczy, że robotnicy czekać »nie mogą, albo nie chcą«, co Stolzmann na str. 307 i 309 wskutek oczywistego przeoczenia cytuje błędnie »nie mogą oraz nie chcą«.

Ze wreszcie przykładem swoim wogóle nie miałem zamiaru wytłumaczyć samego zjawiska zysku, tylko chciałem faktycznie zilustrować pewien określony bieg myśli, wyraźnie podkreśliłem już wyżej w odsyłaczu 1-ym do str. 35 (istniejącym już i w 1-ym wydaniu). — Ciekawe i głębiej w istotę sprawy sięgające zarzuty podnosi dr. Robert Meyer w doskonałej swej pracy p. t. »Wesen des Einkommens« (Berlin 1887, str. 270 i nast.). Ponieważ wyjaśnienie jego wątpliwości, również opartych na nieporozumieniu, niemożliwe jest bez podniesienia licznych szczegółów mojej pozytywnej teorii kapitału, rozważanie tych zarzutów odłożę muszę do II tomu pracy niniejszej; patrz Exkurs do jego trzeciego wydania.

dzy obecnemi i przyszłemi 1.100 fl. Nie można oczekiwać ani jednego ani drugiego od prywatnych przedsiębiorców, przynajmniej, jako zasady, i nie można im z tego robić najmniejszego zarzutu, szczególnie zarzutu niesprawiedliwości, wyzysku lub rabowania robotników. Jedną jest tylko osoba, od której robotnicy mogą się spodziewać takiego postępowania — państwo. Państwo bowiem, z jednej strony, jako istota wiecznie trwająca, może nie zwracać takiej uwagi na różnicę w czasie pomiędzy poświęcaniem a odtwarzaniem dóbr, jak jednostka, o krótkim trwaniu życia; z drugiej zaś strony, państwo, którego ostatecznym celem jest dobrobyt wszystkich jego członków, może, skoro chodzi o dobrobyt większej ich części, zejść ze ścisłego punktu widzenia usługi i jej równoważnika, i darowywać, a nie handlować. Tak byłoby więc naogół możliwe do pomyślenia, że państwo, ale jedynie państwo, występując, jako olbrzymi przedsiębiorca, mogłoby ofiarowywać robotnikom całą przyszłą wartość ich przyszłego produktu zaraz, t. j. bezpośrednio po wykonaniu pracy, jako płacę roboczą. Czy państwo powinno to robić — a taką decyzją rozwiązałyby praktycznie kwestję socjalną w sensie socjalistycznym — jest to zagadnienie celowości, którego rozstrzygać tutaj nie mam zamiaru. Ale jedno muszę raz jeszcze z całym naciskiem powtórzyć; gdyby państwo socjalistyczne wypłacało robotnikom natychmiast całą przyszłą wartość ich produktu, jako płacę roboczą, to byłoby to nie wypełnienie zasady, iż robotnik powinien, jako płacę roboczą otrzymywać wartość swego produktu, ale byłoby wywołane przez względy społeczno-polityczne, byłoby odchylenie od niej; tak, że nie byłoby to wprowadzenie stanu naturalnego lub odpowiadającego czystej idei prawa, a powstrzymanie jedynie czasowo przez chciwość i wyzysk kapitalistów, tylko sztuczne usiłowanie umożliwienia czegoś, co w naturalnym biegu rzeczy nie daje się przeprowadzić, i to umożliwienia przez stałe ukryte obdarowywanie biednych członków społeczeństwa przez wspianiolomyślnie państwo.

A teraz krótkie zastosowanie tej teorii. Łatwo zauważyć, że ten system płac roboczych, który nakreśliłem ostatnio w swoim przykładzie, istnieje właśnie faktycznie w naszym świecie gospodarczym. Stałe, jako płacę wydziela się nie całą wartość produktu pracy, ale mniejszą sumę, za to we

wcześniejszym momencie. Dopóki podzielona na raty, całkowita suma płacy roboczej o tyle tylko jest mniejszą od ostatecznej wartości skończonego produktu, ile trzeba, by wyrównać panującą różnicę szacunku wartości dóbr istniejących i przyszłych, innemi słowy, dopóki suma płacy niższą jest od ostatecznej wartości produktu tylko o przyjęty w kraju procent, żądaniu robotników całej wartości produktu będzie się działo zadość; otrzymują oni bowiem w tym wypadku cały swój produkt wedle szacunku chwili, w której placę otrzymują. Natomiast jeśli całkowita płaca mniejsza jest od ostatecznej wartości produktu więcej, niż o przyjętą w kraju stopę procentową, wówczas, w pewnych okolicznościach, może powstać wyzysk robotników¹⁾).

Wróćmy znowu do Rodbertusa. Drugim i najbardziej decydującym błędem, który mu w ostatnich wywodach wytknąłem, jest, że niewątpliwie zresztą twierdzenie, iż robotnik powinien otrzymać całą wartość swego produktu, nieślusnie i nielogicznie interpretuje w ten sposób, że robotnik powinien już natychmiast otrzymać całą wartość, którą skończony produkt jego kiedyś mieć będzie.

Jeśli będziemy się starali zbadać, w jaki sposób Rodbertus w ten wpadł błąd, to się pokaże, że źródłem błędu

¹⁾ Szczegółowsze wywody zachowuję na tom drugi. Zrobię tu tylko jedną krótką uwagę, by z góry obronić się przed nieporozumieniami, a szczególnie przed wymaganiem, bym każdy dochód przedsiębiorcy, przekraczający przyjętą stopę zysku, uznał za »dochód z wyzysku«. Całość różnicy pomiędzy wartością produktu, a wypłaconemi wynagrodzeniami, przypadającej przedsiębiorcy może zawierać cztery zupełnie różne części składowe. 1. Premja za ryzyko, za niebezpieczeństwo nieudania się produkcji. Używa się go, prawidłowo obliczając, w przeciętnym roku na pokrycie faktycznych strat i nie stanowi to oczywiście żadnej krzywdy dla robotnika. 2. Wynagrodzenie za własną pracę przedsiębiorcy, oczywiście również niepodlegające krytyce, a które w pewnych okolicznościach, np. przy zastosowaniu nowego wynalazku przedsiębiorcy, musi być obliczane wysoko, nie popelniając przez to żadnej niesprawiedliwości w stosunku do robotników. 3. Omawiane w tekście odszkodowanie za różnicę czasu pomiędzy wypłatą plac i otrzymaniem ostatecznego produktu, odpowiadające przyjętemu procentowi; i wreszcie 4. przedsiębiorca może w ten jeszcze sposób zwiększyć swój dochód, że wyzyskując ciężkie położenie robotników w lichwiarski sposób obniży ich wynagrodzenie. Wśród tych czterech części składowych ostatnia tylko przeczy zdaniu, iż robotnik powinien otrzymać całą wartość swego produktu.

jest inny jeszcze, trzeci ważny błąd, który jego teorii wyzysku muszę wytknąć. Autor wychodzi mianowicie z założenia, że wartość dóbr układa się wyłącznie według sumy pracy, którą kosztowało ich wytworzenie. Gdyby to było słuszne to i półfabrykat, zawierający pracę jednego roku, musiałby odrazu stanowić całą piątą część wartości, którą mieć będzie skończony produkt, zawierający pięć lat pracy; a więc uprawnione byłoby i żądanie robotnika otrzymania natychmiast płacy, równej piątej części tej wartości.

Ale założenie to, takie, jak je ustala Rodbertus, jest niewątpliwie fałszywe. Aby tego dowieść, nie potrzebuję wcale wskazywać na zasadnicze wątpliwości w stosunku do znanego prawa wartości Ricarda, że praca jest źródłem i miernikiem wszelkiej wartości; wystarczy mi zwrócić uwagę na istnienie jaskrawego wyjątku od tego prawa, który sam Ricardo sumiennie odmalował i w osobnym rozdziale szczegółowo omówił. Rodbertus natomiast dziwnym trafem zupełnie go pomija. Faktem jest, że z dwu dóbr, których wytworzenie kosztowało równą ilość pracy, to uzyskuje wyższą wartość zamienną, które wymagało więcej pracy przygotowania, lub dłuższego czasu. Ricardo notuje ten fakt w nader szczególny sposób. Wywodzi (część IV pierwszego rozdziału jego Principles), że »zasada, iż ilość zużytej przy produkcji dóbr pracy określa ich względną wartość, podlega znacznej modyfikacji dzięki zastosowaniu maszyn i innych stałych i trwałych kapitałów«; dalej też (część V) »dzięki niejednakowej trwałości kapitałów i nierównej szybkości, z jaką powracają znów do swych pánów«. Dobra mianowicie, w produkcji których stosujemy stałe kapitały, albo stałe kapitały o większej trwałości, albo dobra, w których produkcji okres, upływający do chwili każdorazowego powrotu kapitału obrotowego do przedsiębiorcy, jest znacznie dłuższy, posiadają wyższą wartość zamienną, niż dobra, które kosztowały tyleż pracy, ale nie odpowiadają, lub niecałkowicie odpowiadają wymienionym warunkom. Różnica ta równa się sumie dochodu z kapitału, który zalicza przedsiębiorca na swoją korzyść.

Najgorliwsi obrońcy prawa pracy, jako jedyne źródła wartości, nie mogą podać w wątpliwość istnienia tego, zauważonego przez Ricarda wyjątku, jak również i tego, że w pewnych okolicznościach wzgląd na zwłokę czasu może wy-

wierać większy wpływ na wartość dóbr, niż wzgląd na sumę kosztów pracy. Przypominam np. wartość starego, dziesięć lat już leżącego wina, albo stuletniego drzewa w lesie.

Ten wyjątek ma jednak szczególne znaczenie. Nie trzeba wcale być bardzo przenikliwym, by zauważyć, że w nim właściwie zawiera się główna podstawa pierwotnego zysku z kapitału. Bowiem nadwyżka wartości zamiennej, uzyskiwana przez dobra, których wytworzenie wymaga wkładu poprzednio wykonanej pracy, jest właśnie tem, co przy podziale wartości produktu pozostaje w ręku przedsiębiorcy-kapitalisty, jako dochód z kapitału¹⁾. Gdyby ta różnica wartości nie istniała, nie mógłby też istnieć pierwotny zysk z kapitału; ta różnica wartości umożliwia jego istnienie, zawiera go w sobie, jest z nim identyczną. Nic łatwiejszego, jak tego dowieść — jeśli wogóle taki jasny, jak słońce, fakt potrzebuje jakiegoś dowodzenia. Dajmy na to, że trzy dobra potrzebują, dla swego wytworzenia, jednego roku pracy; rozmaity jest jednak okres czasu, jaki trzeba czekać na rezultat tej pracy; pierwsze wykończone być może w ciągu roku, po wykonaniu pracy, drugie potrzebuje na to dziesięć lat, a trzecie dwudziestu. W tych warunkach wartość zamienna pierwszego dobra musi wystarczyć na wynagrodzenie rocznej pracy, a oprócz tego na roczny procent

¹⁾ Innego zdania zdaje się być Natoli, który te słowa mego tekstu zaopatruje w polemiczną głosę (Il principio del valore e la misura quantitativa del valore, 1906, str. 114, odsył. 2), i pozatem niejednokrotnie z naciskiem utrzymuje, że »ricardowskie różnice« w wartości produktów, wytwarzanych w okresach produkcji rozmaitej długości, są zupełnie innym faktem, niż różnice wartości dóbr istniejących i przyszłych, wychodzące na jaw przy »kapitalistycznej wymianie« pomiędzy kapitalistami i robotnikami, z których jedynie wynika zysk (np. str. 224 i nast.); moim błędem jest, że te dwa odrębne fakty plącze ze sobą, czy ich »nie rozróżniam« (np. str. 279, 314). Mnie się natomiast zdaje, że tem pewniej mogę obstawać przy swoich poglądach, rozwiniętych w tekście, że sam Natoli zmuszony jest przyznać, że oba fakty, przeciw »pomieszanemu« których protestuje, »wynikają z analogicznych, a nawet zgola identycznych przyczyn« (221), i że przyletem chodzi o zjawiska, które same posiadają »identyczną naturę«. (241). Usiłowanie Natolięgo przeprowadzenia linii podziału tam, gdzie z natury rzeczy niema dla niej miejsca, jest, mojem zdaniem, tylko odbiciem innego, równie daremnego usiłowania dopasowania do Prokrustowego łoża teorii pracy, jako jedyne źródła wartości, twierdzeń przeważnie prawidłowych, ale wyjętych z teorii użyteczności krańcowej i »teorii agia«.

od wartości tej pracy. Jasne jednak, jak na dłoni, że taka sama wartość zamienna nie może pozwolić na wynagrodzenie rocznej pracy, a oprócz tego jeszcze na dziesięć- lub dwudziestoletnie procenta od jej wartości. Może to dziać się tylko w razie, jeśli wartość zamienna drugiego i trzeciego dobra jest w odpowiednim stopniu wyższa, niż wartość zamienna pierwszego, pomimo, iż wszystkie trzy kosztowały jednakową ilość pracy; i ta różnica wartości zamiennej jest najwidoczniej źródłem, z którego wypływa i może wypływać dziesięć- i dwudziestoletni zysk z kapitału.

Tak więc wyjątek z prawa pracy, jako jedyne źródła wartości jest ni mniej ni więcej, tylko identyczny z głównym wypadkiem pierwotnego zysku z kapitału. Kto jedno chce wyjaśnić, musi wyjaśnić i drugie: bez wyjaśnienia tego wyjątku niema wyjaśnienia zagadnienia zysku. Skoro zaś w rozważaniach, których przedmiotem jest właśnie zysk z kapitału, wyjątek ten jest ignorowany, jeśli mu się wprost nie przeczy, to jest to tak wielkie przeoczenie, że większego trudno sobie wyobrazić. W wypadku Rodbertusa ignorowanie tego wyjątku równa się poprostu ignorowaniu podstawowej części tego, co się zamierzało wyjaśnić.

Przeoczenia tego nie można usprawiedliwić i przez to, że Rodbertus nie miał na celu ustalenia zasady, miarodajnej w życiu rzeczywistym, a tylko przypuszczenie hypotetyczne, którem się posługiwał dla łatwiejszego i prawidłowego przeprowadzenia badań abstrakcyjnych. Wprawdzie twierdzenie, iż wartość dóbr określa suma pracy, którą kosztowało ich wytworzenie, ubiera Rodbertus w niektórych ustępach prac swoich w szaty prostego przypuszczenia¹⁾. Ale przede wszystkim nie brak też ustępów, w których wypowiada przekonanie, że jego zasada wartości ważną jest też i w faktycznym życiu gospodarczym²⁾; z drugiej zaś strony nawet hypotetycznie nie można przyjmować wszystkiego, co się chce. Nawet w hypotetycznym przypuszczeniu abstraho-

¹⁾ N. p. Soziale Frage, str. 44, 107.

²⁾ Soziale Frage str. 113, 147; Erklärung und Abhilfe I, str. 123. W ostatnim ustępie mówi Rodbertus: »skoro wartość produktu rolnego i przemysłowego reguluje się według zawartej w nim pracy, co naogół biorąc stale się powtarza w wolnym handlu« etc.

wać można tylko od takich okoliczności rzeczywistych, które dla badanej kwestji nie mają większego znaczenia. Ale co można powiedzieć o teoretycznym badaniu zagadnienia zysku z kapitału, przy którym przedewszystkiem abstrahuje się od istnienia głównego wypadku zysku z kapitału?! przy którym najlepsza część tego, co ma być wyjaśnione, zostaje »drogą hipotezy« usunięte?!!

Rodbertus ma wprawdzie słuszość: skoro się ma zbadać i odkryć zasadę taką, jak zasada renty gruntowej, albo zysku z kapitału, to »nie można pozwalać wartości tańczyć na wszystkie strony« ¹⁾, trzeba przypuścić istnienie stałej zasady wartości. Ale czyż fakt, iż dobra o większym okresie czasu, upływającym pomiędzy wydatkami pracy, a wykończeniem produktu, caeteris paribus posiadają większą wartość, nie jest również stałą zasadą wartości? I czyż ta zasada wartości nie posiada dla zjawiska zysku z kapitału pierwszorzędnego znaczenia? I czyż można od niej abstrahować, jak od pozbawionych prawidłowości odchyłeń stosunków rynkowych?! ²⁾.

¹⁾ Soziale Frage, str. 111, odsylacz.

²⁾ Wywody powyższe zostały napisane, zanim wydanem zostało pośmiertne pismo Rodbertusa »Kapitale« (1884). W pracy tej zajmuje Rodbertus w stosunku do naszego zagadnienia nadzwyczaj dziwne stanowisko, które wywołuje raczej zastrzeżenie, niż złagodzenie tej krytyki. Rodbertus podkreśla tam wprawdzie gorąco, że prawo wartościotwórczej zdolności pracy nie jest ściśle, tylko przybliżonem prawem, dokoła którego oscyluje rzeczywistość (str. 6 i nast.); przyznaje też wyraźnie, że wskutek wymagania dochodu z kapitału ze strony przedsiębiorców odbywa się stałe odchylenie faktycznej wartości dóbr od wartości, obliczonej według wydatkowanej pracy (str. 11 i nast.). Ogranicza jednak to przyznanie do bardzo ciasnego zakresu, przyjmując, iż odchylenie to występuje tylko w stosunku poszczególnych stadiów produkcji tego samego dobra pomiędzy sobą, ale nie »w całokształcie wszystkich stopni produkcji«. Gdy mianowicie wytwarzanie pewnego dobra rozpada się na liczne działy produkcji, z których każdy rozwinał się w osobny przemysł, to, zdaniem Rodbertusa, wartość »poszczególnego produktu«, wytworzonego w każdym poszczególnym dziale, dlatego nie może dokładnie odpowiadać sumie wydatkowanej pracy, że przedsiębiorcy z późniejszych stadiów produkcji muszą ponieść większe wydatki na materiał, a więc włożyć w produkcję większy kapitał, i wskutek tego muszą sobie odliczyć wyższy dochód z kapitału, który może znaleźć pokrycie tylko w odpowiednio wyższej wartości ostatecznego produktu. Chociaż ujęcie to jest prawidłowe, rzecz jasna,

Skutki tego dziwnego abstrahowania nie kazały na siebie czekać. Pierwszy z nich już poruszyłem. Przeocząc wpływ czasu na wartość produktu, Rodbertus mógł i musiał wpaść w ten błąd, że pomieszał prawo robotnika do całej obecnej wartości produktu z prawem do całej jego przyszłej wartości. Niektóre inne konsekwencje poznamy za chwilę.

Czwartym zarzutem, jaki stawiam Rodbertusowi jest to, że doktryna jego w ważnych punktach wykazuje sprzeczności.

Cała teoria renty gruntowej Rodbertusa opiera się na wielokrotnie i z naciskiem powtarzanem zdaniu, że absolutna suma »renty«, którą można z danej produkcji uzyskać, zależy nie od wielkości zastosowanego kapitału, lecz wyłącznie od ilości zastosowanej w tej produkcji pracy. Przypuśćmy, że w pewnej określonej produkcji przemysłowej, np. w przemyśle szewskim, zatrudnionych jest 10-u robotników; każdy robotnik w ciągu roku wytwarza pro-

że nie może nas ono doprowadzić do celu. Różnica pomiędzy faktyczną wartością dóbr a wydatkowaną sumą pracy istnieje nie tylko pomiędzy półfabrykatami, z których ma się utworzyć dane dobro, i nie po to, aby w trakcie kolejnych stadiów produkcji wyrównać się drogą wzajemnych kompensat i ostateczny wynik wszystkich stopni produkcji — gotowe do spożycia dobro — znowu poddać prawu pracy, jako jedyne źródło wartości, ale względ na wielkość i długotrwałość nakładu kapitału odpycha stanowczo wartość wszystkich dóbr od ścisłej harmonii z wyłożoną pracą. — Na ostrą naganę natomiast zasługuje fakt, iż Rodbertus, wbrew własnemu ustępstwu upiera się przy rozwijaniu prawa podziału wszystkich dóbr na płacę roboczą i rentę na podstawie hipotezy, że wszystkie dobra posiadają wartość »normalną«, t. j. odpowiadającą włożonej w nie pracy. Uważa on to za możliwe, gdyż normalna wartość »gdy chodzi o wyprowadzenie równie dobrze renty wogóle, jak renty gruntowej i renty z kapitału w szczególności, jest najbardziej obojętną. Ona jedynie nie przemycza wcale tego, co dopiero na jej podstawie ma być wyjaśnione, jak to czyni każda wartość, w której już zgóry zawiera się składowa część na pokrycie rent« (str. 23). Rodbertus bardzo się myli. »Przemycza on« równie bezzasadnie, jakby to uczynił którykolwiek z jego przeciwników, tylko w odwrotnym kierunku. Gdy przeciwnicy jego hipotezami swemi przemycają istnienie zysku z kapitału, sam Rodbertus przemycza jego nieistnienie, gdyż abstrahuje on od stałego odchylenia od »wartości normalnej«, które jest podstawą i warunkiem istnienia pierwotnego zysku z kapitału, a więc od głównego wypadku zjawiska zysku.

dukt wartości 1.000 fl.; niezbędne środki utrzymania, które otrzymuje, jako płacę, wynoszą 500 fl.: w takim razie, niezależnie od tego, czy zastosowany kapitał będzie wielki, czy mały, otrzymywana przez przedsiębiorcę renta roczna wyniesie 5.000 fl. Jeśli zastosowany kapitał wynosi 10.000 fl., 5.000 fl. na płace robocze i 5.000 fl. na materiał, to renta wyniesie 50% kapitału. W innej produkcji, np. w fabryce złotych wyrobów pracuje również 10 robotników; zgodnie z przypuszczeniem, że wartość produktu określa się według sumy zawartej w nim pracy, robotnicy będą również wytwarzali produkt roczny wartości 1.000 fl., z których połowa przypadnie im, jako zapłata, połowa zaś przedsiębiorcy, jako renta. Ponieważ jednak tutaj materiał, złoto, przedstawia, jako kapitał, o wiele większą wartość, niż skóra u szewca, to w tym przykładzie całkowita renta wysokości 5.000 fl. podzielona być musi pomiędzy znacznie większy kapitał zakładowy; przypuśćmy, że wynosi on 200.000 fl., 5.000 fl. na płace robocze i 195.000 fl. na materiał, to 5.000 fl. renty wyniesie tylko $2\frac{1}{2}\%$ od kapitału zakładowego. Oba przykłady przeprowadzone są ściśle w myśl teorii Rodbertusa.

Ponieważ w każdym »przemysle« zachodzi inny stosunek pomiędzy ilością (pośrednio i bezpośrednio) zatrudnionych robotników a wielkością włożonego kapitału zakładowego, t. konsekwentnie prawie w każdej gałęzi przemysłu kapitał zakładowy musiałby się procentować według innej stopy zysku, i to w niezmiernie szerokim zakresie. Że tak się istotnie w życiu dzieje, tego sam Rodbertus nie odważa się twierdzić; przeciwnie, w godnym uwagi ustępie swej teorii renty gruntowej stwierdza on, że na skutek współzawodnictwa pomiędzy kapitałami ustala się w całym państwie przemysłu jednaka stopa zysku. Przytoczę ten ustęp w dosłownem brzmieniu. Rodbertus zwraca uwagę, że cała, z przemysłu wypływająca, renta uważać należy za dochód z kapitału, gdyż w przemyśle zastosowanie znajdują wyłącznie bogactwa, będące kapitałami, następnie zaś powiada co następuje:

»Określa to też w dalszym ciągu stopę zysku z kapitału, która wpływa na ujednostajnienie dochodów z kapitału; według tej również stopy musi być obliczanem to, co w przypadającej na surowy produkt części renty stanowi dochód z użytego w rolnictwie kapitału. Skoro bowiem, dzięki

powszechności zjawiska wartości zamiennej istnieje jednolity miernik do wyrażania stosunku dochodu do majątku, to miernik ten służy też, do wyrażenia stosunku zysku do kapitału dla tej części renty, która przypada na przemysł. Innymi słowy, możemy powiedzieć, że dochód w przemyśle wynosi x procent od zastosowanego kapitału. Ta stopa zysku z kapitału stanowić będzie miarę dla ujednostajnienia zysków z kapitału. W gałęziach przemysłu, w których ta stopa ujawnia wyższe zyski, współzawodnictwo wywoła zwiększoną podaż kapitałów, a w ślad za tem ogólne dążenie do ujednostajnienia dochodów. Z tego też powodu nikt nie skieruje kapitału tam, gdzie nie będzie mógł oczekiwać zysku, odpowiadającego tej stopie zysku z kapitału«¹⁾.

Ustęp ten zasługuje na bliższe zbadanie.

Rodbertus wymienia współzawodnictwo, jako czynnik, który ma ustalić jednostajną stopę zysku w zakresie przemysłu. W jaki sposób ma to nastąpić, wspomina Rodbertus bardzo pobieżnie. Przypuszcza on, że każda stopa zysku wyższa od przeciętnej, zwiększając podaż kapitałów, obniża się do poziomu przeciętnego, a każda niższa, jak to łatwo możemy uzupełnić, wywołując odpływ kapitałów, podnosi się do tegoż przeciętnego poziomu.

Poprowadźmy jeszcze trochę dalej badanie tych wypadków, które Rodbertus tak prędko przerywa? W jaki sposób zwiększona podaż kapitałów może zniwelować nie normalnie wysoką stopę zysku? Oczywiście tylko w ten, że ze zwiększeniem kapitału rozrasta się też produkcja odpowiednego artykułu, a wskutek zwiększonej podaży wartość zamienna produktu obniża się o tyle, że po odliczeniu płac roboczych pozostawia tylko przyjętą stopę zysku, jako rentę. W powyższym naszym przykładzie z przemysłu szewskiego moglibyśmy sobie tak wyobrazić niwelację nienormalnej stopy zysku 50% do przeciętnej stopy 5%: Wysoka, nęcąca stopa zysku 50% z jednej strony przyciągnie wiele nowych osób, pragnących się zajmować przemysłem szewskim, z drugiej zaś popchnie dotychczasowych wytwórców do rozszerzenia swych zakładów. Podaż obuwiarska wzmoże się wskutek tego, a cena jego i wartość zamienna się obniżą. Proces ten ciąg-

¹⁾ Soziale Frage, str. 107 i nast.

nać się będzie tak długo, aż wartość zamienna rocznego produktu pracy dziesięciu robotników szewskich z 10.000 fl. spadnie na 5.500 fl. Wtedy, po odliczeniu niezbędnych płac roboczych, pozostanie przedsiębiorcy zamiast 5.000 fl. — 500 fl. renty, które, podzielone na 10.000-czny kapitał zakładowy, oprocentują go według przyjętej stopy 5%. Wartość zamienna obuwia zatrzyma się tu i będzie utrzymywała się tak długo, dopóki dochód w przemyśle szewskim nie stanie się znów nienormalny, co pociągnie za sobą powtórzenie opisanego procesu niwelacji.

Podobnie przeciętna stopa zysku wysokości $2\frac{1}{2}\%$ w przemyśle złotniczym wzniesie się do 5%, gdyż skutek zbyt niskiego dochodu przemysł złotniczy zacznie się ograniczać, przez to zmniejszy się podaż na wyroby złotnicze, wzrastać zacznie ich wartość zamienna, i wznosić się będzie dopóty, dopóki wytwór rocznej pracy dziesięciu robotników złotniczych osiągnie wartość zamienną 15.000 fl. Wtedy, po odliczeniu niezbędnych płac roboczych wysokości 5.000 fl., przedsiębiorca otrzyma 10.000 fl., które kapitał zakładowy 200.000 fl. oprocentują według przyjętej, pięcioprocentowej stopy zysku; w ten sposób osiągnięty zostaje punkt równowagi, na którym przez czas dłuższy utrzyma się wartość zamienna wyrobów złotniczych, jak wyżej wartość obuwia.

Fakt, że niwelacja nienormalnych stóp zysku nie może powstać bez trwałej zmiany wartości zamiennej odnośnego produktu, jest bardzo ważnym punktem, który tu, zanim pójdziemy dalej, chcę raz jeszcze z innej strony oświetlić i wyprowadzić poza wszelkie wątpliwości. Gdyby mianowicie wartość zamienna produktów pozostawała niezmienną, to niewystarczająca stopa zysku tylko w ten sposób mogłaby zostać wzniesioną do normalnego poziomu, że brakująca suma pokrywana by była z kosztów niezbędnej płacy robotników. Gdyby naprz. produkt pracy dziesięciu robotników złotniczych zatrzymał odpowiadającą użytej ilości pracy wartość 10.000 fl., to nie dałaby się pomyśleć inna niwelacja stopy zysku do wysokości 5%, to jest zwiększenie sumy dochodu z 5.000 fl. do 10.000 fl., niż całkowite odebranie robotnikom otrzymywanej przez nich dotąd płacy 5.000 fl., i oddanie kapitałście całego produktu w postaci dochodu. Pomijam zupełnie proste niepodobieństwo, jakie zawiera w sobie takie przypuszczenie, a chcę tylko wykazać, że jest za-

równie sprzeczne z doświadczeniem, jak i z własną teorią Rodbertusa. Sprzeczne jest z doświadczeniem, gdyż to ostatnie wykazuje, że niwelujące ograniczenie podaży w pewnej gałęzi produkcji z zasady nie wywołuje obniżenia płacy roboczej, tylko wyższą cenę produktów, a nigdy nie spotyka się z faktem, aby płace robocze w gałęziach przemysłu, wymagających wielkich wkładów kapitału, były znacznie niższe, niż w innych, co musiałoby przecież istnieć, gdyby zwiększone żądanie dochodu pokrywane być miało z płac, a nie z cen produktów. Przypuszczenie to sprzeczne jest jednak i z własną teorią Rodbertusa, gdyż ta przyjmuje, że robotnicy stale otrzymują, jako płace robocze, sumę niezbędnych kosztów utrzymania; zasadę tę zaś powyższy sposób wyrównywania stóp zysku musiałby znacznie naruszać.

Równie łatwo wykazać rzecz odwrotną, a mianowicie, że zmniejszenie wyższych, niż przeciętne, dochodów przy niezmiennych wartościach produktów mogłoby powstać tylko przez zwiększenie ponad normę płac roboczych w odnośnych gałęziach przemysłu, co znowu sprzecznym byłoby zarówno z doświadczeniem, jak i z samą teorią Rodbertusa. Sądząc tedy, że mam prawo twierdzić, iż nakreśliłem obraz wypadku niwelacji dochodów zgodnie z rzeczywistością i zgodnie z hipotezami samego Rodbertusa przyjmując, że niwelacja nienormalnych dochodów odbywa się na podstawie trwałej zmiany, — zniżki, lub wyżki — wartości zamiennej odnośnego produktu.

Jeśli jednak roczny produkt pracy dziesięciu robotników szewskich posiada i posiadać musi wartość zamienną 5.500 fl., a roczny produkt pracy dziesięciu robotników złotniczych — 15.000 fl., i jeśli przyjęte przez Rodbertusa ujednolajnienie zysków ma stale trwać, to co się stanie z przypuszczeniem Rodbertusa, że produkty wymieniają się w stosunku do zawartej w nich pracy; jeśli zaś z zatrudnienia tej samej ilości pracowników w pierwszym wypadku wypływa 500 fl., a w drugim 10.000 fl. renty, to co się znów stanie z doktryną, że suma renty, uzyskiwanej z pewnej produkcji nie zależy od wielkości zastosowanego w niej kapitału, tylko od sumy wykonanej w niej pracy? Sprzeczność, w którą się tu Rodbertus uwikłał, jest równie wyraźną, jak nierozwiązalną. Albo produkta istotnie stale

wymieniają się pomiędzy sobą w stosunku do zawartej w nich pracy, a wysokość renty w produkcji rzeczywiście określa się według sumy zastosowanej w tej produkcji pracy — w takim razie niwelacja dochodów z kapitału jest niemożliwa. Albo też niwelacja dochodów z kapitału zachodzi — a w takim razie niemożliwe jest, by produkta w dalszym ciągu były wymieniane stosunkowo do zawartej w nich pracy, a suma zastosowanej w produkcji pracy wyłącznie warunkowała sumę uzyskiwanej renty. Rodbertus zauważyłby napewno tę bijącą w oczy sprzeczność, gdyby poświęcił choć trochę istotnej uwagi wypadkowi ujednostajnienia zysków, zamiast zadowolnić się powierzchownym frazesem o ujednostajniającem działaniu współzawodnictwa!

Ale to jeszcze nie wszystko. Całe wyjaśnienie renty gruntowej, tak ściśle związanej u Rodbertusa z wytłumaczeniem zysku z kapitału, opiera się na niekonsekwencji, tak wyraźnej, że autor mógł jej nie zauważyć tylko dzięki niepojętemu jakiemuś roztargnieniu.

Z dwóch rzeczy możliwa jest jedna. Albo ujednostajnienie zysków z kapitału na skutek współzawodnictwa istnieje, albo nie. Przypuśćmy, że tak jest; cóż tedy upoważnia Rodbertusa do przypuszczenia, że ta niwelacja obejmuje wprawdzie cały obszar przemysłu, ale zatrzymuje się, jak zakłeta, na granicy produkcji pierwotnej? Dlaczego, skoro rolnictwo zapewnia nęcący, wysoki dochód, nie mają do niego napływać kapitały, dlaczego tu nie ma być ziemia używana, intensywniej uprawiana, dlaczego kultura rolna nie ma się podnosić, aż dopóki wartość zamienna surowców nie ustali się w harmonii z powiększonym kapitałem rolnym i nie doprowadzi go do dawania normalnego, powszechnie przyjętego zysku? Skoro »prawo«, że suma renty określa się zgodnie z sumą zastosowanej pracy, nie z wielkością wydatkowanego kapitału, nie zatrzymało niwelacji w przemyśle, to w jaki sposób zatrzymało ją w produkcji pierwotnej? Skądże się jednak w takim razie weźmie stała nadwyżka ponad przyjętą stopę zysku, czyli renta gruntowa?

Albo, przypuśćmy, że niwelacja wcale nie powstaje. W takim razie niema powszechnej, przyjętej stopy zysku, wogóle, a więc i w rolnictwie, brak określonej normy na to, ile »renty« należy sobie odliczać, jako dochód z kapitału,

brak wreszcie stałej granicy pomiędzy dochodem z kapitału, a rentą gruntową. To też, czy istnieje ujednostajnienie dochodów, czy nie — w każdym razie teoria renty gruntowej Rodbertusa wisi w powietrzu. — Więc sprzeczność na sprzeczności, i to nie w drobiazgach, a w zasadniczych podstawach teorii!

Dotychczas zajmowałem się krytyką poszczególnych części Rodbertusowej teorii. Zakończę krytykę wystawieniem na próbę teorii, jako całości. Jeśli teoria jest prawidłowa, to musi być w stanie dać zadawalające wyjaśnienie zjawiska zysku z kapitału, takiego, jak się przedstawia w rzeczywistym życiu gospodrczym, i to we wszystkich jego postaciach; jeśli tego uczynić nie może, to wyrok na nią jest wydany — jest ona fałszywa.

Twierdzę tedy, i zaraz tego dowiodę, że teoria wyzysku Rodbertusa wprawdzie od biedy może wytłumaczyć oprocentowanie części kapitału, użytej na płace robocze, ale zupełnie niepodobna z jej pomocą wyjaśnić oprocentowania tych części kapitału, które włożone zostały w niezbędne materiały. Wydanie sądu pozostawiam czytelnikowi.

Jubiler, zajmujący się głównie wyrabianiem naszyjników z pereł, ma pięciu robotników, którzy w ciągu roku robią naszyjniki z prawdziwych pereł wartości jednego miliona guldenów, on zaś te naszyjniki przeciętnie po upływie roku sprzedaje. Wkłada więc stale w perły kapitał wysokości miliona guldenów, który, według przyjętej stopy zysku, winien mu dać czysty dochód roczny 50.000 fl. Powstaje pytanie: jak wytłumaczyć te zyski, które ciągnie jubiler?

Rodbertus odpowiada, że zysk z kapitału jest dochodem, płynącym z wyzysku, z obciążenia naturalnych i słusznych plac roboczych. Z obciążenia płacy jakich robotników? pięciu robotników, którzy perły sortują i nanizują na nici? Ale to niemożliwe: jeśli przez obcięcie słusznej płacy pięciu robotników można zdobyć 50.000 fl., to słuszna ta płaca musiałaby przecież wynosić więcej, niż 50.000 fl., a więc więcej, niż 10.000 fl. na człowieka — a takiej wysokości słusznej płacy nie można przecież poważnie brać pod uwagę, gdyż praca, polegająca na sortowaniu i nanizaniu pereł bardzo mało się wznosi ponad charakter zwykłych prac.

Rozejrzyjmy się szerzej: może robotnikami, z produktu

pracy których ciągnie jubiler swoje zyski, są robotnicy wcześniejszego okresu produkcji, poławiacze perel? — Ale z tymi robotnikami jubiler wcale nie miał do czynienia, perły swoje nabył wprost od przedsiębiorcy połowu perel, albo od jakiegoś pośrednika; nie miał tedy najmniejszej sposobności do potrącenia poławiaczom perel części produktu ich pracy, lub jego wartości. Może zrobił to nie on wprawdzie, ale przedsiębiorca połowu perel, tak, że zysk pubilera wypływa z obciążenia płacy, którego dokonał przedsiębiorca połowu perel w stosunku do swoich robotników? — I to jest niemożliwe; jubiler bowiem będzie miał swój dochód nawet w takim razie, jeśli przedsiębiorca połowu perel nic nie odliczy z płac swoich robotników. Jeśli ten cały miljon, który kosztują wyłowione perły i który otrzymuje od jubilera, jako cenę kupna, podzieli, jako płacę, pomiędzy swoich robotników, to rezultat będzie tylko taki, że on sam nie będzie miał żadnego dochodu, jubilera zaś to w żadnym razie zysków jego nie pozbawi. Dla niego bowiem sposób podziału zapłaconej przez niego ceny kupna jest zupełnie obojętny, o ile, rozumie się, to ceny tej nie podwyższa. Może tedy nasza fantazja najusilniej pracować, a nie znaleźć tych robotników, ze słusznej płacy których mógłby jubiler zatrzymać sumę 50.000 fl., stanowiącą jego dochód.

Może jednak przykład ten pozostawia niektórym czytelnikom wątpliwości. Może twierdzenie, że praca pięciu nanizywaczy perel jest źródłem poważnego, pięćdziesięciotysięcznego dochodu jubilera, wyda się komuś wprawdzie nieco dziwnem, ale nie niemożliwem. Przytoczę tedy drugi przykład, jeszcze charakterystyczniejszy: dobry, stary przykład, który nieraz już wykazał błędność niejednej teorii zysku.

Posiadacz winnicy ma beczkę dobrego młodego wina. Natychmiast po winobraniu jej wartość zamienna wynosi 100 fl. Właściciel pozwala winu spokojnie leżeć w piwnicy, i po upływie jakichś dwunastu lat, wino, stare już teraz, osiąga wartość zamienną 200 fl. Jest to znany fakt. Różnica 100 fl. przypada właścicielowi wina, jako procent od zawartego w winie kapitału. Jakim robotnikom odebrano ten dochód z kapitału?

Ponieważ w czasie, gdy wino leży w piwnicy, niema już koło niego absolutnie żadnej roboty, to można przy-

puścić tylko, że wyzysk istniał w stosunku do robotników, którzy wytworzyli młode wino. Posiadacz winnicy dał im za niskie wynagrodzenia. Ale, zapytamy, jakie wynagrodzenie »słusznie« daćby im był powinien? Gdyby im nawet wypłacił całe 100 fl., które przedstawiały wartość wina w czasie winobrania, to i tak pozostałby mu jeszcze stuflorowy przyrost wartości, który *Rodbertus* piętnuje, jako wyzysk. Gdyby nawet wypłacił im, jako wynagrodzenie, 120 fl. i 150 fl., nie zwolniłby się od zarzutu wyzyskiwacza; nastąpiłoby to tylko w razie wypłacenia całych 200 fl.

Czyż można poważnie wymagać, by za produkt, który wart jest nie więcej stu guldenów, płacono, jako »słuszną płacę roboczą«, dwieście guldenów? Czyż właściciel wie zawczasu, że ten produkt będzie kiedyś wart 200 fl.? Wszak wbrew swemu pierwotnemu zamiarowi może być zmuszony sprzedać, lub zużyć wino przed upływem lat dwunastu? w takim jednak razie zapłaciłby 200 fl. za produkt, warty 100 lub może 120 fl.? I jakby musiał w takim razie wynagradzać robotników, wytwarzających młode wino, sprzedawane zaraz za 100 fl.? Czy miałby im także płacić 200 fl.? Tobo go doprowadziło do ruiny. 100 fl.? W takim razie różni robotnicy otrzymywaliby za zupełnie tę samą pracę różne wynagrodzenie, — to znów jest niesłuszne; pomijając już fakt, że nie zawsze można wiedzieć, czyj produkt będzie sprzedany natychmiast, a czyj będzie czekał dwanaście lat.

Ale jest jeszcze coś więcej. Nawet płaca wysokości 200 fl. za beczkę młodego wina nie dawałaby gwarancji przeciw zarzutowi wyzysku: właściciel może przecie trzymać wino w piwnicy nie przez dwanaście, a przez dwadzieście cztery lata, a wtedy będzie ono warte nie 200, a 400 fl. Czy w takim razie musi płacić robotnikom, którzy przed 24 laty wino produkowali czterysta fl. słusznej płacy zamiast stu? Ta myśl jest zbyt niedorzeczna. Ale jeśli zapłaci im 100 lub 200 fl., to będzie miał dochód z kapitału, a *Rodbertus* oświadczy, że skrzywdził robotnika, zatrzymując część wartości jego produktu!

Nie sądzę, by ktoś odważył się twierdzić, że przytoczone i inne, nader liczne, podobne fakty z zakresu zjawiska zysku wyjaśnia teoria *Rodbertusa*. Ale teoria, która nie może dostarczyć wyjaśnienia poważnej części zjawisk, które ma tłumaczyć, nie może być prawidłową; tak więc

ta ostateczna sumaryczna próba doprowadza do tych samych wyników, na które wskazywała poprzednia krytyka szczegółowa: teoria wyzysku Rodbertusa w uzasadnieniu swem i rezultatach jest fałszywa, sprzeczna ze sobą i ze zjawiskami rzeczywistości.

Z natury mego zadania, jako krytyka, wypadło mi na kartkach powyższych przede wszystkim i wyłącznie wskazywać na błędy, w które wpadł Rodbertus. Winienem pamięci tego wybitnego człowieka stwierdzić równie kategorycznie jego ogromne zasługi dla rozwoju teorii ekonomicznych, których szczegółowe przedstawienie wychodzi niestety poza ramy mego obecnego zadania.

B. Marx ¹⁾.

Teoretycznym dziełem całego niemal życia Marxa jest jego wielka, trzytomowa praca o kapitale. Podstawy jego

¹⁾ Zur Kritik der politischen Oekonomie, Berlin 1859; das Kapital, Kritik der politischen Oekonomie, 3 t. 1867—1894. Porównaj o Marxie artykuł »Marx« Engelsa w Handwörterbuch der Staatswissenschaften (wraz ze szczegółowym wykazem prac Marxa w 3-em wyd. Handwörterbuchu, prowadzonym następnie i wzbogaconym przez K. Diehla), następnie pom. in. Knies, das Geld, II wyd. 1885, str. 153 i nast.; A. Wagner w swojej »Grundlegung der politischen Oekonomie« 3 wyd. passim. szczególnie II, 285 i nast.; Lexis w Conrads Jahrbüchern 1885, N. F. XI, 452 i nast.; Gross, K. Marx, Leipzig 1885; Adler, Grundlagen der Marxschen Kritik der bestehenden Volkswirtschaft, Tübingen 1887; Komorzyński, der dritte Band von Karl Marx das Kapital, Zeitschrift für Volkswirtschaft, Sozialpolitik und Verwaltung, VI, 242 i nast.; Wenckstern, Marx, Leipzig 1896; Sombart, Zur Kritik des ökonomischen Systems von Karl Marx, Archiv für soz. Gesetzgebung und Statistik, Bd. VII, Heft 4, str. 555; mój artykuł »Zum Abschluss des Marxschen Systems« w »Festgaben für Karl Knies«, Berlin 1896 (w oddzielnym wydaniu książkowym w rosyjskim przekładzie, Petersburg 1897 i w angielskim, Londyn 1898); Diehl, Über das Verhältnis von Wert und Preis im ökonomischen System von Karl Marx, przedruk z »Festschrift zur Feier des 25-jährigen Bestehens der staatswissenschaftlichen Seminars zu Halle, a. S., Jena 1898; Masaryk, Die philosophischen und soziologischen Grundlagen des Marxismus. Wien 1899. Tugan-Baranowski, Theoretische Grundlagen der Marxismus, Leipzig 1905; v. Bortkiewicz, Wertrechnung und Preisrechnung im Marxschen System (w »Archiv für Sozialwissenschaft und Sozialpolitik«, t. 23 i 25; i wiele innych dzieł w olbrzymiej i wciąż jeszcze rosnącej literaturze o Marxie.

teorii wyzysku wyłożone są w pierwszym tomie, jedynym, który — w r. 1867-ym — ukazał się za życia autora. Tom drugi, już po śmierci autora wydany w r. 1885-ym przez Engelsa, treścią zupełnie się nie różni od pierwszego. Mniej zbliżony do nich jest, jak wiadomo, trzeci, wydany po wieloletniej przerwie w r. 1894-ym. Wielu pisarzy, a wśród nich i piszący te słowa, są zdania, że treść pierwszego tomu nie może się utrzymać wobec treści trzeciego, i odwrotnie. Ponieważ jednak sam Marx tego nie przyznał, a przeciwnie, w trzecim tomie wymaga uznawania w dalszym ciągu całkowitej wartości doktryn, wyrażonych w pierwszym, krytyka jest równie uprawniona, jak zobowiązana, doktrynę pierwszego tomu, pomimo istnienia trzeciego, uważać za wyraz prawdziwego i stałego przekonania Marxa; ale jest też uprawniona i zobowiązana do przytaczania w odpowiednich chwilach doktryn trzeciego tomu dla ilustracji i krytyki.

Marx za punkt wyjścia obiera twierdzenie, że wartość wszystkich towarów określa się jedynie na podstawie ilości pracy, którą kosztowało ich wytworzenie. Na twierdzenie to kładzie daleko większy nacisk, niż Rodbertus. Gdy ten raczej pobieżnie wskazywał na nie w ciągu swych rozważań, zazwyczaj w formie hipotezy, i nigdzie nie poświęcił ani słowa na jego udowodnienie ¹⁾, Marx stawia je na czele swojej doktryny i poświęca mu szczegółowe uzasadnienie i wyjaśnienie.

Zakres badań, które Marx przedsięwzię, by »wyśledzić wartość« (I. 23) ²⁾, ogranicza on odrazu do towa-

¹⁾ Lifschitz, »Zur Kritik der Böhm-Bawerschen Werttheorie«, Leipzig 1908, str. 16, chce widzieć sprzeczność pomiędzy tą uwagą, a inną zawartą we wcześniejszym ustępie tej książki, w której ja sam mówię o »poważnej motywacji« Rodbertusa, ale przytem tak powierzchownie czytał, albo też tak powierzchownie myślał, że pomieszał ze sobą dwie różne tezy. Istotnie motywował Rodbertus tezę, że wszystkie dobra, z gospodarczego punktu widzenia, kosztują tylko pracę; tutaj zaś mówię o całym innej tezie, że wartość dóbr określa się wyłącznie na podstawie ilości pracy, którą wytworzenie ich kosztowało. Na zupełnie istotną różnicę, zachodzącą pomiędzy temi dwiema tezami, mógłby Lifschitz zwrócić uwagę między innymi chociażby ze względu na zupełnie różne stanowisko, które zajmuję wobec nich na str. 32 i nast. z jednej i na str. 44 i nast. z drugiej strony.

²⁾ Cytuję pierwszy tom Kapitału Marxa zawsze według (drugiego) wydania z 1872 r., tom drugi według wydania z 1885,

rów; za towary zaś w sensie Marxa uważać mamy nie wszystkie dobra gospodarcze, a tylko wytworzone dla rynku produkty pracy¹⁾. Zaczyna od »analizy towaru« (I. 9). Towar jest z jednej strony, jako przedmiot użyteczny, zaspakajający dzięki swym właściwościom, pewne potrzeby człowieka, wartością użytkową, z drugiej zaś, przedstawia materialne podłoże wartości zamiennej. Tą drugą zajmuje się odtąd analiza. »Wartość zamienna przedstawia się nam przede wszystkim jako stosunek ilościowy, proporcja, w której wymieniają się wartości użytkowe jednego rodzaju na inne, stosunek, zmieniający się znacznie zależnie od miejsca i czasu«. Zda się więc być czemś przypadkowym. A jednak w tej zmienności musi być coś stałego, i to Marx usiłuje odnaleźć. Czyni to w znany, właściwy sobie dyalektyczny sposób: »weźmy dwa towary, naprz. pszenicę i żelazo. Niezależnie od tego, jaki jest ich stosunek zamienny, można go przedstawić za pomocą równania, w którym pewna dana ilość pszenicy przeciwstawia się pewnej ilości żelaza, np. 1 korzec pszenicy = a centnarom żelaza. Obie są tedy równe jakiejś rzeczy trzeciej, która sama przez się żadną z nich nie jest. Każda z nich tedy, o ile jest wartością zamienną, musi się dawać sprowadzić do tej trzeciej«.

»Ta rzecz wspólna« — ciągnie Marx dalej — »nie może być geometryczną, fizyczną, chemiczną, czy inną naturalną właściwością towaru. Materialne właściwości towarów wtedy tylko wchodzą w grę, gdy czynią je użytecznymi, wartościami użytkowymi. Z drugiej jednak strony stosunek zamienny towarów charakteryzuje się najwidoczniej abstrahowaniem od ich wartości użytkowych. Każda wartość użytkowa znaczy w granicach tego stosunku tyleż, co każda inna, jeśli tylko istnieje w należytej proporcji. Albo, jak mówi stary Barbon: »Jeden rodzaj towaru jest równie dobry, jak każdy inny, jeśli ich wartość zamienna jest równa«. Nie istnieje bowiem żadna różnica ani żadna możność rozróżniania pomiędzy rzeczami o jednakowej wartości zamiennej«.

trzeci — z 1894, przyczem, jeśli niema żadnych dalszych wskazówek, pod tomem trzecim rozumiem zawsze pierwszą jego część.

¹⁾ I, str. 15, 17, 49, 87 i inne. Porówn. też Adlera Grundlagen der Karl Marxschen Kritik der bestehenden Volkswirtschaft, Tübingen 1887, str. 210 i 213.

»Jako wartości użytkowe posiadają towary najrozmaitszą jakość, jako wartości zamienne przedstawiać mogą tylko różne ilości, nie zawierają tedy ani jednego atomu wartości użytkowej«.

»Jeśli pominiemy wartości użytkowe towarów, to pozostaje im jeszcze jedna właściwość, a mianowicie ta, że są produktami pracy. Ale i taki produkt pracy nie jest tem czem się wydaje. Jeśli abstrahujemy od jego wartości użytkowej, to abstrahujemy też od materialnych części składowych i postaci, które go czynią wartością użytkową. Nie jest to już stół, dom, czy przedza, czy wogóle jakakolwiek rzecz użyteczna. Wszystkie jego możliwe właściwości znikły. Nie jest to już również produkt pracy stolarza, murarza czy przadki, czy wogóle jakiejś określonej produkcyjnej pracy. Z użytkowym charakterem produktu pracy ginie też użytkowy charakter przedstawianych przezeń prac, znikają też i różne konkretne formy tych prac, nie różnią się już one pomiędzy sobą, sprowadzone są wszystkie do tej samej ludzkiej pracy, abstrakcyjnej ludzkiej pracy«.

»Rozważmy teraz co pozostało z produktów pracy. Nie pozostało z nich nic, prócz tej samej widmowej przedmiotowości, bezbarwnej galarety jednakowej ludzkiej pracy, t. j. przejawów ludzkiej zdolności do pracy, niezależnie od formy tych przejawów. Rzeczy te wykazują tylko, że w ich produkcji przejawiała się praca ludzka, że praca ludzka jest w nich zawarta. Jako kryształy tej wspólnej im społecznej substancji — są one wartościami«.

W ten sposób zostaje odkryte i określone pojęcie wartości. Rozważane jako forma dyalektyczna nie jest ono identyczne z wartością zamienną, ale staje do niej w najściślejszym, nierozzerwalnym stosunku: jest czemś w rodzaju abstrakcyjnego destylatu wartości zamiennej. Jest to, by mówić własnymi Marxa słowami, »ta rzecz wspólna, która się wyraża w stosunku zamiennym, czyli w wartości zamiennej towarów«, jak też odwrotnie »wartość zamienna jest niezbędnym sposobem wyrażenia, czyli formą zjawiska wartości«. (I, 13).

Od ustalenia pojęcia wartości przechodzi tedy Marx do przedstawienia jej wielkości i miernika. Ponieważ substancją wartości jest praca, to konsekwentnie wielkość wartości wszelkich dóbr mierzyć się będzie ilością zawartej

w nich pracy, względnie czasem pracy. Ale nie tym indywidualnym czasem pracy, jakiego przypadkiem potrzebowal ten właśnie osobnik, który dane dobro wytworzył, tylko »społecznie niezbędnym czasem pracy«, który Marx określa, jako »czas pracy, potrzebny dla wytworzenia jakiegokolwiek wartości użytkowej w istniejących normalnie społecznych warunkach produkcji i przy przeciętnym stopniu sprawności i intensywności pracy«. (I, 14).

»Tylko ilość społecznie niezbędnej pracy, albo społecznie niezbędny dla wytworzenia pewnej wartości użytkowej czas pracy, określa rozmiary jej wartości. Poszczególne towary ma tu naogół znaczenie przeciętnego przedstawiciela swego gatunku. Towary tedy, zawierające równe ilości pracy, albo wymagające tego samego czasu pracy przy ich wytwarzaniu, mają tę samą wartość. Wartość jednego towaru tak się ma do wartości innego, jak czas pracy, niezbędny dla wytworzenia pierwszego do czasu pracy, niezbędnego dla wytworzenia drugiego. Jako wartości, wszystkie towary są tylko określonymi ilościami zakrzepłego czasu pracy«.

Z tego rozumowania wyprowadza się treść wielkiego »prawa wartości«, które »wypływa z natury wymiany towarów« (I, 141, 150) i rządzi stosunkami zamiennymi. Opiewa ono, a jak z powyższego wynika, nic innego opiewać nie może, że towary wymieniają się pomiędzy sobą według stosunku zawartej w nich społecznie niezbędnej przeciętnej pracy (np. I, 52). Wyrażenia tego samego prawa w innej formie brzmieć będą, że towary »wymieniają się zależnie od swych wartości« (np. I, 142, 183, III, 167), albo, że »odpowiednik wymienia się na odpowiednik« (np. I, 150, 183). W poszczególnych wypadkach, w związku z chwilowymi wahaniem podaży i popytu zjawiają się »wprawdzie ceny, stojące powyżej, albo poniżej wartości. Ale te »stałe wahania cen rynkowych... kompensują się, znoszą się wzajemnie i sprowadzają się ostatecznie same do ceny przeciętnej, jako do swej wewnętrznej zasady«. (I, 151, odsyłacz 37). Ostatecznie »poprzez przypadkowe i ciągle wahające się stosunki zamienne« stale się jednak »przebija społecznie niezbędny czas pracy, jako regulujące naturalne prawo«. (I, 52). Marx uważa to prawo za »wieczne prawo wymiany towarów« (I, 182), za »racjonalne«, za »naturalne prawo równowagi« (III, 167). Zachodzące

dzące jednak, jak wyżej powiedziano, wypadki, w których towary zostają wymieniane za ceny, odchylające się od ich wartości, są uważane, w stosunku do zasady, za »przypadkowe« (I, 150, odsyłacz 37), a same odchylenia za »naruszenie prawa wymiany towarów«. (I, 142).

Na tej podstawie z teorii wartości buduje Marx drugą część swej doktryny, znaną swoją teorię »nadwartości«. Bada źródło dochodu, który uzyskują kapitaliści ze swoich kapitałów. Kapitaliści wydają pewną sumę pieniędzy, zamieniając ją na towary, i następnie, drogą sprzedaży — po pewnym procesie produkcji, czy też bez niego — zamieniają je znowu na większą już sumę pieniędzy. Skąd pochodzi ten przyrost, ta nadwyżka uzyskanej sumy pieniędzy ponad wydaną poprzednio, ta, jak ją Marx nazywa, »nadwartość«?

Najpierw, zwykłą mu drogą dyalektycznego wykluczenia, ogranicza Marx warunki zagadnienia. Wykazuje, przede wszystkim, że nadwartość nie może wynikać ani z tego, że kapitalista, jako nabywca, z zasady kupuje towary poniżej ich wartości, ani z tego, że jako sprzedawca, sprzedaje je z zasady powyżej ich wartości. Zagadnienie staje tedy w następującej formie: »Nasz... posiadacz pieniędzy musi towar kupić stosownie do jego wartości, sprzedać stosownie do jego wartości, i pomimo to w końcu procesu musi wyciągnąć więcej wartości, niż włożył... Oto są warunki zagadnienia. Hic Rhodus, hic salta!«. (I, 150 i nast.).

Rozwiązanie znajduje Marx w tem, że istnieje towar, którego wartość użytkowa odznacza się tą szczególną cechą, że może być źródłem wartości zamiennej. Tym towarem jest zdolność do pracy czyli siła robocza. Aby ten towar mógł być zaofiarowany na rynku, potrzebne są dwa warunki: robotnik musi być osobiście wolny — bo inaczej nie jego siła robocza, tylko jego osoba, jako niewolnik, byłaby zaofiarowywana; i, robotnik musi być pozbawiony »wszystkich rzeczy niezbędnych dla jego pracy« — gdyż inaczej usiłowałby produkować na własny rachunek, i zaofiarowywałby na rynku swoje produkty, zamiast swej siły roboczej. Za pomocą handlu tym towarem zdobywa tedy kapitalista nadwartość. A to w sposób następujący.

Wartość towaru siły roboczej, jak i wszystkich innych towarów, określa się według czasu pracy, niezbędnego dla

jego odtworzenia, co w tym wypadku oznacza czas pracy, niezbędny dla wytworzenia tyłu artykułów pierwszej potrzeby, ile wymaga utrzymanie robotnika. Jeśli np. wytworzenie niezbędnych środków pierwszej potrzeby na jeden dzień wymaga społecznego czasu pracy długości 6 godzin, a ten czas pracy ucieleśnia się, przypuśćmy, w 3 szylingach, to siła robocza, kupiona na jeden dzień, kosztować będzie 3 szyl. Jeśli kapitalista dopełnił tego kupna, to wartość użytkowa siły roboczej należy do niego, i on ją realizuje, każąc robotnikowi pracować na swoją korzyść. Gdyby kazał mu codzień pracować tylko tyle godzin, ile ich zawiera sama siła robocza, i za ile zapłacił przy kupnie, to nadwartość powstawaćby nie mogła. 6 godzin pracy bowiem, jakieśmy przyjęli, nie mogą nadać większej wartości, niż 3 szyl., produktowi, w którym się ucieleśniają — tyle zaś zapłacił kapitalista, jako płacę roboczą. Ale kapitaliści postępują inaczej. Chociaż nabyli siłę roboczą za cenę, odpowiadającą tylko sześciogodzinnej sile roboczej, każą robotnikowi pracować cały dzień na swoją korzyść. To też produkty, wytworzone w ciągu tego dnia, zawierają więcej godzin pracy, niż ich opłacił kapitalista, i mają większą wartość, niż zapłaconą płacę roboczą; ta różnica stanowi »nadwartość«, która przypada kapitalistom.

Przykład. Przypuśćmy, że robotnik w ciągu 6-u godzin może uprząść na przędzę 10 f. bawełny. Przypuśćmy, że wytworzenie tej bawełny kosztowało 20 godzin pracy, że więc posiada ona wartość 10 szyl. Przypuśćmy dalej, że przędzalnik w czasie sześciogodzinnej pracy w warsztatu zużywa go na tyle, ile odpowiada czterogodzinnej pracy, a przeto przedstawia wartość 2 szyl.; całkowita wartość zużytych w czasie przędzenia środków produkcji będzie tedy wynosiła 12 szyl., odpowiadających 24 godzinom pracy. W trakcie procesu przędzenia »pochłania« bawełna jeszcze dalsze 6 godzin pracy: gotowa przędza jest więc produktem 30 godzin pracy i posiada odpowiednią wartość 15 szyl. Jeśli przypuścimy, że kapitalista każe wynajętemu robotnikowi pracować tylko 6 godzin dziennie, to wytworzenie przędzy kosztuje go też pełne 15 szyl.: 10 szyl. za bawełnę, 2 szyl. za zużycie warsztatu, 3 szyl. jako płacę roboczą. Nadwartości niema wcale.

Rzecz się ma zupełnie inaczej, jeśli kapitalista każe ro-

botnikowi pracować 12 godzin dziennie. W ciągu 12 godzin przerabia robotnik 20 f. bawełny, zawierających już poprzednio 40 godzin pracy, i wskutek tego wartych 20 szyl.; zużycie warsztatu wzrasta do sumy, odpowiadającej 8 godzinom pracy, czyli 4 szyl.; ale w ciągu dnia dodaje do surowca 12 godzin pracy, t. j. nową wartość wysokości 6 szyl. Bilans ustala się więc w sposób następujący. Wytworzona w ciągu jednego dnia przędza kosztowała w sumie 60 godzin pracy, więc posiada wartość 30 szyl. Wydatki kapitalisty wynoszą: 20 szyl. za bawełnę, 4 szyl. za zużycie warsztatu i 3 szyl. na płacę roboczą, czyli razem tylko 27 szyl.; pozostaje »nadwartość« wysokości 3 szyl.

Nadwartość jest więc, zdaniem *Marxa*, skutkiem tego, że kapitalista każe robotnikowi pracować część dnia, nie placąc mu za to wcale. Dzień pracy robotnika daje się podzielić na dwie części. W pierwszej części, w »niezbędnym czasie pracy«, robotnik wytwarza własne środki utrzymania, względnie ich wartość; za tę część swej pracy otrzymuje odpowiednik w postaci płacy roboczej. W drugiej części, w »nadwyżkowym czasie pracy«, jest »wyzyskiwany«, wytwarza »nadwartość«, nie otrzymując wzamian żadnego odpowiednika (I, 205 i nast.). »Kapitał jest więc nie tylko władzą nad pracą, jak mówi *A. Smith*. Jest to w istocie władza nad nieopłaconą pracą. Wszelka nadwartość, niezależnie od tego, w jakiej szczególnej postaci się potem krystalizuje, czy jest procentem, zyskiem, rentą i t. p. jest w substancji swej zmaterjalizowanym nieopłaconym czasem pracy. Tajemnica zyskodawczych zdolności kapitału znajduje swoje rozwiązanie w rozporządzaniu pewną ilością cudzej nieopłaconej pracy« (I, 554).

Takie jest jądro *marxowskiej* teorii wyzysku, jak je *Marx* wyłożył w I-ym tomie »Kapitału«, w trzecim wprowadzie, jak zobaczymy, pomimo woli wchodząc z nim w sprzeczność, ale wcale go nie odwołując. Uważny czytelnik w przykładzie tym rozpozna — po części co prawda nieco przeinaczone wszystkie zasadnicze twierdzenia, z których już *Rodbertus** złożył swoją teorię zysku: więc doktrynę, iż wartość dóbr mierzy się ilością pracy; doktrynę, że praca jedynie wytwarza wszystkie wartości; że robotnik, według umowy z pracodawcą, otrzymuje mniej wartości, niż jej wytwarza, i że do zgody na tę umowę zmusza go nędza;

że nadwyżkę przywłaszcza sobie kapitalista, i że tak otrzymany dochód z kapitału nabiera charakteru rabunku wyniku cudzej pracy.

Wobec istotnej zgodności obu teorii — albo, ściślej mówiąc, obu sformułowań tej samej teorii — prawie wszystko, co powiedziałem, zbijając teorię Rodbertusa, znajduje też zupełne zastosowanie i do Marxa. Mogę się tedy teraz ograniczyć do niektórych uzupełniających rozważań, które uważam za niezbędne, po części, by dostosować krytykę moją w pewnych ustępach do odrębnego sformułowania Marxa, po części zaś, by omówić niektóre rzeczy, istotnie nowe, które Marx do teorii wprowadził.

Najważniejszą z tych nowości jest usiłowanie nie tylko przyjęcia, ale udowodnienia zdania, że wszelka wartość opiera się na pracy. Omawiając doktrynę Rodbertusa zdanie to zwalczałem równie powierzchownie, jak on je stwierdzał: zadowolilem się przytoczeniem paru niewątpliwych wyjątków od tej reguły, nie sięgając do jądra sprawy. W stosunku do Marxa nie chcę i nie mogę się na tem zatrzymać. Zapuszczam się tu wprawdzie na pole, nieraz już i przez wybitnych uczonych przeorane w sporze naukowym, tak, że nie mogę mieć nadziei wypowiedzenia wielu rzeczy nowych. Sądję jednak, że poczytanoby mi za zło, gdybym w książce, poświęconej krytycznemu przedstawieniu teorii zysku z kapitału, nie poddał szczegółowej krytyce twierdzenia, które jedna z najważniejszych teorii uznała dla siebie za podstawowe i całkowicie na niem się oparła. Dzisiejszy stan nauki naszej jest też niestety taki, że odnowienie jakiegoś kierunku krytycznego nie może być uważana za trud zbyt ciężki: właśnie bowiem w chwili obecnej¹⁾ twierdzenie to w coraz szerszych kręgach przyjmowane jest, jako ewangelja, gdy w rzeczywistości jest tylko bajką, opowiedzianą raz przez jednego wielkiego człowieka, a powtarzaną wciąż przez tłum wierzących.

Jako twórców, a zarazem autorytatywnych świadków prawdziwości, doktryny, że wartość wszystkich dóbr opiera się na pracy, cytuję się zazwyczaj dwóch wielkich ludzi: Adama Smitha i Ricarda. Nie bez słuszności, ale też i nie całkiem słusznie. W pismach obydwu znajduje się

¹⁾ Pisane w r. 1884; patrz też wyżej odsył. na str. 14.

wprawdzie ta doktryna; ale Adam Smith często jej też zaprzecza¹⁾, a Ricardo tak zacieśnia zakres jej działalności i przecina ją tylu ważnymi wyjątkami, że nie sądzę, aby można było twierdzić, iż pracę przedstawia jako ogólną i jedyną zasadę istnienia wartości dóbr²⁾. Ricardo otwiera swoje »Principles« wyraźnem oświadczeniem, że wartość zamienna dóbr wypływa z dwóch źródeł: z ich rzadkości i z ilości pracy, którą kosztowało ich wytworzenie. Niektóre dobra, np. rzadkie posagi i obrazy, czerpią wartość swoją wyłącznie z pierwszego źródła i tylko wartość tych dóbr, które praca może mnożyć nieograniczenie — i które wprawdzie zdaniem Ricarda stanowią ogromną większość wszystkich dóbr — określa się za pomocą ilości pracy, którą kosztowały. Ale i w stosunku do tych ostatnich uważa Ricardo za konieczne dalsze ograniczenia. Musi mianowicie zastrzec, że i tutaj wartość zamienna określa się nie tylko na podstawie pracy, gdyż i czas, ubiegający pomiędzy wydatkiem zaliczonej pracy i otrzymaniem gotowego produktu, wywiera na nią znaczny wpływ³⁾.

Tak tedy ani Smith, ani Ricardo nie postawili omawianej zasady tak bezwzględnie, jak się powszechnie przypuszcza. Postawili ją jednak, przynajmniej w pewnem znaczeniu. Zobaczmy, na jakiej podstawie ją oparli.

I tu robimy nadzwyczajne odkrycie: ani Smith, ani Ricardo zasady tej wcale nie udowodnili; przyjęli ją tylko, jako coś zupełnie oczywistego. Oto znane słowa, które wypowiedział na ten temat Smith, a które Ricardo w dosłownem brzmieniu włączył do swojej doktryny:

»Rzeczywistą ceną każdego przedmiotu, którą istotnie uiścić musi ten, kto pragnie go zdobyć, stanowią trud i za-

¹⁾ Np. gdy w 5-ym rozdziale księgi II wyraża się, jak następuje: »Nie tylko pracujący parobcy i dziewczęta dzierżawcy, ale i jego robocze zwierzęta są produkcyjnymi robotnikami; a dalej: »W rolnictwie przyroda współpracuje z człowiekiem; i chociaż praca jej nic nie kosztuje, to produkty jej mają swoją wartość, podobnie jak produkty najdrożej opłacanego robotnika«. Porówn. Knies, Der Kredit, cz. II, str. 62.

²⁾ Porównaj na ten temat Verrija Stuarta piękne studjum: »Ricardo i Marx« i mój rozbiór tej pracy w Conrads Jahrbücher, III Folge, Bd. I (1891) str. 877 i nast.

³⁾ Patrz wyżej str. 45 i Knies'a op. cit., str. 66 i nast.

biegi jego zdobycia. W oczach człowieka, który przedmiot zdobył i pragnie nim rozporządzać, t. j. wymienić go na coś innego, to co ten przedmiot jest rzeczywiście wart (is really worth) jest to wysiłek i zabiegi, których mu oszczędzi i pozwoli narzucić innym¹⁾.

Wstrzymajmy się tu na chwilę. Smith wypowiada słowa te takim tonem, jak gdyby prawda ich bezpośrednio miała zabłysnąć. Czy rzeczywiście jest ona tak jasną? Czy istotnie wartość i trud są tak związanymi pojęciami, że od pierwszego wejrzenia bezpośrednio się pojmuje, iż trud jest przyczyną wartości? — Sądzę, że żaden bezstronny człowiek nie będzie mógł tego stwierdzić. Że trudziłem się, by zdobyć jakiś przedmiot, to jeden fakt; że przedmiot ten wart jest trudu, to fakt drugi i różny od pierwszego; a że oba te fakty nie zawsze idą ręką w rękę, to doświadczenie zbyt pewnie wskazuje, by mogły co do tego powstać wątpliwości. Każdy z niezliczonych daremnych trudów, które codziennie, czy to z powodu niezręczności technicznej, czy to z błędnego obliczenia, czy poprostu nieszcześliwym zbiegiem okoliczności, do żadnego rezultatu nie doprowadzają, służyć tu może za świadectwo, podobnie, jak każdy z licznych wypadków, w których nieznaczny trud wynagradza wysoka wartość. Takim jest zajęcie bezpańskiego gruntu, znalezienie drogiego kamienia, odkrycie złotej żyły. Ale nawet pomijając takie wypadki, które mogą się wydawać wyjątkami i odchyleniami od zasadniczego przebiegu rzeczy, faktem jest równie niewątpliwym i zupełnie normalnym, że taki sam trud różnych osób posiada bardzo rozmaitą wartość. Owoc czterogodniowego trudu wybitnego artysty będzie miał z reguły sto razy większą wartość, niż owoc czterogodniowego również trudu zwykłego malarza pokojowego. Czyżby to było możliwe, gdyby trud był istotnie zasadą wartości? Gdyby rzeczywiście wskutek bezpośredniego psychologicznego związku naszą sąd o wartości opierać się musiał na względach trudu i uciążliwości i na niczem więcej? Albo może przyroda jest tak arystokratyczną, że przez swoje prawa psychologiczne zmusza naszą psychę do ocenienia trudu artysty sto razy wyżej od skromniejszego trudu

¹⁾ Inquiry, księga I, rozdz. V (str. 13 wydania Mc. Culloch'a), Ricardo, Principles, Chapt. I.

malarza pokojowego?¹⁾ — Sądzę, że każdy, kto się zastanawia trochę, zamiast ślepo wierzyć, dojdzie do przekonania, że nie może być mowy o bezpośrednio się narzucającym, wewnętrznym związku pomiędzy trudem, a wartością, który zdaje się przyjmować ten ustęp Smitha.

Ale czy ten ustęp rzeczywiście odnosi się tylko do wartości zamiennej, jak się zazwyczaj przyjmuje? Sądzę, że i tego twierdzić nie będzie bezstronny czytelnik. Nie odnosi się on ani do wartości zamiennej, ani do wartości użytkowej, ani wogóle do żadnej »wartości« w ściśle naukowym znaczeniu. Smith użył tutaj słowa »wartość«, jak to wskazuje samo wyrażenie (worth, nie value), w tem najszerszem, mglistem znaczeniu, w którym żyje ono w mowie potocznej. Rys to bardzo znamieny. W nieświadomem poczuciu, że ściśle naukowa myśl zdania tego przyjąć nie zechce, zwraca się Smith za pośrednictwem mowy potocznej do mniej surowo kontrolowanych wrażeń codziennego życia, a to, jak wykazało doświadczenie, nie bez skutku, którego zresztą z punktu widzenia interesów nauki gorąco należy żałować.

Jak mało ten cały ustęp może sobie rościć prawa do tytułu naukowej ścisłości, okazuje się wreszcie z tego, że

¹⁾ Smith w ten sposób załatwia się ze wzmiankowanym w tekście zjawiskiem: »Jeśli pewien rodzaj pracy wymaga niezwykłego stopnia zręczności i subtelności, to, wskutek szacunku, jaki otacza takie talenta, przypisuje się wyższą wartość produktom, przez nie stworzonym, niżby to wynikało z prostego obliczenia zużytego na to czasu. Takie talenta rzadko dają się zdobyć inaczej, niż przez wytrwałą pracę, i wyższa wartość ich wytworów jest z tego wycyżaj poprostu słusznem odszkodowaniem za zużyte na ich zdobycie czas i trud«. (I księga, VI rozdz.). Niewystarczalność takiego wyjaśnienia jest oczywista, jakby na dłoni. Przedewszystkiem rzecz jasna, że wyższa wartość produktów wyjątkowo zdolnych ludzi opiera się na zupełnie innej przyczynie, niż »szacunek, który otacza takie talenta«. Iluż to poetom i uczonym pozwala publiczność głodować, pomimo wysokiego szacunku, należnego ich talentom, a ilu niesumiennym spekulantom zapłaciła setki tysięcy za ich zręczność, chociaż wcale ich »talentów« nie poważa? Ale przypuśćmy nawet, że szacunek jest podstawą wartości; ale prawa, że wartość opiera się na trudzie, nie tylko to nie umacnia, a zgola mu przeczy. — W drugim zaś cytowanym zdaniu, gdzie Smith usiłuje sprowadzić tę wyższą wartość do trudu, poświęconego nabyciu zręczności, sam autor, wprowadzając słowo »zazwyczaj«, przyznaje iż nie jest to wystarczającym wyjaśnieniem dla wszystkich wypadków. Sprzeczność więc pozostaje.

w niewielu jego słowach zmieściła się jeszcze jedna sprzeczność. Właściwość stawiania się zasadą »prawdziwej« wartości przypisuje Smith równocześnie trudowi, którego nam oszczędza posiadanie pewnego dobra i trudowi, który możemy zrzucić na kogoś innego. Są to zaś dwie wielkości, które, jak każdemu wiadomo, wcale nie są identyczne. Pod panowaniem podziału pracy trud, którybym ja osobiście musiał poświęcić, by wejść w posiadanie pożądanego przedmiotu, jest zazwyczaj o wiele większy od trudu, z którym wytwarza go fachowo wykształcony robotnik. Któryż tedy z tych dwóch trudów określa prawdziwą wartość, »zaoszczędzony«, czy »zapechnięty na inną osobę«?

Jednem słowem, znakomity ustęp, w którym nasz stary mistrz Smith wprowadza do teorii wartości zasadę pracy, jest ogromnie daleki od tego, co się w nim zazwyczaj chce widzieć, od wielkiego i dobrze udowodnionego podstawowego twierdzenia nauki. Nie jest przekonujący sam przez się, nie podtrzymuje go najmniejsza argumentacja; ma nie dbałą treść i niedbałą szatę oklepanej sentencji, przeczy wreszcie sam sobie. Że pomimo to uwierzono w twierdzenie to ogólnie, zawdzięcza ono, mojem zdaniem, połączeniu dwóch okoliczności: popierwsze, wypowiedział je nie kto inny, jak Adam Smith; powtóre zaś, wypowiedział je bez żadnego umotywowania. Gdyby Adam Smith z jednym słowem umotywowania zwrócił się do głowy, zamiast mówić bezpośrednio do uczucia, to głowa nie dałaby sobie odebrać prawa rozsądnego zbadania dowodów, i słabość ich wyszłaby na światło dzienne. Tylko z zasadzki mogą takie doktryny zwyciężać.

Posłuchajmy jednak dalej, co mówi Smith, a za nim Ricardo: »Praca stanowiła najpierwszą cenę, pierwotne pieniądze nabywcy, uiszczane za wszystkie przedmioty«. — Zdanie to jest dosyć nieszkodliwe, ale też dla zasady wartości niema żadnego znaczenia.

»W tym wczesnym i nieokrzesanym stanie społeczeństwa, który poprzedza zarówno nagromadzenie kapitałów, jak i zawłaszczenie ziemi, stosunek między ilościami pracy niezbędnymi dla zdobycia różnych przedmiotów pracy stanowi bodaj jedyną okoliczność, która daje jakąś podstawę do wymienienia ich nawzajem. Jeśli np. w szczepie myśliwych zabicie bobra kosztuje zazwyczaj dwa razy tyle pracy, co

zabicie jelenia, to oczywiście jeden bóbr musi być wymieniany za dwa jelenie, czyli jest wart dwa jelenie. Oczywiście jest rzeczą, że to, co zazwyczaj stanowi produkt dwudniowej, czy dwugodzinnej pracy, musi być dwa razy więcej warte, niż to, co zazwyczaj bywa produktem pracy jednodniowej lub jednogodzinnej«.

I w tych słowach daremniebyśmy szukali śladu jakiegokolwiek motywacji; Smith mówi poprostu: »stanowi bodaj jedyną okoliczność«, »oczywiście musi«, »oczywiście jest rzeczą« i t. d., ale pozostawia czytelnikowi staranie o przekonanie się o »oczywistości« tych twierdzeń. Dodajmy nawiasem, że zadanie to niełatwe dla krytycznego czytelnika. Bo jeśli wogóle ma być »oczywistem«, że produkty wymieniają się jedynie w stosunku do czasu pracy, który kosztowało ich zdobycie, to musiałoby też np. być oczywistem, że dla dzikich jakiś rzadki, wielobarwny motyl, albo rzadka jadalna żaba mogą być dziesięć razy więcej warte od jelenia, skoro trzeba ich z reguły szukać przez dziesięć dni, gdy tamtego zabić można zazwyczaj kosztem jednodniowej pracy: stosunek, którego »oczywistość« nikomu nie wyda się przekonującą.

Wnioski z tych ostatnich rozważań ująć można, zdaje mi się, w sposób następujący: Smith i Ricardo sformułowali twierdzenie, iż praca jest zasadą wartości dóbr, jedynie jako aksjomat, bez żadnego udowodnienia; tymczasem nie jest ono wcale aksjomatem. Jeśli się je tedy chce wogóle utrzymać, to trzeba się wyrzec autorytetu Smitha i Ricarda i szukać gdzieindziej samodzielnej motywacji.

Rzecz to istotnie szczególna, że prawie nikt z ich następców tego nie uczynił. Ci sami ludzie, którzy pozatem od góry do dołu przeorywali ostrzem swej krytyki najdawniej przyjęte doktryny, którym żadne wieloletnie twierdzenie nie wydawało się tak mocne i pewne, by nie należało go znów kwestjonować i badać wystarczalności dowodzeń, ci sami ludzie wyrzekli się krytyki właśnie wobec najważniejszego podstawowego twierdzenia, które zaczerpnęli ze starej doktryny. Od Ricarda do Rodbertusa, od Sismondiego do Lassalle'a imię Adama Smitha jest jedynym argumentem, który uważano za niezbędne podawać na korzyść tej doktryny; od siebie dodaje się tylko liczne zapewnienia, że zdanie to jest prawdziwe, niewątpliwe, nie-

odparte; niema ani jednej próby istotnego dowiedzenia tej prawdziwości, istotnego odparcia zarzutów, istotnego rozwiania wątpliwości. Ludzie pełni pogardy dla dowodzeń opartych na autorytecie — zadawają się sami powołaniem się na autorytet; wrogowie twierdzeń przyjmowanych bez dowodzenia zadawają się sami twierdzeniami bez dowodów. Tylko nader nieliczni zwolennicy teorii pracy, jako jedyne źródła wartości, stanowią od tej reguły wyjątek, i jednym z tych nielicznych jest Marx.

Każdemu, kto wogóle szuka rzeczywistego uzasadnienia dla tej tezy, nasuwają się same przez się dwie naturalne drogi, na których takiego uzasadnienia można szukać i znaleźć: empiryczna i psychologiczna. Można mianowicie poprostu badać poznane z doświadczenia stosunki zamienne towarów i sprawdzać, czy doświadczenie wykazuje w nich harmonję pomiędzy wielkością wartości zamiennej i wydatkiem pracy; albo też — przy bardzo używanem w nauce naszej połączeniu indukcji z dedukcją — roztrząsać psychologiczne motywy, kierujące ludźmi z jednej strony przy zawieraniu transakcyj wymiennych i ustalaniu stosunków zamiennych, z drugiej zaś przy ich współudziale w produkcji — i z właściwości tych motywów wyprowadzać wnioski, dotyczące się typowego sposobu działania ludzi, przyczem mógłby się też przejawić związek pomiędzy normalnie żądanymi i uzyskiwanymi cenami i niezbędnymi dla wytwarzania towarów ilościami pracy. Marx tymczasem nie wybrał żadnej z tych naturalnych dróg badania i, rzecz ciekawa, z trzeciego tomu jego pracy dowiadujemy się, że sam on doskonale wiedział, iż ani badanie faktów, ani analiza działających przy »współzawodnictwie« psychologicznych sił nie mogłyby doprowadzić do pomyślnych dla jego tezy wniosków.

Zamiast tego, obiera Marx trzeci sposób dowodzenia, nieco dziwny dla podobnego przedmiotu: drogę czysto logicznego dowodzenia, dyalektycznej dedukcji z istoty wymiany.

Marx znalazł już u starego Arystotelesa ideę, że »wymiana nie może powstać bez zrównania, a zrównanie bez współmierności« (I, 35). Do tej idei tedy nawiązuje swe wywody. Przedstawia sobie wymianę dwóch towarów, jako zrównanie, przypuszcza, że w dwu wymienionych, a więc zrównanych, przedmiotach musi istnieć »coś wspólne

w tych samych rozmiarach«, i zaczyna szukać tego czegoś wspólnego, do czego zrównane przedmioty, jako wartości zamienne, mogą być »sprowadzone«¹⁾.

Chciałbym tu nawiasem zwrócić uwagę, że już pierwsze przypuszczenie, że w wymianie dwóch przedmiotów wyrazić się winno ich »zrównanie«, wydaje mi się bardzo niewspółcześnie — co zresztą ma niewielkie znaczenie — ale też bardzo nierealnie, albo, ściślej mówiąc, nieprawidłowo pomyślane. Tam, gdzie panuje równość i ścisła równowaga, nie występuje zazwyczaj żadna zmiana w dotychczasowym stanie spoczynku. Jeśli tedy w wypadku wymiany rzecz tem się kończy, że towary zmieniają właścicieli, to jest to raczej znakiem, że w grę wchodzi jakaś nierówność, przewaga jednej strony, która wymusiła zmianę — zupełnie tak samo, jak kiedy następują nowe związki chemiczne pomiędzy częściami składowymi doprowadzonych do zetknięcia złożonych ciał. Chemiczne »pokrewieństwo« pomiędzy częściami składowymi obcych ciał nie jest równie silne, ale silniejsze, niż pomiędzy częściami składowymi dotychczasowych związków. Faktycznie współczesna ekonomja zgadza się na to, że stary scholastyczno-teologiczny pogląd na »odpowiedniki« wymienianych wartości jest błędny. Ale nie będę już robił dalszego nacisku na ten punkt, i przejdę do krytycznego badania logicznych i metodycznych operacji, za pomocą których Marx wydestylowuje pracę, jako tę poszukiwaną »wspólną cechę«.

Przy poszukiwaniu charakterystycznej dla wartości zamiennej »wspólnej cechy« postępuje Marx w sposób następujący. Odbywa przegląd różnych właściwości, jakie porównywane przy wymianie przedmioty naogół posiadają, następnie metodą wykluczania wydziela te, które próby nie wytrzymują, aż do chwili, gdy zostanie tylko jedna właściwość. Ta — a jest nią fakt, że przedmiot jest produktem pracy — jest właśnie poszukiwaną ogólną właściwością.

Postępowanie to jest nieco dziwne, lecz samo przez się nie do odrzucenia. Zapewne, nieco to dziwne, gdy zamiast wprost poddać badaniu domniemaną charakterystyczną właściwość — coby wprawdzie doprowadziło do jednej z dwu omawianych, pominiętych przez Marxa me-

¹⁾ I, str. 11; patrz wyżej str. 60 i nast.

tod — zdobywa się sobie przekonanie, iż ona to właśnie jest tą poszukiwaną właściwością, jedynie drogą negatywną, udowadniając, że wszystkie inne właściwości nie posiadają cech wymaganych, podczas gdy któraś posiadać je musi. Bądź co bądź, metoda ta może prowadzić do upragnionego celu, jeśli traktowana jest z niezbędną ostrożnością i dokładnością; t. j. jeśli się ze skrupulatną troskliwością baczny, by wszystko, co do zagadnienia należy, przesiane zostało istotnie przez to logiczne sito, a następnie, by nie została pominięta najmniejsza cząsteczka przez sito to zatrzymana.

Jakże postępuje Marx?

Przedewszystkiem do sita swego dopuszcza tylko te przedmioty, posiadające wartość zmienną, które się odznaczają właściwością, którą on ostatecznie, jako »wspólną« chce przesiać, a wszystkie inne pozostawia nazewnątr. Robi to, jak ktoś, pragnący gorąco, by z urny wyszła biała galka, i wynik ten przezornie przygotowujący, kładąc do urny wyłącznie białe galki. Odrazu ogranicza zakres badań swoich nad substancją wartości zamiennej do »towarów«, pojęcie to, nie określając go dokładnie, ujmuje bądź co bądź ciaśniej niż pojęcie »dóbr« i obejmuje niem produkta pracy w przeciwstawieniu do darów przyrody. Jasne jest jednak jak dzień: jeśli wymiana istotnie oznacza zrównanie, przypuszczające istnienie »czegoś wspólnego o tej samej wielkości«, to tej cechy wspólnej szukać i znaleźć ją można we wszystkich gatunkach dóbr, które bywają wymieniane: nie tylko w produktach pracy, ale i w darach przyrody, jak ziemia, drzewo na pniu, siła wodna, pokłady węgla, złomy kamienie, zbiorniki ropy, pokłady minerałów, żyły złote i t. p.¹⁾

Wykluczanie dóbr, posiadających wartość zmienną, a nie będących produktami pracy z poszukiwań, mających na celu odkrycie cechy wspólnej, będącej podstawą wartości zamiennej, jest w tych warunkach teoretycznym grzechem śmiertelnym. Nie byłoby gorzej, gdyby fizyk chciał odnaleźć przyczynę wspólnej wszystkim ciałom właściwości,

¹⁾ Słusznie zwraca się przeciw Marxowi Knies: »W wykładzie Marxa niema absolutnie żadnej przyczyny, uniemożliwiającej istnienie obok równania: 1 korzec pszenicy = a centnarom wytworzonego w zagospodarowanym lesie drzewa, innego równania: 1 korzec pszenicy = a centnarom dziko rosnących drzew, = b morgom dziewiczej ziemi, = c morgom pastwisk na naturalnych łąkach«. (Das Geld, I. wyd. str. 121, II wyd. str. 157).

np. ciężkości, za pomocą przesiewania właściwości jednej jedynej grupy ciał, np. ciał przezroczystych, i, przeglądając wszystkie przezroczystym ciałom wspólne właściwości, wykazał, że żadna z nich nie może być przyczyną ciężkości, a potem na tej podstawie oświadczył, że przyczyną ciężkości jest przezroczystość.

Wykluczenie darów przyrody, (któreby napewno na myśl nie przyszło ojcu idei zrównania przy wymianie, Arystotelesowi) tem trudniejsze jest do przeprowadzenia, że nie które dary przyrody, jak na przykład ziemia, należą do najważniejszych przedmiotów posiadania i handlu, i że do prawdy trudno się zgodzić na przypuszczenie, że dla darów przyrody wartości zamienne ustalają się zawsze tylko dowolnie i przypadkowo. Z jednej strony przypadkowe ceny zdarzają się i w stosunku do produktów pracy, z drugiej zaś ceny darów przyrody wykazują wyraźną skłonność do stałych punktów oparcia i przyczyn określających. Równie dobrze wiadomem jest np., że cena kupna kawałków ziemi przedstawia ich rentę, pomnożoną przez pewną sumę, określoną przez przyjętą w kraju stopę zysku, tak, że drzewo na pniu, albo węgiel w zagłębiu przy różnej ich dobroci i różnem położeniu z różnymi warunkami wydobywania osiąga różne ceny nie tylko z prostego przypadku i t. p.

Marx też unika zdania sprawy z tego, że z góry wykluczył z badania swego część dóbr, posiadających wartość zmienną; nie mówi też, dlaczego to uczynił. I tu, jak w różnych drażliwych ustępach swego rozumowania, umie wysliznąć się, jak węgorz, z przedziwną dialektyczną zręcznością. Przedewszystkiem unika zwrócenia czytelnikowi uwagi, że jego pojęcie »towaru« jest węższe, niż pojęcie ogólne dobra, posiadającego wartość zmienną. Dla późniejszego ograniczenia badania do towarów przygotowuje nadzwyczaj zręcznie naturalny punkt wyjścia w ogólnem, napozór zupełnie niewinnem zdaniu, które stawia na czele swej książki, że »bogactwo społeczeństw, w których panuje kapitalistyczny system produkcji, przedstawia się, jako olbrzymie nagromadzenie towarów«. Zdanie to jest zupełnie fałszywe, jeśli wyrażenie »towa« rozumieć będziemy w sensie produktu pracy, który mu później Marx nadaje. Dary przyrody bowiem, z ziemią włącznie, stanowią bardzo znaczną i wcale nie obojętną część składową narodowego bogactwa.

Ale nieuprzedzony czytelnik łatwo przechodzi nad tą niecisłością do porządku, ponieważ nie wie, że Marx później wyrażeniu »towař« nada sens jeszcze ciałniejszy.

I w dalszym ciągu również nie jest to jeszcze jasno postawione. Przeciwnie, w pierwszych ustępach pierwszego rozdziału mowa jest z kolei o »przedmiocie«, o »wartości użytkowej«, o »dobrze« i o »towařze«, bez przeprowadzenia wyraźnego rozróżnienia pomiędzy temi ostatniemi pojęciami, a pierwszymi. »Użyteczność przedmiotu« — czytamy na str. 10, — »czyni go wartością użytkową«. »Ciało, stanowiące towař... jest wartością użytkową, czyli dobrem«. Na str. 11 czytamy: »Wartość zamienna przedstawia się nam... jako stosunek ilościowy... w którym wartości użytkowe jednego rodzaju wymieniają się na wartości użytkowe innego rodzaju«. Zwróćmy uwagę, że tutaj jako bohater zjawiska wartości zamiennej występuje jeszcze wartość użytkowa = dobro. W dalszym ciągu Marx, zaczynając od zdania »przypatrzmy się sprawie bliżej«, które zdawałoby się nie zwiastuje przeskoku do innego ciałniejszego zakresu badania, powiada: »Poszczególne towař, korzec pszenicy, wymienia się w najróżnorodniejszych proporcjach na inne artykuły«. I »weźmy dalej dwa towařy« i t. d. W tym samym ustępie powraca raz jeszcze wyrażenie »przedmioty«, i to w tym ważnym dla zagadnienia zwrocie, że »coś wspólnego w tych samych rozmiarach istnieje w dwóch różnych przedmiotach« zrównanych ze sobą przy wymianie).

Na następnej stronie 12-ej prowadzi jednak Marx dalej poszukiwania tej »cechy wspólnej« tylko dla »wartości zamiennej towařów«, najmniejszym słoweczkiem nie zwracając uwagi na to, że ogranicza przez to pole badania do jednej cząstki przedmiotów, posiadających wartość zamienną¹⁾. I zaraz na następnej stronie 13-ej ograniczenie to znów się porzuca, i dopiero-co wyciągnięty dla ciałniejszego zakresu towařów wniosek zastosowuje się do szerszego

¹⁾ W tym samym ustępie, w cytacie z Barbona raz jeszcze zatartą zostaje różnica pomiędzy towarami i przedmiotami: »Jeden rodzaj towařu jest równie dobry, jak każdy inny, jeśli ich wartość zamienna jest równa. Nie istnieje bowiem żadna różnica, ani żaden sposób rozróżniania pomiędzy rzeczami o jednakowej wartości zamiennej!«

kręgu wartości użytkowej dóbr. »Wartość użytkowa czyli dobro ma więc dlatego tylko wartość, że ucieleśniona w niej jest, czy zmaterializowana, abstrakcyjna ludzka praca!«

Gdyby Marx nie ograniczył badania do produktów pracy, ale szukał tej wspólnej cechy i u darów przyrody, posiadających wartość zamienną, to byłoby zupełnie jasne, że praca tą wspólną cechą być nie może. Gdyby to ograniczenie przeprowadził wyraźnie i otwarcie, to i on sam i czytelnicy przeprowadził napewno potknęliby się na tym wyraźnym błędzie metodologicznym, i musieli by się uśmiechnąć z naiwnej sztuczki, za pomocą której fakt, iż dany przedmiot jest produktem pracy wypromowany zostaje na wspólną właściwość pewnego koła przedmiotów, nie będących produktami pracy, a posiadających wartość zamienną, i z natury swojej do tego koła należących. Sztuczkę tę można było przeprowadzić w ten sposób, jak to uczynił Marx, znienacka, za pomocą dialektyki, szybko i lekko prześlizgując się nad niebezpiecznym miejscem. Wyrażając słuszny swój podziw dla zręczności, z jaką Marx potrafił przedstawić taką błędną manipulację, jako możliwą do przyjęcia, mogą oczywiście tylko stwierdzić, że manipulacja jest zupełnie błędna.

Ale przyjrzyjmy się temu dalej. Za pomocą dopiero-co opisanej sztuczki doszedł Marx do stwierdzenia, że praca wogóle może wystąpić do współzawodnictwa. Na skutek sztucznego ograniczenia koła stała się naogół jedną »wspólną« dla tego kręgu właściwością. Ale obok niej mogły też w grę wchodzić, jako wspólne, i inne właściwości. W jaki sposób usuwa się tych innych współzawodników?

Czynią to dwa dalsze ogniwa biegu myśli, z których każdy zawiera tylko kilka słów, ale w tych kilku słowach mieści się nadzwyczaj gruby błąd logiczny.

W pierwszym ogniwie wyklucza Marx wszystkie »geometryczne, fizyczne, chemiczne i inne naturalne właściwości towařów«. »Materjalne właściwości towařów« bowiem »wtedy tylko wchodzi w grę, gdy czynią je użytecznymi, wartościami użytkowymi. Z drugiej jednak strony stosunek zamienny towařów charakteryzuje się najwidoczniej abstrahowaniem od ich wartości użytkowych. Bo »w tych granicach (stosunku zamiennego) każda wartość użytkowa

znaczy tyleż, co każda inna, jeśli tylko istnieje w należytej proporcji» (I, 12).

Coby powiedział Marx na taką naprzykład argumentację? Na pewnej operowej scenie występują trzej wybitni śpiewacy, tenor, bas i baryton, i każdy z nich otrzymuje wynagrodzenie wysokości 20.000 fl. Powstaje pytanie, jaka jest wspólna okoliczność, dzięki której wynagrodzenia ich są równe? A ja odpowiadam: W kwestji wynagrodzenia jeden dobry głos znaczy tyleż, co każdy inny, dobry głos tenorowy tyleż, co dobry głos basowy, lub barytonowy, jeśli tylko każdy z nich istnieje w należytej proporcji. A więc w kwestji wynagrodzenia »najwidoczniej« abstrahujemy od dobrego głosu, a więc dobry głos nie może być wspólną przyczyną wysokiego wynagrodzenia. — Jasne, że ta argumentacja jest fałszywa. Ale też równie jasne, że ani o włos nie jest prawdziwszym ostatecznym wnioskiem Marxa, na którym jest ściśle wzorowana. Oba rozumowania zawierają ten sam błąd. Nie rozróżniają abstrahowania od pewnej okoliczności w ogóle i od szczególnych odmian, w których występuje ta okoliczność. W naszym przykładzie obokętną jest dla kwestji wynagrodzenia tylko szczególna odmiana, w której występuje dobry głos, czy to jako tenor, czy jako bas, czy jako baryton, ale wcale nie dobry głos w ogólności. I podobnie przy stosunku zamiennym towarów abstrahujemy od szczególnych odmian, w których się przejawiać może wartość użytkowa towaru, od tego, czy towar służy za pożywienie, mieszkanie, ubranie i t. p., ale wcale nie od wartości użytkowej w ogóle. Że nie można od niej bezkarnie abstrahować, mógłby już Marx zauważyć chociażby z tego, że nie może być wartości zamiennej tam, gdzie niema wartości użytkowej; fakt ten sam Marx niejednokrotnie musi stwierdzać¹⁾.

¹⁾ Np. na str. 15 przy końcu: »Wreszcie żaden przedmiot nie może być wartością, jeśli nie jest przedmiotem użytku. Jeśli przedmiot jest bezużyteczny, to i zawarta w nim praca jest bezużyteczna, nie liczy się, jako praca (sic!) i nie tworzy żadnej wartości. — Na piętnowany w tekście błąd logiczny zwrócił już poprzednio uwagę Knies. Patrz Das Geld, Berlin 1873, str. 123 i nast. (2 wyd. str. 160 i nast.). Dziwnie nie zrozumiał mojego argumentu Adler (Grundlagen der Karl Marxschen Kritik, Tübingen 1887, str. 211 i nast.), który odpowiedział mi nań, że dobre głosy nie są wcale towarami w Marxowskim sensie. Nie cho-

Ale jeszcze gorzej ma się rzecz z następsem ogniwnem dowodzenia. »Jeśli pominiemy wartość użytkową ciał, stanowiących towary« — powiada dosłownie Marx — »to pozostaje im jeszcze jedna właściwość, a mianowicie ta, że są produktami pracy«. Istotnie? Tylko jedna jeszcze właściwość? Czy np. nie pozostaje dobrom, posiadającym wartość zamienną, ta jeszcze wspólna właściwość, że są rzadkie w stosunku do zapotrzebowania? Albo, że są przedmiotami podaży i popytu? Albo, że są »produktami przyrody«? Bo że są w równym stopniu produktami przyrody i produktami pracy, powiada najwyraźniej sam Marx: »Ciała, stanowiące towary, są związkiem dwóch pierwiastków, naturalnego materiału i pracy«; albo cytując z uznaniem słowa Petty'ego: »Praca jest jego (materiałnego bogactwa) ojcem, a ziemia matką«¹⁾.

Dlaczego tedy, zapytuję, zasada wartości nie może równie dobrze mieścić się w którejkolwiek z tych ogólnych właściwości, tylko w tej, że towary są produktami pracy? Na korzyść jej nie przytoczył przecie Marx ani cienia pozytywnego dowodu; jego jedynym dowodem jest negatywne stwierdzenie, że wartość użytkowa, od której szczęśliwie abstrahujemy, nie jest zasadą wartości zamiennej. Ale czy ten negatywny dowód nie mógłby być wysunięty w równym stopniu na korzyść wszystkich innych, pominiętych przez Marxa właściwości?

Więcej jeszcze! Na tej samej str. 12, na której abstrahował od wpływu wartości użytkowej na wartość zamienną, motywując to tem, że dana wartość użytkowa znaczy tyleż, co każda inna, byle istniała w należytej proporcji, opowiada

dziło mi wcale o to, czy »dobre głosy« dadzą się jako dobra gospodarcze podciągnąć pod Marxowskie prawo wartości tylko o stworzenie wzoru logicznego wniosku, wykazującego ten sam błąd, który znajdujemy we wniosku Marxa. Mógłbym dla tego celu wybrać równie dobrze przykład, nie należący wcale do zakresu gospodarki. Mógłbym np. równie dobrze wykazać, że według logiki Marxa cecha wspólna ciał wielobarwnych może się znajdować w Bóg wie czym, ale nie w zmieszaniu różnych barw. Jedno bowiem zmieszanie barw, np. białej, błękitnej, żółtej, czarnej, fioletowej znaczy dla wielobarwności tyleż, co każde inne zmieszanie barw np. zielonej, czerwonej, pomarańczowej, szafirowej i t. p., jeśli tylko istnieje »w należytej proporcji«; a więc w konsekwencji abstrahujemy od barwy i mieszaniu barw!

¹⁾ Das Kapital, str. 17 i nast.

nam Marx o produktach pracy, co następuje: »Ale i ten produkt pracy nie jest tem, czem się wydaje. Jeśli abstrahujemy od jego wartości użytkowej, to abstrahujemy też od materialnych części składowych i postaci, które go czynią wartością użytkową. Nie jest to już stół, dom, czy przedza, czy wogóle jakakolwiek rzecz użyteczna. Nie jest to już również produkt pracy stolarza, murarza, czy prządki, czy wogóle jakiejś określonej produkcyjnej pracy. Z użytecznym charakterem produktu pracy ginie też użyteczny charakter przedstawionych przezeń prac, znikają też i różne konkretne formy tych prac, nie różnią się już one pomiędzy sobą, sprowadzone są wszystkie do tej samej ludzkiej pracy, abstrakcyjnej ludzkiej pracy«.

Czyż można jaśniej i dobitniej wyrazić, że w stosunku zamiennym nie tylko wartość użytkowa, ale też rodzaj pracy i produktu pracy »znaczy tyleż, co każdy inny, byle tylko istniał w należytej proporcji?« że, innymi słowy, dokładnie ten sam stan faktyczny, na podstawie którego Marx wydał swój wyrok, wykluczający wartość użytkową, istnieje też w stosunku do pracy? Praca i wartość użytkowa mają stronę jakościową i ilościową. Wartość użytkowa, stołu, domu, czy przedzi, różną jest jakościowo i podobnie różną jest jakościowo praca stolarza, murarza czy prządki. I jak różnego rodzaju pracę można porównywać na podstawie jej ilości, tak i różne wartości użytkowe można porównywać na podstawie ich wielkości. I zupełnie niepojęte jest, dlaczego identyczny stan rzeczy jednego współzawodnika prowadzi do wykluczenia, a drugiego do najwyższej chwały! Gdyby przypadkiem Marx przestawił kolejność badań, to za pomocą tego samego wniosku, które go doprowadziło do wykluczenia wartości użytkowej, wykluczyłby mógł pracę, i znów za pomocą tego samego wniosku, przez które wyniósł pracę, mógłby wartość użytkową ogłosić za jedyną pozostającą, a więc tą właśnie poszukiwaną wspólną właściwością, a wartość za »zakrepiłą wartość użytkową«. Sądzę, że nie tylko dla żartu, ale zupełnie poważnie w obu ustępach str. 12, gdzie się abstrahuje od wpływu wartości użytkowej, i pracę przedstawia, jako poszukiwaną cechę wspólną, możnaby było przestawić podmioty bez żadnego zamącenia zewnętrznej logicznej prawidłowości; w tym samym ukła-

dzie zdań pierwszego ustępu zamiast wyrażenia »wartość użytkowa« możnaby wstawić wszędzie »praca« i »produkty pracy«, a w układzie zdań drugiego zamiast wyrażenia »praca« umieścić »wartość użytkową«!

Tak wygląda logika i metodyka, z jaką Marx wprowadza do swego systemu zasadnicze twierdzenie o pracy, jako jedynej podstawie wartości: Jak to niedawno mówiłem na innym miejscu¹⁾, uważam za zupełnie wykluczone, by ten dialektyczny hokus-pokus był dla samego Marx'a przekonujący. Myśliciel tej miary, co Marx — a uważam go za siłę myślową pierwszego rzędu, — gdyby chodziło mu o ukształtowanie naprzd własnego swego przekonania, i o istotne szukanie swobodnem, bezstronnem okiem faktycznej związku pomiędzy rzeczami, nie mógłby zacząć poszukiwań na tej krętej i sprzecznej z naturą drodze, nie mógłby poprostu nieszczęśliwym zbiegiem okoliczności brnąć z kolei w te wszystkie, wskazane wyżej, logiczne i metodologiczne błędy, i nie mógłby wyprowadzić jako naturalnie wypływającego z tej drogi badania, nieznanego przedtem i nieprzygotowanego wniosku tezy o pracy, jako o jedynem źródle wartości.

Sądzę, że w istocie rzecz się miała inaczej. Nie wątpię wcale, że Marx był rzeczywiście i uczciwie przekonany o słuszności swojej tezy. Ale podstawy tego przekonania różnią się od tych, które podał w swoim systemie. Wierzył on w swoją tezę, jak fanatyk wierzy w dogmat. Opanowany był bezwątpienia przez to samo mgliste, powierzchowne, przez rozsadek niezbyt ściśle kontrolowane wrażenie, które już Adama Smitha i Ricarda doprowadziło do wypowiedzenia podobnych idei; nie dopuszczał do siebie najmniejszej wątpliwości co do jego słuszności. Dla niego zdanie to stało niewzruszenie, jak aksjomat. Ale czytelnikowi musiał go dowieść. Empirycznie i gospodarczo-psychologicznie dowieść go nie było można: zwrócił się tedy do odpowiadającej zresztą jego umysłowości spekulacji logiczno-dialektycznej, i dopóty kręcił i obracał cierpliwymi pojęciami i przesłankami z zadziwiałem mistrzostwem, aż istotnie wyprowadzić się z nich dał z góry przygotowany i pożądaný wniosek w zewnętrznie zadawalającej postaci.

¹⁾ Zum Abschluss des Marxschen Systems, str. 77 i nast. Kapital II.

Ta próba dostarczenia tezie dowodowej podstawy na drodze dyalektyki, nie powiodła się Marxowi, jakśmy to widzieli, w zupełności. Ale czy podstawa taka dałaby się znaleźć na jednej z dróg, przez *Marxa* odrzuconych, empirycznej, lub psychologicznej?

W drugiej, pozytywnej części pracy niniejszej zobaczymy, że analiza motywów psychologicznych, działających przy kształtowaniu się wartości zamiennych, prowadzi do innych wyników; przyznał to zresztą sam *Marx* w trzecim tomie »Kapitału«¹⁾. Pozostaje tedy jeszcze próba empiryczna, badanie faktów, znanych nam z doświadczenia. Co te wskazują?

Doświadczenie wskazuje, że wartość zamienna tylko dla części dóbr, i to przypadkowo, układa się w zależności od sumy pracy, którą kosztuje ich otrzymanie. — Pomimo, że stosunek ten, wobec jawności faktów, na których się opiera, powinien być dobrze znany, rzadko spotyka go prawidłowa ocena. Na to, że doświadczenie nie zupełnie odpowiada zasadzie pracy, zgadza się wprawdzie cały świat, do pisarzy socjalistycznych włącznie. Ale bardzo często spotyka się pogląd, że wypadki, w których rzeczywistość zgadza się z zasadą pracy, są w przeważającej ilości i stanowią regułę, a wypadki, które tej zasadzie przeczą, są stosunkowo rzadkim wyjątkiem. Pogląd ten jest zupełnie błędny. Aby go raz na zawsze sprostować, »wyjątki« te, które, jak wskazuje doświadczenie, są w świecie gospodarczym sprzeczne z zasadą pracy, jako jedyne źródła wartości, połączę w odrębne grupy. Zobaczymy przytem, że »wyjątki« są w tak przeważającej ilości, że nie pozostaje już nic dla »reguły«.

1. Nie podlegają zasadzie pracy wszystkie »dobra rzadkie«, które na skutek jakichś zachodzących, faktycznych, czy prawnych, przeszkód nie mogą być odtwarzane w nieograniczonej ilości. *Ricardo* wymienia, jako przykłady, posagi i obrazy, rzadkie książki i monety, wykwiłne wina, i robi przytem uwagę, że te dobra »stanowią tylko nieznaczną część tej masy dóbr, które codzień są wymieniane na rynku«. Jeśli się jednak zastanowimy nad tem, że do tej samej kategorii zaliczyć też trzeba wszystkie grunta, a da-

¹⁾ Patrz niżej str. 90 i nast.

lej liczne dobra, przy wytwarzaniu których w grę wchodzi patent na wynalazek, prawo autorskie, albo sekret przemysłowy, to dojdziemy do przekonania, że zakres tego »wyjątku« wcale nie jest nic nie znaczący¹⁾.

2. Wyjątek stanowią wszystkie dobra, które wytwarza nie zwykła, lecz wykwalifikowana praca. Pomimo, iż dzienny produkt rzeźbiarza, cyzelatora, fabrykanta skrzypiec, budowniczego maszyn i t. p. zawiera tyleż pracy, co i produkt dzienny zwykłego rzemieślnika, czy robotnika fabrycznego, pierwszy ma większą, często nawet znacznie większą wartość zamienną. — Zwolennicy teorii pracy, jako jedyne źródła wartości oczywiście nie mogli wyjątku tego przeoczyć. Ale, rzecz dziwna, stawiają rzecz w ten sposób, jak gdyby to nie był prawdziwy wyjątek, tylko niewielka odmiana, nie wychodząca poza zakres reguły. *Marx* np. wynajduje takie wyjście, że traktuje wykwalifikowaną pracę, jako spotęgowaną pracę zwykłą. »Praca skomplikowana« powiada (str. 19) »oznacza tylko spotęgowaną, czy raczej pomnożoną pracę zwykłą, tak, że mniejsza ilość skomplikowanej pracy równa się większej ilości pracy prostej. Doświadczenie wykazuje, że ta redukcja stale się odbywa. Towar może być produktem najbardziej skomplikowanej pracy; wartość jego stawia go na równi z produktem prostej pracy, i przedstawia tylko określoną ilość prostej pracy«.

Zaiste, sztuka to teoretyczna o oszalamiającej naiwności! Nie ulega żadnej wątpliwości, że pod pewnym względem, np. pod względem oceny, można porównać jeden dzień pracy rzeźbiarza do pięciu dni pracy kopacza. Ale że 12 godzin pracy rzeźbiarza jest to istotnie 60 zwykłych godzin pracy, tego nie będzie twierdził żaden człowiek. Ale w kwestjach teoretycznych, np. w kwestji zasady wartości, chodzi nie o to, co mogą sobie ludzie wyobrazić, ale o to, co jest w rzeczywistości. Dla teorii produkt dzienny rzeźbiarza jest i pozostanie produktem pracy jednego dnia; i jeśli produkt pracy jednego dnia wart jest tyleż, co inne dobro, które jest produktem pięciu dni pracy, to stanowi to, niezależnie od tego, co ludzie mogą sobie wyobrazić, wyjątek od przyjętej reguły, że wartość zamienna dóbr określa się według ilości wcielonej w nie ludzkiej pracy. — Przypuśćmy, że

¹⁾ Porówn. *Knies*, *Kredit*, II cz., str. 61.

pewna kolej żelazna stopniuje naogół taryfy swoje według długości przebywanych przez jadące osoby i dobra przestrzemi, — ale postanawia, że na pewnym odcinku o szczególnie kosztownych warunkach eksploatacji każdy kilometr ma być liczony za dwa; czyż ktokolwiek będzie twierdził, że długość odcinków jest istotnie jedyną zasadą, braną pod uwagę przy określaniu taryf kolejowych? Napewno nie; wyobrażamy sobie, że tak jest, ale w istocie działanie jej krzyżuje drugi wzgląd na właściwości poszczególnych odcinków. I podobnież pomimo wszystkich sztucznych usiłowań nie można uratować teoretycznej jedności zasady pracy¹⁾.

Nie potrzeba dalej dowodzić, że i ta druga kategoria wyjątków obejmuje znaczną część dóbr wymienianych. Jeśli brać rzecz ściśle, to należą do niej mniej więcej wszystkie dobra. Bo przy produkcji prawie każdego dobra w grę wchodzi choć trochę pracy wykwalifikowanej, pracy wynalazcy, kierownika, pracownika przygotowawczego i t. p., co też wartość tego dobra podnosi trochę ponad poziom, odpowiadający jedynie ilości zastosowanej pracy.

3. Liczbę wyjątków pomnaża, nieznaczna wprawdzie, liczba dóbr, wytwarzanych przez nienormalnie złe wynagradzaną pracę. Jak wiemy, z przyczyn, które nie miejsce tu wyświetlać, w pewnych gałęziach produkcji płaca robocza może stale stać poniżej niezbędnego dla życia minimum: dotyczy to np. robót kobiecych, szycia, haftu, trykotaży i t. p. Produkty tych prac mają tedy również nienormalnie niską wartość. Nie jest np. rzeczą niezwykłą fakt, że produkt trzech dni pracy szwaczki nie dorównywa jeszcze wartości produktu dwóch dni pracy robotnicy fabrycznej.

Wszystkie wyjątki, któreśmy dotychczas poznali, zupełnie uwalniają pewne grupy dóbr z pod wpływu prawa pracy, jako jedynego źródła wartości i w ten sposób zacieśniają zakres jego oddziaływania. Właściwie w zakresie tym pozostają tylko dobra, które mogą być odtwarzane w nieograniczonej ilości i do wytwarzania których potrzebna jest jedynie zwykła praca. Ale nawet ten wąski zakres nie jest rządzony przez prawo pracy, jako jedynego

¹⁾ Szczegółowiej wypowiedziałem się na ten temat w niejednokrotnie cytowanej pracy mojej »Zum Abschluss des Marx'schen Systems« str. 80 i nast.

źródła wartości, bez wyjątku; istnieją jeszcze dalsze wyjątki, które i tu zmniejszają jego znaczenie.

4. Czwarty wyjątek od zasady pracy stanowi znane i przez wszystkich uznane zjawisko, że i te dobra, których wartość zamienna mniej więcej harmonizuje z ilością pracy, którą kosztowało ich wytworzenie, nie utrzymują tej harmonii zawsze; raczej, wskutek wahań podaży i popytu, wartość zamienna ustala się to powyżej, to poniżej poziomu, odpowiadającego zawartej w dobrach ilości pracy. Stanowi ona tylko punkt ciężenia, a nie stały poziom wartości zamiennej. — I ten wyjątek, zdaniem mojem, zbyt lekko traktują socjalistyczni zwolennicy zasady pracy. Konstatują go wprawdzie, ale uważają za małą, przemijającą nieprawidłowość, której istnienie nie szkodzi wcale wielkiemu »prawu« wartości zamiennej. Nie da się wszakże zaprzeczyć, że te nieprawidłowości stanowią tyleż przykładów kształtowania się wartości zamiennej, opartego na innych podstawach, niż ilość pracy, którą kosztowało wytworzenie dobra. Powinnoby to było dać pochop do zbadania, czy nie istnieje jakaś ogólniejsza zasada wartości zamiennej, do którejby się dały sprowadzić nietylko »prawidłowe«, ale i — z punktu widzenia teorii pracy — nieprawidłowe kształtowania się tejże. Ale takiego badania napróbnobyśmy szukali u teoretyków omawianego teraz kierunku.

5. Nareszcie okazuje się, że niezależnie od tych chwilowych wahań, wartość zamienna dóbr stale w znacznej mierze odchyła się od poziomu, określonego przez zawartą w nich ilość pracy, ponieważ z dwóch dóbr, których wytworzenie kosztuje tyleż przeciętnej społecznej pracy, to używa wyższą wartość zamienną, którego wytworzenie wymaga większego nakładu »przygotowawczej« pracy. Ricardo, jak wiemy, szczegółowo omówił te wyjątki od zasady pracy w dwóch paragrafach pierwszego rozdziału swoich »Principles«, Rodbertus i Marx ignorują je przy wykładzie swoich teorii¹⁾, nie zaprzeczając wyraźnie ich istnieniu, czego właściwie zrobić nie mogli: zbyt bowiem znanym jest fakt, że stuletni dąb posiada wyższą wartość,

¹⁾ Marx wyraźnie wzmiankuje je dopiero w pośmiertnym trzecim tomie, i to, jak się zresztą należało spodziewać, z tym wynikiem, że popada w sprzeczność z prawami pierwszego tomu, które wyprowadzał, ignorując te wyjątki.

niż to odpowiada króciuchnej chwili czasu, której wymaga zasianie nasienia dębowego, by można mu było zaprzeczać.

Streśmy się: znaczna część dóbr wcale nie podlega rzekomemu »prawu«, że wartość dóbr określa się według ilości zawartej w nich pracy, a reszta podlega mu niezupełnie i nieściśle: oto jest materiał, zaczerpnięty z doświadczenia, z którym się teoretyk wartości musi liczyć.

Jakież wnioski może z tego materiału wyciągnąć nieuprzedzony teoretyk? — Z pewnością nie ten, że pochodzenie i miara wartości tkwią wyłącznie w pracy. Wniosek taki ani trochę nie byłby prawidłowszy od tego, gdybyśmy na podstawie doświadczenia, że elektryczność powstaje często wskutek tarcia, ale też często w inny sposób, chcieli ogłosić prawo: wszelka elektryczność powstaje wskutek tarcia.

Można oczywiście wyciągnąć wniosek, że wydatek pracy jest okolicznością, wywierającą znaczny wpływ na wartość zamienną wielu dóbr; ale podkreślić wyraźnie należy, że nie jest to stanowcza przyczyna, która musi być wspólną wszystkim zjawiskom wartości — tylko przyczyna szczególna, zachodząca obok szeregu innych. Nie trudno też będzie znaleźć udowodnienie istnienia takiego wpływu pracy na wartość, gdy dla każdego dalej idącego twierdzenia byłoby to niepodobieństwem. Bardzo ciekawem i bardzo ważnem może być bliższe badanie wpływu pracy na wartość dóbr, i wypowiedzenie wniosków w formie praw, tylko nie można przytem zapominać, że prawa te mogą być tylko *szcze-gólnymi* i *prawami* wartości, nie dotyczącymi ogólnej jej istoty¹⁾. Zwróćmy się znów do przykładu: prawa określające wpływ pracy na wartość zamienną dóbr stoją do ogół-

¹⁾ Zdaje mi się też, że za daleko się posuwa Natoli w *Principio del valore*, który, pomimo stanowczego stwierdzenia, że wpływ wywierany przez pracę na wartość nie jest ani pierwotnym, ani powszechnym, że ta wartość opierać się musi we wszystkich bez wyjątku wypadkach na »grado di utilità« (użyteczności krańcowej), i że wreszcie w Ricardowskiej teorii pracy, jako jedyne źródła wartości, przyczyna i skutek przedstawione są naopak (op. cit. str. 191) zbacza jednak z prostej drogi i za pośrednictwem twierdzenia o wrzeczomo stałe występującem »zrównaniu użyteczności« (*equatione utilitaria*) pomiędzy wartością i pracą dochodzi do oświadczenia, iż zgodność wartości i pracy jest zasadniczem prawem wartości, a nawet podstawowem »kardynalnem prawem całej ekonomji« (op. cit. str. 191, 244, 277 i 391).

nych praw wartości w takim stosunku, jak prawo »wiatr zachodni przynosi deszcz« do ogólnej teorii deszczu. Wiatr zachodni jest bardzo rozpowszechnioną wtórną przyczyną deszczu, jak wydatek pracy — bardzo rozpowszechnioną wtórną przyczyną wartości dóbr, ale istota deszczu równie mało opiera się na wietrze zachodnim, jak istota wartości na zastosowanej pracy.

Sam Ricardo bardzo nieznacznie tylko przekroczył dozwolone granice. Jak to wyżej wykazałem, wiedział on doskonale, że jego prawo pracy, jako jedyne źródła wartości, nie jest wyłącznem, że np. wartość »rzadkich dóbr« opiera się zupełnie na czem innem. Błądził tylko w tem, że bardzo przeceniał zakres jego działania i przypisywał mu praktycznie prawie powszechne znaczenie. W związku z tem w dalszym ciągu swej pracy prawie nie wspomina o wyjątkach, na które mało zwrócił uwagi, choć całkiem prawidłowo je opisał w początku swej pracy, i o prawie swoim mówi często — niesłusznie — w takim tonie, jakgdyby to istotnie było powszechne prawo wartości.

Dopiero jego krótkowzroczni naśladowcy wpadli w ten niepojęty błąd przedstawiania pracy z zupełną i świadomą ścisłością, jako powszechnej zasady wartości. Powiedziałem: niepojęty błąd, istotnie bowiem trudno jest zrozumieć, w jaki sposób ludzie, teoretycznie wykształceni, po dojrzałym namyśle, mogli przyjąć twierdzenie, którego poprostu na niczem nie mogli oprzeć; nie na naturze rzeczy przecież, bo ta nie wykazuje żadnego niezbędnego związku pomiędzy wartością a pracą; nie na doświadczeniu, bo to wykazuje przeciwnie, że wartość najczęściej nie harmonizuje z wydatkiem pracy; nie na autorytetach wreszcie, bo przytaczane autorytety nie wypowiadały tego zdania w tem pretensjonalnie ogólnem znaczeniu, które mu się teraz tak chętnie nadaje.

I takie to całkowicie w powietrzu zawieszone twierdzenie umieszczają socjalistyczni zwolennicy teorii wyzysku nie wśród innych, w jakimś niewinnym kąciku teoretycznej budowy, ale na czele agresywnych, praktycznych wymagań. Przyjmują prawo, że wartość wszystkich towarów polega na zawartym w nich czasie pracy, by w następnej chwili określić wszelkie kształtowania się wartości, z tem »prawem« nie harmonizujące, np. różnice wartości, przypadające kapita-

liście, w charakterze nadwartości, jako »sprzeczne z prawem«, »nienaturalne«, »niesłuszne«, i skazać je na zagładę. Ignorują poprostu wyjątek, by móc swoje prawo wartości ogłosić za powszechne. A tak ustaliwszy jego powszechne znaczenie, znowu zwracają uwagę na wyjątki, by je napiętnować, jako uchybienia przeciw prawu. Doprawdy, ten sposób wnioskowania w niczem nie jest lepszy od tego, gdybyśmy, przyjawszy, że jest wielu głupich ludzi, ignorowali istnienie mądrych, doszli w ten sposób do »prawa, posiadającego powszechne znaczenie«, że »wszyscy ludzie są głupi«, a następnie wymagali usunięcia wszystkich »wbrew prawu« istniejących męrców!

Taki wyrok na prawo pracy, jako jedyne źródła wartości wogóle, a na Marxowską jego motywację w szczególności wydałem już przed wielu laty, w pierwszym wydaniu pracy niniejszej. Od tego czasu ukazał się trzeci, pośmiertny tom kapitału Marxa. Ukazania się jego oczekiwano w kołach teoretyków wszystkich poglądów z pewnym napięciem. Budziło zainteresowanie pytanie, jak wyjdzie Marx z pewnej trudności, w którą go musiała uwikłać doktryna pierwszego tomu, a której pierwszy tom nie tylko nie rozwiązywał, ale nawet szczegółowo nie roztrząsał.

Już mówiąc o teorii Rodbertusa zwróciłem uwagę, że wynikające z sensu prawa pracy, jako jedyne źródła wartości, twierdzenie, że dobra wymieniają się w stosunku do zawartej w nich pracy, zupełnie niezgodne jest z dalszym twierdzeniem, przez Rodbertusa przyjętem i zresztą niewątpliwem, jako fakt, znany z doświadczenia, że istnieje niwelacja dochodów z kapitału¹⁾. Tę samą trudność musiał oczywiście i Marx spotkać na swojej drodze, i to drastycznie zaostrożoną, gdyż u niego ta część doktryny, w której mieści się ów kamień obrazy, sformułowana jest ze szczególnym, niejako wywołującym trudność, naciskiem.

Marx rozróżnia w kapitale, służącym kapitaliście do przywłaszczenia sobie nadwartości, dwie części składowe: część, służącą do wynagradzania pracy, »kapitał zmienny« i część, włożoną w rzeczowe środki produkcji, surowce, narzędzia, maszyny i t. p., »stały kapitał«. Ponieważ tylko żywa praca może istotnie stwarzać nową nadwartość, to

¹⁾ Patrz wyżej, str. 53.

i część kapitału, umieszczona w sile roboczej, może w ciągu procesu produkcji wartość swą zmieniać, zwiększać; dlatego właśnie Marx nazywa ją kapitałem »zmiennym«. Ten to jedynie odtwarza własną swą wartość i jeszcze pewną nadwyżkę, nadwartość. Wartość zużytych środków produkcji, przeciwnie, może być tylko poprostu utrzymana i w wartości produktu pojawia się znowu, w zmienionej postaci, ale w niezmiennionych rozmiarach — dlatego jest to kapitał »stały«; nie może on »dorzucać nadwartości«. Z tego niezbędnie wynika — i Marx nie zapomina podnieść tej konsekwencji z całym naciskiem, — że suma nadwartości, którą może wytworzyć pewien kapitał, stać może w prostym stosunku nie do całości kapitału, tylko do jego zmiennej części¹⁾. Z tego wynika, że kapitały tej samej wielkości muszą wytwarzać nierówne sumy nadwartości, jeśli różnym jest ich podział na części stałe i zmienne — Marx nazywa to ich »składem organicznym«. Jeśli teraz nazwiemy za Marxem stosunek nadwartości do włożonej w płace robocze zmiennej części kapitału — »stopą nadwartości«, a stosunek jej do całości zastosowanego przez kapitalistę kapitału, według którego ten ostatni w praktyce oblicza przywłaszczoną sobie nadwartość — »stopą zysku«, to wynika, że przy tym samym stopniu wyzysku i tej samej stopie nadwartości, kapitały o różnym składzie organicznym muszą dawać nierówne stopy zysku. Kapitały, w składzie których przeważa część zmienna, muszą przynosić wyższą stopę zysku, niż te, w których składzie części stałe mają przewagę. Doświadczenie jednak wykazuje, że na skutek prawa o zrównaniu zysków, kapitały, niezależnie od swego składu, stale dają jednako wysoką stopę zysku. Następuje tedy wyraźny konflikt pomiędzy tem, co jest, a coby według teorii Marxa być musiało.

Konflikt ten nie był samemu Marxowi obcy. Już w pierwszym tomie wspominał o nim w krótkich słowach,

¹⁾ »Przy danej stopie nadwartości i danej wartości siły roboczej ilość wytworzonej nadwartości stoi w prostym stosunku do wielkości użytego zmiennego kapitału«. Wytworzone przez rozmaite kapitały sumy wartości i nadwartości przy danej wartości i jednakowym stopniu wyzysku siły roboczej stoją w prostym stosunku do wielkości zmiennych części tych kapitałów, t. j. części, włożonych w żywą siłę roboczą«. (Marx, I, str. 311 i nast.).

określił, jako wyłącznie »pozorny« i rozwiązanie odłożył do dalszych części swego systemu¹⁾. Długotrwałe zaciekawienie, jak też Marx wybrnie z tego fatalnego dylematu, zostało wreszcie z ukazaniem się trzeciego tomu zaspokojone. Zawiera on szczegółowe omówienie zagadnienia, — ale nie jego rozwiązanie, tylko, jak się tego zresztą można było spodziewać, przypiecztowanie niemożliwych do pogodzenia sprzeczności, i przysłonięte, niewypowiedziane wyraźnie, upiększone, ale w istocie faktyczne poświęcenie doktryny pierwszego tomu.

Marx rozwija w tomie trzecim doktrynę następującą. Wyraźnie przyznaje, że w rzeczywistości, wskutek działania współzawodnictwa, stopy zysku kapitałów, niezależnie od ich organicznego składu, są i muszą być zrównane do poziomu pewnej przeciętnej stopy zysku²⁾. Przyznaje dalej wyraźnie, że jednakowa stopa zysku dla kapitałów o różnym składzie organicznym możliwą jest tylko w takim razie, jeśli poszczególne towary wymieniają się pomiędzy sobą nie w stosunku do swej wartości, określonej na podstawie pracy, lecz w stosunku innym, i to w taki sposób, że towary, w których wytwarzaniu bierze udział kapitał, zawierający procentowo więcej stałego kapitału (kapitał o »wyższym składzie«) wymieniają się powyżej swej wartości, a towary, w których wytwarzaniu bierze udział kapitał, zawierający procentowo mniej stałego, a więcej zmiennego kapitału (kapitał o »niższym składzie«) wymieniają się poniżej swej wartości³⁾.

¹⁾ I, str. 312 i 542.

²⁾ »Z drugiej strony, nie ulega najmniejszej wątpliwości, że w rzeczywistości, pomijając nieistotne, przypadkowe i wzajemnie równoważące się różnice, rozmaitość przeciętnych stóp zysku w poszczególnych gałęziach przemysłu nie istnieje i istniećby nie mogła bez naruszenia całego systemu produkcji kapitalistycznej« (III, 132). »Wobec rozmaitego składu organicznego włożonych w różne gałęzie produkcji kapitałów... stopy zysku, panujące w różnych gałęziach produkcji, są pierwotnie bardzo różne. Te różne stopy zysku współzawodnictwo sprowadza do jednej ogólnej stopy zysku, która jest przeciętną wszystkich tych różnych stóp« (III, 136).

³⁾ Marx doktrynę tę rozwija na przykładzie, w formie tablicy, obejmującej pięć gatunków towarów i gałęzi produkcji z kapitałami o różnym składzie organicznym, i komentuje wyniki tej tablicy w następujących słowach: »Naogół biorąc, towary sprzedają się $2 + 7 + 17 = 26$ ponad wartość i $8 + 18 = 26$ poniżej wartości, tak, że wskutek równego podziału nadwartości czyli do-

I wreszcie Marx przyznaje wyraźnie, że kształtowanie się cen w życiu praktycznym istotnie w ten sposób się odbywa. Cenę towaru, która, oprócz zwrotu za wypłacone wynagrodzenia i zużyte środki produkcji (»cenę jego kosztu«), zawiera jeszcze przeciętny zysk od zastosowanego w produkcji kapitału, nazywa Marx jego »ceną produkcji«. (III, 136). Jest to »faktycznie ta sama cena, którą A. Smith nazywa natural price, Ricardo — price of production, fizjokraci — prix nécessaire, gdyż à la longue jest ona warunkiem dostawy, odtworzenia towaru w każdej poszczególnej sferze produkcji« (III, 178). W rzeczywistym życiu wymieniają się tedy towary nie według swoich wartości, ale według swoich cen produkcji, albo, jak to Marx lubi eufonicznie wyrażać (np. na str. 176 t. III-go): »wartości zmieniają się w ceny produkcji«.

Niepodobna nie zauważyć, że te ustępstwa i stwierdzenia trzeciego tomu znajdują się w jaskrawej sprzeczności z podstawowymi doktrynami tomu pierwszego. W pierwszym tomie przedstawia się czytelnikowi logiczną, z istoty wymiany rozwijającą się konieczność, że dwa towary, przeciwstawione sobie dla wymiany, muszą posiadać pewną cechę wspólną w tych samych rozmiarach, i że tą cechą wspólną tej samej wielkości jest praca. W trzecim tomie dowiadujemy się, że przeciwstawione sobie dla wymiany towary faktycznie i regularnie zawierają i zawierać muszą konieczne niejednakowe ilości pracy. W pierwszym tomie (I, 142) powiedziano było: »Towary mogą być wprowadznie sprzedawane za ceny, odchylające się od ich wartości, ale te odchylenia są naruszeniem prawa wymiany towarów«. Teraz zaś ustala się, jako prawo wymiany towarów, że towary sprzedają się według swoich cen produkcji, które zasadniczo odchylają się od ich wartości! Sądzę, że nigdy jeszcze koniec systemu nie zadał kłamu początkowi ostrzej i zwięźlej!

datku przeciętnego zysku 22 od sta od włożonego kapitału do odpowiednich cen kosztów towarów I—V, odchylenia ceny wzajemnie się neutralizują; jedna część towarów sprzedaje się poniżej swej wartości w tym samym stosunku, w jakim druga sprzedaje się powyżej swej wartości. I tylko sprzedaż ich po takich cenach, umożliwia fakt, że stopa zysku dla I—V równa się zawsze 22%, niezależnie od różnego organicznego składu kapitałów I—V«. Ta sama myśl szczegółowo jest rozważana na następnych str. 135—144.

Sam Marx wprawdzie nie chce nic wiedzieć o tej sprzeczności. Jeszcze w trzecim tomie podnosi twierdzenie, że prawo wartości z pierwszego tomu rządzi istotnymi stosunkami wymiany dóbr, i zadaje sobie wiele trudu, oraz używa wielu dialektycznych wykretów, by jeszcze jakoś rządzenie to zademonstrować. Na innym miejscu omówiłem te wykrety szczegółowo i wykazałem ich nicość¹⁾. Tutaj wspomnę tylko obszerniej o jednym z nich, poczęści dlatego, że na pierwszy rzut oka zdaje się istotnie zawierać coś pociągającego, poczęści zaś, że znajduje się nie tylko u Marxa, lecz, i to jeszcze przed ukazaniem się trzeciego tomu, i u jednego z najzdolniejszych teoretyków socjalizmu z dzisiejszego pokolenia. W roku 1889 Konrad Schmidt podjął próbę dobudowania tej brakującej jeszcze naówczas części marxowskiego systemu, oczywiście w przypuszczalnym sensie marxowskim²⁾. Doszedł przytem do konstrukcji, podług której również poszczególne towary nie mogą się wymieniać stosownie do zawartej w nich ilości pracy, jak tego chce marxowskie prawo wartości, i wskutek tego stanął oczywiście wobec pytania, czy i w jakim stopniu można przy takim stanie rzeczy wogóle mówić o znaczeniu marxowskiego prawa wartości, usiłował więc to znaczenie uratować już wtedy za pomocą tego dialektycznego argumentu, który w tych samych warunkach i w tym samym celu znajdujemy w trzecim tomie Marxa.

Argument ten wychodzi z tego założenia, że wprawdzie poszczególne towary wymieniają się częściowo poniżej, częściowo powyżej swej wartości, ale że te odchylenia wzajemnie równoważą się, czyli znoszą, tak, że dla wszystkich wymienionych towarów razem wziętych suma zapłaconych

¹⁾ »Zum Abschluss etc.« str. 25—62. Apologetyczna kontrkrytyka Hilferdinga, która się od tego czasu ukazała w tomie I-ym Marx-Studien (1904) nie wywołała najmniejszej zmiany w moich poglądach. W szczególności, jak to chcę wyraźnie zaznaczyć ze względu na pewne wypowiedzenie się Heimanna (Methodologisches zu den Problemen des Wertes, odbitka z Archiv für Sozialwissenschaft, t. 37, str. 19), moje przytoczone w op. cit. str. 53, tablice są zupełnie prawidłowe i odnoszą się do rzeczy, podczas gdy »poprawki« dokonane na nich przez Hilferdinga są równie dowolne, jak odbiegające od tematu.

²⁾ Die Durchschnittsprofitrate auf Grund des Marxschen Wertgesetzes, Stuttgart 1889.

cen znów równa się sumie ich wartości. Dla całości wszystkich gałęzi produkcji razem wziętych pozostaje więc w każdym razie prawo wartości, »jako panująca tendencja«¹⁾.

Dialektyczna tkanina tego pozornego argumentu daje się jednak bardzo łatwo rozerwać, jak to już wykazałem przy innej sposobności²⁾.

Jakie jest wogóle zadanie prawa wartości? Prostu wyjaśnienie zaobserwowanego w rzeczywistości stosunku wymiany dóbr. Chcemy wiedzieć, dlaczego przy wymianie surduta np. wart jest tyleż, co 20 łokci płótna, 10 funtów herbaty tyleż, co pół tonny żelaza i t. p. Marx również w ten sposób ujmował zadanie prawa wartości. O stosunku zamiennym może być mowa tylko dla różnych poszczególnych towarów pomiędzy sobą. Skoro się jednak bierze pod uwagę wszystkie towary razem wzięte i ich ceny się podsumowuje, to świadomie i niezbędnie pomija się tkwiące wewnątrz tej całości stosunki. Względne różnice cen, zachodzące wewnątrz, równoważą się w sumie. O ile np. herbata cenniejsza jest od żelaza, o tyle żelazo mniej cenne od herbaty i vice versa. Ale nie stanowi to wcale odpowiedzi na nasze pytanie, skoro chcemy wiedzieć, jakie są stosunki zamienne dóbr w gospodarce społecznej, i dowiadujemy się, jaka jest suma cen uzyskanych przez wszystkie towary; zupełnie tak samo, jak gdybyśmy zapytywali, o ile minut, czy sekund mniej, niż inni, potrzebował zwycięzca wyścigu na przebycie wyścigowego toru, i otrzymali na to odpowiedź:

¹⁾ »W tym samym stosunku, w jakim część towarów wymienia się powyżej swej wartości, część inna wymienia się poniżej« (III, 135). »Łączna cena towarów I—V (w użytej w przykładzie Marxa tablicy) równałaby się zatem ich łącznej wartości... I w ten sposób w samem społeczeństwie — rozpatrywając produkcję wytworzonych towarów równa się sumie ich wartości« (III, 138). Różnice pomiędzy ceną produkcji, a wartością rozwiązują się »zawsze w ten sposób, że o ile w jednym towarze idzie za dużo na nadwartość, to w drugim idzie za mało, i że odchylenia od wartości, tkwiące w cenach produkcji towarów, wzajemnie się znoszą« (III, 140). Podobnie K. Schmidt, op. cit. str. 51: »Niezbędna różnica pomiędzy faktyczną ceną, a wartością poszczególnego towaru znika... skoro tylko zaczynamy rozpatrywać sumę wszystkich poszczególnych towarów, roczny narodowy produkt«.

²⁾ Pierwszy raz w omówieniu wyżej wymienionej pracy Schmidta w Tübinger Zeitschrift, 1890, str. 590 i nast.

wszyscy współzawodnicy razem wzięci potrzebowali na to 25 minut i 13 sekund!

Rzecz więc przedstawia się w sposób następujący. Na pytanie zagadnienia wartości odpowiadają Marxiści najpierw swoim prawem wartości, glosząc, że towary wymieniają się w stosunku do zawartego w nich czasu pracy; następnie, w przenośni, czy bez przenośni, cofają tę odpowiedź, gdy chodzi o zakres wymiany poszczególnych towarów, a więc właśnie ten zakres, w którym to zagadnienie wogóle ma jakiś sens, a zatrzymują je w całej czystości tylko dla całego narodowego produktu razem wziętego, a więc dla zakresu, dla którego to pytanie wcale nie staje, jako bezprzedmiotowe. »Prawo wartości«, jako odpowiedzi na właściwe pytanie zagadnienia wartości, fakty zadają kłam; a w jedynym zastosowaniu, w którym mu kłamstwa zarzucić nie można, nie jest już ono odpowiedzią na pytanie, właściwie rozwiązania się domagające, a mogłoby być w najlepszym wypadku odpowiedzią na pytanie zupełnie inne.

Zresztą, nie jest to nawet odpowiedź na inne pytanie, wogóle nie jest to wcale odpowiedź, tylko prosta tautologia. Wie bowiem każdy ekonomista, że jeśli spojrzeć na rzecz poprzez zasłaniające ją formy stosunków pieniężnych, to ostatecznie towary wymieniają się znów na towary. Każdy, przystępujący do wymiany towar jest zarazem towarem i ceną przedmiotu, na który się go wymienia. Suma towarów identyfikuje się więc z sumą uzyskanych za nie cen. Inaczej mówiąc, cena całego narodowego produktu razem wziętego, jest niczem innym, jak — samym narodowym produktem. W tych warunkach jest, zapewne, całkiem słuszne, że suma cen, zapłaconych razem za cały produkt społeczny, zupełnie odpowiada skryzalizowanej w nim sumie wartości, czy też pracy. Ale takie tautologiczne wyrażenie nie oznacza żadnego rozszerzenia rzeczywistych wiadomości, a tem bardziej nie może służyć, jako sprawdzian prawidłowości wrzekomego prawa, że dobra wymieniają się w stosunku do zawartej w nich pracy. W ten sposób bowiem równie dobrze — czy raczej równie źle — możnaby też sprawdzać każde inne »prawo«, np. »prawo«, że dobra wymieniają się pomiędzy sobą zależnie od swego ciężaru gatunkowego! Wprawdzie funt złota, jako »poszczególne towary« wymienia się nie na funt, lecz na 40.000 funtów żelaza, ale s u m a c e n.

zapłaconych za funt złota i 40.000 funtów żelaza razem wzięte, nie jest mniejszą, ni większą, niż 40.000 funtów żelaza i 1 funt złota. Łączna waga sumy cen — 40.001 funtów — odpowiada zatem całkowicie zawartej w sumie towarów łącznej wadze 40.001 funtów; a więc waga jest tym prawdziwym miernikiem, który reguluje stosunki zamienne dóbr?!

C. Doktryna Marxa u jego następców.

Jeśli się nie mylę, z trzecim tomem Marxowego systemu zaczął się dla teorii pracy, jako jedynego źródła wartości, początek końca. Marxowska dialektyka uległa w nim takiemu rozbiciu, że ślepe zaufanie zachwiać się musiało nawet w szeregach zwolenników. Już ślady tego ukazywać się zaczynają w literaturze. Przedewszystkiem w tej formie, że niemożliwą już do uratowania w dosłownem brzmieniu doktrynę Marxa uisłuje się utrzymać za pomocą różnych interpretacji.

W najnowszych czasach liczne zapowiedzi takich interpretacji wychodzą ze strony poważnych teoretyków. Werner Sombart zupełnie się zgodził, że prawo wartości Marxa zupełnie nie daje się utrzymać, jeśli się mu przypisuje zgodność z empiryczną rzeczywistością. Pragnie jednak nadać doktrynie Marxa sens taki, że jej »pojęcie wartości« ma być »środkiem pomocniczym dla naszego myślenia«. Wartość marxowska nie występuje w stosunku zamiennym kapitalistycznie wytworzonych towarów, nie odegrywa roli czynnika rozdzielczego przy podziale rocznego społecznego produktu, jest tylko prosto pojęciem pomocniczym dla naszego myślenia, służącym do ujęcia niewspółmiernych dzięki swej jakościowej różnorodności dóbr użytkowych, jako wielkości ilościowych i do uczynienia ich w ten sposób dla myślenia naszego współmiernymi; i w postaci takiej myślowej funkcji możnaby ją utrzymać¹⁾.

Sądzę, i przekonanie to wypowiedziałem już na innem miejscu²⁾, że wniosek ten nosi wszystkie cechy kompromisu, dla obu stron niemożliwego do przyjęcia. Nie może on zadowolić Marxistów, ponieważ sprzeczny jest z najkatego-

¹⁾ Zur Kritik des ökonomischen Systems von Karl Marx, Archiv für soziale Gesetzgebung. Bd. VII, Heft 4, str. 573 i nast.

²⁾ »Zum Abschluss etc« str. 103 i nast.

ryczniejszymi twierdzeniami Marxa i w gruncie rzeczy zawiera całkowity wyrok na jego doktrynę, gdyż teoria, która, jak to się przynajmniej nie odpowiada rzeczywistości, nie może mieć oczywiście znaczenia dla wyjaśnienia i oceny rzeczywistych stosunków; to też rozległy się już wyraźnie niechętnie głosy z marxowskiego obozu¹⁾. Z drugiej zaś strony nie zadowoli ono bezstronnego uczonego z punktu widzenia czysto teoretycznych wymagań, gdyż i pomocnicze pojęcia, które teoretyk operuje, powinny być wyprowadzone z rzeczywistości, a nie stawiać w sprzeczności do niej. Uważam tedy próbę interpretacji, uczynioną przez Sombarta, za wyjście, które niełatwo zyska sobie przyjaciół i naukowych zwolenników.

Więcej materiału do dyskusji daje inna próba interpretacji, którą niedawno podjął Konrad Schmidt. W omówieniu mojej, często tu wspomianej, pracy »Zum Abschluss des Marxschen Systems«, przeprowadzonem z godną uwagi bezstronnością i rzeczowością, dochodzi Schmidt do wniosku, że Marxowskie prawo wartości, wskutek udowodnionych w trzecim tomie faktów, istotnie traci znaczenie, »które zdawało się mieć według dowodów z I-go tomu »Kapitału«, i przeciw któremu skierowaną jest moja krytyka; ale jednocześnie zyskuje »nowy, głębszy sens, który tylko musi być jaśniej opracowany w przeciwstawieniu do pierwotnego ujęcia prawa wartości«. Przez »inne ujęcie« teorii wartości, »wprawdzie w sposób przez samego Marxa niezbyt jasno wskazany«, możliwym jest »przynajmniej w zasadzie«, usunięcie podniesionych przeze mnie sprzeczności. I Schmidt kreśli już główne linje takiego innego ujęcia.

Cena i czas pracy, powiada, są to wielkości, które można mierzyć. Możliwym jest pomiędzy nimi sam w sobie podwójny stosunek. »Albo wielkość ceny układa się wprost według zawartego w towarze czasu pracy, albo też według pewnych, przynajmniej ogólnikowo możliwych do sformułowania zasad, następuje odchylenie od normy tego prostego stosunku«. Ponieważ to drugie jest również możliwym, jak pierwsze, prawo wartości, oparte na pierwszym twierdzeniu,

¹⁾ Np. Engels w ostatniej swej pracy z »Neue Zeit« Nr. 1 i 2 XIV-go rocznika (1895—96), p. t. »Ergänzung und Nachtrag zum dritten Buch des Kapital«.

winno być rozpatrywane najpierw, jako hipoteza, »której ustalenie, lub dalsze modyfikacje są zadaniem dalszych konkretnych badań«. Oba pierwsze tomy Marxa przeprowadzają »pierwotną prostą hipotezę we wszystkich jej konsekwencjach« i dochodzą w ten sposób »do szczegółowego obrazu kapitalistycznie wyzyskującej gospodarki społecznej, takiej, jakby się przedstawiała przy prostej zbieżności ceny i czasu pracy«. Obraz ten jednak sprzeczny jest pod pewnym względem z kapitalistyczną rzeczywistością, chociaż ją »w zasadniczych rysach odbija«, i dlatego — jak to ma miejsce w trzecim tomie — musi być podjęta modyfikacja tej hipotezy »która usunie częściową sprzeczność, zachodzącą pomiędzy nią, a rzeczywistością«. »Prostą zasadę zbieżności obu czynników, niezbędną dla tymczasowej orientacji, zmniejszyć teraz trzeba w tym sensie, że rzeczywiste ceny odchylają się od tej hipotetycznej normy w myśl pewnej, dającej się ogólnikowo sformułować zasady«. Tą, i tylko tą drogą dojść można do poznania i szczegółowego zrozumienia rzeczywistego stosunku, zachodzącego pomiędzy ceną, a czasem pracy, a przez to i rzeczywisty sposób wyzysku, charakterystyczny dla kapitalistycznej produkcji¹⁾.

Nie mogę tej próbie interpretacji wywróżyć nic lepszego, niż marxowskiemu oryginałowi. Taki subtelny dyalektyk, jak K. Schmidt, skoro weźmie się do szczegółowego przedstawienia naszkicowanej doktryny, może usiłować nadać jej pozór możliwy do przyjęcia za pomocą zręcznych zwrotów i nęcących argumentów; ale pomimo całej swej sztuki przedstawiania i argumentacji nie będzie mógł ominąć dwóch rzeczowych szkopułów, co do których, już z obecnego szkicu jego programu, można być pewnym, że je spotka na swej drodze. Są to dwa metodologiczne grzechy, jeden czynny, drugi polegający na pominięciu, od razu widoczne w jego programie: pełne sprzeczności *petitio principii* i formalna bezpodstawność punktu wyjścia.

● Pełne sprzeczności *petitio principii*. Stańmy na chwilę na stanowisku, na które nas zaprasza Schmidt. Spójrzmy tymczasem na »prawo wartości«, według którego stosunki zamienne towarów określają się jedynie według zawartej w nich pracy, jako na prostą hipotezę, której prawidłowość

¹⁾ Dodatek do numeru gazety »Vorwärts« z 10 kwietnia 1897.

nie jest jeszcze ustalona, a ma być sprawdzoną przez szczegółowsze badanie faktów. Jakże wypadnie to sprawdzenie?

Otwarcie się przyznaje, że nie wzmacnia ono treści hipotezy; przeciwnie, jest się zmuszony przyznać, że ilość zawartej w towarach pracy nie jest wyłączną podstawą określenia cen, które właściciele towarów za nie otrzymują. Jeśli zważymy, że przyjęta wyłączność wpływu pracy — której wpływ współokreślający przyznaje przecież każda inna teoria wartości — stanowi właśnie charakterystyczną i odróżniającą cechę teorii wartości *Marxa*, to już z tego wynika, że »niecałkowite potwierdzenie« oznacza właściwie w tym wypadku nie potwierdzenie hipotezy, w jednym istotnym jej punkcie.

Zapytuję tedy dalej: jakim prawem *Schmidt* może w tych warunkach twierdzić, że niepotwierdzona w głównych swych punktach hipoteza jednak »odbija w głównych zarysach kapitalistyczną rzeczywistość«, szczególnie w tem, że otrzymywanie zysku przez kapitalistów opiera się zasadniczo na »istotnym wyzysku« robotników? Gdyby *Schmidt* przytoczył jakiekolwiek inne uwagi, któreby mogły udowodnić, że zysk istotnie ma charakter wyzysku, to oczywiście, musielibyśmy zbadać oddzielnie te inne uwagi. Ale takich innych, samodzielnych dowodów *Schmidt* do swego programu nie wprowadza, a jak się o tem za chwilę przekonamy, nie może ich wprowadzić. Jedyne jego dowody na to, iż zysk nosi charakter wyzysku, znajduje się w hipotezie prawa wartości. Charakter ten zaś owa hipoteza wprowadza z tego, i tylko z tego, że zawarta w towarze praca jest jedyną przyczyną istnienia wartości zamiennej i jej wielkości: tylko dlatego, że żaden atom wartości zamiennej niema innego źródła, jak praca, twierdzić można, że część wartości, którą z wartości produktu otrzymuje nie robotnik, może być otrzymywaną tylko kosztem robotnika, a więc jest dochodem, opartym na wyzysku. Z chwilą jednak, gdy się przyznaje, że wartość zamienna towarów oddzieliła się od zawartej w nich ilości pracy, jasnym jest też, że w kształtowaniu się wartości zamiennej, oprócz pracy, bierze udział i inny czynnik: z tą samą chwilą zaś nie można już twierdzić stanowczo, że część wartości, przypadająca kapitaliście, wynika z wyzysku robotnika, gdyż można przypuścić, i to z wielkiem prawdopodobieństwem, że wynika

ona z tej drugiej, współzawodniczącej z pracą, przyczyny kształtowania się wartości zamiennej, właściwości której wcale jeszcze nie są ustalone. Prawo uważania zysku z kapitału za dochód, oparty na wyzysku, wynikające z hipotezy o »prawie wartości« wymaga tedy całkowitego przyjęcia hipotezy, i z brakiem jego upada. Już częściowe jej zachowanie odbiera grunt temu pogładowi, ponieważ wyrósł on właśnie z nieustalonej części hipotezy, z przypuszczenia, że praca jest jedyną przyczyną, określającą wartość zamienną. *Schmidt* więc, przedstawiając wiszące w powietrzu twierdzenie, że hipoteza wyzysku »odbija w głównych zarysach kapitalistyczną rzeczywistość«, jako wrzekomo ustalone, z potwierdzonej części prawa wartości płynące zdanie, popelnia wyraźne *petitio principii*.

I to *petitio principii* zaostrzone sprzecznością. Proste, niedowiedzione przypuszczenie, że zysk oparty jest na wyzysku, nie doprowadziłoby go przecież do pożądanego celu.

W ciągu rozumowania, które go ma prowadzić do wyjaśnienia rzeczywistych zjawisk zysku, musi on w ten sposób traktować fatalne twierdzenie, że wielkość wartości zamiennej określa się wyłącznie na podstawie wcielonej w do-brach ilości pracy, jakgdyby było kolejno to zgodne, to niezgodne z rzeczywistością. Musi on wyjaśnić nie tylko powstawanie, ale i wysokość zysku. *Schmidt* staje tu wraz z *Marxem* z trzeciego tomu na stanowisku, że wysokość zysku ustala się w ten sposób, że łączna suma zdobytych przez kapitalistów nadwartości dzieli się równomiernie pomiędzy wszystkie zastosowane kapitały, stosownie do ich wielkości i chwili ulokowania, według prawa zrównania dochodów; a by móc przeprowadzić tę część swego wyjaśnienia, wyraźnie przyznaje, że dotychczasowe hypotetyczne prawo wartości, głoszące, iż towary wymieniają się dokładnie w stosunku do zawartej w nich pracy, właśnie nie odpowiada rzeczywistości, nie jest prawdą.

Ale tego jeszcze nie wystarcza dla wyjaśnienia wysokości zysku. Należy jeszcze stwierdzić i wyjaśnić, jaką wielkość osiąga ta przeznaczona do równego podziału dywidenda, czyli łączna suma zdobytej przez kapitalistów nadwartości. Na użytek tej części wyjaśnienia przypuszcza znów *Schmidt* wraz z *Marxem* wszystkich trzech tomów, że kapitaliści są jednak w takim położeniu, że za towary, które

każą wytwarzać swoim robotnikom, otrzymać mogą wartość zamienną, całkowicie zgodzającą się z hipotezą o prawie wartości, a mianowicie dokładnie odpowiadającą wielkością swą ilości godzin pracy, zawartej w towarze. W dwóch stadiach tego samego rozumowania traktuje tedy prawo wartości kolejno, jako zgodne i niezgodne z rzeczywistością. Można by jeszcze w ten sposób rzecz traktować, gdyby te dwa stadia rozumowania odpowiadały też dwóm odrębnym stadiom istotnego przebiegu, gdyby kształtowanie się nadwartości stanowiło jeden, pierwszy, zamknięty w sobie proces, a podział ukształtowanej nadwartości drugi, następujący po pierwszym i zupełnie od niego niezależny — jak to się dzieje na przykład z dochodem towarzystw akcyjnych, którego kształtowanie się i łączną wysokość określają wyniki interesów, prowadzonych w danym roku, a o podziale decyduje akt, zupełnie od aktu zdobywania niezależny, postanowienie walnego zgromadzenia akcjonariuszy. Ale z »nadwartością« kapitalistów rzecz się ma inaczej. Kształtowanie się jej i podział nie przypadają według doktryny Marxa i Schmidta na dwa odrębne akty, lecz dokonują się w tym samym fakcie, którym jest kształtowanie się wartości zamiennej towarów: nadwartość kształtuje się w sposób i w rozmiarach, przyjętych przez Marxa, gdyż uzyskiwana przez kapitalistów-przedsiębiorców wartość zamienna towarów zależy całkowicie i wyłącznie od zawartej w nich ilości godzin pracy, a dzieloną jest w sposób, przyjęty przez Marxa, ponieważ ta sama, przez kapitalistów-przedsiębiorców uzyskiwana wartość zamienna towarów nie zależy całkowicie i wyłącznie od zawartej w nich ilości godzin pracy! A więc w rozpatrywaniu tego samego faktu, t. j. kształtowania się wartości zamiennej towarów, trzeba dosłownie: stwierdzić, że prawo wartości jest zarazem całkowicie zgodne z doświadczalną rzeczywistością i niezgodną z prawdą hipotezą.

Obóz marxistów chętnie się powołuje na analogię z przyrodniczymi prawami i hipotezami, których empiryczne działanie również natrafia na przeszkody i opór i wymaga pewnych modyfikacji, nie naruszających jednak w niczem prawdziwości samego prawa. Gdyby np. prawo ciężenia miało działać w całej swej czystości, to spadek ciał nie mógłby się odbywać zupełnie tak, jak się odbywa pod wpły-

wem oporu powietrza, to jest w rzeczywistości. A jednak prawo ciężenia jest niewątpliwie prawdziwym, rzeczywistym, naukowym prawem. To samo się dzieje z »prawem wartości«; prawo jest prawidłowe, tylko działanie jego w praktyce spaczone jest wskutek istnienia prywatnych kapitalistów, wymagających dla siebie jednakiej stopy zysku; jak opór powietrza pozbawia ciała spadające dokładnego, należnego im według prawa ciężenia stopnia szybkości, tak istnienie prywatnych kapitalistów z ich roszczeniami do jednakowej stopy zysku, nie pozwala, by wartość zamienna towarów odpowiadała zawartej w towarach ilości pracy.

Porównanie kuleje. Sposób wnioskowania Marxa wykazuje błędy, dla których niema i nie może być pierwowzoru w czystych wnioskowaniach fizyków. Fizyk wie dobrze, że ciężenie może stanowić jedyną przyczynę szybkości spadku ciała tylko w przestrzeni, pozbawionej powietrza, a więc nie przedstawiającej żadnego sprzeciwu; ale równie dobrze wie, że szybkość spadku w przestrzeni, napelnionej powietrzem, jest, jako taka, wypadkową działania licznych przyczyn, i wystrzega się wypowiedzenia dla przestrzeni, napelnionej powietrzem, czegoś, z czego by wynikało wyłączne oddziaływanie prawa ciężenia. Inaczej z Marxistami. Wprowadzwszy już do swej hipotezy istnienie kapitalistów prywatnych, — analogja do oporu powietrza — w dalszym ciągu, jakieśmy widzieli, wyjaśniają powstawanie łącznej masy nadwartości na podstawie twierdzenia, że na wartość zamienną towarów wpływają wyłącznie zawarte w nich ilości pracy, i dopiero przy wyjaśnieniu podziału łącznej wartości między poszczególne części kapitału, przypominają sobie istnienie przyczyny współzawodniczącej. Zupełnie, jak gdyby fizycy twierdzili, że w przestrzeni, napelnionej powietrzem, łączna szybkość spadającego ciała jest równie wielka, jak w przestrzeni, pozbawionej powietrza, tylko dzieli się pomiędzy poszczególne przebyte pokłady w innym stosunku, niż w przestrzeni, pozbawionej powietrza!

Dalej, fizycy mają dobre podstawy dla swego twierdzenia, że przynajmniej w pustej przestrzeni spadek ciał rzeczywiście odbywa się ściśle według prawa ciężenia. Marxistzi zaś, dla analogicznego twierdzenia, że w społeczeństwie bez prywatnego kapitalizmu wartość zamienna towarów stosowałaby się ściśle do prawa pracy, jako jedynego źródła

wartości, nie mają ani dobrych, ani złych, ani wogóle żadnych podstaw. Ta uwaga prowadzi mnie do drugiego, wskazanego wyżej grzechu głównego programu Schmidta, do formalnej bezpodstawności punktu wyjścia.

Sądzę, że marxiści nieco za lekko poczynają sobie z postawieniem »hypotezy« o pracy, jako jedynym źródle wartości. Zapewne; hipoteza ta nie zawiera nic takiego, co by samo przez się, *a priori*, było niemożliwe, lub nieprawdopodobne. Ale tego nie dosyć, by móc tę hipotezę uczynić podstawą teorii, którą mamy brać poważnie. *A priori* niemożliwym do pomyślenia nie byłoby przecież twierdzenie, że wartość zamienna opiera się na ciężarze gatunkowym ciał! — Nie można przecież obronić punktu widzenia, że można wymagać całkowitego uznawania hipotezy aż do chwili dosłownego, namacalnego jej odparcia. Mógłbym np. postawić hipotezę, że cały świat pełen jest niezliczonych, niewidzialnych, większych i mniejszych chochlików, które ciągną i popychają ciała i w ten sposób wywołują zjawiska, które fizycy — w innej hipotezie — przypisują ciężarowi materji. Każdy teoretyk poznania przyzna mi, że dokładne odparcie tej fantastycznej hipotezy, pomimo jej fantastyczności, jest, przy naszych środkach poznania, niemożliwe. Nie można dowieść, że ciągnące i popychające chochliki nie istnieją; w najlepszym razie wykażemy tylko, że istnienie ich jest w najwyższym stopniu nieprawdopodobne. Ale pomimo to wymianoby mię, i to całkiem słusznie, gdybym wymagał, by tej hipotezie dawano pierwszeństwo przed innemi, aż do chwili zupełnego jej obalenia. Jasne jest raczej — i tak przyjęto przy wszystkich naukowych badaniach — że tylko taka hipoteza może sobie rościć prawa do poważnego, naukowego traktowania, która się opiera na pozytywnych podstawach, czyniących ją hipotezą dobrą, względnie stosunkowo najlepszą.

Hipoteza zaś, iż wartość towarów polega wyłącznie na zawartej w nich pracy, nie opiera się, w obecnym stadjum dyskusji, na żadnej wogóle podstawie. Nie jest ona napewno bezpośrednio przekonującym aksjomatem, nie wymagającym żadnego dowodzenia; widzieliśmy to już wyżej. Jedyna próba głębszego uzasadnienia, jaką kiedykolwiek podjęto, próba Marxa, speliła na niczem, — przyznaje to najwidoczniej sam Schmidt; doprawdy, za mocne by było,

gdyby nam kazano wierzyć, że pojęciową koniecznością wymiany jest, by przy każdej wymianie wymieniali się równe ilości pracy, gdy sam Marx w trzecim tomie przedstawia nam, jako występującą w pewnych warunkach ekonomiczną konieczność, że przy wymianie przeciwstawiają się sobie nierówne ilości pracy! Niema także wyraźnej zgodności z faktami, znanymi z doświadczenia, które w pewnych warunkach mogłoby zastąpić głębsze udowodnienie, i nawet musi je zastępować wszędzie, gdzie chodzi o fakty ostateczne, nie podlegające dalszej analizie; przeciwnie, jak to już tyle razy podkreślałem, doświadczenie wykazuje liczne, jaskrawe sprzeczności z »hypotezą«, i nigdy w niczem nie jest z nią zgodne. Próby wreszcie — któreby się sprowadzały do wewnętrznego uzasadnienia — dowiedzenia czy wytłumaczenia za pomocą analizy działających przy wymianie motywów, że kształtowanie się wartości wykazuje tendencję do zgodności z ilościami pracy, powstrzymywaną tylko przez zewnętrzne przeszkody, nie podejmują marxiści wcale, jako całkowicie pozbawionej widoków powodzenia. Przeciwnie bowiem, wszystko, co widzimy i z doświadczenia wiemy o motywach, popychających do wymiany, zmusza nas do stwierdzenia, że wartość nie może odpowiadać ilościom pracy, zarówno w znanym nam w rzeczywistości ustroju prywatnie-kapitalistycznym, jak i w społeczeństwie niekapitalistycznym: w każdej formie społeczeństwa i przy każdym podziale darów fortuny, ludzie kierują się względami na ich użyteczność i na ich koszt; koszt te zaś zawierają wprawdzie bezwzględnie względ na wielkość wydatku pracy, ale również niema wątpliwości, że się do tego nie sprowadzają — w szczególności odegrywa też rolę czas, w którym dobra mogą być użyteczne, na co nieżyłcowa hipoteza o pracy, jako jedynym źródle wartości, nie zostawiła wcale miejsca.

W najostatniejszych czasach ukazało się też godne uwagi wydawnictwo socjalistycznego obozu, które jeszcze o jeden ważny krok cofa się poza bronioną przez Schmidta linię i dla prawa wartości wogóle nie wymaga stanowiska podstawy socjalistycznej teorii wyzysku. Autor pracy, Ed. Bernstein¹⁾, poświęca wprawdzie prawu wartości go-

¹⁾ Die Voraussetzungen des Sozialismus und die Aufgaben der Sozialdemokratie, Stuttgart 1899.

racą apologję, której treść zajmuje mniej więcej średnie miejsce pomiędzy teorjami Sombarta i Schmidta. Nierealność prawa wartości, o ile się ona ma odnosić do stosunków zamiennych pomiędzy poszczególnymi towarami, wyraźnie tu jest stwierdzona; praca, jako jedyne źródło wartości, nazwana »czysto umysłową konstrukcją«, »zbudowaniem na abstrakcji, czysto pojęciowym zjawiskiem«; jest to »nic więcej, jak tylko klucz, obraz myślowy, jak obdarty duszą atom«. Za pomocą »przypuszczenia«, że poszczególne towary sprzedają się według swej wartości, chciał Marx tylko na »sztucznie zbudowanym poszczególnym wypadku« — »uzmysłowić« pewien fakt tak, jak się on, jego zdaniem, rzeczywiście przedstawia w całości produkcji: jest to fakt »nadwyżki pracy«. Faktu tego jednak Bernstein nie chce dowodzić na podstawie prawa wartości. W jasnym poczuciu, że samo prawo wartości zbyt trudno jest obronić, by jeszcze na niem opierać coś innego, oświadcza: »Dla dowiedzenia istnienia nadwyżki pracy zupełnie obojętnem jest, czy marxowska teoria wartości jest prawidłowa, czy też nie. W tym względzie nie jest ona żadną tezą dowodową, tylko środkiem analizy i lepszego unaocznienia faktu«¹⁾.

I, rzecz znamienna, do tego pierwszego ustępstwa dodaje inne, powiada, że praca, jako jedyne źródło wartości, nawet, jako klucz, »z pewnego punktu widzenia zawiodła, i dlatego prawie dla każdego ucznia Marxa stała się fatalną«; że wogóle »doktryna wartości w równie małym stopniu stanowi sprawdzian dla słuszności, lub niesłuszności podziału produktów pracy, jak teoria atomów dla piękności, czy brzydoty obrazu«; że wartość, oparta na użyteczności krańcowej, szkoły Gossena-Jevonsa-Böhma, równie, podobnie do marxowskiej wartości, opartej na pracy, mająca za podstawę »stosunki rzeczywiste«, ale zbudowana na abstrakcjach, i podobnie »dla określonych celów« i »w określonych granicach« może »rościć pretensje do znaczenia«, i że już ze względu na to, że i Marx podnosił znaczenie wartości użytkowej, niemożliwym jest »zbycie teorii Gossena-Böhma kilku lekceważącymi zwrotami«²⁾.

Czemże chce Bernstein zastąpić porzucone oparcie

¹⁾ Op. cit. str. 38, 41, 42, 44.

²⁾ Op. cit. str. 45, 41, 42.

argumentacji, które dawny marxizm szukał w prawie wartości, by utrzymać jednak teorię wyżysku? — Ucieka się do przesłanki niezwykle prostej, ale też w swej sile dowodowej niezwykle wątpliwej. Wskazuje poprostu na fakt, »że w wytwarzaniu i dostarczaniu towarów tylko część społeczeństwa bierze czynny udział, gdy pozostała część składa się z ludzi, którzy albo dostają dochody za usługi, nie stojące w żadnym bezpośrednim związku z produkcją, albo też wprost mają dochody bez pracy. Z całości zawartej w produkcji pracy żyje tedy znacznie większa ilość ludzi, nietylko ci, co w niej czynnie współdziałają, a statystyka dochodów wykazuje, że nieczynne w produkcji warstwy przynależąca sobie w dodatku o wiele większą część całości produktu, niż ich stosunek liczebny do części, produkcyjnie pracującej. Nadwyżka pracy tych ostatnich jest empirycznym faktem, o którego istnieniu poucza doświadczenie, nie potrzebującym przeto dedukcyjnego dowodzenia«¹⁾.

Innemi słowy, ponieważ Bernstein tę »nadwyżkę pracy« rozumie w wyrażnie marxowskim sensie, jako wyżyłską, cudzą pracę, więc dzięki prostemu faktowi, że nie cały produkt narodowy dzielony jest pomiędzy produkcyjnych robotników; jako płaca robocza, a istnieją jeszcze inne formy dochodu, chce on odrazu bezpośrednio uznać za empirycznie dowiedzione, że w stosunku do robotników zachodzi wyżysk i że wniosek ten nie potrzebuje żadnego dedukcyjnego udowodnienia. Przeciwnie zaś, wniosek ten jest tak przedwczesny, zawiera tak wyraźne *petitio principii*, że nie potrzebuje prawie prawidłowego obalania. Wnioskując w ten sposób, możnaby przecie, przeliczując nawet fizjokratów, dowieść, że cała ludzkość żyje z wyżysku klas rolniczych: bo ostatecznie faktem jest, że z produktów rolnych, wydobytych przez robotników rolnych, utrzymują się reszta innych ludzi!

Zagadnienie jest jednak nieco mniej proste. Doświadczenie wykazuje przedewszystkiem, że produkt narodowy wynika ze współdziałania pracy ludzkiej z rzeczowymi środkami produkcji, które są w części naturalnego, w części sztucznego pochodzenia (ziemia, kapitał) i dzielony jest według pewnego klucza pomiędzy tych, co dostarczają współ-

¹⁾ Op. cit. str. 42.

działające czynniki. Jeśli tedy ktoś jest zdania — nad którym możnaby długo dyskutować — że wśród faktycznie biorących udział w podziale, jeden tylko brać udział powinien, tak, że udział innych jest w stosunku do niego wyzyskiem, to musi stosunek wewnętrzny tych czynników pomiędzy sobą oświecić i na podstawie głębszych dowodów starać się wykazać, że, pomimo zewnętrznej mnogości współdziałających czynników, jeden z nich tylko, — wogóle, czy przynajmniej dla kwestji podziału, — ma znaczenie i posiada prawo wymagania wszystkiego dla siebie, inni zaś nic nie znaczą. Tak też rozumiał zagadnienie Marx. Znaczenie dóbr w życiu gospodarczym polega na ich wartości, i dlatego Marx, chcąc dowieść, iż robotnik ma wyłączne prawo do całej wartości produktu, zupełnie konsekwentnie starał się wykazać, że wartość jest wyłącznie wytworem jednej tylko pracy: jego prawo wartości było mu środkiem pomocniczym w dowodzeniu, że pretensje właścicieli ziemskich i kapitalistów do uczestniczenia w podziale są zupełnie nieuprawnione.

Zresztą i sam Bernstein nie może się całkiem obejść bez dedukcji. Łańcuch jego wrzekomo czysto empirycznych dowodów zawiera też poprostu niewypowiedziane głośno, dedukcyjne ogniwo: zdanie Rodbertusa, że z gospodarczego punktu widzenia wszystkie dobra są czystymi produktami pracy. Jeśli nie dodamy sobie w jego dowodzeniu tego zdania — skoro marxowskie prawo wartości stanowczo wykluczone jest z pośród służących argumentacji przesłanek — przynajmniej, jako ogniwa łącznego, to wniosek Bernsteina nie byłby nawet formalnie zakończonym. Ale ta dedukcyjna przesłanka, do której Bernstein musi się uciec, nie jest w stanie dać teorii wyzysku skuteczniejszego oparcia od prawa wartości Marxa. Jest ona, jak wiemy, wręcz fałszywą, zapożyczając i zaprzeczając znaczenie rzadkich dóbr przyrody dla ludzkiej gospodarki i produkcji¹⁾; a zresztą, co dla naszej kwestji zysku z kapitału jest jeszcze ważniejsze, nawet w tym zakresie, w którym jest słuszną, nie daje żadnego oparcia temu ujęciu i tym wnioskom, które teoria wyzysku oprzełaby na niej chciała. Bo przypomnijmy sobie, że teoria wyzysku nie zadawałna się wymaganiem dla ro-

¹⁾ Patrz wyżej, str. 24 i nast.

botników wszystkiego, co oni wytwarzają, ale wymaga tego w dodatku wcześniej, niż zostało przez tych robotników wytworzone; a już co najmniej dla tej szutecznej przedwczesności nie istnieje żaden naturalny, czy zgodny z prawem natury tytuł, którego niezachowywanie mogłoby rzeczywiście zasłużyć na piętnowanie nazwą »wyzysku«. Zwolennicy teorii wyzysku nie stawiają wprawdzie jasno przed sobą i przed swymi czytelnikami tej nienaturalnej, by nie powiedzieć sprzecznej z naturą, wstawki do swych postulatów, wyprowadzonych z wrzekomo oczywistych, naturalnych zasad, ale niepodobna zaprzeczyć jej istnieniu. Mówiąc o Rodbertusie dowiodłem już tego na małą skalę, na konkretnym przykładzie¹⁾; teraz, mówiąc o Bernsteinie, wykażę to raz jeszcze dla całości problemu. Zdaje się, że walka o teorię wyzysku, po przewyciężeniu epizodu sławetnego prawa wartości Marxa, raz jeszcze wraca do tych samych pozycji, na których się zatrzymał Rodbertus ze swymi twierdzeniami, i tu znajdzie swe ostateczne rozstrzygnięcie.

Treść myślową tej pozycji ujmuje Bernstein w wyobrażenie o zdumiewającej prostocie, wskazując, że nie tylko produkcyjni robotnicy, lecz i inni ludzie żyją z produktu narodowego. Przeciwwstawię temu parę niemiennie prostych i elementarnych faktów.

Faktem jest, że stosowane dzisiaj metody produkcji, przy których »pośrednia praca« zdawna przygotowuje surowce, narzędzia, maszyny, pomocnicze materiały, środki przewozowe i t. p., są o wiele wydajniejsze, niż takie metody produkcji, którym brak takich daleko sięgających przygotowań. Faktem jest, że jeśli spojrzymy na całą pośrednią i bezpośrednią pracę, włożoną w pewne dobro, jako na całość, to dojrzały do spożycia owoc uzyskujemy tylko po ukończeniu wypełnionego pracą procesu, który trwać może liczne, i nawet bardzo liczne lata. I faktem jest, iż socjaliści wymagają całego tego produktu, względnie całej jego wartości wyłącznie dla zajętych przy jego wytwarzaniu robotników, jako »pełny wynik ich pracy«, ale wcale nie mają zamiaru odwiec podziału całej tej wartości pomiędzy robotników aż do chwili, w której wytwarzany przez nich produkt będzie skończony i gotów do podziału; przeciwnie, wymagają, by

¹⁾ Patrz wyżej, str. 33 i nast.

każdy robotnik, natychmiast po wykonaniu swojej części pracy, otrzymał pełny, równą wartość mający przedmiot, taki jak ten, co dopiero po upływie szeregu lat wyniknąć ma ze wspólnej ich pracy.

I tu w grę wchodzi drugi szereg faktów. Faktem jest, że jakiegokolwiek obdzielenie robotników przed zakończeniem ich dzieła może odbyć się tylko w takim razie, jeśli przed tem zakończeniem istnieją już dobra z innych źródeł powstałe, a gotowe do spożycia, i dlatego, że tak jest, i że tylko pod tym warunkiem praca może być wogóle obliczona na długi przeciąg czasu, względnie ujęta w wydajne, a na długie lata rozłożone, metody pracy; inaczej trzeba by się było zadowolnić mniejszymi wynikami pracy, ujętej w nie tak dobrze przygotowane i nie tak daleko sięgające metody produkcji. Takie zaś zapasy dóbr istnieją, dziedzicząc się i mnożąc z pokolenia w pokolenie, w rękach kapitalistów. Zdobyć ich mogło w części tylko być sprawiedliwe, w części zaś niesprawiedliwe — tej kwestji na razie badać nie będziemy: w każdym razie to pewna, że ten zapas dóbr stworzono i utrzymano całkowicie bez udziału tych robotników, którzy są z niego utrzymywani i opłacani w czasie trwania zaczętego procesu produkcji.

Nie jest tedy pełną zasługą dziś zatrudnionych robotników, ich trudu i ich zręczności, że po upływie tylu to i tylu lat wykończonym zostaje pewien obfitszy, lepszy produkt; część tej zasługi przypada pewnej ilości osób, które przedtem pracowały i troszczyły się o wytworzenie i przechowanie nagromadzonego zapasu dóbr; a praca obecnych robotników ma mieć niezaprzeczalne prawo do wymagania, by ten większy, bogatszy produkt przypadł jej całkowicie w udziale, i to jeszcze zanim zostanie wytworzony?

Teorja wyzysku chce nam to wmówić, ale nie przekona to najgorętszego przyjaciela robotników, jeśli tylko całkowicie i jasno przedstawi sobie ten stan rzeczy. Tego wprawdzie teorja wyzysku nie czyni. We wszystkich swoich sformułowaniach zaniedbała oświecić jasno najwydatniejszy punkt sprawy, różnicę czasu pomiędzy wypłatą wynagrodzenia i wykończeniem produktu, zarówno jak i wogóle znaczenie różnicy czasu dla techniki produkcji i dla oceny dóbr. Albo nie porusza tego tematu wcale, albo porusza go w błędny, nieprawidłowy sposób — w czym znowu Marx niemało

zgrzeszył. Raz oświadcza, że dla kształtowania się wartości produktu jest «okolicznością najzupełniej obojętną», że część pracy potrzebnej dla wytworzenia gotowego produktu musi być zastosowaną we wcześniejszym okresie, stoi w plusquam-perfectum?¹⁾; innym zaś razem, kręłą swą dialektyką umie wykazać, przeciwnie, że przyjęte terminy wypłaty nie są za wczesne, lecz spóźnione, na niekorzyść robotnika, ponieważ robotnicy otrzymują swą płacę w końcu dnia, tygodnia, czy miesiąca, w czasie którego już dla przedsiębiorcy pracowali, tak, że nie przedsiębiorca daje płacę, jako zaliczkę, lecz robotnicy zaliczają mu swą pracę²⁾.

Byłoby to zupełnie słuszne, gdyby się przyjmowało punkt widzenia, że prawo robotnika do płacy niema już dalej nic do czynienia z przyszłym produktem, który powstaje z jego pracy; gdyby się mówiło, że przedsiębiorca nie kupuje przyszłego produktu, który powstanie z pracy, lecz po prostu obecną fizyczną usługę robotnika; czy powstanie przy tem coś użytecznego, i ile, jest, po dokonaniu kupna, rzeczą przedsiębiorcy, a wcale nie obchodzi robotnika i jego prawa do płacy. Kto przyjmuje to stanowisko, musi też całkiem słusznie twierdzić, że przy wypłacie, dokonywanej po usłudze pracy, robotnik zalicza przedsiębiorcy swą pracę, a nie przedsiębiorca jemu wynagrodzenie. Jeśli jednak, jak to — może nie bez słuszności — czynią Marx i socjaliści, prawo do płacy przenosi się wprost na produkt, który ma z pracy powstać, i stosownie do tego cały swój sąd krytyczny o wypłacie wynagrodzeń opiera się na stosunku, w którym ta wypłata znajduje się do ostatecznego produktu pracy, nie można też przeoczać, ani zaprzeczać istnienia faktu, że jeśli wypłaty wynagrodzeń odbywają się odrobinę później, niż wykonanie poszczególnych części pracy, to jednak wyprzedzają bardzo znacznie powstanie gotowego do spożycia produktu, tak, że, odniesione do produktu, prawo do płacy zaspakajaniem jest w każdym razie ze sztuczną przedwczesnością, która, wobec istnienia różnicy wartości pomiędzy teraźniejszością, a przyszłością, musi mieć kompensatę w wysokości wypłacanych wynagrodzeń.

Dotychczas, gdy musiałem wspominać pozostałe grupy,

¹⁾ I, 175.

²⁾ II, 197 i nast.

biorące udział w podziale narodowego produktu, wyrażałem się z rezerwą i raczej negatywnie. Odpowiadało to rodzajowi mego obecnego zadania. Prawdliwość lub nieprawidłowość teorii wyzysku nie zależy od tego, czy nie zużyte na płace robocze części produktu społecznego dostosowane są dokładnie do istotnej zasługi obdzielonych, ale jedynie i wyłącznie od tego, czy można dowieść, że zasługi robotników uprawniają ich do roszczenia sobie prawa do sztucznie przyspieszonego oddania im całego narodowego produktu. Jeśli tego dowieść nie można, teoria wyzysku jest fałszywą — i w takim razie część narodowego produktu pozostaje wolną i inni ubiegający się mogą rościć sobie do niej pretensje, oparte na słuszności lub na prawie, a jeśli takich niema, rozporządzać nią może oświecone prawodawstwo na podstawie mądrych, trwale powszechnie dobro mających na celu rozważań. Możliwe — i istotnie rozwój naszego prawodawstwa, jak to wykazują współczesne ubezpieczenia pracy, progresywne podatki od dochodu, wzrastające upaństwowienia i t. p., kierować się zdaje w tę stronę — możliwe, powtarzam, że prawodawstwo ma wszystkie powody do powiększenia opartego na naturalnym prawie udziału klas pracujących przez oddanie im dalszych części produktu społecznego, za pomocą sztucznych środków, kierujących się względami celowości w najwyższym znaczeniu tego słowa, a ograniczających pośrednio, lub bezpośrednio, dochody, płynące z posiadania; ale rozważania te i decyzje opierają się na zupełnie innych podstawach, niż te, na które się powołuje teoria wyzysku. Znaczenie zaś tej teorii ostatecznie na tem polega, że chce ona, powołując się na fałszywy tytuł prawny, przeciąć dyskusję i przy dyskusjach nad tą częścią produktu społecznego, do której klasa robotnicza nie ma wystarczającego tytułu prawnego, nie dopuścić do głosu należnych rozważań i dowodów.

Omówieniu teorii wyzysku poświęciłem niezwykle i nie stosunkowo dużo miejsca. Uczyniłem to z namysłem i zupełnie świadomie. Żadna inna doktryna w przybliżeniu nawet nie miała tak wielkiego wpływu na myśli i uczucia całych pokoleń. Właśnie czasy obecne widziały ją u szczytu potęgi; jeśli się nie mylę, zaczyna się ona na tym szczycie chwiać, ale przyjdą jeszcze dalsze usiłowania zaciętej obrony, albo odrodzenia ewentualnie przekształconej doktryny.

To też sędzę, że oddałem sprawie usługę, nie zadawalniając się tylko czysto retrospektywną krytyką zakończonych już stadjów rozwoju tej doktryny, lecz wybiegając naprzód i starając się krytycznie oświetlić tę widownię, na której, według wyraźnych wskazówek, zwolennicy jej raz jeszcze próbować będą wszcząć walkę o poglądy.

Co się tyczy tej starej, socjalistycznej teorii wyzysku, którą poznaliśmy przez dwóch najwybitniejszych jej zwolenników, R o d b e r t u s a i M a r x a, to nie mogę zmieknąć surowego wyroku, który wydałem na nią już w pierwszym wydaniu tej pracy. Nie jest ona tylko nieprawidłową, ale, z punktu widzenia teoretycznej wartości, zajmuje jedno z ostatnich miejsc wśród wszystkich teorii zysku. Chociaż zwolennicy innych teorii popełnili niejeden ciężki błąd, to nie sędzę, by się gdzieindziej znalazło tyle i tak grubych błędów: lekkomyślne i przedwczesne przypuszczenia, fałszywa dialektyka, wewnętrzna sprzeczność i zamykanie oczu na fakty rzeczywiste. Jako krytycy są socjaliści zdolni, ale jako twórcy teorii wyjątkowo słabi. Przekonanie to dawno zapanowałoby na świecie, gdyby przypadkiem stanowiska partyjne zostały przemienione, i taki M a r x, lub L a s s a l l e z tą samą świetną retoryką i z tą samą trafną, gryzącą ironją skierowali się nie przeciw »przedstawicielom wulgarnej ekonomji«, a przeciw teorii socjalistycznej!

Że teoria wyzysku, pomimo swej słabości, znalazła i znajduje tyle wiary, zawdzięcza to, mojem zdaniem, połączeniu dwóch okoliczności. Najpierw temu, że przeniosła spór na grunt, na którym ma znaczenie nietylko umysł, ale i uczucie. Położenie klas pracujących jest w istocie raczej nędzne: każdy filantrop musi życzyć, by zostało polepszone. Wiele zysków kapitału płynie istotnie z mętnego źródła: każdy filantrop musi życzyć, by te źródła wyschły. Jeśli tedy spotyka teorię, której wnioski dążą do zwiększenia praw nędzarzy, a zmniejszenia udziału bogaczy, i całkowicie, lub częściowo zgadzają się z dążeniami i pragnieniami jego serca, to niejeden od razu stanie się w stosunku do niej stronnym i nie stosuje nawet części tej krytycznej przenikliwości, z którąby się inaczej zwrócił do badania jej naukowych podstaw. Że zaś szerokie masy przywiązują się do takich doktryn, zrozumiałem jest samo przez się. Krytyczna rozważa nie jest ich rzeczą, one idą tylko za popędem swych

życzeń. Wierzą w teorię wyzysku, dlatego, że jest dla nich wygodną, pomimo, że jest fałszywą; i wierzyłyby w nią nawet w takim razie, gdyby jej teoretyczne umotywowanie było jeszcze słabsze.

Drugą okolicznością, sprzyjającą teorii wyzysku i jej rozpowszechnieniu, była słabość jej przeciwników. Dopóki naukowa polemika z nią wychodziła z punktu widzenia i operowała argumentami nie mniej podlegających krytyce teorii produkcyjności, wstrzemięźliwości, lub pracy, w stylu Bastiata, Mc. Cullocha, Roschera, lub Strasburgera, spór nie mógł być dla socjalistów niebezpieczny. Z tak błędnie wybranych stanowisk nie mogli przeciwnicy trafić nawet w ich słabe miejsca; wątle ich napaści zbyt łatwo było odeprzeć i wpaść za przeciwnikami zwycięsko do ich własnego obozu: a to umieli socjaliści robić równie szczęśliwie, jak zręcznie. Przez to i tylko przez to zasłużył się socjalizm teorii: jeśli niektórzy socjalistyczni pisarze zdobyli sobie trwale znaczenie w dziejach doktryn ekonomicznych, to zawdzięczają to sile i zręczności, z jaką umieli zniszczyć pewne stare i głęboko zakorzenione błędy. Ale na miejsce tych błędów postawić prawdy socjaliści nie potrafili, jeszcze mniej, niż wielu z pośród ich tak zelżonych przeciwników.

ROZDZIAŁ XIII.

Eklektycy.

Trudności, jakie przedstawia dla nauki rozwiązanie zagadnienia zysku, najwyraźniej może odzwierciedlać się w tej okoliczności, że większość ekonomistów XIX-go stulecia nie zdobyła się wogóle na wyrobienie sobie określonego poglądu na to zagadnienie¹⁾.

Forma, w której się wyrażał ten brak mocnego przekonania, zmieniła się nieco od lat trzydziestych. Poprzednio niezdecydowani, których wówczas było bardzo wielu, prosto omijali zagadnienie zysku; wchodzili oni do tej kategorii, którą określiłem, jako »bezbarwną«. Z biegiem czasu, gdy zagadnienie zysku stało się stałym przedmiotem nauko-

¹⁾ Pisane w 1884-ym; o najnowszym rozwoju literatury patrz dołączony do tego tomu Dodatek.

wych rozważań, nie można już było na tem poprzestać. Trzeba było przyjąć jakiś pogląd. Wtedy niezdecydowani stali się eklektykami. Teorje zysku nadzwyczajnie się rozmnożyły. Kto nie był w stanie stworzyć własnej, albo nie mógł, czy nie chciał się całkowicie zgodzić na jedną z istniejących, ten z dwu, trzech, czy więcej, różnych teorii brał odpowiadające sobie części i skupiał je w całość, zazwyczaj dosyć lichą ze sobą powiazaną; albo też, nie kształtując tej zewnętrznej całości, w biegu swoich wywodów zastosowywał to jedną, to drugą teorię, zależnie od tego, która lepiej odpowiadała jego chwilowym celom.

Rozumie się samo przez się, że taki eklektyzm, z łatwością wyrzekający się konsekwencji, w rozumowaniu, tego podstawowego obowiązku teoretyka, nie zajmuje szczególnie wysokiego stopnia wśród innych teorii. Jednakże i tu, jak ongiś wśród »bezbarwnych«, obok licznych pisarzy pomniejszego znaczenia spotykamy też kilka pierwszorzędnych umysłów. Nie jest to wcale tak dziwne; doktryna rozwijała się w tak szczególny sposób, że właśnie dla zdolnych myślicieli pokusa stania się eklektykiem była prawie nieprzemąglona. Istniała tak wielka liczba różnych teorii, że mogło się wydawać, iż wyczerpano już wszelkie możliwości. Żadna zaś pośród nich nie mogła całkowicie zadowolnić krytycznego umysłu. Z drugiej zaś strony niepodobna zaprzeczyć, że w każdej z nich mieściło się przynajmniej ziarenko prawdy. Teoria produkcyjności np. jako całość była stanowczo niewystarczająca; ale żaden bezstronny badacz nie mógł oprzeć się wrażeniu, że istnienie zysku musi jednak mieć coś do czynienia z większą wydajnością kapitalistycznej produkcji, albo, jak się mówiło, z produkcyjnością kapitałów. Podobnie z »wstrzemięźliwości kapitalisty« nie daje się wyciągnąć całkowitego wyjaśnienia zysku z kapitału, ale jednak trudno zaprzeczyć, że wyrzeczenie, jakiego zazwyczaj wymagają wszelkie oszczędności, nie jest całkiem obojętne dla powstawania i wysokości zysku. W takich warunkach istotnie najbardziej się narzucało wyszukiwanie części prawdy po wszystkich teoriach; tembardziej, że nie tylko teoretyczne, ale i społeczno-polityczne zagadnienie zysku stało wciąż na porządku dziennym i chęć usprawiedliwienia go kazała jednemu zrezygnować raczej z jednolitości teorii, niż z nagromadzenia uzasadniających zysk argumentów. Bądź co

badź zgromadzone okrucy prawdy pozostały w ręku eklektyków tylko okruciami, których kontury nie pasowały do siebie i które opierały się stanowczo połączeniu w jakąś harmonijną całość.

Eklektyzm stanowi bogaty zbiór wzorów kombinacji rozmaitych poszczególnych teoryj. Najczęściej wprowadzane są do tych kombinacyj dwie teorie, których związek z prawdą, choć błędnie zrozumiany, najłatwiej było dostrzec; teoria produkcyjności i teoria wstrzemięźliwości. Z licznych pisarzy, którzy posługiwali się tą kombinacją, szczegółowiej zajmę się *Rossi*m. Poczęści dlatego, że jego interpretacja teorii produkcyjności niepozbawiona jest pewnej oryginalności, poczęści zaś, że jego styl może służyć za charakterystyczny typ niekonsekwentnej manjery, używanej przez eklektyków.

Rossi w swoim *Cours d'Économie Politique*¹⁾ posługuje się kolejno teorią produkcyjności i teorią wstrzemięźliwości, nie usiłując wcale złączyć je w jednolitą teorię; w ustępach, traktujących zjawisko zysku i jego przyczyny bardziej ogólnie, używa chętniej teorii wstrzemięźliwości, w szczegółach doktryny, a mianowicie przy badaniu wysokości zysku, — raczej teorii produkcyjności. Przytoczę tu z kolei najważniejsze ustępy dowodzenia, nie zadając sobie trudu ustalenia pomiędzy nimi jakiegokolwiek harmonii, o którą się zresztą sam autor nie starał.

Rossi prosto uznaje kapitał za czynnik produkcji, równolegle do pracy i ziemi (I, str. 92). Za współdziałanie swe otrzymuje ten czynnik wynagrodzenie, mianowicie zysk (profit). Dlaczego? odpowiedź zawierają mistyczne słowa, które można tłumaczyć raczej w sensie teorii produkcyjności: »z tych samych przyczyn, z tego samego tytułu, co i praca« (str. 93). Wyraźniej, wprawdzie stanowczo w sensie teorii wstrzemięźliwości wypowiada się *Rossi* w streszczeniu 3-go wykładu III-go tomu: »kapalista wymaga wynagrodzenia, odpowiadającego wyrzeczeniu się, na które się zdobył«. (III, str. 32). W ciągu następnego wykładu myśl tę rozwija szerzej. Przedewszystkiem gani *Malthusa* za umieszczenie dochodu z kapitału, który nie jest wydatkiem, tylko dochodem kapitalisty, wśród kosztów produkcji — za-

rzut, któryby mógł zresztą najpierw skierować pod swoim własnym adresem; w 6-ym bowiem wykładzie I-go tomu najwyraźniej i najdokładniej zaliczył dochód z kapitału do kosztów produkcji¹⁾. Jako istotną część kosztów przedstawia natomiast »skapitalizowanie oszczędności« (*l'épargne capitalisée*), nieroztrwanie i produkcyjne zastosowywanie dóbr, które się rozporządza. I później jeszcze niejednokrotnie (np. III, 261, 291) wskazuje *Rossi* na wyrzeczenia się spożycia ze strony kapitalisty, jako na jeden z czynników, działających przy powstawaniu dochodu.

Jeśli dotychczas *Rossi* ukazywał się nam przeważnie, jako zwolennik teorii wstrzemięźliwości, to począwszy od drugiej połowy III-go tomu najpierw sporadycznie, a następnie coraz stalej ukazują się ustępy, które dowodzą, iż *Rossi* znajdował się też pod wpływem tyle rozpowszechnionej teorii produkcyjności. Najpierw w niezupełnie określonych słowach stara się dochód z kapitału związać z okolicznością, że »kapitały przykładają się do produkcji« (III, str. 258). Nieco później (str. 340) czytamy już całkiem wyraźnie: »Zysk jest odszkodowaniem, odpowiadającym sile produkcyjnej« — więc już nie wyrzeczeniu. Nareszcie wysokość zysku z kapitału wyjaśniona zostaje na najszerszej podstawie produkcyjności kapitału. *Rossi* uważa mianowicie za »naturalne«, że kapalista, jako swój udział o produkcji winien otrzymać tyle, ile tego produktu wytworzył jego kapitał; będzie tego wiele, jeśli siła produkcyjna kapitału jest znaczną, a mało, jeśli jest niewielką. W ten sposób dochodzi *Rossi* do prawa, że naturalna wysokość zysku z kapitału znajduje się w prostym stosunku do wielkości produkcyjnej siły kapitału. Rozwija prawo to, najpierw stawiając hipotezę, że produkcja wymaga tylko kapitału, by móc się odbywać, a czynnik pracy, jako znikomą, może być całkowicie pominięty, a także uwzględniając wyłącznie wartość użytkową produktu. Przy takim przedstawieniu kwestji uważa za zupełnie jasne, że jeśli np. przy użyciu sochy pewien określony kawałek ziemi oprócz zwrotu zastosowanego kapitału daje jeszcze 20 hektolitrow ziarna jako zysk, to przy użyciu lepiej pracującego kapitału,

¹⁾ I, str. 93: »Les frais de production se composent: 1. de la rétribution due aux travailleurs, 2. des profits du capitaliste« etc.

¹⁾ 4-e wydanie, Paryż 1865.

choćby pluga, ten sam kawałek ziemi oprócz całkowitego zwrotu kapitału da większy zysk, np. 60 hektolitów ziarna, »bo zastosowano kapitał o wyższej sile produkcyjnej«. Ale to samo naturalne zasadnicze prawo ma też znaczenie i dla skomplikowanych stosunków naszego faktycznego gospodarczego życia. I tutaj »naturalnem« jest, że kapitalista dzieli się z robotnikami całkowitym produktem w tym samym stosunku, w jakim produkcyjna siła jego kapitału znajduje się do produkcyjnej siły robotników. Jeśli np. do produkcji, która dotychczas potrzebowała stu robotników, wprowadzona zostaje maszyna, która zastępuje siłę 50 ludzi, to kapitalista ma naturalną pretensję do połowy całego produktu, albo do płacy 50-u robotników.

Temu naturalnemu stosunkowi przeszkadza jedno: to, że kapitalista odegrywa podwójną rolę. Nie przyczynia się on jedynie swym kapitałem do powszechnego produkcyjnego współdziałania, ale wiązuje z tem drugi interes, kupno pracy. Na zasadzie pierwszego momentu otrzyma on zawsze naturalny zysk, odpowiadający produkcyjności kapitału. Ale przy kupnie pracy, to drogiej, to taniej, może on swój naturalny zysk z kapitału albo zwiększyć na koszt naturalnej płacy roboczej, albo części jego na korzyść robotnika się wyrzec. Skoro np. 50 robotników, usuniętych przez maszynę, przez popyt swój obniży płacę roboczą, to może się zdarzyć, że kapitalista pracę pozostałych 50-u robotników kupi za mniejszą część całego produktu, niżby się należało według stosunku ich siły produkcyjnej do siły produkcyjnej kapitału; np. zamiast za 50%, za 40% całego produktu. W takim razie do naturalnego zysku z kapitału dołącza się jeszcze dodatkowy zysk wysokości 10%. Z natury swej jednak jest on całkowicie obcy zyskowi z kapitału, z którym się go błędnie łączy, a stanowi raczej dochód z kupna pracy. Nie naturalny zysk z kapitału, ale ten obcy dodatek wytwarza antagonizm pomiędzy kapitałem, a pracą; i tylko odnośnie do tego dodatku może się utrzymać zdanie, iż zysk wzrasta, gdy płaca robocza się obniża, i odwrotnie; gdy naturalny, prawdziwy dochód z kapitału nie dotyka wcale płacy roboczej i zależy tylko od produkcyjnej siły kapitału (III, wykład 21 i 22).

Po wszystkim, co już wyżej było powiedziane o teoriach produkcyjności, może się ta doktryna obejść bez szczegó-

lowej krytyki, wskazać więc tu tylko na jedną niesłychaną jej konsekwencję: według Rossiego wszystkie nadwyżki wyników, osiągnięte przez wprowadzenie i ulepszenie maszyn, albo wogóle przez rozwój kapitału, musiałyby przez całą wieczność zupełnie i całkowicie wpływać do kieszeni kapitalistów, gdy na robotników nie spłynęłaby najmniejsza część z dobrodziejstw tych postępów, gdyż nadwyżki te zawdzięczają swoje istnienie zwiększonej produkcyjnej sile kapitału, i ich owoc stanowi »naturalny« udział kapitalisty!¹⁾

W tym samym kręgu myśli, co Rossi, poruszają się, nie przynosząc nic nowego, wśród francuskich pisarzy Molinari²⁾, i Leroy-Beaulieu³⁾, wśród niemców Rollinari²⁾, i Leroy-Beaulieu³⁾, wśród niemców Ro-

Z włoskiej literatury tego kierunku zwrócę uwagę na L. Cossa. Niestety, wyborny ten pisarz nie objął zagadnienia zysku z kapitału w studjum monograficznem, które poświęcił pojęciu kapitału⁴⁾, tak, że w tym względzie ograni-

¹⁾ Porówn. ostrą, ale przeważnie trafną krytykę Pierstorffa, op. cit. str. 93 i nast.

²⁾ Cours d'Economie Politique, wyd. 2, Paryż 1863. Jego teoria produkcyjności przykrojona jest według modelu Saya (zysk jest zapłatą za service kapitału; np. I str. 302); jego teoria wstrzemięźliwości (I, str. 289, 293 i nast., 300 i nast.), wskutek szczególnego ujmowania pojęcia »privation« jest szczególnie niezadawalniająca. Rozumie on mianowicie pod niem te braki, które kapitalista może cierpieć dlatego, że nie może rozporządzać umieszczonym w produkcji kapitałem dla zaspokojenia palących potrzeb, które mogą mu się w tym czasie zdarzyć. Stąd jest to bardzo niestosowna podstawa dla ogólnej teorii zysku!

³⁾ Essai sur la répartition des richesses, wyd. 2-e, Paryż 1883. Patrz szczególnie str. 236 (teoria wstrzemięźliwości), następnie 233 i nast., 238 i nast. (teoria produkcyjności). Patrz też wyżej t. I, str. 131.

⁴⁾ O Roscherze patrz wyżej t. I str. 125 i nast.; Schüz, Grundsätze der National-Oekonomie, Tübingen 1843, szczególnie str. 70, 285, 296 i nast.; Max Wirth, Grundzüge der National-Oekonomie, 3 wyd. I, 324, 5 wyd. I, 327 i nast. — Porówn. dalej Huhn, Allgemeine Volkswirtschaftslehre, Lipsk, 1862, str. 204; H. Bischof, Grundzüge eines Systems der National-Oekonomie, Graz, 1876, str. 459 i nast., szczególnie 465, uwaga 2; Schulze-Delitzsch, Kapitel zu einem deutschen Arbeiterkatechismus, str. 23 i nast., 27, 28 itp.

⁵⁾ La nozione del Capitale. W Saggi di Economia Politica, Medjolan 1878, str. 155 i nast.

czeni jesteśmy do krótkich i skąpych uwag, jakie znajdujemy w jego znanych *Elementi di Economia Politica*¹⁾. Treść ich upoważnia od nazwania Cossy eklektykiem; ale sposób, w jaki wyklada używane powszechnie doktryny, zdaje się zdradzać, iż ma też w stosunku do nich pewne krytyczne skrupuły. Rozważa on wprawdzie zysk z kapitału, jako wynagrodzenie »produkcyjnej usługi« kapitału (str. 119), nie uznaje go jednak za pierwiastkowy czynnik produkcji i nazywa go tylko »pochodnem narzędziem« produkcji²⁾. Dalej stawia wprawdzie zgodnie z teorią wstrzemięźliwości, czynnik »wyrzeczenia się« (privazione) pomiędzy innymi kosztami produkcji (str. 65), ale do doktryny zysku zastosowuje to w takim tonie, jakgdyby to nie było jego własnem przekonaniem, tylko przytaczaniem cudzego zdania³⁾.

Za najciekawszą jednak z tych eklektycznych teoryj, które łączą w sobie teorie wstrzemięźliwości i produkcyjności, uważam teorię angiłka Jevonsa, i nią też zakończę omawianie tej grupy.

Jevons¹⁾ daje przedewszystkiem bardzo jasny, wolny od mistycyzmu oddzielnej »siły produkcyjnej«, opis gospodarczej funkcji kapitału. Widzi on ją poprostu w tem, że kapitał pozwala nam wykonywać pracę dla przyszłych celów. Pomaga nam obejść trudność, wynikającą z okresu czasu, który upływa pomiędzy początkiem, a końcem pracy. Istnieje nieskończenie wiele ulepszeń w wytwarzaniu dóbr, których wprowadzenie związane jest nieodłącznie z przedłużeniem okresu, który musi upłynąć pomiędzy chwilą wydatku pracy i chwilą wykończenia dzieła. Wszystkie te ulepszenia uzależnione są od używania kapitału, i umożliwianie ich stanowi wielką, a zarazem i jedyną użyteczność kapitału²⁾.

¹⁾ Wyd. 6-e, 1883.

²⁾ Str. 34, szczegółowiej w Saggi.

³⁾ »Due sono gli elementi dell' interesse, cioè: 1. la retribuzione pel non uso del capitale, o, come altri dice, per la sua formazione, e pel suo servizio produttivo« etc. (str. 119). — Cytowane wyżej wywody powtarzają się, prawie bez zmian, w dziesiątem, ostatniem, jakie się ukazało za życia autora, wydaniu »Elementi«.

⁴⁾ Theory of Political Economy, wydanie 2-e, Londyn 1879.

⁵⁾ Str. 243 i nast.

Na tej podstawie wyjaśnia Jevons zysk z kapitału w sposób następujący. Przypuszcza, że każde przedłużenie okresu, upływającego pomiędzy wydatkiem pracy i spożyciem wykończonego produktu, umożliwia wytworzenie większego produktu przy tej samej ilości pracy. Różnica pomiędzy tym produktem, któryby można było wytworzyć przy krótszym okresie, i większym produktem, który się uzyskuje przy przedłużeniu tego okresu, stanowi zysk tego kapitału, którego wprowadzenie umożliwiło przedłużenie okresu. Jeśli krótszy okres nazwiemy t , a przedłużony na skutek dodatkowo wprowadzonego kapitału $t + \Delta t$, otrzymamy zaś przy krótszym okresie produkt pewnej określonej ilości pracy Ft , to według przyjętego twierdzenia produkt, wytworzony przy dłuższym okresie będzie odpowiednio większy, a mianowicie $F(t + \Delta t)$. Różnica, zachodząca pomiędzy temi dwiema wielkościami, $F(t + \Delta t) - Ft$, jest właśnie zyskiem z kapitału.

Aby poznać stopę zysku, którą przedstawia ta suma dochodu, musimy ją obliczać według wielkości tego wkładu kapitału, który umożliwił przedłużenie okresu. Za wkład kapitału uważamy wielkość Ft , gdyż przedstawia ona tą sumę produktów, którą gdyby nie dodatkowy wkład, można by rozporządzać już po upływie okresu t . Czas trwania dodatkowego wkładu jest Δt . Cała wielkość dodatkowego wkładu przedstawia się więc jako iloczyn $Ft \cdot \Delta t$. Jeśli podzielimy powyższą różnicę produktów przez ostatnią wielkość, to otrzymamy stopę zysku. Równa się ona:

$$\frac{F(t + \Delta t) - Ft}{\Delta t} \times \frac{1}{Ft}$$

Im bogatszy jest pewien kraj w kapitały, tem większym jest produkt Ft , który można uzyskać bez dalszego wkładu kapitałów; tem większym jest też kapitał, od którego obliczany jest dochód, uzyskiwany przy dodatkowem przedłużeniu okresu, i tem niższą stopa zysku, którą dochód ten przedstawia. Stąd tendencja do niższej stopy zysku z postępem dobrobytu. Ponieważ zaś wszystkie kapitały dążą do jednakowej stopy zysku, to wszystkie też muszą się zada-

¹⁾ Str. 266 i nast. Jevons przedstawia ten wzór w innych jeszcze postaciach, które ja snadnie mogę opuścić.

walniać tą niższą stopą zysku, którą uzyskuje ostatnio włożony przyrost kapitału. Tak więc korzystać, którą ostatni przyrost kapitału przynosi produkcji, decyduje o każdorazowej wysokości powszechnej stopy zysku w kraju.

Łatwo rozpoznać podobieństwo tego biegu myśli do wywodów Niemca Thünera. Przedstawia też on dla krytyka te same słabe strony. Jevons, równie, jak i Thüner, zbyt łatwo identyfikuje »nadwyżkę produktów« z nadwyżką wartości. Istotnie udowodnionym w wykładzie jego doktryny jest pewien »increment of produce« w porównaniu z wypadkiem, w którym produkcja musiałaby się dokonywać bez pomocy ostatniego przyrostu kapitału. Ale, żeby ta nadwyżka produktu przedstawiała jednocześnie nadwyżkę wartości ponad zużyty na wkłady kapitał, tego Jevons nigdzie nie wykazał. Uwidocznijmy to na konkretnym przykładzie. Rozumiemy, że ktoś, zastosowując niedoskonałą, ale szybko dającą się wykończyć maszynę, wytwarza w ciągu roku 1.000 sztuk pewnego rodzaju dóbr, a zastosowując doskonalszą, ale dłuższą do zbudowania maszynę, również w ciągu roku wytwarza 1.200 sztuk tegoż rodzaju dóbr. Wcale to jednak nie oznacza, że różnica 200 sztuk ma być czystą nadwyżką wartości. Albo ta doskonalsza maszyna, umożliwiającą zdobycie nadwyżki 200 sztuk, może być dzięki tej zdolności tak wysoko ceniona, że cała ta nadwyżka iść musi na pokrycie jej amortyzacji; albo też nowa wydajniejsza metoda produkcji może być tak często stosowana, że zwiększona podaż obniży wartość obecnych 1.200 sztuk do poziomu wartości dawnych 1.000 sztuk. W obu wypadkach nie może tu istnieć żadna nadwartość. Jevons popadł tu więc w stary błąd zwolenników teorii produkcyjności, polegający na tem, że łatwą do dowiedzenia nadwyżkę produktu traktuje się mechanicznie, jako nadwartość.

W każdym razie nie brak w dziele jego przyczynków do wyjaśnienia właśnie różnicy wartości. Ale nie związał on ich ze swoją teorią produkcyjności; nie stanowią one jej dopełnienia, tylko się z nią krzyżują.

Jeden z tych przyczynków polega na przyjęciu pierwiastków teorii wstrzemięźliwości. Jevons z uznaniem cytuje Seniora, określa jego »abstinence« jako tę »czasową ofiarę ze spożycia, która w istocie swej związana jest z istnieniem kapitału«, względnie jako »wytrwanie w stanie

potrzeby« (endurance of want), którego się kapitalista podejmuje, i podaje wzory dla obliczenia wielkości ofiary »abstinence« (str. 253 i nast.). Zalicza ją (niekiedy zaś, wskutek nieścisłości wyrażen, i zyski) do kosztów produkcji, a raz określa wyraźnie to, co otrzymuje kapitalista, jako wynagrodzenie za »wstrzemięźliwość i ryzyko« (str. 295 w końcu.).

Bardzo ciekawy jest dalej szereg rozważań — w szczególności niewątpliwie pod wpływem Benthama¹⁾ — który Jevons poświęca wpływowi czasu na ocenę potrzeb i ich zaspokojenia. Zwraca uwagę, że antycypujemy przyszłe cierpienia i radości; względ na przyszłe radości odczuwamy odrazu, jako »antycypowaną« radość. Ale intensywność jej jest zawsze mniejszą, niż intensywność samej przyszłej radości, i zależy od dwóch czynników: od intensywności przyszłej radości, którą się antycypuje i od długości okresu czasu, który jeszcze dzieli nas od rzeczywistego odczucia tej radości (str. 36 i nast.). I, rzecz dziwna, Jevons uważa właściwie za niesłuszną różnicę, którą czynimy w obecnej ocenie teraźniejszego i przyszłego zadowolenia; twierdzi, że opiera się ona tylko na pewnym błędzie naszej umysłowości i uczuciowości — właściwie, czas nie powinienby tu mieć żadnego wpływu. Bądźco bądź jednak, wskutek niedoskonałości zdolności ludzkich, faktem jest, iż »przyszłe odczucie zawsze mniejszy wpływ na nas wywiera, niż teraźniejsze« (str. 78).

Jevons wnioskuje całkiem słusznie, że ta nasza zdolność do antycypowania przyszłych odczuć musi wywierać daleko idący wpływ na sprawy gospodarcze; między innemi, na niej się opiera wszelkie gromadzenie kapitałów (str. 37). Niestety, poprzestaje na najogólniejszych napomknieniach i paru fragmentarycznych ich zastosowaniach²⁾; nie spotykamy u niego jednak należytego przemyślenia i ogólnego zastosowania tej zasady do teorii wartości i dochodu. Tem dziwniejsze jest to zaniedbanie, że niektóre momenty jego teorii zysku z kapitału wprost się domagają porządnego zużytkowania momentu czasu dla wyjaśnienia tego zjawiska.

¹⁾ Patrz wyżej t. I str. 345 i nast.

²⁾ Tak np. tłumaczy Jevons w jednym miejscu, iż pod wpływem tego momentu, przy podziale pewnego zapasu dóbr na takie, które mają służyć natychmiast i w przyszłości, dla tego przyszłego spożycia wyznacza się ilości dóbr tem mniejsze, im później ma ono nastąpić. (Str. 78 i nast.).

Z jednej strony byłby wtedy Jevons pierwszym pisarzem¹⁾, który silnie uwydatnił rolę, którą odegrywa czas w funkcji kapitału. Bardzo łatwym byłoby też przytem przejść do badań, czy względ na różnicę czasu nie może wywierać takiego wpływu na ocenę produktu kapitału, by mógł dopomóc do wyjaśnienia różnicy wartości, która jest podstawą zysku z kapitału. Zamiast tego, jak wiemy, Jevons ob- staje przy starym zwyczaju wyjaśniania zysku z kapitału poprostu za pomocą różnicy w ilości produktu. — Jeszcze łatwiejby może było związać poruszone również pojęcie »abstinence« z różnicą, którą czynimy w szacunku terażniejs- zych i przyszłych przyjemności i sprowadzić ofiarę, leżącą w odroczeniu przyjemności właśnie do tego niższego sza- cunku przyszłych korzyści. Ale Jevons nie tylko nie wy- raża myśli tej w pozytywny sposób, ale pośrednio ją wy- klucza, oświadczając, z jednej strony, iż ten niższy szacunek jest poprostu błędem, wynikającym z niedoskonałości naszego umysłu, z drugiej zaś, że »abstinence« jest istotną i prawdziwą ofiarą, polegającą na trwaniu w (przy- krym) stanie potrzeby.

Tak więc z pomiędzy licznych ciekawych i subtelnych myśli Jevonsa o naszym zagadnieniu, żadna nie wydała owocu, i sam Jevons pozostał wprawdzie bardzo mądrym eklektykiem, ale zawsze tylko eklektykiem.

Druga grupa eklektyków wprowadza do wywodów swych jeszcze i teorię pracy w takim, czy innym odcieniu.

Najpierw wymienię Reada, którego praca¹⁾, pocho- dząca z okresu największego bezładu w angielskiej literatu- rze o zysku, przedstawia szczególnie niekonsekwentne po- mięszanie różnych poglądów.

Przedewszystkiem przywiązuje Read największą wa- gę do samodzielnej produkcyjności kapitału, o istnieniu której mocno jest przekonany. »Jakże absurdalnym« woła raz (str. 83) wydaje się przypuszczenie, iż praca wszystko wytwarza i jest jedynym źródłem wszystkich bogactw: jak

¹⁾ Pisane w r. 1884; odtąd wyszły na jaw bardzo zbliżone do Jevonsa, ale zapewne nieznanne mu badania jego wielkiego poprzednika Raeya; patrz wyżej, rozdział XI.

²⁾ An inquiry into the natural grounds of right to vendible property or Wealth, Edinburgh 1829.

gdyby kapitał nic nie wytwarzał i nie był też prawdziwym i samodzielnym (a real and distinct) źródłem bogactw«. Nie- co później oświecenie tego, co kapitał daje w pewnych ga- lęziach produkcji zakończy wyjaśnieniem, utrzymanem cał- kowicie w duchu teorii produkcyjności, że wszystko, co po- zostaje po opłaceniu współdziałających w danem dziele ró- botników, może być całkiem słusznie uznane za produkt i wynagrodzenie kapitału (may fairly be claimed as the produce and reward of capital):

Później jednak sprawa ta przedstawia mu się w zu- pełnie innym świetle. Na pierwszy plan wysuwa mu się fakt, iż kapitał sam powstał przez pracę i oszczędność, i na nim buduje wytłumaczenie zysku z kapitału, utrzymane poczę- ści w duchu teorii pracy Jamesa Milla, poczęści zaś w du- chu teorii wstrzemięźliwości Seniora. »Osoba« powiada teraz (str. 310), »która poprzednio pracowała i nie spo- żyła produktu swej pracy, lecz zaoszczędziła go, i zuży- wa teraz na podtrzymanie produkcyjnej pracy innego robot- nika, jest w równym stopniu uprawnioną do pobierania swego zysku, czy procentu (który jest wynagrodze- niem za poprzednią pracę i za zaoszczędze- nie i przechowanie owoców tej pracy), jak obecny robotnik do pobierania swej płacy roboczej, która jest wynagrodzeniem za jego nową pracę«.

Rozumie się samo przez się, że przy tem eklektycznym wahaniu nie może się obejść bez rozlicznych sprzeczności. Tak np. sam Read uważa tu kapitał za rezultat poprzednio wykonanej pracy, przeciw czemu dawniej¹⁾ najgoręcej pro- testował; tak na przykład dochód z kapitału nazywa płacą za przeszłą pracę, gdy dawniej²⁾ sam najostrzej zarzucał Mc Cullochowi, że zaciera różnicę pomiędzy pojęciami »profit« i »wages«.

Do Reada najłatwiej mi przyrównać Niemca Gerst- nera. Ten na »znane pytanie«, czy kapitał produkuje sa- modzielnie i niezależnie od dwu innych źródeł dóbr, odpo- wiada twierdząco; sądzi, że udział narzędzia produkcji — kapitału w wytwarzaniu całości produktu może być okre- ślony z matematyczną ścisłością, i tę część produkcji uważa

¹⁾ Op. cit. str. 131 i wogóle w całej polemice z Godwi- nem i z pismem anonimowym »labour defended«.

²⁾ Op. cit. uwaga do str. 247.

poprostu za »należną kapitalowi rentę z łącznego dochodu«¹⁾. Do tej, bardzo, jakby się zdawało, lapidarnej, teorii produktywności dołącza jednak Gerstner oddźwięki teorii pracy Milla, uznając (str. 20) narzędzia produkcji za »rodzaj antycypacji pracy«, a, opierając się na tem, twierdzi, że »renta z kapitału, przypadająca na narzędzia produkcji jest późniejszym wynagrodzeniem za dawniej wykonaną pracę« (str. 23). O zbliżonem do tej kwestji pytaniu, czy ta dawniej wykonana praca nie otrzymała już dawniej swego wynagrodzenia z wartości przedmiotów, stanowiących kapitał, i dlaczego ma jeszcze prócz tego otrzymywać wieczysty dodatek w postaci zysku, myśli równie mało, jak Read.

Do tej samej grupy należą też francuz Cauwès²⁾ i Joseph Garnier.

Wyżej już³⁾ wykazałem, iż Cauwès w dosyć wstrzeмиęzliwych zresztą słowach oświadczył się za teorią pracy Courcelle-Seneuila. Obok tego jednak rozwija on poglądy, wypływające z teorii produktywności. Polemizując z socjalistami, przypisuje kapitalowi samodzielną »czynną rolę« w produkcji obok pracy (I, str. 235 i nast.); w »produkcyjności kapitału widzi przyczynę, określającą każdorazową wysokość procentu⁴⁾, i wreszcie wogóle wyprowadza z tejże produktywności samą »nadwartość«, opierając w jednym miejscu wytłumaczenie zysku na fakcie, iż produkcyjnemu zastosowaniu kapitału »zawdzięczamy pewną nadwartość«⁵⁾.

U Joseph Garnier⁶⁾ spotykamy już, eklektycznie połączone, pierwiastki trzech różnych teoryj. Podstawę jego poglądów stanowi teoria produktywności Sayera, z zatrzymaniem nawet dawno odrzuconego przez krytykę szczegółu,

¹⁾ Beitrag zur Lehre vom Kapital, Erlangen 1857, str. 16, 22 i nast.

²⁾ Précis d'Economie Politique, 2 wydanie, Paryż 1881.

³⁾ Patrz t. I str. 309 i nast.

⁴⁾ »Le principe est donc que le taux de l'intérêt est en raison directe de la productivité du capital« (II str. 110).

⁵⁾ »Nous avons vu que la valeur réelle de l'intérêt dépendait de l'emploi productif donné au capital; puisqu'une certaine plus-value est due au capital, l'intérêt est une partie de cette plus-value presuée, fixée à forfait que reçoit le prêteur pour le service par lui rendu« (II, str. 189).

⁶⁾ Traité d'Economie Politique, wyd. 8-e, Paryż 1880.

iz z y s k z kapitału ma być wliczony do kosztów produkcji¹⁾. Oprócz tego — może naśladując Bastiata — uważa on wyrzeczenie (privation), które nakłada na siebie pożyczający kapitał, pozbywając się tego ostatniego, za przyczynę, usprawiedliwiającą zysk; wreszcie zaś oświadczają, że zysk jest wywołanym przez »pracę oszczędzania«, którą wynagradza (travail d'épargne²⁾).

Wszyscy wymienieni dotychczas eklektycy łączą mnóstwo teoryj, ale takich, które harmonizują ze sobą, jeśli nie w głębszej motywacji, to w praktycznych swych wnioskach: łączą mianowicie tylko teorie, przychylnie zyskowi. Jest jednak cały szereg pisarzy, którzy w dziwny sposób, do licznych, przychylnych zyskowi, teoryj dołączają też pierwiastki wrogiej mu teorii wyzysku.

Tak J. G. Hoffmann, z jednej strony buduje odrębną, przychylną zyskowi z kapitału teorię, w której zysk uważa za wynagrodzenie za pewną społecznie użyteczną pracę, wykonywaną przez kapitalistów³⁾. Z drugiej jednak strony odrzuca najwyraźniej chwiejącą się już za jego czasów teorię produktywności, nazywając błędnem mniemanie, »iż w martwej masie kapitału, czy ziemi mogą zamieszkiwać twórcze siły«⁴⁾; następnie zaś sucho oświadczając, że w postaci zysku z kapitału zagarniają kapitaliści owoce cudzej pracy. »Kapitał« — powiada⁵⁾ — »może być zużyty równie dobrze dla ułatwienia własnej pracy, jak i cudzej. W tym drugim wypadku właściciel kapitału otrzymuje zań pewien czynsz, który płacony być może tylko z owoców pracy. Czynsz ten, zysk, o tyle z natury swojej zbliża się do renty gruntowej, że, jak ona, wypłacany jest odbiorcy z owoców cudzej pracy«.

Jeszcze wyraźniejszym jest połączenie sprzecznych poglądów u J. St. Milla¹⁾. Nieraz już zwracano uwagę, iż Mill waha się pomiędzy dwoma wybitnie się różniąciami

¹⁾ Op. cit. str. 47.

²⁾ Str. 522.

³⁾ Kleine Schriften staatswirtschaftlichen Inhalts, Berlin 1843, str. 566, patrz wyżej I str. 318.

⁴⁾ Op. cit. str. 588.

⁵⁾ Op. cit. str. 576.

⁶⁾ Principles of Political Economy. Cytuję według przekładu Soetbeera, Lipsk 1869.

między sobą kierunkami ekonomii politycznej: pomiędzy tak zwanym kierunkiem manchesterskim, a socjalistami. Rzecz jasna, że takie wahanie nie ułatwia budowy mocnej, jednolitej teorii, tem bardziej zaś w zakresie, który właśnie stanowi punkt najsporniejszy w sporze »kapitalistów« z »socjalistami«: w zakresie teorii zysku z kapitału. To też istotnie doktryna Milla o zysku z kapitału tak jest chaotyczna, że krzywdęby się wyrządziło temu wybitnemu myślicielowi, sądząc jego stanowisko naukowe według tej najsłabszej części jego doktryny.

Mill naogół opierał się na poglądach ekonomicznych Ricarda; przejął też od niego doktrynę o pracy, jako jedynym źródle wszelkich wartości. Zasadzie tej przeczy jednak faktyczne istnienie zysku z kapitału. Mill modyfikuje ją tedy na korzyść zysku z kapitału w ten sposób, że zamiast pracy, stawia jako miernik wartości dóbr bardziej ogólnikowe koszty produkcji, i obok pracy, którą nazywa »głównym, prawie jedynym ich pierwiastkiem«, zachowuje też samodzielne miejsce dla dochodu z kapitału: dochód z kapitału jest u niego drugim, stałym pierwiastkiem kosztów produkcji¹⁾.

Bardzo słabą stroną doktryny Milla jest już to, że idąc śladem Malthusa, określił nadwyżkę produkcji, jako ofiarę produkcji, tembardziej, że przeoczenie to było już w angielskiej literaturze ostro i trafnie krytykowane przez Torrensa i Seniora.

Ale skąd pochodzi zysk z kapitału? — Na to daje Mill nie jedną, ale trzy sprzeczne odpowiedzi.

Najmniej miejsca zajmuje teoria produktywności; w jej duchu wypowiada się Mill tylko dorywczo, i to z różnemi zastrzeżeniami. Najpierw, z pewną rezerwą, oświadcza, iż kapitał jest trzecim samodzielnym czynnikiem produkcji. Jest jednak sam produktem pracy; działalność więc jego w produkcji jest właściwie działalnością pracy, tylko w pośredniej formie. Pomimo to Mill uważa, że »niezbędne mu jest nadanie mu specjalnego stanowiska²⁾. Niemniej zawiłe wypowiada się w zbliżonej do tej kwestji, czy kapitał po-

¹⁾ Księga III, rozdz. IV, §§ 1, 4, 6. Rozdz. VI, § 1, Nr. VIII i gdzieindziej.

²⁾ Księga I, rozdz. VII, § 1 (str. 107).

siada samodzielną produktywność. »Często się mówi o produkcyjnej sile kapitału. Wyrażenie to, jeśli je brać dosłownie, grzeszy nieścisłością. Właściwie tylko praca i siły przyrody są produkcyjne. Jeśli się chce zastosować to wyrażenie o własnej produkcyjnej sile do pewnej części kapitałów, to chyba do narzędzi i maszyn, o których można przypuścić (podobnie jak o wietrze i wodzie), że dopomagają do wykonania pewnej pracy. Utrzymanie robotnika i materiał, służący do produkcji, nie mają sily produkcyjnej...¹⁾ A więc narzędzia są istotnie produkcyjne, a surowce nie — podział równie dziwny, jak trudny do utrzymania!

O wiele wyraźniej skłania się Mill ku teorii wstrzemięźliwości Seniora. Z niej to pochodzi jego oficjalne teoretyczne zdanie o zysku, szczegółowo i wyraźnie wypowiedziane w rozdziale, poświęconym dochodowi z kapitału, a prócz tego niejednokrotnie powracające w tekście dzieła. »Jak płaca robotnika jest wynagrodzeniem za pracę« — powiada Mill w XV-ym rozdziale II-ej księgi swoich »Zasad« — »tak też (według dobrze wybranego wyrażenia Seniora), dochód kapitalisty jest wynagrodzeniem za wstrzemięźliwość. Dochód jego tworzy się w ten sposób, że wyrzeka się on zużytkowania kapitału dla siebie samego, a pozwala ludziom produkcyjnie pracującym zastosować go z korzyścią dla nich. Za to wyrzeczenie wymaga wynagrodzenia«. Równie wyraźnie mówi innym razem: »W miarę rozwoju wymogów produkcji przekonywaliśmy się, że oprócz pracy niezbędnym jest dla niej jeszcze drugi pierwiastek, kapitał. Ponieważ kapitał jest owocem wstrzemięźliwości, produkt, względnie jego wartość, musi być taki, by zapewniał wynagrodzenie nie tylko całej niezbędnej pracy, ale i wstrzemięźliwości wszystkich osób, które opłaciły wszelkie rodzaje zatrudnionych robotników. Dochód za wstrzemięźliwość jest to zysk z kapitału«²⁾.

Ale prócz tego, w tym samym XV-ym rozdziale księgi II-ej, który mówi o zysku z kapitału, wypowiada Mill jeszcze trzecią teorię. »Właściwą przyczyną istnienia zysku z kapitału« powiada w § 5 tego rozdziału, »jest fakt, że

¹⁾ I, V, § 1.

²⁾ III, rozdz. IV, § 4. Patrz także I, str. 42, 228, III, str. 320 i gdzieindziej.

praca wytwarza więcej, niż to jest niezbędne dla jej utrzymania. Kapitał rolny daje dochód dlatego, że istoty ludzkie mogą wytworzyć więcej środków żywności, niż potrzeba dla ich utrzymania w czasie tego wytwarzania, z doliczeniem czasu, potrzebnego na wykończenie narzędzi i wszelkie inne niezbędne przygotowania. Skutek zaś tego jest taki, że skoro kapitalista podejmuje się wyżywienia robotników pod warunkiem zatrzymania za to wyników ich pracy, to oprócz zwrotu swoich kosztów, ma jeszcze coś ponadto; albo, innymi słowami, kapitał daje dochód dlatego, że żywność, odzież, surowce, narzędzia trwają dłużej, niż czas, niezbędny dla ich wytworzenia, tak, że skoro kapitalista zaopatruje w te przedmioty pewną liczbę robotników, pod warunkiem zatrzymania całego wyniku ich pracy, to robotnicy ci, po odtworzeniu wartości własnych środków utrzymania i zużytych narzędzi, mają jeszcze pewną ilość czasu na to, by pracować dla kapitalisty. — Tutaj więc »właściwa przyczyna istnienia zysku z kapitału« nie polega na produkcyjnej sile kapitału, ani na konieczności wynagrodzenia specjalnej ofiary kapitalisty, wstrzeźmiewliwości, ale prosto na tem, że »praca wytwarza więcej, niż potrzeba na jej utrzymanie«, że »robotnicy mają jeszcze pewną ilość czasu na to, by pracować dla kapitalisty«; jednym słowem, zysk z kapitału uznany jest, w myśl teorii wyzysku, za przywłaszczenie przez kapitalistę nadwartości, którą wytworzyła praca.

Podobnie chwiejne stanowisko na granicy »kapitalizmu« i »socjalizmu« zajmują niemieccy socjaliści z katedry. Owocem tego chwiejnego stanowiska jest i tu często eklektyzm, którego wypadkowa przebiega jednak bliżej teorii wyzysku, niż to obserwowaliśmy u Milla. Zadowolę się tu omówieniem stanowiska jednego z przywódców kierunku, Schäffle'go, którego już niejednokrotnie spotykaliśmy na łamach tej pracy.

W dziełach Schäffle'go, można, że względu na zajmujący nas przedmiot, odróżnić wyraźnie trzy odrębne prądy. W pierwszym idzie Schäffle za teorią usług kapitału Hermann'a, którą pacy teoretycznie, nadając subiektywne zabarwienie pojęciu usługi, ale zato zbliża ją do drugiej swojej teorii. Prąd ten przeważa w »Das Gesellschaftliche System der menschlichen Wirtschaft«, ale pozostawił

też swoje wyraźne ślady w »Bau und Leben des sozialen Körpers«¹⁾. Drugi prąd wychodzi z założenia, że zysk z kapitału jest dochodem zawodowym, wypłacanym za pewne określone usługi, oddawane przez kapitalistę. Ujęcie to, postawione już w »Das Gesellschaftliche System«, wyraźnie podtrzymane zostaje w »Bau und Leben«²⁾.

Obok tego zaś mnóstwo jest w tem drugim dziele przyczynków do socjalistycznej teorii wyzysku. Przedewszystkiem sprowadzenie wszystkich kosztów produkcji do pracy. Gdy w »Das Gesellschaftliche System« Schäffle uznawał jeszcze usługi kapitału za samodzielny, podstawowy czynnik kosztów obok pracy³⁾, teraz oświadcza: »Koszta składają się z dwu części: wydatku dóbr osobistych przez wykonywanie pracy i z wydatku kapitału. Ale te ostatnie koszty mogą być też sprowadzone do kosztów pracy; produkcyjny wydatek dóbr rzeczowych redukuje się bowiem ostatecznie do sumy cząstek wcześniejszego wydatku pracy, tak, że wszystkie koszty można rozpatrywać, jako koszty pracy«⁴⁾.

Z chwilą zaś, gdy się pracę uważa za jedyną ofiarę, jaką z punktu widzenia gospodarczego kosztuje produkcja dóbr, pozostaje krok tylko do uznania, że prawo do całości wyników produkcji mają ci tylko, którzy tę ofiarę ponieśli. Daje też Schäffle niejednokrotnie do zrozumienia (np. w t. III-im, str. 313 i nast.), że ideałem gospodarczego podziału dóbr jest dla niego obdzielenie członków społeczeństwa według miary wykonanej pracy. W chwili obecnej urzeczywistnieniu tego ideału stoi jeszcze mnóstwo rzeczy na przeszkodzie. Pomiędzy innymi i to, że posiadanie kapitału jest środkiem przywłaszczania dóbr: poczęści nielegalnego i niemoralnego, poczęści zaś legalnego i moralnego przywłaszczania produktów pracy⁵⁾. Tego »przywłaszczania nadwartości« ze strony kapitalistów nie potępia wprawdzie Schäffle bezwzględnie, ale zgadza się na nie tylko jako na oportunistyczne załatwienie trudnej sprawy, aż do chwili, »gdy się da zastąpić gospodarcze usługi prywatnego kapi-

¹⁾ Patrz wyżej, I str. 218 i nast.

²⁾ Patrz wyżej, I str. 312 i nast.

³⁾ I, 258, 271 i inne.

⁴⁾ Bau und Leben, III, str. 273 i nast.

⁵⁾ III, 626 i nast.

tału przez publiczną organizację, pozytywnie przeprowadzoną, doskonalszą i nie w tym stopniu »pochłaniającą nadwartość«¹⁾.

Obok takiej oportunistycznej pobłażliwości wypowiada jednak Sch ä f f l e często, i to w twardych słowach, dogmat teorii wyzysku, iż zysk z kapitału jest rabunkiem produktów cudzej pracy. Tak na przykład w ustępie, umieszczonym bezpośrednio po słowach, wyżej cytowanych, powiada: »Bądź co bądź spekulacyjna, na prywatnej gospodarce oparta, organizacja przemysłu nie jest żadnem non plus ultra w historii gospodarki społecznej. Służy ona tylko pośrednio pewnemu społecznemu celowi. Bezpośrednio skierowaną jest nie do najwyższej czystej korzyści społeczeństwa, tylko do uzyskania jaknajwyższych zarobków przez prywatnych właścicieli środków produkcji i jaknajwyższej stopy życiowej dla rodzin kapitalistów. Posiadanie nieruchomości i ruchomych środków produkcji zużytkowuje się dla zagarnięcia jaknajwiększej części wyniku pracy narodu. Już Proudhon wykazał z całą oczywistością wszystko, co kapitał przywłaszcza w tysiącnych postaciach. Najemnemu robotnikowi zapewnia się tylko cząsteczkę wyniku pracy, to, co prawdziwemu zwierzęciu robocznemu, obdarzonemu rozsądkiem i dlatego nie mogącemu się zadowolić zaspokojeniem potrzeb wyłącznie zwierzęcych, jest niezbędne do utrzymania się na pewnym poziomie, historycznie uwarunkowanym, a koniecznym dla samego przedsiębiorcy, aby utrzymać jego zdolność współzawodniczenia z innymi«.

ROZDZIAŁ XIV.

Dwie najnowsze próby.

Szerokie rozpowszechnienie eklektyzmu jest dla mnie oznaką niezadawalającego stanu doktryny zysku w ekonomii politycznej: łączy się pierwiastki różnych teorii, ponieważ żadnej z istniejących nie uważa się za przekonującą.

Drugą oznaką, która wskazuje na to samo, jest fakt, że pomimo znacznej liczby istniejących teorii ruch wydawni-

¹⁾ II, 423. Porówn. też 330, 386, 428 i inne.

czy w kwestji zysku z kapitału nie może się uspokoić. Od czasu, kiedy naukowy socjalizm zbudził sceptycyzm w stosunku do twierdzeń starej, klasycznej szkoły, nie minęło ani jedno pięciolecie, a w ostatnim pięcioleciu ani jeden rok, w którymby się nie ukazała jakaś nowa teoria zysku¹⁾. O ile zachowały one przynajmniej pewne zasady dawniejszych teorii, nadając im tylko w szczegółowszym przeprowadzeniu oryginalne odcienie, starałem się włączyć je do głównych panujących kierunków i przedstawiłem je wraz z innymi w odpowiednich rozdziałach pracy niniejszej.

Ale niektóre nowe próby wstępują na drogi zupełnie nowe. Dwie z nich uważam za tak ciekawe, że zasługują na bliższe rozpatrzenie. Jedna, przedstawiająca w zasadniczych tezach pewne podobieństwo z teorią fruktyfikacji Turgota, i którą z tego powodu nazywać będę »nową teorią fruktyfikacji«, jest dziełem amerykańнина Henry George'a, druga, zmodyfikowana teoria wstrzemięźliwości, dziełem Niemca Roberta Schellwiena.

a) Nowa teoria fruktyfikacji George'a.

George²⁾ rozwija swoją teorię zysku w ciągu polemiki z Bastiatem i jego znanym przykładem o wypożyczeniu hebla. Cieśla Jakób zrobił sobie hebel i wypożyczył go innemu cieśli, Wilhelmowi, na przeciąg jednego roku. Nie zadawalnia się jednak zwrotem równie dobrego hebla, gdyż w takim razie nie byłby wcale wynagrodzony za utratę korzyści, jakiego miał z używania hebla w ciągu roku, i wymaga, jako zysku, jednej nowej deski. Bastiat w ten sposób wyjaśnia i usprawiedliwia to płacenie zysku w postaci deski, że Wilhelm »otrzymał zdolność zwiększania produktywności pracy, zawartą w narzędziu«³⁾. George dla różnych zewnętrznych i wewnętrznych racyj, które nas tutaj nie obchodzą, nie przyjmuje tego wyjaśnienia, opartego na produktywności kapitału, i mówi dalej:

¹⁾ Pisane w 1884; o najnowszym rozwoju patrz jeszcze Dodatek do tego tomu.

²⁾ Fortschritt und Armut, przekład niemiecki Gütschowa, Berlin 1881, str. 153 i nast.

³⁾ Capital et rente; patrz wyżej I str. 298.

»I uwierzyłbym, że zysk jest tylko rabunkiem dokonanym na działalności produkcyjnej i nie może się długo utrzymać, gdyby wszystkie dobra składały się z takich rzeczy, jak hebel, i gdyby wszelka produkcja podobną była do produkcji cieśli, t. j. gdyby dobra składały się tylko z nieobrobionych materiałów ziemi, a produkcja polegała tylko na nadawaniu tym materiałom kształtów... Tymczasem wszystkie dobra nie mają natury hebli, desek, czy pieniędzy, a produkcja jest przerabianiem, przekształcaniem materiałów, które nam daje ziemia. Prawdą jest, że jeśli posieję pieniądze, to nie wyrosnie mi więcej pieniędzy. Ale zamiast tego przypuśćmy, że schowam do piwnicy wino. W końcu roku będę miał pomnożenie wartości, gdyż wino stało się lepsze. Albo przypuśćmy, że hoduję pszczoły w przystosowanym do tego miejscu; w końcu roku będę miał więcej rojów, a w dodatku miód, przez pszczoły zebrany. Albo przypuśćmy, że hoduję na pastwiskach owce, krowy, lub świnie; w końcu roku, przeciętnie biorąc, przybędzie mi bydła. To, co w tych wypadkach spowodowało pomnożenie, wymaga wprawdzie, by stać się użytecznym, pewnej pracy, ale jest czemś od tej pracy różnym i łatwo dającym się oddzielić; jest to mianowicie czynna siła przyrody, zasada przyrostu, odradzania się, która zawsze charakteryzuje wszystkie formy i przejawy tego tajemniczego stanu, czy rzeczy, który nazywamy życiem. I to, zdaniem mojem, jest źródłem i przyczyną zysku, t. j. pomnożenia kapitału ponad to, co zawdzięczamy pracy.

Okoliczność, że i dla zużytkowania odtwarzających sił przyrody niezbędną jest praca, i że wskutek tego np. produkta rolne są w pewnym sensie produktami pracy, nie jest w stanie zatrzeć tej głębokiej różnicy, która według George'a istnieje pomiędzy różnymi rodzajami produkcji. W takich rodzajach produkcji, które »polegają tylko na zmianie położenia, lub kształtu surowca, jak heblowanie desek, albo wydobywanie węgla«, jest mianowicie praca jedyną działającą przyczyną. »Jeśli wstrzymuje się praca, wstrzymuje się cała produkcja. Gdy o zachodzie słońca cieśla odkłada hebel, ustaje też pomnażanie się wartości, wytwarzane z pomocą tego narzędzia, aż do chwili, gdy następnego ranka

robotą znów się rozpocznie... Z punktu widzenia produkcji, czas, ubiegający pomiędzy pierwszą, a drugą chwilą, mógłby równie dobrze nie istnieć. Uplywanie dni, zmiana pór roku nie jest wcale pierwiastkiem produkcji, która zależy wyłącznie od sumy zastosowanej pracy«. W innych jednak rodzajach produkcji, takich, »które wykorzystują dla siebie odtwarzające siły przyrody«, czas jest pierwiastkiem produkcji. »Zasiew kielkuje i rośnie w ziemi, gdy rolnik śpi, albo pracuje na innych polach«¹⁾.

Dotychczas George wyjaśnia, w jaki sposób pewne naturalnie płodne rodzaje kapitału przynoszą zysk. Ale jak wiadomo, zysk taki przynoszą wszystkie rodzaje kapitału, nawet naturalnie bezpłodne. George wyjaśnia to poprostu działaniem prawa o zrównaniu dochodów. »Niktby nie chciał zatrzymywać kapitału w pewnej formie, gdyby mógł go wymienić na formę inną, korzystniejszą... To też w każdym kole wymiany zdolność pomnażania, którą siła rozrodcza, czy życiodajna przyrody nadaje pewnym rodzajom kapitału, musi zrównać się ze zdolnością pomnażania wszystkich innych rodzaj; i ten, co pożycza, albo przeznacza do wymiany pieniądze, heble, deski, czy odzież tak samo chce uzyskać tę nadwyżkę, jakgdyby pożyczał, czy zastoso- wywał do celów reprodukcyjnych taką samą ilość kapitału w postaci, posiadającej zdolność pomnażania«.

W zastosowaniu do przykładu Bastiata brzmi to mniej więcej w ten sposób: Przyczyna, dla której Wilhelm po roku musi zwrócić Jakóbowi coś więcej, niż równie dobry hebel, nie leży w użytej za pośrednictwem hebla większej sile wytwórczej, »bo to nie jest wcale jakimś pierwiastkiem«; przyczyna ta wypływa z pierwiastka czasu — z tego roku, który upływa pomiędzy wypożyczeniem, a zwrotem hebla. Wprawdzie, jeśli ograniczymy rozważania do tego jednego przykładu, »to w nim nic nie wskazuje działania tego pierwiastka, gdyż wartość hebla w końcu roku nie jest

¹⁾ »Równoległe z »życiodajnymi siłami przyrody« działa też według George'a »zużytkowanie różnic pomiędzy siłami przyrody i człowieka drogą wymiany«. I ono prowadzi do przyrostu, »który poniekąd podobny jest do przyrostu, wywołanego przez życiodajne siły przyrody« (str. 161 i nast.). Nie potrzebuje dawać tu szczegółowego wyjaśnienia tego dosyć ciemnego pierwiastku, gdyż sam George przypisuje mu tylko drugorzędną rolę przy powstawaniu zysku z kapitału.

większą, niż w początku. Ale jeśli wyobrazimy sobie, że wypożyczono nie hebel, ale cielę, to jasne jest, jak na dłoni, że jeśli Jakób nie ma ponieść żadnej szkody, tak, jakgdyby nic nie pożyczał, to Wilhelm musi mu po upływie roku oddać nie cielę, ale krowę. Albo przypuśćmy, że dziesięć dni pracy poświęcone zostały uprawie roli; jasne, że gdyby Jakób po upływie roku otrzymał tylko tyle ziarna, ile zasiał, to nie stanowiłoby to całkowitego zwrotu jego wydatków, gdyż w ciągu tego roku zboże by zakielkowało, wyrosło, i wielokrotnie się pomnożyło; podobnie i hebel, gdyby był przeznaczony do wymiany, mógłby w ciągu roku kilkakrotnie być zastępowanym przez inne, i za każdym razem przynosiłby Jakóbowi pewien dochód... Ostatecznie korzyść, uzyskiwana wskutek różnicy w czasie, wynika z twórczej siły przyrody i ze zdolności zmieniania, jakie posiada tak przyroda, jak i człowiek».

Doktryna ta przedstawia widoczne podobieństwo z teorią fruktyfikacji Turgota. Obie wychodzą z założenia, że pewne rodzaje dóbr posiadają zdolność dawania przyrostu wartości, jako dar naturalny; obie też dowodzą, że pod wpływem stosunków wymiennych i dążenia ludzi do poddania tego, co posiadają, jaknajkorzystniejszej fruktyfikacji dar ten musi ulec sztucznemu rozpowszechnieniu i przeniesieniu na wszystkie rodzaje dóbr. Różnią się w tem tylko, że Turgot widzi »ojczyznę« przyrostu wartości w ziemi, zupełnie poza kapitałem, a George szuka jej w kapitale właśnie, w pewnych, z natury swej owocujących, rodzajach dóbr.

Dzięki temu odcieniowi unika George najważniejszego zarzutu, który stawiliśmy Turgotowi. Turgot nie wyjaśnił, dlaczego można za stosunkowo niską cenę, wyrażoną w kapitale, nabywać ziemię, raz po raz dającą nieskończoną sumę rent, i w ten sposób dostarczać bezpłodnemu kapitałowi korzyść, wynikającą ze stałej fruktyfikacji.

U George'a przeciwnie, jasnem jest, że się wymienia w tym samym stosunku dobra bezpłodne na płodne. Ponieważ bowiem ostatnie mogą być wytwarzane w dowolnej ilości, obawa wywołania nadmiernej podaży nie pozwala im uzyskać ceny wyższej, niż cena dóbr bezpłodnych o tych samych kosztach produkcji.

Natomiast wystawioną jest teoria George'a na dwa inne zarzuty, również, zdaniem mojem, poważne.

Przedewszystkiem nie daje się utrzymać podział gałęzi produkcji na dwie grupy, z których jedna zawiera życiodajne siły przyrody, jako odrębny pierwiastek obok pracy, a druga nie. George powtarza tu w nieco zmienionej formie dawny błąd fizjokratów, którzy uznawali pomoc przyrody w dziele produkcji też tylko dla jednej gałęzi produkcji — dla rolnictwa. Nauki przyrodnicze przekonały nas już od dawna, że pomoc przyrody rozciąga się na wszystkie działy produkcji. Cała nasza produkcja polega na tem, że, stosując siły przyrody, nadajemy użyteczne kształty nieprzemijającym surowcom. Czy siła przyrody, która się w danym wypadku posługujemy, jest organiczną, czy nieorganiczną, mechaniczną, czy chemiczną, to stosunku jej do naszej pracy wcale nie zmienia. Zupełnie nienaukowe jest powiedzenie, że przy produkcji, odbywającej się za pomocą hebla, »jedynie praca jest przyczyną działającą«; wysilek mięśniowy heblującego nie na wiele by się przydał, gdyby nie przyszedł mu z pomocą naturalne siły i właściwości stalowego ostrza hebla. I czy istotnie prawdą jest, że wobec tego, iż heblowanie desek jest tylko »zmianą kształtu i położenia surowca«, przyroda nicby tu bez pracy zrobić nie mogła? Czyż nie można wprowadzić hebla do automatycznej maszyny, poruszanej siłą wodną, któraby nieznużenie pracowała nawet w czasie snu cieśli? Co więcej robi przyroda w rolnictwie? A jednak współdziałanie przyrody w jednym wypadku ma stanowić pierwiastek produkcji, a w drugim nie?

Po drugie zaś, George wcale nie tłumaczy tego pierwotnego zjawiska zysku, za pomocą którego chce wyjaśnić wszystkie inne zjawiska zysku. Powiada, że wszystkie gatunki dóbr muszą przynosić zysk, ponieważ można je wymienić na ziarno siewne, bydło, albo wino, a te przynoszą zysk. Ale dlaczego te przynoszą zysk?

Nie jeden czytelnik pomyśli może na razie, jak myślał George, że to jest oczywiste. Zapewne, że dziesięć korcy pszenicy, o które się pomnaża wysiany jeden korzec, więcej są warte niż jeden; że dorosła krowa więcej jest warta, niż cielę, z której wyrosła. Ale zastanówmy się: dziesięć korcy pszenicy nie powstało poprostu z jednego; wzięła w tem udział także usługa ziemi ornej i pewien wydatek pracy.

A wcale już nie jest oczywistem, że dziesięć korcy pszenicy ma większą wartość, niż jeden korzec + zastosowana usługa ziemi + zastosowana praca. Tak samo nie jest oczywistem, że krowa ma większą wartość, niż cielę + pożywienie, zużyte przez nie, zanim dorosło, + praca, której wymaga jego wyhodowanie. A jednak tylko pod tym warunkiem pozostać może jakiś zysk z kapitału; przypadający na korzec pszenicy, lub na cielę.

Podobnież w wypadku wina, które staje się lepszym od leżenia, wcale nie jest oczywistem, że lepsze, wyleżale wino więcej warte jest, niż gorsze, młode wino. Przy naszym sposobie szacowania dóbr, które posiadamy, kierujemy się bezwzględnie zasadą antycypacji przyszłej użyteczności¹⁾. Szanujemy nasze dobra nie, lub nie tylko, według korzyści, jaką nam przynoszą w danej chwili, ale i według korzyści, którą nam przyniosą w przyszłości. Nadajemy pewną wartość leżącemu bezużytecznie plugowi ze względu na zbiory, które kiedyś z jego pomocą będziemy mieli; poszczególnym cegłom, belkom, gwoździom, zworom, chociaż w tym stanie nie przynoszą nam żadnej korzyści, nadajemy wartość ze względu na korzyść, jaką nam kiedyś przyniosą w postaci domu; szacujemy w pewien określony sposób fermentujący moszcz, chociaż w danej chwili nie możemy z niego korzystać, gdyż wiemy, że z czasem zmieni się w zupełnie dobre wino. I tak samo moglibyśmy oceniać młode wino, które po odleżeniu stanie się doskonałym, miarą tej przyszłej korzyści, którą nam przyniesie wino odleżale. Ale jeśli nadamy mu od razu odpowiednią wartość, to wcale nie pozostanie miejsca dla przybytku wartości, dla zysku. I dla czego nie powinniśmy tego robić?

A jeśli tego nie robimy, lub robimy niecałkowicie, to przyczyną tego nie jest napewno, jak mniema George, względ na produkcyjne siły przyrody, któremi rozporządza wino. Bo to, że w fermentującym moszczu, który jest wręcz szkodliwy, lub w młodym winie, które samo przez się mało jest użyteczne, znajdują się żywe siły przyrody, prowadzące do wytwarzania się kosztownych produktów, mogłoby z natury rzeczy stanowić przyczynę wysokiego, ale nigdy

¹⁾ Porówn. wywody o »Vermögenskomputation« w moich »Rechte und Verhältnisse« str. 80 i nast.

niskiego szacunku substratu tych kosztownych sił. Jeśli je zaś szacujemy stosunkowo nisko, to czynimy to nie dla tego, ale pomimo to, iż są substratami użytecznych sił przyrody. Nadwartości produktów przyrody, na które George wskazuje, nie jest więc wcale oczywistą.

George czyni wprawdzie słabą próbę wyjaśnienia tej nadwartości, mówiąc, iż czas, obok pracy, stanowi w jej wytwarzaniu samodzielny pierwiastek. Ale jestże to istotnie wyjaśnienie, a nie raczej obejście wyjaśnienia? Jak człowiek, rzucający ziarno w ziemię, dochodzi do tego, że w wartości produktu każe sobie dawać wynagrodzenie nie tylko za pracę, ale i za »czas«, w przeciągu którego ziarno leżało w ziemi i rosło? Czyż czas jest przedmiotem monopolu? Wobec takiego uzasadnienia ma się prawie ochotę powołać się na naiwne słowa starego kanonisty, że czas jest wspólnym dobrem wszystkich, zarówno dłużnika, jak i wierzyciela, zarówno wytwórcy, jak i spożywcy!

George miał tu zapewne na myśli nie czas właściwy, ale żywe siły przyrody, użytecznie działające w czasie. Ale jak ma osiągnąć wytwórca to wynagradzanie żywych sił przyrody przez szczególną nadwartość produktu? Czy te siły przyrody są przedmiotem monopolu, czy nie są, przeciwnie, dostępne każdemu, kto posiada ziarno na siew? A czyż nie może go mieć każdy, kto tego zechce? A że zianro siewne może być przy pracy produkowane w dowolnej ilości, czyż ta ilość nie zwiększałaby się stale, gdyby przywiązany do niego monopol na siły przyrody czynił posiadanie jego szczególnie korzystnym? I czyż w takich warunkach podażby wciąż nie wzrastała, ażyby znikł związany z tem zysk dodatkowy, i wytwarzanie zboża siewnego przestało być korzystniejsze od każdej innej gałęzi produkcji?

Uważny czytelnik dostrzeże, że wróciliśmy tu do tego samego sztyku myśli, w jakim układała się nasza krytyka teorii produkcyjności Strasburgera¹⁾. W tej części swojej teorii George, podobnie jak Strasburger, nie docenił zagadnienia zysku; potraktował je tylko jeszcze naiwniej i z większym lekceważeniem. Obaj bez głębszego namysłu oświadczają, iż przyczyną i źródłem zysku są siły przyrody. Strasburger usiłował przynajmniej szczegó-

¹⁾ Patrz wyżej rozdział VII, t. I, str. 188 i nast.

lowiej zbadać i udowodnić przyczynowy związek, wrzekomo zachodzący pomiędzy temi dwiema rzeczami; George zaś nie wyszedł poza frazes, wyrażający przypuszczenie, że w pewnych gałęziach produkcji czas stanowi »pierwiastek«. Tak tanim kosztem nie można osiągnąć rozwiązania tego potężnego zagadnienia.

b) Zmodyfikowana teoria wstrzemięźliwości Schellwiena.

Poglądy Schellwiena¹⁾ z początku idą równolegle do socjalistycznej teorii Marxa.

Wartość dóbr przejawia się w cenach, których jest »treścią wewnętrzną«, »substancją«. Czynniki, ustalającymi cenę są podaż i popyt, względnie produkcja i spożycie, które są podstawą pierwszych. Ale czynniki te wpływają na wartość w różny sposób. Spożycie o tyle jest czynnikiem, ustalającym wartość, że nie ceni się dobra, które nie nadaje się do spożycia, nie jest użyteczne; jest to więc warunek wartości. Ponieważ jednak potrzeby i przyjemności są same w sobie irracjonalne, a użyteczności wskutek tego są niewspółmierne, użyteczność nie może być miernikiem wartości. Miernik wartości przebywa wyłącznie w drugiej głównej dziedzinie, w dziedzinie produkcji, czyli pracy, a więc w czasie pracy. Z punktu widzenia rozsądku, poszczególne wartości mogą być oceniane tylko według czasu pracy, niezbędnego dla ich wytworzenia, i to według pracy prostej, do której daje się sprowadzić wszelka praca, bardziej skomplikowana²⁾.

Tutaj zaczynają się różnice pomiędzy Schellwieniem, a Marxem. Schellwien uważa, iż Marx niewystarczająco ocenił pewną szczególną modyfikację rezultatu pracy, która jest przyczyną i źródłem zysku z kapitału. Istotne znaczenie dla wartości ma nie tylko użyteczność, czy nadawanie się do spożycia, ale rzeczywiste spożycie. Wartość wszelkich dóbr urzeczywistniona zostaje dopiero przez spożycie, do którego zawsze zmierza; przez nie dopiero dobro zostaje wykorzystane. Jeśli dobro nie zostaje

spożyte wcale, lub zostaje spożyte zapóźno, to wartość traci. Pozbawiające wartości powstrzymywanie się od spożycia nosi naogół charakter niszczący, patologiczny; obok tego jednak odegrywa ono w ekonomji zupełnie zasadniczą rolę, »w której nie niszczy wartości, lecz ją zwiększa«. Zdarza się to w dwóch rodzajach wypadków.

Przedewszystkiem wtedy, gdy czasowe powstrzymanie się od spożycia pewnego produktu jest niezbędne, by ten produkt mógł wogóle zostać spożytym, albo też, by mógł nabrać pewnych szczególnych właściwości. Tak np. trzeba owocom dać czas dojrzeć, a winu pozwolić na wieloletnie leżenie w piwnicy. Jeżeli potrzebny jest taki przeciąg czasu, wpływający pomiędzy wykończeniem pewnego produktu, a jego zużytkowaniem, to musi niezbędnie prowadzić do podwyższenia wartości produktu; czasowe bowiem niespożywanie pociąga za sobą »zmniejszanie rezultatu pracy«, a to dla ceny oznacza tyleż, co zwiększenie niezbędnego czasu pracy: »niezbędny czas niespożywania« stanowi tedy, zupełnie tak samo, jak właściwy czas pracy, część składową określającego wartość »społecznie niezbędnego czasu produkcji«¹⁾.

Do drugiego rodzaju należą te wypadki, w których warunkiem wytworzenia pewnego produktu jest powstrzymanie się od spożycia i n n y c h produktów. Powstaje to wszędzie, gdzie kapitał stanowi założenie produkcji, a więc właściwie we wszystkich gałęziach produkcji. Zachodzi przytem zjawisko następujące:

»Kapitał nie zostaje spożyty, przynajmniej w swym charakterze kapitału. Poszczególne przedmioty, stanowiące kapitał, zostają jednak w czasie produkcji spożyte, i tą drogą wchodzi w skład wartości produktu, właśnie dlatego, że są spożyte. Produkt zapewnia zwrot, odpowiednik tego spożytego kapitału; w wartości jego zmartwychwstaje wartość spożytego kapitału. Ale spożyty kapitał musi być istotnie odtworzonym, gospodarczo niezbędny kapitał musi być stale utrzymywany, nie może być spożyty. Skoro tedy kapitał na usługach produkcji nie zostaje poprostu spożyty, produkt musi też zapewnić zwrot, odpowiednik za to niespożywanie, a to pociąga za sobą odpowiednie zwiększenie war-

¹⁾ Die Arbeit und ihr Recht, Berlin 1882, str. 195

²⁾ Op. cit. str. 195—201.

¹⁾ Str. 203 i nast.

tości produktu. Gdyby wartość produktu stanowiła tylko odpowiednik wartości, która weń została włożoną przez spożycie kapitału, i pracy, niezbędnej dla jego wytworzenia, to kapitał nie byłby wynagrodzony za jego niespożywanie, a to jest gospodarczo nie do pomyślenia; planowe niespożywanie może powstać w gospodarce tylko w tym sensie, że wykorzystanie nie spożytych i przez to tracących wartość, jako takie, dóbr dokonywa się pośrednio przez zużytkowanie nowych produktów¹⁾. Ta część wartości, która stanowi wynagrodzenie za niespożywanie kapitału jest właśnie zyskiem z kapitału.

Łatwiej jest motek nici splatać, niż go później rozplatać. Obawiam się, że będę potrzebował o wiele większej ilości słów, by rozwikłać i jasno wyłożyć chaotyczny splót błędów i sprzeczności, mieszczący się w powyższych zdaniach, niż ich użył Schellwien dla ich zbudowania.

Głównym błędem, popełnionym przez Schellwiena jest wkraczająca w dziedzinę komizmu, podwójna gra z pojęciem »spożycia kapitału« i niemniej zabawny podwójny rachunek odpowiednika spożytego i niespożytego kapitału. Schellwien wychodzi z założenia, że nawet czasowe niespożywanie czyni dobra »jako takie bezwartościowymi«, i skoro było potrzebne do produkcji innych dóbr, musi być wynagrodzone przez nabywcę tych dóbr. Już to przypuszczenie daje pole do wielu zarzutów: jeśli nie występuje tu naturalne psucie się, albo zmiana mody, to przeciwnie, dobro nie traci na wartości wskutek czasowego powstrzymania się od spożycia. Ale na razie utrzymajmy je.

Przedmioty, stanowiące kapitał, zostają w produkcji spożyte; np. w produkcji sukna spożywa się wełna. Ale, by móc prawidłowo prowadzić produkcję, przedsiębiorca musi natychmiast zastępować spożyty kapitał przez taki sam nowy; zamiast zużytej wełny kupuje fabrykant sukna nową. Ten tak prosty fakt przedstawia nam Schellwien z dwójakiego punktu widzenia. Przedewszystkiem bierze pod uwagę konkretne przedmioty, stanowiące kapitał; ponieważ te

¹⁾ Str. 204 i nast.

bezwątpienia zostają spożyte, powiada, że kapitał zostaje spożyty. Następnie, pomijając przedmioty, bierze pod uwagę tylko kapitał, jako pojęcie gatunkowe; ponieważ, uważa, że zastępowanie zużytych przedmiotów nowymi utrzymuje stale ten sam kapitał w pojęciu gatunkowym, powiada, że kapitał nie zostaje spożyty. — Ten ostatni punkt widzenia przedstawia również pewne niebezpieczeństwa; zdaje mi się, że więcej tu gry słów, niż określenia istoty zachodzącego faktu; ale również na razie go zatrzymam. — Dalej następuje cios rozstrzygający.

Zamiast się ostatecznie zdecydować na jeden z tych poglądów, Schellwien, jak kuglarz, powraca kolejno to do jednego, to do drugiego, by wreszcie żądać dla kapitalisty wynagrodzenia z obu tych sprzecznych tytułów. Najpierw uważa kapitał za spożyty, wskutek czego produkt musi zapewnić odpowiednik »tego spożytego kapitału«, względnie nabywca musi opłacić całkowitą jego wartość; następnie zaś oświadcza, że uważa ten sam kapitał za »nie spożyty«, wskutek czego produkt musi dostarczyć wynagrodzenia za to »niespożywanie«, względnie nabywca musi dołożyć pewną nadwyżkę ponad cenę, jako premjum za powstrzymanie się od spożycia!

Coby też powiedział Schellwien na następujący przykład? Mam starego, wiernego sługę, który ma tę jedną wadę, że zanadto lubi wypić. Chcę go od tego picia odzwyczaić i zawieram z nim następującą umowę. Jeśli będzie pił w dalszym ciągu, to będę mu wprawdzie opłacał istotnie wypite wino, ale tylko do maksymalnej sumy litra wina dziennie. Jeśli zaś nie będzie pił, to za każdy dzień wstrzemięźliwości otrzyma premjum pieniężne, odpowiadające wartości dwóch litrów wina. Umowa zawarta. Służący wypija litr wina, kupuje drugi litr, którego nie wypija, i na tej podstawie żąda ode mnie wartości trzech litrów; jednego, bo przyrzekłem mu opłacać istotnie wypite wino, i jeśli bierzemy pod uwagę konkretne »przedmioty«, to rzeczywiście wypił litr wina; zaś wartość dwóch litrów, bo skoro natychmiast zastąpił wypity litr wina przez nowy i tego nie wypił, to, biorąc pod uwagę pojęcie rodzajowe, wino nie zostało spożyte: a więc należy mu się wynagrodzenie za powstrzymanie się od spożycia! — Obawiam się, że Schell-

wien nie będzie mógł zaprzeczyć całkowitej analogji tego przykładu z jego doktryną!

Zresztą, aby nie zbywać tak poważnej kwestji prostemi analogjami, ale potraktować gruntownie samą istotę rzeczy, wyobraźmy sobie konkretny wypadek w sensie teorii Schellwiena. Przypuśćmy, że fabrykant sukna przerabia za 100.000 fl. wełny na sukno i że proces produkcji trwa rok. Pomińmy przytem dalsze koszty produkcji, cenę maszyn, płace robocze i t. p. i skupimy uwagę na jednym pytaniu: ile musi być warte sukno, by przedsiębiorcę wystarczająco wynagrodzić za współdziałanie jego kapitału — wełny?

Schellwien powiada, że jeśli bierzemy pod uwagę przedmioty, to wełna zostaje spożyta, jeśli bierzemy pod uwagę rodzaj, to nie. Może tedy nastąpić jedna z dwóch rzeczy: albo wełna traci wartość, podlegając czasowemu niespożywaniu, albo też nie. Przypuśćmy z Schellwieniem, że utrata wartości istotnie ma miejsce, i ustalmy jej wysokość na 5% = 5.000 fl. Pod tym warunkiem zgadzam się najzupełniej, że wartość produktu musi dostarczyć odpowiednika za tę utratę wartości: istotnie musi tu się znaleźć nadwyżka wartości w wysokości 5.000 fl. Ale nadwyżka czego? Wartości zużytej, jako konkretne przedmioty, wełny. Ale skoro ta »wskutek czasowego niespożywania« utraciła na 5.000 fl. swej wartości, to teraz warta jest prosto tylko 95.000 fl., i całkowite odszkodowanie, którego dostarczyć ma wartość produktu, wynosi, pomimo dodatku 5.000 fl., tylko 100.000 fl. Nadwartość, przewyższająca początkowy kapitał 100.000 fl., nie znajduje tedy umotywowania.

Albo też czasowe niespożywanie nie może wełny pozbawić wartości: w takim razie wełna wchodzi do wartości produktu z pełną sumą 100.000 fl., ale niema też żadnej przyczyny, dla którejby ta suma miała uzyskać dodatek za powstrzymanie się od spożycia, bo Schellwien wymaga go tylko dlatego, że niespożywanie pociąga za sobą »utratę na wartości«, »zmniejszenie wyniku pracy«¹⁾.

¹⁾ Możliwe jest jeszcze może rzecz w taki sposób odwrócić: Wełna w sukno wełna jest istotnie zużyta, więc w całkowitej swej wartości winna być umieszczoną pomiędzy kosztami;

Niezależnie więc od tego, jak się tę hipotezę odwraca, nie można znaleźć wyjaśnienia nadwartości ponad pierwotną wartość zużytego kapitału. Nie można tego było zresztą oczekiwać od całej budowy Schellwienowskiego rozumowania. Według Schellwiena bowiem wynagrodzenie za niespożywanie ma być jedynie pokryciem straty, którą ponosi produkt pracy dzięki utracie na wartości; pokryciem, »bez którego nie zgodziłby się rachunek«. W jaki zaś sposób pokrycie straty może się stać nadwyżką? Jeśli ze stu jabłek zgubię pięć i dla pokrycia tej straty dołożę znów tyleż jabłek, to jednak $100 - 5 + 5$ da zawsze tylko 100, ale nie 105!!

Oczywista, że tak niejasna teoria nie może być jasno wyłożona. Gdyby ją Schellwien ujął bardzo dokładnie, to sprzeczności jej wystąpiłyby wręcz namacalnie. Schellwien jest wprawdzie szczegółowy, nawet bardzo szczegółowy. Ale szczegółowość jego polega nie na dokładnem wypowiedzeniu raz jeden pewnych myśli, lecz na wielokrotnem ich powtarzaniu, zawsze tak samo mgliście i dwuznacznie. Przytem w szczególny sposób myli się co do stosunku, w jakim się znajduje do teorii pracy, jako jedyne źródła wartości. Pomimo tego, iż obok istotnie zastosowanego czasu pracy stawia, jako samodzielny pierwiastek wartości dóbr, niespożywanie, uważa jednak, iż dał teorię, »wypływającą z istoty pracy i wartości« i »będącą koniecznym wynikiem teorii wartości, opartej na pracy«.

Ale właśnie dzięki tym błędom teoria Schellwiena jest szczególnie pouczająca. W drastyczny sposób dopełnia i uwypukla fakt bezradności teorii pracy, jako jedyne źródła wartości wobec zagadnienia zysku z kapitału. Rodbertus i Marx usiłowali niezachwianie utrzymać

zaś następnie sprowadzona wełna przez czas jakiś nie zostaje spożyta, ulega »utracie wartości« i wobec tego ma prawo do odszkodowania wskutek powstrzymania od spożycia. Ale i przy takim oświeceniu nie osiąga się upragnionego celu; dosyć jest rozciągnąć badanie na następny okres produkcji, by błąd odkryć. Ta następnie sprowadzona wełna zostaje w najbliższym okresie produkcji spożyta »jako przedmiot«. Jeśli utraciła coś ze swej wartości, to w następnym okresie wprowadza się ją do kosztów ze zmniejszoną wartością, i wracamy znów do przedstawionego w tekście wyniku. Jeśli zaś nie utraciła, to nie potrzebowała w okresie poprzednim żadnego wynagrodzenia za utratę wartości.

twierdzenie, iż suma pracy jest jedyną zasadą miarodajną dla ustalania wartości wszelkich dóbr. Mogli to jednak uczynić tylko za cenę prostego zignorowania najważniejszego punktu w dziedzinie zysku z kapitału, nadwartości w tych produktach, które, przy tym samym nakładzie pracy, wymagają dłuższego okresu produkcji. Schellwien był dośyć bezstronnym, by zrozumieć, że takie ignorowanie nic nie pomaga, i zadał sobie dużo rzetelnego trudu, by istotnie wytłumaczyć te fakty na podstawie teorii pracy, jako jedynego źródła wartości. Ale nie można łączyć rzeczy nie dających się pogodzić. Pomimo wszystkich sztucznych zwrotów i wykrętów o spożytym kapitale, który jednocześnie wcale nie jest spożyty, o »czasie niespożywania«, który jest częścią czasu produkcji i o »wyrównaniu«, które jest nadwyżką, zamiast mostu, który chciał przerzucić od swego teoretycznego punktu wyjścia do zjawiska zysku z kapitału osiągnął tylko ostateczne sprzeniewierzenie się pierwszemu. Teoria pracy, jako jedynego źródła wartości, jest z gruntu fałszywa i dlatego fakty życia gospodarczego stale wykazują jej kłamstwa.

Inną jeszcze naukę wyciągnąć można z teorii Schellwiena. My ekonomiści nadzwyczaj chętnie odrywamy nasze naukowe kategorie od zwykłego materialnego podłoża, na którym one wyrosły najpierw, jako zjawiska, i podnosimy je do rzędu wolnych, samodzielnych istnień idealnych. »Wartość« dóbr na przykład wydaje się nam zbyt dostojną, by mogła się wciąż trzymać dóbr materialnych, które są jej substratem. Uwalniamy ją tedy z tego poniżającego związku: czynimy z niej samodzielną istotę, idącą własnymi drogami, niezależnie od losów jej przyziemnego substratu, a często nawet wręcz sprzecznie. Sprzedajemy »wartość«, nie zbywając bynajmniej dobra, i dobro, nie sprzedając »wartości«; niszczyliśmy dobra, nie naruszając »wartości« i pozwalamy ginąć »wartościom«, których substraty nie poniosły żadnego uszczerbku. Podobnie wydaje nam się o wiele za prostem zastosowywanie kategorii kapitału do pewnej materialnej masy dóbr. Musimy te dwa pojęcia rozdzielić; kapitał jest czemś unoszącem się ponad dobrami, co trwa nawet wtedy, gdy giną poszczególne przedmioty, które się nań składały. »Przedewszystkiem«, powiada Hermann, »odróżniać musimy sam kapitał od przedmiotu, który go

przedstawia«¹⁾. M. c. L. e o d zaś zastosowanie nazwy kapitału do dóbr nazywa »metaforą«²⁾.

Oddajmy każdemu, co mu się należy. Cześć nauce, która nie usiłuje wtłoczyć istotnie idealnych sił, jakie w życiu naszym działają, w prokrustowe łoże mechanicznie materialistycznych pojęć. Ale należy też umieć rozróżniać. Nasze rzeczowe dobra i ich użyteczność, nasze rzeczowe kapitały i ich działanie produkcyjne rzeczywiście należą do sfery materialnej, — chociaż się w niej całkowicie nie mieszczą. Idealizować je, nie znaczy to wywyższać rozumienie nasze o nich, a tylko je fałszować. Będzie to niebezpiecznym udzielaniem sobie pozwolenia na wyjaśnianie rzeczy, odnoszących się do materji, rządzonych jej prawami, niezależnie od tych praw, a nawet wręcz sprzecznie z nimi.

A podobnego pozwolenia nie udziela sobie ten, kto nie ma zamiaru go zużytkować. Kto rzeczy naturalne wiernie i naturalnie rozważa, temu idealizujący frazes nietylko nie jest potrzebny, lecz mu przeszkadza. Temu zaś, kto w wyjaśnianiu rzeczy naturalnych nie chce się trzymać natury, dostarcza on cennego ułatwienia: to, czego nie można wytłumaczyć z pomocą natury, stawia się poza nią, by je później sprzecznie z nią wyjaśnić.

Oddawna już przywykłem traktować jako sygnały ostrzegawcze fałszywe idealizacje, które napotykałem. I rzadko się myliłem. Gdzie tylko jedno z naszych prostych, mieszczańskich pojęć, jak dobro, majątność, kapitał, dochód, użyteczność, produkt i t. p., wynikających z głębi poznawania zmysłowego, oderwanem zostaje przez idealizujące traktowanie od swej zmysłowej podstawy i postawionem z nią w sprzeczność, tam też zwykle blisko jest fałszywe rozumowanie, dla którego to wyjaśnienie miało grunt przygotować.

¹⁾ Staatsw. Unters., wyd. 2-e, str. 605.

²⁾ Pojęcie »true capital«, które prof. J. B. Clark przeciwstawia pojęciu »concrete capital goods« (The Genesis of capital, Yale Review, listopad 1893, str. 302 i nast.) należy, zdaniem mojem również do tej samej kategorii mistycznego kształtowania pojęć. Porówn. na ten temat moje studjum o »The positive theory of capital and its Critics« w Quarterly Journal of Economics tom IX, styczeń 1895, str. 113 i nast., a ostatnio artykuły polemiczne moje i prof. Clarka w 15-ym i 16-ym tomie Zeitschrift für Volkswirtschaft, Sozialpolitik und Verwaltung (1906 i 1907); następnie też moją »Positive Theorie«, wyd. 3-e, str. 101 i nast.

Nie chcę odsuwać końca tych rozważań przytaczaniem na dowód słów moich długiego spisu grzechów w piśmiennictwie naszego przedmiotu, choć przyszłoby mi to z łatwością. Uważny czytelnik bez mojej pomocy znajdzie potwierdzenie moich wywodów. Wymienię wprost ten jeden tylko przykład, który był mi bodźcem do napisania słów niniejszych, przykład Schellwiena: zaledwie Schellwien w myśli oddzielił »kapitał« od »przedmiotów«, z których on się składa, i przeciwstawił go im, zaczyna się igranie kapitałem, który jest zarazem spożyty i niespożyty, oceniony w pełnej swojej wartości i pozbawiony wartości, i którego brak wartości, z chwilą jej uzupełnienia, staje się nadmiarem!

ROZDZIAŁ XV.

Zakończenie.

Rzućmy wreszcie okiem na całość, okiem, które nazbyt długo zatrzymywało się na pojedynczych szczegółach. Wdzieliśmy, jak powstawały liczne i odrębne teorie zysku z kapitału. Wszystkie starannieśmy rozpatrzyli i z namysłem zbadali. Żadna z nich nie zawiera pełnej prawdy. Byłyż przeto całkiem bezowocne? Czy w sumie swej nie stanowią nic, oprócz chaosu sprzeczności i błędów, po przebyciu którego jesteśmy równie dalecy od prawdy, jak u jego progu? Czy w zamęcie tych sprzecznych doktryn nie można dostrzec linii rozwojowej, która, jeśli nie doprowadziła do samej prawdy, wskazała jednak drogę, do niej wiodącą? I jak biegnie ta linia rozwoju?

Nie mogę lepiej zacząć odpowiedzi na to końcowe pytanie, jak prosząc czytelnika, by raz jeszcze uważnie się przyjrzał treści naszego zagadnienia. Czego chce i czym jest zagadnienie zysku? Ma ono być zbadaniem i przedstawieniem przyczyn, które kierują ku kapitalistom jedną odnogę potoku dóbr, płynących corocznie z produkcji społecznej. Jest to więc bezwątpienia zagadnienie podziału dóbr.

Ale w której części potoku dokonywa się to odgałęzienie? — Rozwój doktryny wydał o tem na świat trzy odmiennie zdania, które doprowadziły zagadnienie zysku do trzech równie odmiennych zasadniczych ujęć.

Pozostańmy jeszcze na chwilę przy obrazie potoku; nadaje się on bardzo do wyświetlenia rzeczy. Źródło uzmysławia nam produkcję dóbr; ujście — ostateczny podział na różne rodzaje dochodów, w której to postaci dobra służyc mają do zaspokojenia potrzeb, średni zaś bieg rzeki to stadjum pośrednie pomiędzy powstaniem i ostatecznym podziałem dóbr, podczas którego przechodzą one z rąk do rąk i, dzięki ocenie ludzkiej, nabierają wartości.

Te trzy poglądy są następujące:

Jeden głosi, iż udział kapitalisty wyodrębniony jest już u źródła. Trzy odrębne źródła, przyroda, praca i kapitał, wytwarzają dzięki zawartej w nich sile produkcyjnej określoną sumę dóbr wraz z określoną sumą wartości; i dokładnie ta sama ilość wartości, która z każdego źródła wypłynęła, wpływa do dochodu tych osób, w których posiadaniu znajduje się źródło. Właściwie nie jest to jeden potok, ale trzy, płynące wprawdzie przez czas pewien tem samem łóżykiem, ale nie zlewające się wcale w jedno, i dzielące się u ujścia w tym samym stosunku, w jakim z poszczególnych źródeł wypłynęły. — Ten pogląd sprowadza całe wyjaśnienie do źródła, do produkcji dóbr; traktuje zagadnienie zysku, jako zagadnienie produkcji. Jest to pogląd naiwnych teorii produkcyjności.

Drugi pogląd jest z pierwszym wręcz sprzeczny. Podziału szuka jedynie i wyłącznie u ujścia. Jest tylko jedno źródło, z którego cały potok niepodzielnie wypływa — praca; cały średni bieg rzeki jest jeden i niepodzielny: w wartości dóbr niema nic, co by ich podział pomiędzy poszczególnych udziałowców mogło przygotować, gdyż wszelka wartość mierzy się jedynie pracą. Dopiero u samego ujścia, gdy strumień dóbr chce i winien przelać się w dochód robotników, którzy go stworzyli, występują z dwóch stron właściciele ziemscy i kapitaliści, zagrządzają rzekę zastawami swego monopolu i przemocą skierowują ku sobie część potoku. — Jest to pogląd socjalistycznej teorii wyzysku. Przeczy on istnieniu zysku we wcześniejszych okresach dziejów dobra, uważa go jedynie za wynik nieorganicznego, przypadkowego, gwałtownego zagrabienia, traktuje zagadnienie zysku, jako zagadnienie czystego podziału w najbezwzględniejszym sensie tego słowa.

Trzeci pogląd zachowuje środek. Według niego dobra

wypływają z dwóch, albo nawet i z trzech źródeł, by później zbiec się w jeden niepodzielny strumień. Tutaj jednak dobra dostają się pod wpływ zjawiska kształtowania się wartości, na skutek którego bieg potoku znów się rozwidla i wikła. Zainteresowanie ludzi dobrami budzi się pod wpływem uświadomienia sobie masy i intensywności potrzeb z jednej, oraz ilości istniejących środków zaspokojenia ich z drugiej strony; mierząc zainteresowanie swoje przez przypisanie rozmaitym dobrom i gatunkom dóbr wartości użytkowych i opartych na nich wartości zamiennych, wprowadzają do masy dóbr zróżniczkowanie: podnoszą jedne, a obniżają drugie. Wynikają z tego skomplikowane różnice poziomu, skomplikowane napięcia i prądy, pod wpływem których potok dóbr rozбивa się na trzy ramiona o trzech odrębnych ujściach: jedno wpada do dochodu właścicieli ziemskich, drugie do dochodu robotników, trzecie do dochodu kapitalistów. Ale te trzy ramiona nie są wcale identyczne z pierwotnymi dwoma, czy trzema źródłami, i nie harmonizują z niemi pod względem siły i rozmiarów. O szerokości tego, czy innego ujścia nie decyduje siła, z jaką bije dane źródło, lecz sposób rozdzielania złączonego potoku na trzy części, które dokonują się pod wpływem kształtowania się wartości. W tym poglądzie łączą się wszystkie pozostałe teorie zysku. Ponieważ widzą one zarys ostatecznego podziału już w okresie kształtowania się wartości, więc uważają za swój obowiązek rozpocząć teoretyczne wyjaśnienia od tej dziedziny; w ich ręku zagadnienie podziału dochodu dopełnia się i rozrasta do rozmiarów zagadnienia wartości.

Które z tych trzech zasadniczych ujęć było prawidłowe? — Dla trzeźwego i bezstronnego badacza odpowiedź na to nie przedstawia żadnych wątpliwości.

Z pewnością nie był prawidłowym pogląd pierwszy. Nietylko dlatego, że kapitał, będąc sam owocem przyrody i pracy, nie jest pierwotnym źródłem dóbr, ale też, ponieważ, jakżeśmy się chyba dosyć jasno przekonali, żaden czynnik produkcji nie posiada zdolności nadawania własną siłą określonej wartości swoim fizycznym wytworom. Zarówno, jak wartość wogóle, jak nadwartość w szczególności, zysk z kapitału nie zjawia się już odrazu jako coś istniejącego w produkcji dóbr: zagadnienie zysku nie jest czystym zagadnieniem produkcji.

Ale i drugie ujęcie nie mogło być prawidłowe. Fakty mu zaprzeczają. Nietylko przy podziale, ale już przy kształtowaniu się wartości wysuwa się obok pracy inny, obcy pierwiastek. Stuletni pień dębu, który w ciągu całego swego długiego wzrastania wymagał jednego jedyne go dnia pieczołowitej pracy, posiada wartość sto razy wyższą, niż krzesło, wytworzone z paru desek również w ciągu jednego dnia pracy. Przytem ten dąb, produkt jednego dnia pracy, nie stał się tak odrazu sto razy wartościowszym od sprzętu, który kosztował też jeden dzień pracy. Dzień po dniu, rok po roku, wzrastająca jego wartość oddalała się od wartości sprzętu. To samo zaś, co z wartością dębu, dzieje się z wartością wszystkich produktów, których wytworzenie wymaga nie tylko pracy, ale i czasu.

Te same, powoli, a stale, działające siły, które krok za krokiem wprowadziły różnicę pomiędzy wartością dębu a wartością krzesła, dały też przez to początek zyskowi z kapitału. Działając znacznie wcześniej, zanim dobra stały się do podziału, nakreśliły zawczasu przyszłą linię graniczną pomiędzy placą roboczą, a tym zyskiem. Praca bowiem nie może być opłacana według żadnej innej zasady, niż ta: »za równą pracę, równa płaca«. Jeśli jednak wartość dóbr, wytworzonych przez tę samą ilość pracy, przestała być jednakową dzięki działaniu powyżej wspomnianych sił, to jednakowy poziom płac roboczych nie wszędzie może odpowiadać wartości dóbr, która się w różnym stopniu podniosła: tylko wartość dóbr nie uprzywilejowanych spada do tego poziomu i pokrywa się ogólną stopą płacy roboczej, którą sama określa; wszystkie dobra uprzywilejowane przewyższają ją w tym stopniu, w jakim zostały uprzywilejowane przy kształtowaniu się wartości, i wartość ich nie może być wyczerpaną przez ogólną stopę płacy roboczej. Gdy więc dochodzi do ostatecznego podziału i wszyscy robotnicy za jednakową pracę dostają równą płacę, musi coś z tej wartości pozostać, i to może i powinien brać kapitalista. Pozostałość ta tworzy się nie dlatego, że kapitalista w ostatniej chwili, przez nagłe jej zagarnięcie sztucznie sprowadza poziom płac poniżej poziomu wartości dóbr, ale dlatego, że już dawno przed tem tendencje kształtowania się wartości podniosły wartość tych dóbr, których wytworzenie kosztuje pracę i czas, ponad wartość innych dóbr, których wytworzenie

kosztuje tylko pewną ilość natychmiast opłacanej pracy, a których wartość musi jednak wystarczyć na zaspokojenie swojej, niezbędnej dla ich wytworzenia, pracy, i wskutek tego stanowi linię wytyczną dla ogólnej stopy płacy robotczej.

Tak mówią fakty. Wnioski, do których wymowa ich prowadzi, są jasne. Zagadnienie zysku jest zagadnieniem podziału. Ale podział ma swoją długą historję i tylko z jej pomocą może być wyjaśniony.

Masy dóbr nie dzielą się tak nagle, na poczekaniu; linje podziału, według których się rozpadają, wyznaczone zostały stopniowo i powoli we wcześniejszych okresach ich bytu. Kto chce rzeczywiście zrozumieć i prawidłowo wytłumaczyć podział dóbr, musi cofnąć się aż do praprzyczyny tych delikatnych, ale wyraźnych linii. Droga ta prowadzi do dziedziny wartości dóbr. Tutaj trzeba zaczerpnąć główną część wytłumaczenia zysku. Ten, kto chce je traktować jako czyste zagadnienie produkcji, traci z oczu główną jego część; ten, kto chce je traktować, jako zagadnienie podziału, i tylko jako zagadnienie podziału, zaczyna już po tej głównej części. Tylko ten, co podejmuje wyjaśnienie tych szczególnych różnic poziomu wartości dóbr, które stają się »nadwartością«, może mieć nadzieję, że z ich pomocą istotnie naukowo zagadnienie zysku wyjaśni: zagadnienie zysku jest w rezultacie zagadnieniem wartości.

Jeśli się na tem zatrzymamy, to łatwo określić miejsce, zajmowane przez różne grupy teorii, w stosunku do ogólnej linii rozwojowej.

Dwie teorie całkowicie zapoznały charakter zagadnienia zysku; stanowią one, przeciwstawiając się sobie nawzajem, najniższy stopień rozwoju. Są to: naiwna teoria produkcyjności i socjalistyczna teoria wyzysku. To zestawienie może się wydać dziwnem. Jak dalece rozchodzą się obie te teorie w swych wnioskach! O ileż wyższymi od naiwnych przypuszczeń teoretyków produkcyjności wydają się zwolennicy teorii wyzysku! Jak dumnie uważają się za wyznawców postępowego, krytycznego kierunku!

Zestawienie to jest jednak uprawnione. Najpierw obie teorie podobne są do siebie w sensie negatywnym: żadna z nich nie dotyka właściwego zagadnienia; żadna ani jednym słowem nie porusza tych szczególnych fal, które roztacza

wartość dóbr, i z których wynika nadwartość. Teoria produkcyjności zadawała się powiedzeniem o tych falowaniach wartości, że właśnie są wyprodukowane, a teoria wyzysku — co może gorsza — wcale o nich nie wspomina: nie istnieją dla niej zupełnie; w jej oczach i chociażby fakty z życia gospodarczego się temu sprzeciwiały, poziom wartości dóbr schodzi się całkowicie z poziomem wydatku pracy¹⁾.

Nietylko negatywne, lecz i pozytywne pomysły wiążą dwie te teorie ściślej, niżby się zdawało. W istocie są to owoce z jednej gałęzi, skutki tego samego naiwnego przesądu: że wartość wyrasta z produkcji, jak zboże z ornej ziemi. Przesąd ten ma długą historję w literaturze ekonomicznej. Od 130 lat pod najróżnorodniejszymi postaciami panuje on w naszej nauce i, zwracając w fałszywym kierunku wyjaśnienie zasadniczego fenomenu, tamuje w niej wszelki postęp. Najpierw z doktryny fizjokratów wypływało, że ziemia, dzięki swej płodności, wytwarza cały nadmiar wartości. Smith zachwiał tem twierdzeniem, Ricardo zaś wypełnił je całkowicie. Ale zanim całkowicie znikło w tej pierwszej formie, Say wprowadził je znów do nauki w nowej, szerszej szacie: zamiast jedynej siły produkcyjnej fizjokratów przedstawił trzy siły produkcyjne, tak stwarzające wartości i nadmiary wartości, jak niegdyś według fizjokratów wytwarzał się »produit net«. W tej postaci panował ten przesąd w nauce przez długie lat dziesiątki. Zdemaskowany został dopiero przez namiętne, ale bardzo pożyteczne krytyki teoretyków socjalizmu. Ale i tu przejawiała się jego zawzięta żywotność; ustępując formę, nie treść, potrafił przetrwać się raz jeszcze w nową postać i znaleźć dla siebie

¹⁾ Pisane w r. 1884, przed ukazaniem się trzeciego tomu *Kapitału* *Marxa*. Najnowsza faza *Marxizmu* nie polepsza sprawy, ale ją pogarsza, gdyż łączy początkowe zaprzeczenie miarodajnych dla naszego zagadnienia różnic wartości z późniejszym ich uznaniem. Ignorowanie ich bowiem utrzymuje się aż do chwili wyprowadzenia wszystkich zdecydowanie fałszywych wniosków, które przy niem tylko są możliwe; zaś umyślnie odwołane zajęcie się faktycznem kształtowaniem się wartości przychodzi za późno, by móc podtrzymać osiągnięte bez niego podstawy, ale dosyć wcześnie, by im zaprzeczyć. System nie staje się więc prawdziwszym, tylko bardziej sprzecznym. Porównaj wyżej rozdział XII, str. 88 i nast.

miejsce, szczególną ironją losu, właśnie w pismach tych, którzy go w dawnych formach najostrzej zwalczali: w pismach socjalistów. Znikły wartościowo-twórcze siły, ale została wartościowo-twórcza siła pracy, a z nią stary grzech, że dla przedziwnie subtelnych związków i zależności kształtowania się wartości, których rozwiązanie powinno było stać się zadaniem i dumą naszej nauki, nie pozostało nic prócz powierzchownych przypuszczeń, a jeśli się do tych przypuszczeń nie chciały zastosować, — jeszcze powierzchowniejszego zaprzeczenia.

Tak więc w istocie naiwna teoria produkcyjności kapitału i postępową doktrynę socjalistów są teoretycznie bliźniaczkami. Druga może się oczywiście podawać za doktrynę krytyczną, bo jest nią w istocie; ale jest też doktryną naiwną. Krytykuje jedną naiwną ostateczność, by popaść w przeciwną, niemniej naiwną, ostateczność. Jest to poprostu spóźniona przeciwwaga naiwnej teorii produkcyjności.

Pozostałe teorie zysku można postawić o stopień wyżej. Szukają one rozwiązania zagadnienia zysku na tym gruncie, na którym rzeczywiście można je rozwiązać: na gruncie wartości dóbr. Mają naturalnie na tem polu różne stopnie zasługi.

Te teorie, które usiłują wytłumaczyć zysk za pomocą zewnętrznych środków teorii kosztów, w dużym stopniu jeszcze posługują się przesądem, że wartość wyrasta z produkcji. Wyjaśnienie ich nie może przejść nie pozostawiając wątpliwości. Jak pewnem jest, że podstawowymi siłami, poruszającymi wszystkie gospodarcze wysiłki ludzi, są ich — egoistyczne, lub altruistyczne — interesy materialne, tak też pewnem jest, że żadne wyjaśnienie zjawisk gospodarczych, nie może nas zadowolić, jeśli jego bieg rozumowania w nieprzerwanym łańcuchu nie sięga aż do tych niewątpliwych, zasadniczych sił. Ten to właśnie grzech popełniają teorie kosztów. Szukając zasady wartości, tego jednocześnie kompasu i pośrednika ludzkich poczynań gospodarczych, nie w stosunku do ludzkiego dobrobytu, a w suchym faktecie zewnętrznych dziejów powstawania dóbr, w technicznych warunkach produkcji, skierowują w ten sposób nie wyjaśnienia na boczna, głuchą ścieżkę, z której niema przejścia do psychologicznego motywu interesu, do którego musi dojść każde zadawalniające wyjaśnienie. — Ocena ta doty-

czy — przy całej różnorodności poszczególnych teorii — znacznej części rozważanych przez nas teorii zysku.

O stopień wyżej stoją wreszcie te teorie, które zupełnie pozbyły się starego przesądu, że wartość dóbr wynika z ich przeszłości, nie z ich losów przyszłych. Te doktryny wiedzą, co chcą wyjaśniać, i wiedzą, w jakiej stronie wyjaśnienia tego szukać należy. Jeśli tedy nie odkryły dotychczas prawdy, to przypisać to należy przypadkowi, podczas gdy poprzednie do niej dotrzeć nie mogły, gdyż, oddzielone od niej murem przesądu, szukały w fałszywym kierunku. — Wyższy stopień rozwoju osiągnęły niektóre sformułowania teorii wstrzemięźliwości, głównie późniejsze teorie usług; teoria Mengera wydaje mi się punktem szczytowym dotychczasowego rozwoju: nie dla swego pozytywnego rozwiązania, lecz dlatego, że jej postawienie zagadnienia było najdoskonalsze — a to są dwie rzeczy, z których, — tu, jak i gdzieindziej — druga może być ważniejszą i trudniejszą od pierwszej.

Na tak przygotowanym gruncie będę usiłował znaleźć rozwiązanie tego tyle razy rozważanego zagadnienia, któreby nic nie wymyślało i nic nie przyjmowało bez dowodu, a tylko ściśle i wiernie dążyło do wyjaśnienia zjawiska zysku z kapitału za pomocą zjawisk kształtowania się wartości, poprzez najprostsze naturalne i psychologiczne podstawy naszej gospodarki. Wymienię tu jeszcze pierwiastek, który, jak mi się zdaje, ułatwia odkrycie całej prawdy: to wpływ czasu na ocenę dóbr przez człowieka. Uzasadnienie, danie treści tej wytycznej — oto zadanie drugiej, pozytywnej części mojej pracy.

DODATEK.

Współczesna literatura o zysku.

(1884—1914).

I.

Od czasu ukazania się pierwszego wydania pracy niniejszej, zagadnienie zysku było bezustannie przedmiotem namiętnych i wielostronnych roztrząsań. Literatura o zysku z ostatnich lat dziesiątków jest stosunkowo o wiele bogatsza od literatury jakiegokolwiek okresu równej długości. Bezspornego rozstrzygnięcia wielkiego zagadnienia nie przyniosły wprawdzie — chciałem powiedzieć: oczywiście — nawet najostatniejsze czasy. Bądź co bądź w tej walce poglądów zauważyć się daje pewna przemiana w zmagających się siłach, która może oznaczać zbliżanie się dalszego, zapowiadającego już rozwiązanie, okresu sporu. Spór ten jest już mniej chaotyczny, niż kilkadziesiąt lat temu. Wypowiedziano wprawdzie szereg nowych poglądów; ale za to wiele starych poglądów zupełnie, lub prawie zupełnie przestało istnieć, i walka skupia się teraz około paru poważnie bronionych pozycji, pomiędzy którymi waha się ostateczne rozstrzygnięcie. I nawet pomiędzy niemi rozstrzygnięcie to już się zapowiada. Nie podchodzi się już do sprawy zdaleka, nie walczy się o wysunięte pozycje, gdyż prace przygotowawcze tak dalece spełniły już swoje zadanie, przesłanki i konsekwencje zwalczających się teorii, oraz ich środowisko teoretyczne tak dobrze są oświetlone, że spór nie schodzi już na manowce zagadnień drugorzędnych, i decyzyja, gdy wreszcie zapadnie, dotyczyć będzie najistotniejszego jądra sprawy.

Wiadoma to rzecz, jak przykro być historykiem wypadków współczesnych. Człowiek, stojący pośrodku lasu, niełatwo rozejrzeć się może po tym lesie. Ja mam jeszcze dwa

szczególne powody, które mi utrudniają zadanie dobrego przedstawienia obecnego stanu literatury o zysku. Fakt, iż jestem autorem jednej ze współzawodniczących teorii zysku, czyni mię, z konieczności i pomimo najlepszych moich chęci, stronnym, a osobista skłonność widza przy bliskości stanowiska podwójnie utrudnia prawidłowy rzut oka na wielkość dzielących pewne teorie różnic. Poza tem zaś żyjące obecnie pokolenie ekonomistów znajduje się w okresie przekształcania swoich poglądów na zagadnienie zysku. Niezależnie od tego, jaka teoria ostatecznie zwycięży, pewnem jest, że to, co przeżyjemy następnemu pokoleniu, jako poglądy naszego czasu, będzie się bardzo zasadniczo różniło od tego, cośmy w młodości swej znajdowali w podręcznikach i czemeśmy się karmili. Wszyscy, nawet najzaciętsi zachowawcy, staramy się przetworzyć te pozostawione nam poglądy. Ocenic prawidłowo literaturę, znajdującą się w tem stadium przetwarzania jest rzeczą szczególnie, wyjątkowo trudną. Spotyka się w niej mnóstwo poglądów przejściowych, pomiędzy którymi mogą się znajdować zarówno — i nawet w liczbie znacznie większej — nic nie znaczące odmiany obumierających teorii, jak i obiecujące etapy na drodze przyszłego rozwoju — i nieraz potrzebaby rzeczywistości daru proroczego, by napewno rozpoznać, czy dana teoretyczna budowa należy do pierwszej, czy do drugiej kategorii.

Pomimo to, uważałbym, że zadanie pracy niniejszej nie byłoby całkowicie wypełnione, gdybym się ułaskł tych trudności i nie sprobował nawet zorientować swoich czytelników w obecnym stanie literatury o zysku: pisze się przecież taką krytyczną historję doktryny głównie w tym celu, by rozświetlić szlak dalszych badań; cóżby to było, gdyby się właśnie pozostawiło w ciemnościach ostatnio utorowany szmat drogi i punkt wyjścia następnych poszukiwań. Oczywiście zabieram się do tej części mojej pracy z najdobitniejszym zastrzeżeniem, że może być błędną i niewystarczającą.

Wobec przeważnej części dzisiejszej literatury ograniczę się odrazu do próby sumarycznego zorientowania. Z zasady zaś już pomijać będę doktryny, które są tylko odcieniami pewnej głównej teorii, nie chcąc wcale pamięciem takim stwierdzić, że odcień ten uważam za niezasługujący na uwagę, albo daną doktrynę za nieważną. Szczegółowemu

rozważaniu i krytyce poddam tylko kilka najnowszych teorii, i to tylko te, które albo są tak odrębne, że od omawianych dotąd typów teorii różnią się w całkiem zasadniczych rysach, albo też, pomimo, że są jedynie odcieniami i kombinacjami, tak są stanowczo sformułowane i tak wyczerpująco opracowane, że doniosłość wprowadzonych odcieni daje się od razu ocenić.

II.

Wspomniałem już, że w ostatnich czasach do dawnych, rywalizujących ze sobą, poglądów dołączyły się nowe. Najwięcej takiego nowego materiału dała bodaj ta teoria, która wyjaśnia zysk za pomocą różnicy wartości pomiędzy obecnymi, a przyszłymi dobrami.

Zarodki niejako tych myśli spotykamy już w dawnych czasach u Pettyego i Vaughana, nieco później zaś u Galianiego i Turgota¹⁾. Bentham zaczyna je uzasadniać psychologicznie. W pół wieku później Rae nadaje im bardzo interesującą postać, w której jednak nie sądone im było wywrzeć jakiegos wpływu na dalszy rozwój doktryny. Znów w czterdzieści lat później Jevons, opierając się na Benthamie, po mistrzowsku, wzorowo opracowuje większość przesłanek, na których opiera się ta teoria, opuszcza jednak te pośrednie nici, które od tych przesłanek

¹⁾ Dla całości obrazu zaliczyć tu jeszcze trzeba o wiele późniejszego Cernuschiego, który w swojej *Mécanique de l'échange* (1865) na razie nawiązuje do znanej analogji, którą już ci starzy pisarze przeprowadzali pomiędzy umotywowanym przez różnicę miejsca kursem weksla, a umotywowanym przez różnicę czasu procentem, oprócz tego zaś daje tej ostatniej, różnicy wartości w czasie, odrębne uzasadnienie, nieco jednak sztuczne i scholastycznie nieudane. Cernuschi wychodzi mianowicie z tego założenia, że kapitały w wartości swojej wciąż się odtwarzają, i wskutek tego są »wiecznotrwałe«. »Wiecznotrwałość« obecných kapitałów zaczyna się już dziś, natychmiast, »wiecznotrwałość« zaś przyszłych oczywiście później; dlatego »wiecznotrwałość« przyszłych kapitałów jest »krótszą« (sic!), możność oddawania usług użytecznych mniejszą, a więc i suma ich użyteczności, oraz na użyteczności tej oparta wartość jest mniejszą, niż wartość kapitałów już istniejących. Przypomniały mi do pewnego stopnia te wywody Cernuschiego niektóre wzmianki Oswalta (*Beiträge zur Theorie des Kapitalzinsens* w *Zeitschrift für Sozialwissenschaft* 1910, str. 100).

wiodą do zjawiska zysku, niższy w tem od zapomnianego poprzednika swego, Rae'a, któremu bezwątpienia dorównywa w rozwinięciu psychologicznej części przesłanek, a w rozpoznaniu przesłanek z zakresu techniki produkcji zgola go przewyższa.

W bezpośredniej styczności z Jevonsem wymienić należy Launhardta¹⁾, oraz Emila Saxa²⁾.

Obaj o tyle tylko wyprzedzają Jevonsa, że wyraźnie wypowiedzieli myśl, implicite u niego zawartą, ale formalnie niewypowiedzianą — ogłoszoną jednak w międzyczasie (1884) przeze mnie, jako program mojej teorii zysku — że zysk bierze początek w opartej na podstawach psychologicznych różnicy wartości pomiędzy dobrami istniejącymi, a przyszłymi³⁾. Wypowiedzieli ją jednak, ale nie opracowali szczegółowo. Brak tego drobiazgowego opracowania powstrzymał też wymienionych autorów od zbadania, czy psychologiczne przyczyny niższej oceny przyszłych dóbr są wogóle w stanie dostarczyć dość szerokiej podstawy dla całkowitego wyjaśnienia zjawiska zysku, czy nie należałoby wprowadzić do biegu wyjaśnienia pewnych — przez nich pominiętych — faktów z zakresu techniki produkcji.

Prace Launhardta i Saxa przypadają na czas po-

¹⁾ *Mathematische Begründung der Volkswirtschaftslehre*, Leipzig 1885; patrz szczególnie str. 5—7, 67 i nast., 129.

²⁾ *Grundlegung der theoretischen Staatswissenschaft*. Wien 1887, str. 178 i nast., 313 i nast.

³⁾ »Wymagana stopa zysku opiera się na mniejszej ocenie wartości, jaką ma spożycie przyszłe w porównaniu z takim samym, ale natychmiast nadszającym się, spożyciem« (Launhardt, str. 129). »Wartość dobra-kapitału wynika w swojej wielkości z wartości dobra użytkowego, jakie z jego pomocą powstaje. Ponieważ zaś potrzeba, której pośrednio służy dobro-kapitał, jest potrzebą przyszłą, to ta przeniesiona nań wartość musi być mniejszą, niż wartość, jaką podmiot gospodarczy przypisuje takiemu samemu dobru użytkowemu, już istniejącemu, albo, co na jedno wychodzi, mniejszą, niż wartość, jaką będzie miało dla niego konkretne dobro użytkowe, gdy już będzie istniało w odniesieniu do obecnej już wówczas potrzeby. Wartość bowiem przyszłego dobra użytkowego, z której wyprowadza się wartość kapitału, pochodzi od przyszłej potrzeby, która, jako przeczuta (obecnie) potrzeba, słabszą jest od tego, czem będzie istotnie...« W różnicy wartości pomiędzy dobru-kapitałem, a powstającym zeń dobru użytkowem... leży tak zwana »produkcyjność kapitału« (Sax, str. 317 i 321, porówn. też 178).

między ukazaniem się pierwszego (1884) i drugiego tomu (1889) pracy »Kapital und Kapitalzins«, wydanej przeze mnie. Wyłożona w drugim tomie »Pozytywna teoria kapitału« zawiera próbę wyprowadzenia wszystkich form zjawiska zysku z różnicy wartości, zachodzącej pomiędzy istniejącymi i przyszłymi dobrami, samej zaś tej różnicy ze współdziałania szeregu przyczyn, w części psychologicznych, w części zaś należących do zakresu techniki produkcji. Próba ta znalazła wielu przeciwników, ale też z wielu stron doznała podtrzymania. Pokrewne myśli, ale nie tak wyczerpująco wyłożone i na razie nie oddzielone świadomie od biegu myśli starej teorii wstrzemięźliwości, wypowiedzieli prawie równocześnie myśliciele amerykańscy, w szczególności Simon N. Patten¹⁾, S. M. Macvane²⁾, oraz J. B. Clark³⁾. Czynne też były w dalszym ciągu wpływy świetnej pracy Jevonsa, coraz wyżej cenionej przez teoretyków różnych narodowości. Faktem jest, że, nawiązując to do tego, to do innego źródła, teoria różnicy wartości istniejących i przyszłych dóbr — skoro już trzeba obdarzyć ją krótkim określającym tytułem, najchętniej nazwę ją »teorią agia«⁴⁾ — głęboko zapuściła korzenie w literaturach wszystkich kultu-

¹⁾ »The fundamental idea of capital« w Quarterly Journal of Economics, styczeń 1889.

²⁾ Patrz jego bardzo krótki, lecz bardzo godny uwagi artykuł »Analysis of cost of production« w Quarterly Journal of Economics, Lipiec 1887, oraz niektóre późniejsze artykuły, mianowicie z października 1890 i stycznia 1892.

³⁾ Długi szereg artykułów, w których ten subtelny i nieustrudzony teoretyk już w końcu ubiegłego stulecia badał teorię kapitału i zysku z kapitału, zaczyna się od pracy »Capital and its Earnings« 1888. Większość jego późniejszych artykułów znajduje się w Quarterly Journal of Economics, niektóre zaś w Annals of the American Academy (Lipiec 1890) i w Yale Review (Listopad 1893).

⁴⁾ Macfarlane (Value and distribution, str. XXII, nast. 230 i nast.), opierając się nawet na pewnej mojej uwadze z Positive Theorie str. 489, chce ją określać, jako »teorię wymiany« (»Exchange theory«); określenie to znalazło później zwolenników wśród innych pisarzy np. Seagera w Principles of Economics, 1913, str. 293. Uwaga moja jednak nie odnosiła się do materii zysku, tylko wyłącznie do natury pożyczki; przeciwstawiłem mianowicie swój pogląd, że pożyczka jest rzeczywistą wymianą dóbr istniejących na przyszłe, jako »teorię wymiany«, bronionej przez Knies'a »teorii usług«. Ale całokształtu mojej teorii zysku nazwa ta, zdaniem mojem wcale nie określa, i wobec tego

ralnych narodów, a w niektórych osiągnęła nawet wpływ przeważający.

Bez pretensji do ułożenia dokładnego spisu, oprócz wymienionych wyżej pisarzy można w angielsko-amerykańskiej literaturze lat dziewięćdziesiątych wskazać takich jeszcze zwolenników mniej lub więcej zbliżonych poglądów, jak J. Bonar (Quarterly Journal of Economics, kwiecień i październik 1889, kwiecień 1890), W. Smart (Introduction to the theory of interest, Economic Journal, czerwiec 1892), E. B. Andrews (Institutes of Economics, Boston 1889) Lowrey (Annals of the American Academy, marzec 1892), Ely (Outlines of Economics, New-York 1893), Carver (Quarterly Journal of Economics, październik 1893), Taussig (Wages and Capital, New-York 1896), Irving Fisher (Economic Journal, grudzień 1896, czerwiec i grudzień 1897), Mixter (A forerunner of Böhm-Bawerk, Quart. Journal of Ec., styczeń 1897), Macfarlane (Value and distribution, Filadelfia 1899) w istocie zaś jeszcze Hobson (Evolution of modern Capitalism, Londyn 1894) i Handley (Economics, New-York 1896 i Annals of the American Academy, listopad 1893). Poczęści pokrewnym jest im też Giddings. Uważa on jednak za konieczne dla dopełnienia i pogłębienia teorii dołączyć do niej dodatek, w którym tłumaczy stałe pozostawienie w tyle podaży dóbr istniejących, czyli kapitału, przez to, że na tworzenie kapitału idą z reguły ostatnie, najprzekrzesze i najbardziej uciążliwe godziny pracy. Ten dodatek ciężaru pracy stanowi nadwyżkę kosztów gromadzenia kapitału — w porównaniu do kosztów wytwarzania dóbr, przeznaczonych do bezpośredniego spożycia — i tę to nadwyżkę kosztów wynagradzać ma zysk. Nie potrafiłem się jednak przekonać ani o istnieniu faktycznego podłoża tej teorii, ani

nie jest dlań odpowiednią... Jeszcze mniej charakterystyczna jest użyta przez Bortkiewicza (Schmollers Jahrbuch, t. XXXI, str. 1289) nazwa »teoria różnicy czasu«: w jakiejże teorii zysku »różnica czasu« nie odegrywa roli? Pomyślmy np. o teorii wstrzemięźliwości, albo teorii wyczekiwania (waiting-theory)! — Na skutek nieporozumienia Zaleski (Lehre vom Kapital, Kazań 1898) widzi cechę charakteryzującą treść mojej teorii w tytule »Positive Theorie des Kapitals«, który nadałem drugiej części mojej pracy, zawierającej pozytywny wykład teorii, dla odróżnienia jej od pierwszej części, krytyczno-historycznej.

o tem, aby te przypuszczenia, gdyby sprawdzały się, mogły oddziaływać na powstawanie zysku z kapitału¹⁾.

Nową treść i nowe ożywienie do dyskusji na te tematy dały w ostatnich czasach literaturze angielsko-amerykańskiej dwa znane dzieła, bardzo wybitne i duży wpływ wywierające: J. B. Clarka »The distribution of Wealth« (1899) i Irvinga Fishera »The rate of Interest« (1907). Pomimo, że Clark, pod wpływem swego wielokrotnie omawianego pojęcia »true capital«, nadał myślom swoim o pochodzeniu zysku z kapitału taką postać, że musimy je formalnie zaliczyć do teorii produkcyjności, i to motywowanych teorii produkcyjności, znaczna część jego rzeczowego tłumaczenia tak się zbliża do pomysłów teorii agia, że może w istocie dzieli go od niej raczej forma, niż treść. Na poważne podobieństwo części naszych poglądów wskazał raz sam Clark z uwagą, że »każda pełna teoria podziału musi przyjąć znaczną część mojej (Boehm-Bawerka) doktryny o czasie, jako pierwiastku ekonomicznym²⁾; to samo myśla o stosunku doktryn naszych inni, bliscy Clarkowi, teoretycy³⁾. Fisher zaś stoi tak dalece na gruncie teorii agia, że chce ją tylko doskonalić, nie zwalczać, i własną swą doktrynę, którą sam nazywa »Impatience-theory«, określa, jako zmienioną w kilku punktach »formę«, jako »odmianę« mojej teorii agia⁴⁾. Na innym miejscu już tak szczegółowo przed-

¹⁾ Patrz o tem szczegółową dyskusję, prowadzoną w Quarterly Journal of Economics od lipca 1889 do kwietnia 1891, w której oprócz Giddingsa brali udział jeszcze Bonar, autor pracy niniejszej, David J. Green i H. Bilgram.

²⁾ Political Science Quarterly vol. IV, Nr. 2, (Czerwiec 1889), str. 342.

³⁾ Tak np. Seager (Principles of Economics, 1913, str. 295 i nast.), nie znajduje »żadnej faktycznej sprzeczności« pomiędzy utrzymaną w tonie Clarka teorią produkcyjności a moją teorią »wymiany« (exchange-theory), a Brown w wydrukowanym niedawno, polemizującym z J. Fisherem, artykule »The marginal productivity versus the impatience theory of interest« (Quarterly Journal of Economics Vol. 27, Nr. 4, sierpień 1913) podaje teorię produkcyjności, która »w istocie swej« jest teorią Clarka, Carvera, Seagera, Taussiga, Cassela i innych, ale też faktycznie wykazuje daleko idącą materialną zgodność z moją doktryną, o której Brown mówi przy tej sposobności, że właściwie jest ona teorią produkcyjności (op. cit. str. 631). Patrz o tem niżej.

⁴⁾ Rate of Interest str. 87 i nast.; The impatience theory of interest, przedruk z czasopisma »Scientia« t. IX, 1911, str. 386.

stawilem teorię zysku Clarka i Fishera, tak wyraźnie, krytycznie oświeciłem wszystkie ich podobieństwa i różnice¹⁾, że tu mogę się chyba zadowolić prostym wymienieniem tych dwu ważnych prac. Na pokrewnym gruncie stojące prace i zdania autorów, piszących po angielsku, stały się obecnie tak liczne, że przerwę już wzmiarkowanie poszczególnych nazwisk i ograniczę się tylko do zacytowania jednego przeciwnika, który użala się na szerokie rozpowszechnienie teorii agia. W tych słowach, że »została przyjęta powszechniej, niż jakiegokolwiek inne wyjaśnienie faktów, którymi się zajmuje«, chociaż spotyka się też z krytyką licznych przeciwników i daleką jest od ostatecznego rozwiązania zagadnienia²⁾.

W literaturze włoskiej już dawno spotykamy u wielu pisarzy ślady tego samego kierunku myśli: a więc u Ricca-Salerno (teoria del valore, Rzym 1894), Montemartini (Il risparmio nell'economia pura, Medjolan 1896), Crocini (Di alcune questioni relative all'utilità finale, Turyn 1896), Graziani (Studi sulla teoria dell'interesse, Turyn 1898); następnie w istocie także u Barone (Sopra un libro di Wicksell, Giornale degli Economisti, listopad 1895 i Studi sulla distributione, tamże luty i marzec 1896), a po części przynajmniej u Benini (Il valore e la sua attribuzione ai beni strumentali, Bari 1893).

Pareto, którego ja raczejbym zaliczył do zwolenników teorii usług kapitału, przyjął jednak tyle myśli, po-

¹⁾ Odnosnie do Clarka patrz moja Posit. Theorie str. 101 i nast. i tamże (str. 102 w 1-ym odsyłaczu) cytowaną serję artykułów, odnosnie do Fischera, w szczególności ekskurs XII w tej samej pracy.

²⁾ Bilgram, Analysis of the nature of capital and interest, w Journal of Pol. Ec. t. XVI, Nr. 3, marzec 1908, str. 130. Porównaj też uwagi Farnama w jego przeglądzie »niemiecko-amerykańskich zasług w nauce ekonomii« w tomie 1-ym Schmollers Jubiläumswerk, rozdział XVIII, str. 16. — Bardzo gruntowne i pouczające roztrząsania przeróżnych subtelnych odcieni, które przy tej sposobności wyszły na jaw w najnowszej amerykańskiej literaturze, daje Fetter w artykule o »Interest theories, old and new« w t. IV, Nr. 1-ym, marzec 1914, w American Economic Review str. 68 i nast. Sam Fetter we własnej swej doktrynie, którą nazywa »capitalization theory«, staje na skrajnie skrzydle czysto »psychologicznych« (w przeciwstawieniu do »technologicznych«) teorii zysku — daleko poza stanowiskiem mojem i nawet I. Fishera.

krewnych teorii agia, że rodak jego Graziani oświadczył wprost, „e odnośnie do umotywowania zysku Pareto przyjął jej zasady¹⁾. W ostatnich czasach Natoli, pozostający wyraźnie pod wpływem Ricca-Salerno i Graziani²⁾, i, wraz z tymi wybitnymi pisarzami, uważający teorię agia za zasadniczo prawidłową i wymagającą tylko udoskonalenia, uczynił samodzielną próbę przedstawienia takiej ulepszonej teorii zysku (*Il principio del valore e la misura quantitativa del lavoro*, 1906). Najwybitniejszą jej cechą jest silne, ale, moim zdaniem, błędne zbliżenie do teorii pracy, jako jedyne źródła wartości, to też podane przez Natolego zmiany nie wydają mi się wcale udoskonaleniami³⁾.

W konserwatywnej przeważnie literaturze francuskiej wzmiankować należy wybitną monografię Landry »l'Intérêt du capital« 1904, która, pomimo znacznych różnic w poglądach, może być potraktowana, jako próba przedsta-

¹⁾ Studi, str. 51.

²⁾ Patrz też wyżej str. 86, ods. 1. Nie łatwo wyjaśnić, w jaki sposób trzech wyżej wymienieni pisarze zgodnie doszli do skierowanego przeciw mnie zarzutu, że wrzekomo oparłem swoją teorię zysku tylko na zachodzącej pomiędzy istniejącymi i przyszłymi dobrami »absolutnej« różnicy wartości (t. j. na różnicy szacunku wartości istniejących i przyszłych dóbr zachodzącej u tego samego osobnika), pomijając, czy lekceważąc równie istotne, jeśli nie istotniejsze jeszcze dla powstawania zysku »względne« różnice wartości t. j. różnice w stopniu niższego szacunku przyszłych dóbr, zachodzące u obu grup wymieniających, u robotników i u kapitalistów. Porównaj np. Natoli op. cit. str. 262—267, 311; Graziani, Studi str. 29 i nast.; Ricca-Salerno, Teoria del Valore str. 111. W istocie zapoznanie się z książką moją wykaże, że nie tylko najdobitniej podkreśliłem ten zasadniczy warunek każdej wymiany w mojej ogólnej teorii wymiany (Pos. Theorie, wyd. 3-e, str. 358 i nast.), ale i w dalszym ciągu mojej teorii zysku równie dobitnie przeprowadziłem specjalne zastosowanie go do wypadku wymiany dóbr istniejących na przyszłe i do powstawania zysku: patrz moją Pos. Theorie, wyd. 3-e, str. 482 i nast., 518 i nast. i 538 i nast. Zdaje mi się szczególnie, że przy tej sposobności zupełnie wystarczająco wyraźnie wykazałem, że nie posiadający żadnej własności najemni robotnicy w wyższym stopniu, niż kapitałiści oddają pierwszeństwo dobrom już istniejącym. Czy na dnie tego jednomyślnego i w tak podobnych słowach wyrażonego zarzutu nie leży przypadkiem chwilowe przeoczenie Ricca-Salerno, które, pod przykrywką poważnego autorytetu tego pisarza, bez dalszego badania przeszło do pism innych autorów, wyróżniających się zresztą starannością i dokładnością?

wienia systematycznie i w poprawnym sformułowaniu pewnych myśli, na których opiera się również i teoria agia. O rozmiarach odchylen i zgodności wypowiedziałem się już w szczegółowej krytycznej ocenie, jaką poświęciłem teorii Landry w innej części pracy niniejszej (Exkurs XIII). Jeszcze bliższym myślom naszym, niż Landry, wydaje się Aftalion⁴⁾.

Z literatury holenderskiej wymienię przede wszystkim N. G. Piersona, którego klasyczny »Leerboek der Staathuishoudkunde« (wyd. 3-e staraniem prof. Verrijn Stuarta, Harlem 1912—13) głęboki wpływ wywiera dziś jeszcze na stan poglądów teoretycznych; wypowiada się on jeszcze na ten temat w dawniejszym artykule w »de Economist« (marzec 1889, str. 193 i nast.).

Omawiane tu poglądy znalazły też szerokie rozpoznanie w literaturze skandynawskiej. Najszczegółowiej i najsamodzielniej potraktował teorię zysku Knut Wicksell⁵⁾. Prócz niego można uważać za zwolenników pokrewnych poglądów: ze szwedów: hr. Hamiltona, Davidsohna, Lefflera i Brocka⁶⁾; z norwegów: Aschehouga, Morgenstierne'a, Jaegera, Aaruma, Einarsena; w Danii: Westergaarda, Falbe-Hansena i Bircka; a może nawet i wrogięgo początkowo Scharlinga⁷⁾ w późniejszych jego pracach.

⁴⁾ Le trois notions de productivité et les revenus; Revue d'Econ. Politique 1911.

⁵⁾ W obu znanych i cennych monografiach »Über Wert, Kapital und Rente«, Jena 1893, i »Finanztheoretische Untersuchungen« Jena 1896; następnie zaś w wydanych po szwedzku »Vorlesungen über Nationalökonomie« Lund 1901, (niemieckie wydanie Jena 1913).

⁶⁾ Do pewnego stopnia może i Cassela z jego zwolennikami; jednak formalnie muszę Cassela zaliczyć stanowczo do przeciwników teorii agia, a do zwolenników teorii usług kapitału i wstrzemięźliwości — wykazałem to szczegółowo w Exkursie XIII; tyle jednak mamy, i tak ważnych, wspólnych rzeczowych twierdzeń, że nie dziwiłbym się, gdyby ktoś uważał jego teorię za szczególną odmianę moich poglądów. Porówn. też Bonara obiektywne i pełne treści omówienie teorii Cassela w Economie Journal, Czerwiec 1904, str. 280.

⁷⁾ Ponieważ, niestety, nie władam językami skandynawskimi, musiałem w przeglądzie powyższym opierać się głównie na informacjach prywatnych, które zawdzięczam uprzejmości panów profesorów Wicksella w Lundzie i Jaegera w Chrystianji.

Literatura niemiecka, którą wrogi teoretycznemu rozwojowi duch szkoły historycznej wogóle długo powstrzymywał od udziału we współczesnym rozwoju teorii, a w szczególności ostry opór stawiał teoretycznym nowościom, wychodzącym ze szkoły austriackiej, bierze dzięki temu tylko nieznaczny stosunkowo udział w najnowszym okresie rozwoju teorii zysku.

Ze starszych nieco oryginalnych prac literatury niemieckiej podobnego kierunku chciałbym szczególnie podkreślić prawie jednocześnie z moją »Positive Theorie« wydane dzieło Effertza (Arbeit und Boden, Berlin 1889), oraz głęboko przemyślane dzieło szwajcara Jerzego Sulzera (Die wirtschaftlichen Grundgesetze in der Gegenwart-phase ihrer Entwicklung, Zurych 1895). Effertz wyraża myśl, iż zysk zawdzięcza swe istnienie różnicy czasu, w tej swoistej formie: »pierwiastkiem wartości zamiennej« jest też »wiek« pracy i ziemi, a »zysk jest wynagrodzeniem za stopień wieku pracy i ziemi« (str. 190 i nast., 198 i nast., 278). Konieczność płacenia »wyższej ceny« za »wiek« pierwiastków produkcji tłumaczy się jedynie w ten bardzo niewystarczający, jeśli nie wręcz nietrafny sposób, że stara praca i stara ziemia są »rzadsze«, niż obecna praca i obecna ziemia (str. 190, 195, 198; porówn. też jeszcze 218, 221, 354). Zupełny brak cytatu z literatury nie pozwala stwierdzić, czy i w jakim stopniu wydane w 1889-ym roku dzieło Effertza znajduje się pod wpływem licznych dawnych sformułowań tych samych podstawowych myśli. — Sposób ujmowania rzeczy Sulzera stawia go, moim zdaniem, pomiędzy teorią Jevonsa i moją.

Wyżej już mówiłem o zbliżonym do nas w istocie, choć nie wolnem od wahań, traktowaniu zagadnienia przez nestora teoretyków niemieckich, Adolfa Wagnera¹⁾. Ujęcie zagadnienia zysku, jakie mu nadał Philippovich w ostatniemu wydaniu swego »Grundriss« — najbardziej rozpowszechnionym obecnie i największym wpływem się cieszącym podręczniku niemieckiej literatury — wydaje mi się niezupełnie wprawdzie zgodne z wyjaśnieniami teorii agia, ale bardzo do nich zbliżone²⁾.

¹⁾ T. I, str. 314, odsyłacz.

²⁾ Grundriss der polit. Economie, tom pierwszy, wyd. 10-e, Tubinga 1913, § 107—110.

Na pokolenie najmłodsze, które się nie może zadowolić brakiem teorii poprzedniego kierunku, oddziaływują obecnie myśli, rozwinięte w teorii aggia, jak silny zaczyn; zbudzone na nowo dążenia ku utworzeniu teorii spotykają je na swej drodze i muszą się z niemi rozprawić. Produktem tego usiłowania jest z jednej strony mnóstwo drobnych przeważnie prac i artykułów polemicznej treści, w których nieraz odczuć się daje, że pochodzą jeszcze z teoretycznych seminarjów; dowodem zaś, że zaczyn ten podziałal już na rozwój pozytywny doktryny, służyć może wielkie zbiorowe dzieło, w którym niedawno, na cześć Gustawa Schmollera skreślono obraz »Rozwoju niemieckiej nauki ekonomicznej w 19 wieku«¹⁾.

Nieco odrębne stanowisko zajmują Oswalt²⁾ i Schumpeter³⁾ ze swemi szczegółowo rozwiniętymi teorjami, które wprawdzie znaczną część podstaw rozumowania mają wspólną z teorią aggia, ale też bardzo znacznie się od niej różnią w innych częściach. O teorii Oswalta, którą wskutek pewnych wtętoń, przez niego samego uważanych tylko za odcień w formułowaniu zagadnienia, muszę traktować jako szczególną odmianę teorii usług kapitału, mówić będę szczegółowo w związku z odnośnymi poglądami innych autorów. Schumpeter, przy daleko idącej rzeczowej zgodności, tem się głównie różni od mego ujęcia, że w zysku z kapitału nie widzi jak ja, zjawiska statycznego, lecz dynamiczne, jedynie z rozwoju wynikające. Szczegółowe przedstawienie tej teorii, wraz z przyczynami, które mi nie pozwalają się z niem zgodzić, podałem w krótkości gdzieś indziej, i do tej to pracy pozwolę sobie teraz odesłać ciekawego czytelnika⁴⁾.

* * *

¹⁾ Porówn. szczególnie odnośne artykuły o doktrynie kapitału (Spiethoff), zysku (Wuttke) i płacy roboczej (Bernhard).

²⁾ »Beiträge zur Theorie des Kapitalzinsens« w Zeitschrift für Sozialwissenschaft N. F. Tom I, 1910.

³⁾ Theorie der wirtschaftlichen Entwicklung. Leipzig 1912.

⁴⁾ Patrz artykuł mój: »Eine dynamische Theorie des Kapitalzinsens« w Zeitschrift für Volkswirtschaft, Sozialpolitik und Verwaltung, Bd. XXII, 1913, str. 1 i nast.; następnie odpowiedź Schumpetera tamże, str. 599 i nast., wreszcie moje końcowe uwagi str. 640 i nast.

Znacznie mniejszy wpływ, niż teoria aggia, wywarły niektóre inne, w ostatnich czasach powstałe, próby wyjaśnienia, nie dające się właściwie zaliczyć do żadnej z poprzedzających kategorii, które muszą tu choć w paru słowach opisać, jako »nowe« teorie zysku.

Bardzo odrębną, lecz też bardzo mało wyjaśniającą wydaje mi się teoria Georgievsky'ego, który zysk z kapitału i wogóle wszelkie rodzaje »czystego dochodu« uważa za wynagrodzenie za »ogólne koszty gospodarki społecznej« w przeciwstawieniu do specjalnych kosztów konkretnej produkcji¹⁾. Dowody, przemawiające przeciwko takiemu ujęciu, są tak oczywiste, że zbyteczna nadawać im postać krytycznego dowodzenia.

Podobnie szczególne i trudne do zaliczenia do którejś z wielkich grup teorii wytłumaczenie dał Emilio Cossa. Kapitalista (?), »wkładając w produkcję pewną daną kombinację dóbr narzędzi«, dopomaga do wytworzenia za pomocą tej kombinacji, »mniej użytecznej« dla bezpośrednich potrzeb spożywców, »innych, zgóry określonych, form«, użyteczniejszych dla tych potrzeb, i w ten sposób otrzymuje »nadwartość«, która dostaje mu się, jako zysk z kapitału (profitto)²⁾. Nasuwają się tu dwa pytania; czy to istotnie »kapitalista«, a nie przedsiębiorca raczej wkłada w przedsięwzięcie produkcyjne kombinacje, a następnie, jakiej właściwie teorii zwolennikiem jest Cossa w stosunku do wartości dóbr-narzędzi. Gdyby, jak się zdaje, chciał wprowadzać tę wartość z użyteczności, choćby malej, jaką dobra-narzędzia mają dla »bezpośrednich potrzeb« spożywców, to należy zwrócić uwagę, że dla potrzeb bezpośrednich dobra-narzędzia w pierwotnym swym stanie nie mają nietylko malej, ale wogóle żadnej użyteczności (plug dla zaspokojenia uczucia głodu!) i że wobec tego różnica wartości między nieużytecznym narzędziem produkcji, a użytecznym dobrem, nadającym się do natychmiastowego spożycia, gdyby z tego źródła miała pochodzić, musiałaby być o wiele większą, niż stopa procentowa zysku. Gdyby zaś Cossa wyprowadzał wartość dóbr produkcyj-

¹⁾ Nouvelle théorie sur l'origine des revenus nets (Extrait du Cours d'économie politique, 1896, 2. édit. t. II, livre 2).

²⁾ »L'inesistenza di plus-valore nel lavoro e la fonte del profitto« w Giornale degli Economisti, t. XXXII, Serja 2, Styczeń 1907.

nych z pośredniej użyteczności ich dla zaspokojenia potrzeb, co by było zrozumiałem dla zwolennika teorii użyteczności krańcowej, którym Cossa jest przecież (str. 15), to znowu teoria jego nie zawiera ani jednego wiersza, któryby wyjaśniał, dlaczego użyteczność dóbr-narzędzi pozostaje mniejszą od użyteczności i wartości produktu: właściwie główna rzecz pozostaje niewyjaśniona.

Teoria, w której Otto Conrad chce wyjaśnić zysk z kapitału za pomocą korzystnego dla kapitalistów »monopolu«¹⁾, pochodzi, zdaniem moim i innych²⁾ od starego momentu »ograniczonego kapitału«, grającego pewną rolę w każdej teorii zysku, i stara się wyprowadzić zeń zysk z kapitału, za pomocą zbyt łatwych wniosków, z pominięciem wszystkich istotnych trudności zagadnienia.

Zapewne i Liefmann uważa, że jego dążenia do odnowienia całokształtu teorii ekonomicznych dały nowe i godne uwagi wyjaśnienie zysku z kapitału, które, zbliżając się pod tym względem do teorii Emilia Cossy, szuka punktu oparcia w szacunku wartości, dokonanym przez spożywcę³⁾. Nie uważam za stosowne zagłębiać się w bliższe szczegóły. Z jednej strony bowiem nie mogę, niestety, podzielić przekonania autora o epokowym znaczeniu jego konstrukcji teoretycznych, z drugiej zaś sądzę, iż wyluskanie jego uwag o problemacie zysku ze środowiska teorii, w której prawie każde słowo wymaga skorygowania, jest zbyt niewdzięcznym zadaniem, bym mógł je narzucić swoim czytelnikom.

Tak samo bezcelowem jest dla mnie szczegółowsze badanie pomysłów Silvia Gesella, który w licznych swych pracach, propagujących poglądy neo-fizjokratyczne, podaje rodzaj naiwnej teorii wyzysku, przedstawiającej zysk, jako wyzysk, uprawiany przez posiadaczy pieniędzy wobec posiadaczy towarów. Do tego ujęcia, opierającego się o wyobrażenia, które od czasów Hume'a powinny być uznane za

¹⁾ »Lohn und Rente« Lipsk i Wiedeń 1909; przedtem już w artykule »Kapitalzins« w zeszycie marcowym Conrads Jahrbücher, 3. F., t. 35, str. 325 i nast.

²⁾ Np. Verrijn Stuart w De Economist 1908, str. 476 i nast., i Oswalt, Beiträge zur Theorie des Kapitalzinses, str. 9.

³⁾ Ertrag und Einkommen, Jena 1907, str. 12 i nast.; Die Entstehung des Preises aus subjektiven Wertschätzungen. Grundlagen einer neuen Preistheorie (Archiv für Sozialwissenschaft, t. XXXIV).

niewystarczające, zbliża się też, zdaniem mojem, i Bilgram; w swem ostatnio (1914) wydanem dziele »The cause of business depressions« rozwija on »monopolistyczną teorię zysku«; przeciwstawia on sobie ostro kapitał i pieniądź, twierdzi, iż właściwy kapitał istnieje wszędzie w nadmiarze, natomiast brak pieniędzy obiegowych, wywołany przez monopol, jest, jego zdaniem, odpowiedzialnym za to, że posiadacze pieniędzy, a pośrednio i posiadacze kapitałów stale uzyskują »niezasłużone« (unearned) dochody (§ 236 i nast., szczególnie 261 i 266)¹⁾.

¹⁾ W czasie drukowania pracy niniejszej wpadła mi jeszcze w rękę Hoaga: Theory of interest, New-York, 1914, którą autor też uważa za nową teorię zysku i kuje dla niej nazwę »nominal value theory« (Wstęp str. IX i X). Sądzę, że w treści swej teoria ta bardzo jest pokrewną teorjom Carvera i Fishera. Różni się ona od swych wzorów głównie odrębnym ujęciem istoty rdzennego kapitału (principal-Hauptstamm) i związaniem z tem wprowadzeniem pojęcia »nominal value«. Pod wyrażeniem »rdzenny kapitał« należy rozumieć dwie w pewnym sensie równe masy dóbr w rozmaitych momentach czasu. Równość ta nie jest jednak równością gatunku i liczby, jakbym jakoby błędnie sądził, tylko równością w wartości, ale w wartości osiąganey na tym samym rynku w tym samym czasie, a w wartości, osiąganey każdorazowo przez obie porównywane masy dóbr na (zmieniających się) rynkach właściwych im momentów czasu; tę wartość, osiągniętą na zmieniającym się rynku nazywa Hoag »nominal value«. Stanowiące »rdzenny kapitał« obecne i przyszłe sumy dóbr muszą więc być tyle samo warte, każda na rynku swego czasu, albo też mieć tę samą »nominalną wartość« (str. 7 i nast. i 17 i nast.). Autor ujęcie to uważa za klucz do prawidłowego wyjaśnienia zysku. Ja się obawiam, przeciwnie, że wzmagą ono tylko niebezpieczeństwo większego zaniechania. Bowiem stan faktyczny, z którego zysk wynika, jest to właśnie nierówność wartości, jaką istniejące i przyszłe dobra osiągają na tym rynku, na którym się jedne na drugie wymieniają. Mogę tedy uważać jedynie za zaciemnianie prawidłowej zasady tłumaczenia, jeśli się niezbędną dla powstawania zysku nierówność wartości usiłuje przemienić we wrzekomo niezbędną równość wartości, chociażby się to robiło tylko dyalektycznie, przez stworzenie nowej nomenklatury. Zresztą w praktyce wcale się nie zdarza, by dawane i otrzymywane z powrotem, jako rdzenny kapitał, masy dóbr miały być tyleż warte, każda na rynku swego czasu. Jeśli wyobrazimy sobie pożyczkę nie w pieniądzach, a w innych zamiennych dobrach, np. w zbożu, czy bawelnie, czy w możliwych do zastąpienia papierach wartościowych, albo wreszcie w takich rodzajach pieniędzy, których kurs w stosunku do obiegowej monety może ulec zmianie, jak obce waluty, lub pieniądze papierowe, to w swoim czasie zwrócony rdzenny kapitał może

III.

Wśród licznych poglądów, które w dawnych czasach stawały ze sobą do walki, niektóre nie zostały po sobie żadnego śladu w ostatnim okresie badań, niektóre zaś tylko bardzo nieznaczny. Los ten spotkał przedewszystkiem takie grupy teorii, które zbyt już naiwnie brały się do roztrząsania obchodzącego nas zagadnienia, lub przeciwnie, odznaczały się szczególnem, wręcz sztucznem, wyrafinowaniem.

nawet na ten swój czas mieć całkiem inną wartość, niż ta, którą miał pożyczony główny zasób na rynku swego czasokresu. — Zresztą wspomnieć jeszcze należy, że Hoag włączył swoją teorię zysku do teorii wartości i ceny, zbudowanej na zasadzie »final disutility«, że zysk nazywa tam ceną za »rzecz«, której nadaje nazwę »zadatk« (advance) (str. 49), a która polega na »wymianie usług wcześniejszych na późniejsze« i równoznaczną jest z pojęciem »investment« (str. 104) lub »waiting« (str. 157). »Zadatkowanie« wywołuje »koszt«, polegające na wyrzeczeniu się natychmiastowego spożycia zadatkowanych dóbr, czy usług, które się kiedyś za to otrzyma (str. 69); punkt przecięcia »kosztów« i »wartości« zaofiarowanego zadatku określa wysokość ceny, płaconej za przedmiot »zadatek«, czyli wysokość zysku. Myśli te, jak już zaznaczyłem, zdają mi się stać najbliżej rozwiniętej przez Carvera odmiany teorii »wstrzemięźliwości, czy raczej teorii waiting« (patrz jeszcze niżej), nie zyskując dzięki nowej nomenklaturze ani na jasności, ani na prawidłowości. Osobiście żałuję mocno, że Hoag tyle się zajmuje swoją »Positive Theorie«, nie zaznajamiając się wcale z istniejącym już od kilku lat nowym wydaniem tej pracy i załączonemi do niego ekskursami. Sądzę, że napewno inaczejby napisał niektóre części swojej książki, szczególnie te, w których omawia rolę wzmoczonej wydajności pośrednich procesów produkcji w mojej teorii zysku, gdyby mu były znane moje najnowsze, właśnie z powodu takich zarzutów pisane komentarze do tego przedmiotu. Szczególnie wyraźnie też tu widać, że nowe pojęcie »nominal value« i dla samego autora zawiera niebezpieczeństwo zamętu. Pod jego wpływem patrzy on stale pod kątem widzenia wartości na czysto techniczny stosunek różnej wydajności krótszych i dłuższych procesów produkcji; i przy takim sposobie patrzenia dochodzi do tego, że »prawdziwą przyczynę« większej produkcyjności dłuższego okresu produkcji dostrzega w tem, że istniejąca praca, włożona w dłuższe procesy, może wytworzyć »premjum«, polegające na nadwyżce nominal value (str. 126, 129, 145—148); wydaje mi się to próką wprowadzenia technicznej produkcyjności z jakiejś produkcyjności wartości — a przecież nikt chyba wątpić nie może, że logicznie usprawiedliwione wyjaśnienie musi tu iść właśnie odwrotną drogą, co jednak Hoag znowu ze swego stanowiska uważa za »błędne koło«! (str. 129).

Z pierwszej przyczyny zapadły w niepamięć »teorie bezbarwne¹⁾, »naiwne« teorie produkcyjności, i teorie »fruktyfikacji« Turgota i Henry George'a, z drugiej — teorie w rodzaju teorii Schellwiena.

Mogło się wydawać przez długi czas, że ciekawa teoria usług kapitału jest w stanie pozyskać tylko nielicznych zwolenników. Na najwybitniejszym jej przedstawicielu, Karolu Mengerze zatrzymał się jej rozwój. Wprawdzie on sam jeszcze później w nadzwyczaj cennej pracy »Zur Theorie des Kapitals«²⁾ poświęcił gruntowne i owocne badania pojęciu kapitału, nie rozciągnął ich jednak na sporne kwestje zagadnienia zysku. Walras, który już przedtem dał sformułowanie teorii usług kapitału, przypominające J. B. Say'a, nie wyszedł po za nie³⁾. Z nowszych prac jasno i stanowczo stojących na stanowisku teorii usług kapitału (dorywcze, eklektyczne przytakiwania jej spotykają się dość często⁴⁾, znaną mi jest w całym długim

¹⁾ Z teorii najnowszych mam ochotę określić, jako bezbarwną, teorię zysku Lehra (Grundbegriffe und Grundlagen der Volkswirtschaft, Lipsk 1893, rozdział VII, § 6); przynajmniej nie udało mi się w jej wielomównych wywodach o zagadnieniu zysku odnaleźć jakiegokolwiek charakterystycznego zabarwienia. Lehr nie zgadza się wprowadzić z żadną z istniejących teorii zysku, ale ze swojej strony daje tylko twierdzenia, zawierające powołanie się na faktyczny stan rzeczy, albo na stosowność, sprawiedliwość i słuszność pewnych faktów, albo wreszcie na pewne całkiem ogólnikowe motywy, (jak np. motyw Smitha, że gdyby nie wzgląd na zyski, niktby nie gromadził kapitałów, nie zastosowywał ich w produkcji i nikomu nie pożyczal (str. 332), ale, mojem zdaniem, nie dające żadnego wyjaśnienia.

²⁾ Conrads Jahrbücher, N. F. t. XVII (1888).

³⁾ Eléments d'Economie politique pure, 1-e wyd., Lausanne 1874, 2-e wyd., Lausanne 1889. Walras uważa zysk z kapitału za wynagrodzenie »service producteur« kapitału, która jest szczególnym, niematerialnym dobrem (np. str. 201, 211, i XIII w drugim wydaniu). Do ujęcia Walrasa skłania się też w głównych rysach i Pareto (Cours d'Economie politique, I, 40 i nast.), ale nie bez kilku dorywczych wzmianek o różnicy wartości pomiędzy »istniejącymi a przyszłymi dobrami« (np. str. 50).

⁴⁾ Np. u Conrada, Grundriss zum Studium der politischen Oekonomie, I Teil, Jena 1896, § 67; u Dietzela w artykule w Göttinger gelehrte Anzeigen, który niżej jeszcze omawiać będziemy u Diehla, Proudhon, seine Lehre und sein Leben, II. Abth. Jena 1890, str. 204 i nast.; u M. Blocka, Progrès de la science économique depuis Adam Smith, Paryż 1890, II, Chap. XXIX; u Ch. Gi-

stosunkowo, okresie od 1884 do 1900 tylko jedna, w rosyjskim języku napisana »Nauka o kapitale« Władysława Zaleskiego¹⁾. Ponieważ znajomość moja tego dzieła ogranicza się do kilku ustnych streszczeń, mogę, niestety, jedynie zaznaczyć fakt, że Zaleski wyraźnie opowiada się za teorią usług kapitału, oraz usiłuje znaleźć dla niej podstawę przyrodniczą w doktrynie »o jedności materji i zachowaniu energii«. Jak dalece ta nowość oddala teorię usług kapitału Zaleskiego od Mengera, a zbliża ją do motywowanej teorii produkcyjności — nie umiem zupełnie osądzić.

Mniej więcej od r. 1900 wzrasta liczba pisarzy, którym odpowiada bieg myśli, czy może tylko zwroty i wyrażenia teorii usług kapitału. Wśród najnowszych zwolenników tego »tak naturalnego ujęcia, że zysk jest płaconym za korzystanie z kapitału«, jak powiada jeden z jego przedstawicieli, wymienić możemy na przykład Cassela (Nature and necessity of interest, 1903), Margolina (Kapital und Kapitalzins, 1904), Berolzheimer'a (»Das Vermögen« w Annalen des deutschen Reiches, r. 1904, § 11, str. 595 i nast.), Brentana (Theorie der Bedürfnisse, 1908, str. 11) i Oswalta (»Vorträge über wirtschaftliche Grundbegriffe« 1905, a szczególnie »Beiträge zur Theorie des Kapitalzinses« w Zeitschrift für Sozialwissenschaft, N. F. t. I, 1910); może trzeba tu zaliczyć i Komorzyńskiego z jego nieco niejasną teorią »usługi bogactwa« (Die nat.-ökon. Lehre vom Kredit, 1903 str. 26 i nast.).

Większość tych wynurzeń tak jest w motywacji swej mało oryginalna — choć wiele z nich przybiera ton wielce pretensjonalny — że szczegółowsze rozpatrywanie ich nie przyniosłoby odpowiedniej naukowej korzyści. Najbardziej interesujące z teoretycznego punktu widzenia są dla mnie warjanty dane przez Cassela i Oswalta. Wypowiedziałem się już na innem miejscu²⁾ o doktrynie pierwszego, również oryginalnie, jak niewystarczająco łączącej w sobie pierwiastki teorii usług kapitału i teorii wstrzemięźliwości.

de'a, Principes d'Economie politique, wyd. 5, Paryż 1896, str. 451, i u wielu innych.

¹⁾ Kazań 1898.

²⁾ W ekskursie XIII do 3-go wyd. mojej Positive Theorie, str. 438—450.

Tutaj tedy umieszczę tylko parę krytycznych uwag o sobie, w jaki O s w a l t przedstawia teorię usług kapitału¹⁾.

O s w a l t z góry uważa zagadnienie zysku za całkiem »łatwe« (103) i »proste« (2); rozwiązane jest ono już od dawna (445). Nie trzeba się dać odwieść od »tak naturalnego ujęcia«, że zysk płacony jest za korzystanie z kapitału (26), przez różne »niepotrzebnie przytaczane« i »sztucznie skonstruowane« wątpliwości i trudności »scholastycznego« pochodzenia (2). Do tych niepotrzebnych scholastycznych trudności zalicza O s w a l t przede wszystkim moje wątpliwości co do istnienia i rzeczywistości samodzielnej usługi kapitału. Wywarły one jednak na niego pewien wpływ. Widać to z tego chociażby, że niektórym moim twierdzeniom, skierowanym przeciwko teorii usług kapitału, nie może odmówić słuszności (na str. 98 na przykład znajdujemy wyraźne przyznanie, że »usługa nie istnieje obok samego dobra, jako coś konkretnego, rzeczowego«). Najlepiej jednak uwidacznia się to w ogromnej ostrożności i skromności, z jaką O s w a l t występuje ze swem pojęciem usługi kapitału: z góry już rozbraja wszelką krytykę całkowitą niewinnością i bezpretensjonalnością hipotez teoretycznych, które stanowią jego punkt wyjścia. »Usługa«, o której chce mówić, nie jest bynajmniej »faktem, powołanym do wyjaśnienia zysku«, nie jest też traktowaną, jako »przyczyna« zysku — jest to tylko »nazwa«, służąca mu do »określenia« pewnych faktycznych zdarzeń, i to nazwa, nic nie przesądzająca, odnosząca się tylko do formułowania zagadnienia, nie do jego rozwiązania. Zagadnieniem jest, dla czego się płaci cenę, nazwaną zyskiem, za coś, tak, czy inaczej, określonego; a czy się to coś określi z nim, jako usługę kapitału, czyze mną, jako nadwyżkę wartości dóbr obecnych wobec przyszłych — to jest to nic nie przesądzające sformułowanie (15).

Na następnym stopniu swoich wywodów podkreśla O s w a l t jeszcze mocniej całkowitą bezpretensjonalność swojego pojęcia usługi. Na str. 88 i nast. przeciwstawia sobie dwie całkiem różne i do całkiem różnych konsekwencji wiodące możliwości co do postępowania osób, posiadających kapitały. Posiadanie »od początku istniejącego« zapasu dóbr, czyli ka-

¹⁾ Podawane niżej liczby stronic odnoszą się, jeśli niema wyrażonej innej wskazówki, zawsze do O s w a l t a »Beiträge«, t. j. do rocznika 1910 Zeitschrift für Sozialwissenschaft.

pitału, jak to O s w a l t w zupełnej zgodzie ze mną wskazuje, jest niezbędnem dla zastosowania wydajniejszych technicznie, potrzebujących dłuższego okresu czasu czyli kapitalistycznych metod produkcji. Zapas ten w ciągu trwania kapitalistycznego procesu produkcji musi być, oczywiście i naturalnie, spożyty. Może on być spożyty i niezastąpiony, — w takim razie dawny jego posiadacz w końcu odnośnego okresu produkcji zostaje pozbawionym kapitału i nie może już w dalszym ciągu stale stosować wydajnych, kapitalistycznych metod produkcji wobec braku niezbędnego zapasu początkowego; albo też, w miarę spożywania dóbr, stanowiących kapitał, mogą być wytwarzane dobra zastępujące zużyte, — wtedy kapitał, przy stałej zmianie dóbr, z których się składa, utrzymywać się będzie ilościowo stale w tym samym stanie; w tym wypadku oczywiście mogą kapitalistyczne metody ze wszystkimi swymi korzyściami być stosowane i po upływie pierwszego okresu produkcji i to stosowanie może zachodzić stale w dalszym ciągu. Tutaj, bardzo przezornie otwiera O s w a l t furkę dla wprowadzenia usługi kapitału: powiada, że »wyraża się« zazwyczaj ten drugi wypadek w ten sposób, że kapitał nie zostaje »spożyty«, tylko »użyty« (oba te wyrazy umieszcza sam O s w a l t w cudzysłowie). Ale O s w a l t nie zwleka z zaopatrzeniem tego »sposobu wyrażania się« w zastrzeżenia, świadczące o jeszcze większej ostrożności. Jasne jest, że gdy mówimy o używaniu kapitału, to jest to tylko »przenośnią«. Takie »przenośnie« mogą ostatecznie być używane »ze względu na ułatwienie wysłowienia«, z zastrzeżeniem, że się uprzednio porozumiano dokładnie, »co ono ma znaczyć b e z p r z e n o ś n i«. I tu, z całą możliwą wyrazistością i prawidłowością przyznaje O s w a l t, że dwie osoby, z których jedna kapitał swój »spożywa«, a druga »tylko go używa«, w istocie postępują z tym swoim kapitałem j e d n a k o w o: »przeciwnie, obie w ten sam sposób, wolniej tylko, lub prędzej, zależnie od jego jakości, spożyły go, a więc zniweczyły. Różnica w ich postępowaniu dotyczy raczej innych dóbr, tych, któreby one mogły spożyć« (albo, jak to O s w a l t wykazuje, jeszcze ściślej, pierwiastków dóbr, z których się te inne dobra składają) »... i polega na tem, że jedna istotnie spożywa te inne dobra, a druga przez pewien czas ich nie spożywa«. W praktyce różnica polega na tem, że po zużyciu pierwotnego dobra,

stanowiącego kapitał, jedna nie posiada żadnego kapitału, druga zaś posiada kapitał, dokładnie równający się zużyciu. Na podstawie tej różnicy w praktycznych wynikach przenośności (podkreślenie Oswalta!) oznacza, że druga osoba kapitał swój »tylko użyła«. Rzeczą gustu jest, czy się tę przenośność uzna za odpowiednią, czy też nie; istotnej zaś różnicy pomiędzy dwoma stanami rzeczy nikt chyba nie poda w wątpliwość.

Dotychczas wszystko jest pozornie w zupełnym porządku: I ja się oczywiście zgadzam, że zachodzi znaczna istotna różnica pomiędzy tymi dwoma stanami rzeczy. Oswalt zupełnie prawidłowo wykazał, na czym ona polega, »mówiąc bez przenośności: w obydwu wypadkach kapitał zostaje w równej mierze »zużytym, a więc zniweczonym«; różnica dotyczy tylko stosunku do całkiem innych dóbr, czy pierwiastków dóbr. Wyraźnie przyznaje autor, że zwrot retoryczny o »użyciu« kapitału nie odpowiada istocie rzeczy, a jest tylko »przenośnią«, służącą dla »ułatwienia wysłowienia«. Czyjegokolwiek zaś »gustu«, choć go nie dziele, nie mogę krytykować z punktu widzenia teoretyka ekonomii politycznej.

Ale po tym wstępie, któremu nie zarzucić nie można zaczyna Oswalt niepostrzeżenie wymagać coraz to większych względów dla swej usługi kapitału. Przy systematycznym czytaniu tych wywodów nie bez pewnej uciechy zauważyć można, jak cudzysłowy, otaczające na razie zawsze obrazowe »używanie« kapitału, stają się coraz rzadsze, a wreszcie nikną całkowicie i dalej zaś, krok za krokiem, »przenośnia«, »nazwa«, czy zgola »wyobrażenie pomocnicze«, jak mówi Oswalt początkowo (26), wyrasta na rzeczywistość, na podmiot konkretny. Wkrótce brzmi to już w ten sposób, że »widzieliśmy« (90) albo »ustalonem zostało« (103), że usługa kapitału jest czemś użytecznym, następnie zaś, że wskutek tej użyteczności i względnej rzadkości jest czemś wartościowym — przez co mimowoli, analogicznie do kartezjańskiego »*Cogito ergo sum*« podsuwa się czytelnikowi myśl, że coś, co jest użytecznym i wartościowym, musi przedewszystkiem być, a więc istnieć realnie. Następnie obrazowe »wyobrażenie pomocnicze« zmienia się w coś tak konkretnego, jak »środek produkcji« (10) i to, jak teraz Oswalt najściślej nam powiada, elementarny środek produkcji, trzeci »pier-

wiastek dóbr« (10, 151), albo »dobro elementarne« (244, 439), posiadające samodzielne istnienie obok pracy i usługi ziemi. Zadziwia szczególnie to ostatnie, tak pewnie występujące twierdzenie, gdyż Oswalt wyraźnie określił, jako »całkiem prawidłowy«, pogląd przeciwny, między innymi i przeze mnie wypowiedziany, że istnieją tylko dwa pierwiastki dóbr, a mianowicie praca i usługa ziemi, podczas gdy kapitał jest tylko półfabrykatem przyrody i pracy, a w związku z tem przyjął i twierdzenie, »że cały wynik gospodarki sprowadzić się daje ostatecznie do tych dwóch pierwiastków« (91). Oswalt usiłuje wprowadzić zbudować sobie przejście do odrzucenia tego »twierdzenia«, oświadczając, iż jest ono »jałowem zarówno praktycznie, jak teoretycznie«. Ale, gdyby nawet tak było, czyż upoważnia to do twierdzenia rzeczy, sprzecznych z prawdą, nawet z prawdą »jałową? A zresztą: czy właśnie ta staranność, z jaką Oswalt usiłuje się od tego twierdzenia uwolnić i odsunąć, nie dowodzi, że przeszkadza mu ono najwyraźniej w jego teoretycznej budowie, że więc nie jest tak całkowicie bez znaczenia dla teoretycznego ujęcia naszego problemu, innemi słowy, że nie pozbawione jest tego, co nazywamy teoretyczną owocnością? Idące potem uzasadnienie przez Oswalta praktycznej bezowocności — a mianowicie, że w praktycznym życiu nie możnaby na podstawie tego twierdzenia odmówić wypłaty zysku — nosi tak wybitne znamiona *petitio principii*, próby zmonopolizowania istnienia zysku, jako dowodu na korzyść pewnej określonej, przez niego samego podtrzymywanej teorii zysku, że już nic więcej nie mam tu do dodania¹⁾.

Skoro zaś usługa kapitału wyrosła do rozmiarów samodzielnego elementarnego dobra, może ona być wreszcie

¹⁾ Rozłożenie zużytych, czy zużytkowanych w rozmaitych okresach produkcji dóbr-kapitałów na ostateczne ich pierwiastki-pracę i usługę ziemi — jako też i oparte na tem pojęcie »przeciętnego okresu produkcji«, jeszcze niejednokrotnie są określane przez Oswalta jako »zarówno praktycznie, jak i teoretycznie nieinteresujące« (np. str. 292, 296). Oswalt nie zauważył, że pozbawia przez to podstawy główne twierdzenie swojej własnej teorii. Własne jego bowiem pojęcie »kapitalistycznej metody« przypuszcza wywołane przez nią »zwiększenie wyniku« w tym sensie, że się znajduje »ilościowe, lub jakościowe podniesienie zaspokajania potrzeb w stosunku do jednostki bez-

przedstawioną, jako tak skrzętnie przez teorię usług poszukiwany trzeci »czynnik kosztów«; czynnik ten, zarówno jak i inne pierwiastki kosztów — praca i usługa ziemi — wchodzi w skład wartości i ceny produktów (103, 291), wymaga wynagrodzenia i znajduje je w postaci zysku. Tak to O s w a l t, zaczynając skromnie od nic nie przesądzającej, prostej »nazwy«, od »obrazu«, krok za krokiem przywrócił usługę wszystkie rzeczowe prawa, posiadane przez nią w zwykłych teoriach usług kapitału. Pozostał jeden krok jeszcze: O s w a l t musiał się jakoś wypowiedzieć o stosunku »usługi« do samych dóbr. Zalał się z tem zagadnieniem przez włączenie usługi do dóbr; usługi nie są wprawdzie, jego zdaniem, czemś »materiałnem lub rzeczowem obok samego dobra« (98), lecz »są zawarte« w odnośnych dobrach (103). Warto zwrócić na to uwagę: na str. 90 O s w a l t dosłownie oświadczył, że te zjawiska, które skłaniają do użycia zwrotu »używanie« w przeciwstawieniu do »spożycia« w rzeczywistości wcale się nie odnoszą do tych dóbr, o których »używaniu« mówi się w retorycznym zwrocie, lecz do całkiem innych dóbr, czy pierwiastków dóbr; a teraz coś, co, jak przyznano, w rzeczywistości nic niema wspólnego z temi pierwszymi dobrami, zawierać się w nich ma — Bóg wie jakim sposobem! — w charakterze realnego elementarnego dobra! I tę zawartość usług w dobrach bierze O s w a l t tak poważnie, że niezliczone razy mnie jako główny błąd wytyka »błąd obserwacji«, a mianowicie, że przeoczeniem usługi wcielone, czy też zawarte w dobrach, w których się wyraża ceny! ¹⁾ Ten sam wreszcie O s w a l t, który na

pośrednio i pośrednio zastosowanej pracy lub usługi ziemi. W jakim zaś sposób mógłby O s w a l t dojść do takiego podziału ostatecznego wyniku pomiędzy jednostki bezpośrednio oraz pośrednio zastosowanej pracy, gdyby nie przyjął przynajmniej w myśli, a więc »teoretycznie« tego zakazanego rozłożenia? Przytem sam O s w a l t pisze jeszcze na str. 85: »Ale rozważanie teoretyczne, które istotnie dotrzeć chce do sedna rzeczy... musi traktować każde dobro, jako skupienie pierwiastków dóbr, z których się te dobra składają. A jednak nie jest to »teoretycznie interesujące«?

¹⁾ Raz zarzuca mi nawet O s w a l t przeoczenie samego zysku (str. 5 i 7); »przeoczenie« zaiste kompromitujące dla twórcy teorii zysku, któryby w ten sposób przeoczył poniekąd przedmiot swoich rozważań, — gdyby istotnie zachodziło!

str. 15 wyraźnie wyklucza usługę z szeregu faktów, powołanych do wyjaśnienia zysku, w ten sposób streszcza doktrynę swoją na str. 443: »Moje wyjaśnienie zysku z kapitału wychodzi z założenia, że zysk jest kształtującą się w biegu stosunków wymiennych ceną usług i kapitału«; w cenie tej wyraża się wartość usługi kapitału, wynikająca ze swojej strony z połączenia użyteczności i względnej rzadkości tej samej usługi kapitału.

Otóż, czy w tym łańcuchu rozumowań usługa kapitału jest zawsze tylko pustą, nic nie przesądzającą i nic nie wyjaśniającą nazwą? czy też przyjęte przez O s w a l t a istnienie obdarzonego tą nazwą, realnego, samodzielnego »pierwiastkowego dobra« nie jest właśnie niezbędnem, rzeczowem ogniwem w jego wyjaśnieniu? A gdzie i kiedy O s w a l t choć jednym słowem spróbował dowieść realnego istnienia takiego pierwiastkowego dobra?

Nie dajmy się w błąd wprowadzić: O s w a l t ma oczywiście zupełną słuszość, twierdząc, że zysk jest za coś płacony i że to »coś«, by móc pewną wartość i cenę osiągnąć, musi być użyteczne i stosunkowo rzadkie. Ale trudność polega na prawidłowym określeniu natury tego »czegoś«. A o naturze tego czegoś nie mówi O s w a l t nic zupełnie, nadając mu istotnie niewinną i nic nie przesądzającą nazwę usługi kapitału; tak samo, jak gdyby — zapożyczam ten przykład u K n i e s a — nadał mu nazwę Hoho! lub Sasa! albo, gdyby je zastąpił wyrażeniem x, używanem w matematyce dla oznaczenia poszukiwanej niewiadomej. Szczególnie jasnym jest, że nadanie temu czemuś odrębnej nazwy wcale nie dowodzi, ani nie uwidacznia faktu, iż to coś musi być czemś w pewnym kierunku samodzielnem. Mówiąc konkretnie: sama przez się pozostaje przynajmniej nie wykluczoną możliwość przeciwna, a mianowicie, że wypożyczone obecne dobra wskutek swej szczególnej użyteczności i stosunkowej rzadkości posiadają wyższą wartość, wobec czego zysk nie jest ceną czegoś odrębnego i samodzielnego, tylko uzupełniającym częściowym odpowiednikiem, który musi być dołączony do zwracanych mniej wartościowych dóbr i wraz z niemi dopiero stanowi równoważnik wypożyczanych bardziej wartościowych dóbr obecnych. O s w a l t sam nie może przy różnych okazjach nie przyznać, że ujęcie to — które jest mojem ujęciem spra-

wy — jest »opisem«¹⁾ czy »sformulowaniem« właśnie »odpowiadającym faktycznemu przebiegowi zdarzeń« (str. 15 i 100); ma ono jeszcze tę wyższość, że nigdzie nie potrzebuje nic zmyślać, a dosłownie odpowiada przedstawionemu przez O s w a l t a stanowi rzeczy (uzyskanie dóbr, używanie ich, polegające na »zniweczeniu« i zwrot dóbr i n n y c h), tam, gdzie się »mówi bez przenośni« (90 i 98). W tych okolicznościach jedno jest pewne: ani samo z siebie, ani też z prostego faktu istnienia niewątpliwiej użyteczności, czy korzyści, jaką się wynosi z posiadania w danej chwili pewnego zapasu dóbr, czyli kapitału, ani tem bardziej z wprowadzenia — nic nie przesadzającego! — odrębnej n a z w y dla poszukiwanej przyczyny (czy częściowej przyczyny) tej korzyści nie wynika, że pewna część ostatniej pochodzić ma ze specjalnego działania odrębnego pierwiastka, szczególnego »dobra elementarnego«, stojącego obok pracy i usługi ziemi; jest to poprostu przyjęcie istnienia pewnego nowego faktu, któryby też musiał być specjalnie i rzeczowo dowiedzionym. U O s w a l t a zaś nie znajdujemy ani śladu chociażby próby takiego rzeczowego dowodzenia.

Tak więc i O s w a l t nie potrafił oprzeć teorii usług kapitału na mocniejszej podstawie. Przeciwnie, jeszcze wyraźniej, niż jego poprzednicy rzecz swoją zbudował poprostu z samych zwrotów retorycznych. Osobista nuta O s w a l-

¹⁾ O s w a l t, jak przed nim Cassel (Nature and necessity of interest str. 62) nastaje na to, że jest to tylko nic nie wyjaśniający »opis« tworzących zagadnienie zjawisk (8, 100). Nie mogę się całkowicie przychylić do tego poglądu. Sądzę raczej, iż twierdzenie o wyższej wartości dóbr obecnych w stosunku do przyszłych jest właśnie pierwszym i wcale nie mało ważnym etapem na drodze wyjaśnienia zysku, etapem, którego przyjęcie oznacza wyrzeczenie się sposobów wyjaśnienia większości, jeśli nie wszystkich teorii zysku, np. teorii wyzysku, wstrzemięźliwości, pracy i usług kapitału. Przesądza on mianowicie z góry, że zysk jest częściowym odpowiednikiem samych dóbr obecnych, a nie jest odrębnym odpowiednikiem jakiegokolwiek postulowanego odrębnego pierwiastka. Cassel także nie zastanowił się nad tem, jak dalece przeczy sam sobie uznając za fakt (choćby wymagający wyjaśnienia) wyższą wartość dóbr obecnych, a więc uznając np., że nie 100, a 105 dóbr przyszłorocznych stanowi odpowiednik 100 dóbr obecnych, a jednocześnie chcąc wyjaśnić, że suma 5, dopłacana, jako zysk, stanowić ma dodatkowy odpowiednik szczególnego, obok dóbr pożyczonych ulokowanego pierwiastka »usługi kapitału«?

ta, odróżniająca go od wszystkich poprzednich zwolenników teorii usług kapitału, to właśnie wręcz i wyraźnie na czele dowodzenia postawione stwierdzenie, że jego »usługa« jest tylko retorycznym zwrotem, »nazwą«, nie pokrywającą wcale rzeczy »przenośnią«. Podkreślając czysto retoryczny charakter swego zasadniczego pojęcia uwalnia je od wszystkich krytycznych wymagań, jakiego mu stawiano, gdyby miało poważnie odpowiadać rzeczowemu podłożu, a które oczywiście nie dotyczą prostego i nic nie znaczącego retorycznego zwrotu; uśpiwszy zaś w ten sposób swoje i nasze krytyczne sumienie, z poza płaszczyka prostej nazwy pozwala wysunąć się rzeczy, pełnej uroszczeń i wyposażonej w cechy, mające istotne znaczenie, a z całkowitem pominięciem obowiązków, jakiego musiało na niego nałożyć otwarte przyjęcie istnienia tej rzeczy.

Oczywiście w tych warunkach wszystkie krytyczne zarzuty, które w VIII-ym rozdziale tej pracy postawiłem teorii usług kapitału wogóle, zachowują całą swą siłę i w stosunku do O s w a l t o w e g o jej ujęcia, i nie będę nużył czytelnika powtarzaniem ich ze specjalnem uwzględnieniem O s w a l t a. Zrobię tylko tę jedną uwagę, że z postawionego przez mnie teorii usług kapitału krytycznego dylematu nie wyprowadza wcale postawiony mi przez Margolina, a przez O s w a l t a przejęty zarzut wskazujący na to, że przy każdej wymianie dóbr istnieją równorzędnie dla stron obu wieczyste usługi, przywiązane zarówno do dobra nabywanego, jak i do dobra, stanowiącego cenę¹⁾. Konsekwentne bowiem rozwinięcie tych sztucznych pomysłów doprowadza wszędzie do uwikłania się w sprzeczności i stanowi skutek tego równie nieużyteczny, jak sztuczny środek wyjścia — pomijając już to, że zawiera wyraźne *petitio principii*: bo gdy chodzi o to, czy takie »usługi« wogóle istnieją i mogą istnieć, jako coś realnego i samodzielnego, odwołanie się do usług, istniejących i po przeciwnej stronie z góry uważa za ustalone istnienie takich usług, które dopiero miało być udowodniane!

W kwestji, czy ma i jaką rolę ma do odegrania w wyjaśnieniu zysku pojęcie usługi kapitału, różnimy się z O s w a l t e m jak najostreż i nie może być między nami

¹⁾ Patrz wyżej I, str. 276 i nast. i u O s w a l t a str. 5 i nast., szczególnie str. 8. Na tem buduje on mówiony wyżej (str. 643) »błąd obserwacji«, z którego czyni mi zarzut.

żadnego porozumienia, ale w wielu innych kwestiach, również wchodzących w zakres wyjaśnienia zjawiska zysku, znacznie się do siebie zbliżamy; szczególnie w ujęciu istoty i skutków wymagających dłuższego czasu kapitalistycznych metod produkcji różnymi się chyba tylko w sposobie wyrażania się¹⁾. Ponieważ sam O s w a l t o wiele mniejszą wartość przypisuje traktowanej jako prostą kwestję sformułowania obronie idei usługi, niż swemu układowi i przedstawieniu tych realnych faktów, które jego zdaniem uzasadniają wartość i cenę usługi, uważałby zapewne za bardzo niewystarczające moje przedstawienie jego teorii, gdybym wkońcu choć w krótkości nie zatrzymał się na tej najważniejszej według niego części jego doktryny.

O s w a l t wylicza jako »fakta uzasadniające zysk«:

1. »Fakt techniczny«, polegający na zwiększonej wydajności zabierających więcej czasu kapitalistycznych metod produkcji i spożycia;

2. »fakt subiektywny«, który zwięźle określa, jako »wymagania bieżącego spożycia« i który może stanowić przeszkodę w wyzyskaniu całkowitem korzyści, płynących z pierwszego, technicznego faktu; wreszcie

3. »fakt historyczny«, a mianowicie kwestję, czy istotnie udało się ludziom ograniczyć w ten sposób wymagania bieżącego spożycia, by nie stanowiły już przeszkody w zastosowaniu wszędzie w sensie pierwszego faktu technicznie wydajniejszych, lub — co na jedno wychodzi — tańszych metod produkcji.

Fakt techniczny uzasadnia więc użyteczność pierwsiastkowego dobra-usługi kapitału, fakt subiektywny, utrzymując w niewielkich rozmiarach istniejącą ilość kapitału i usług kapitału, może uzasadniać jego wartość, od trze-

¹⁾ Jak opowiada O s w a l t w odsyłaczu do str. 434, E u l e n b u r g określił go z tego powodu, jako mego »tłumacza« — określenie, przeciw któremu O s w a l t całkiem słusznie się zastrzeża i na które ja też z mego stanowiska zgodzić się nie mogę. Dla tego nie wtrąciłem się wcale do długich sporów, które wiodł na temat mojej teorii zysku O s w a l t z B o r t k i e w i c z e m (w Schmollers Jahrbuch für Gesetzgebung etc., t. XXXI, a ostatnio w swoich »Beiträge zur Theorie des Kapitalzinsess«); musiałbym bowiem nieraz sam się bronić przeciw niektórym, w najlepszej wierze podjętym, »obronom« mojej teorii!

kiego zaś, historycznego faktu zależy, czy ta względna rzadkość i wynikająca z niej wartość usług kapitału faktycznie istnieje — w tych bowiem tylko warunkach zysk powstaje. Powstawanie zysku przypuszcza więc według O s w a l t a zawsze jednoczesne współdziałanie tych wszystkich trzech okoliczności; twierdzenie to zaopatruje O s w a l t w namiętną polemikę z moją teorią, ponieważ wypowiedziałem się za tem, że każda z moich trzech przyczyn powstawania zysku (coprawda nie identycznych z O s w a l t o w e m i!) może sama wywołać zjawisko zysku, aczkolwiek w nieco słabszej formie¹⁾.

Pomimo tej polemiki treść doktryn naszych wydaje mi się dosyć do siebie zbliżoną — jeżeli pominiemy wprowadzenie do wyjaśnienia rzekomego elementarnego dobra-usługi kapitału. Różnice dotyczą raczej uszeregowania zewnętrznego. By je prawidłowo ocenić, zawczasu zauważyć należy, że »techniczny fakt« O s w a l t a w istocie swej identyczny jest z moją »trzecią przyczyną«, gdy natomiast jego »wymagania bieżącego spożycia« wydają mi się nieco luźnem określeniem zbiorowem, obejmującym bez należytego rozróżnienia liczne, a różniące się pomiędzy sobą, grupy faktów. »Wymagania bieżącego spożycia« zawierają mianowicie: 1) całą moją »pierwszą przyczynę« t. j. te wypadki, w których zwiększona ważność obecnych potrzeb opiera się na całkiem konkretnych, niekorzystnych dla danej obecnej chwili, stosunkach zaopatrzenia; 2) moją »drugą przyczynę«, obejmującą wszystko to, dzięki czemu zasadniczo równie intensywne potrzeby obecne uzyskują pierwszeństwo przed przyszłemi; 3) pozatem zaś jeszcze jeden fakt ogólnej natury, nie stanowiący żadnej specjalnej przyczyny oddawania pierwszeństwa dobrom obecnym, ale przedstawiający poprostu jeden z najpodstawowszych warunków racjonalnego gospodarowania, a mianowicie działanie w myśl zasady gospodarności. »Wymaganiom bieżącego spożycia« przeznaczają O s w a l t przy powstawaniu zysku funkcję niedopuszczania, by pierwotne siły produkcyjne mogły być na całej linii wykorzystane w najwydajniejszych technicznie, wymagających najwięcej czasu, metodach produkcji. Zupełnie słusznie. Ale w wypełnieniu tego zadania bierze też udział, i to znacznie

¹⁾ O s w a l t, op. cit. str. 82 i nast., 90 i nast., 235 i nast., 443 i nast.

poważniejszy, ten prosty fakt, że przy zaspakajaniu naszych potrzeb, stale kierując się zasadą gospodarności, dajemy pierwszeństwo ważniejszym przed mniej ważnymi. Skoro część naszych potrzeb należy do przyszłości, część zaś, oczywiście, do teraźniejszości, to samo przez się rozumie się, że niezależnie od wszelkiego zasadniczego pierwszeństwa potrzeb obecnych, te z nich, które same przez się są ważniejsze, zaspakajane są przed mniej ważnymi potrzebami przyszłymi. Ten prosty fakt prowadzi do całkiem słusznie przyjętego przez Oswalta »niedopuszczenia« następującą drogą, wytkniętą wyraźnie na str. 467 mojej »Positive Theorie«: Gdyby, pod wpływem nieumiarkowanej, dążącej do gromadzenia kapitałów, oszczędności, skierowywano istniejące w danej chwili elementarne środki produkcji wyłącznie, lub przeważnie, do celów produkcyjnych, obliczonych na daleką przyszłość, o metodach technicznie najwydajniejszych, to doprowadziłoby to do tego, że potrzeby dalszej przyszłości zaspokojoneby były doskonale, a potrzeby bliskiej przyszłości i obecne — nieproporcjonalnie skąpo; innymi słowy, ważniejszym potrzebom najbliższej przyszłości brakłoby pokrycia, gdy mniej ważne dalsze potrzeby otrzymywałyby pokrycie już przed niemi, co oczywiście sprzeczne jest z elementarną zasadą każdej racjonalnej gospodarki zaspokajania potrzeb kolejno, zależnie od ich ważności.

Co zaś do tego, że te proste i ogólne fakty pośrednio — przez wprowadzenie »rzadkości kapitału« — przyczyniają się do powstawania zysku, nie istnieje pomiędzy mną i Oswaltem żadna różnica zdań i o jakimś »przeoczeniu« z mojej strony nie może być mowy¹⁾. Różnica polega na tem tylko, że Oswalt uważał za słuszne umyślnie rozszerzyć pojęcie swego »subiektywnego faktu« i przez to zaliczyć do specjalnych »przyczyn powstawania zysku« fakty, należące do najogólniejszych wymagań każdego ludzkiego gospodarstwa, gdy ja byłem i jestem odmiennego zdania i uważam, że za specjalne przyczyny powstawania zysku

¹⁾ Przecież w książce mojej wciąż motywuję istnienie, przewyższającego podaż i przez to wytwarzającego zysk popytu na obecne dobra koniecznością zapewnienia utrzymania na przeciąg okresu, upływającego pomiędzy początkiem a końcem długotrwałych pośrednich procesów produkcji, a więc tem właśnie, co Oswalt nazywa »wymaganiami bieżącego spożycia«!

uważać należy właśnie tylko specjalne przyczyny oddawania pierwszeństwa dobrom obecnym; ogólne zaś podstawowe fakty każdego racjonalnego gospodarstwa mogą być wprowadzone do rozumowania — oczywiście na odpowiednim miejscu — o tyle tylko, o ile tego wymaga zjawisko zysku z wymienionych specjalnych przyczyn.

Innymi słowy: pomimo, że jestem głęboko przekonany, że zjawisko zysku — i zgoła wszelkie gospodarstwo ludzkie — nie mogłoby istnieć, gdyby nie było potrzeb, albo gdyby ich niezaspokojenie nie sprawiało człowiekowi żadnej przykrości, to jednak nie uważam za stosowne, ani za niezbędne dodać do moich trzech przyczyn powstawania zysku jeszcze osobną 4-tą: »istnienie potrzeb ludzkich« i 5-tą: »szkodliwe skutki ich niezaspakajania«; z równą słusnością musiałbyin jeszcze wyliczyć np. przyczynę 6-ą — istnienie dóbr; 7-ą — specjalnie istnienie dóbr gospodarczych, 8-ą — powodowanie się zasadą gospodarności, 9-ą — szacowanie dóbr według ich użyteczności krańcowej i t. p. jako tyleż odrębnych »przyczyn powstawania zysku«, ponieważ całkowite wyjaśnienie zjawiska zysku nie może pominąć żadnego z tych ogólnych faktów. Wskazanie, że istnieją bieżące, obecne potrzeby do zaspokojenia, pozornie tylko posiada więcej treści, niż całkiem ogólnikowe wyrażenie, że wogóle istnieją ludzkie potrzeby: skoro bowiem takowe wogóle istnieją, to samo przez się rozumie się, że nie mogą one tylko bujać w przyszłości, lecz muszą istnieć i w najbliższej teraźniejszości; i gdy Oswalt (s. 85) mówi, że próba »odłożenia w pewnym stopniu na dalszy okres« zaspokojenia tych potrzeb wywołałaby »fizyczną zgubę człowieka«, a w każdym razie »uszczerbek materialnego dobrobytu«, to jest to tylko w inne słowa ubrane wskazanie na ujemne skutki każdego niezaspokojenia potrzeb: »czasowe niezaspokojenie« jest przecież »niezaspokojeniem« potrzeb w danej chwili odczuwanych, a »odłożenie« jest poprostu zaniechaniem teraźniejszego aktu zaspokojenia pewnej potrzeby, ubranem wprawdzie we wzgląd na jakiś przyszły akt zaspokojenia; wzgląd ten nie może oczywiście ani zmniejszyć, czy złagodzić przykrych skutków owego zaniechania, ani wpłynąć na to, by przyszły akt zaspokojenia, jeśli wogóle dojdzie do skutku, mógł zaspokoić obecną potrzebę, uciszyć obecnie odczuwany brak, czy cierpienie; zaspakaja on zwykle, jeśli

wogóle ma miejsce, inną potrzebę, podczas gdy pierwsza zostaje ostatecznie niezaspokojoną. Jeśli »odkładam« na jutro zaspokojenie swego dzisiejszego głodu, to ostatecznie głodny jestem przez cały dzień dzisiejszy, nie mniej i nie więcej, niż gdybym z góry zdecydował całkowicie »wyrzec« się swego śniadania; a gdy spożywam je nazajutrz, to zapobiega to tylko innemu, nowemu cierpieniu, którebym odczuł tego dnia, niezależnie od wczorajszego.

Przykre skutki niezaspokajania potrzeb obecnych, na które wskazuje O s w a l t, mogą jednak wpływać rzeczywiście i nawet bezpośrednio na oddawanie dobrom terażniejszym pierwszeństwa przed przyszłemi; ale o ile to ma miejsce, to wpływ ten przejawia się za pośrednictwem motywów i faktycznego stanu rzeczy czy to mojej »pierwszej«, czy też »drugiej przyczyny«: piekący brak w terażniejszości, w myśl mojej pierwszej przyczyny, daje pewnej terażniejszej sumie dóbr pierwszeństwo przed równą sumą dóbr w prawdopodobnie mniej obciążonej przyszłości; a gdyby nawet prawdopodobne obciążenie przyszłości i terażniejszości było takie samo, to, o ileby wchodziły w grę potrzeby życiowe, pokrycie natychmiastowych potrzeb życiowych musiałoby, w myśl mojej drugiej przyczyny, iść przed pokryciem przyszłych, gdyż »życie nasze jest krótkie i niepewne«: jeśli bowiem natychmiastowe życiowe potrzeby nie mogą być pokryte, to niepewnem się staje samo dalsze istnienie, a z niem, naturalnie, i korzyść, którąbyśmy mogli odnieść z sumy dóbr, danej nam do rozporządzenia w jakimś odległym momencie — co oczywiście odejmuje tej sumie dóbr wszelką wartość.

Po wyodrębnieniu specjalnych kombinacji, uwzględnionych przez moje dwie pierwsze przyczyny, pozostaje, zdaniem mojem, z O s w a l t o w y c h »wymagań bieżącego spożycia« — które O s w a l t umyślnie rozciągnął poza obie moje »przyczyny« — tylko banalne stwierdzenie faktu, że istnieją wogóle ludzkie potrzeby — i to nie tylko w przyszłości, ale i w terażniejszości — i że te terażniejsze potrzeby, pod grozą przykrych skutków, związanych z ich niezaspokojeniem, muszą też rościć sobie pewne prawa do zaspokojenia. Zapewne, zupełnie słusznem i trafnem jest twierdzenie, że wskutek współzawodniczących wymagań potrzeb terażniejszych pokrycie potrzeb przyszłych skromniejsze jest, niżby być mogło:

ale wyprowadzanie z tej myśli odrębnego motywu powstawania zysku byłoby równie nieprawidłowem, jak przy wyjaśnieniu wartości jakiegokolwiek bądź dobra podniesienie do wysokości szczególnej, właśnie temu gatunkowi dobra odpowiadającej, »przyczyny powstawania«, czy »wzrastania wartości« faktu, że potrzeba, którą zaspokaja dane dobro, nie jest jedyną ludzką potrzebą, i że wymagania, stawiane przez inne potrzeby, nie pozwalają, by wszystkie nasze siły robocze i usługi ziemi skierowały się do wytwarzania tego jednego jedynego dobra, w którym to wypadku rozporządzilibyśmy znacznie większymi jego ilościami, znacznie niżej byśmy je cenili i doprowadzilibyśmy je może do stanu całkiem wolnego, bezwartościowego dobra! Oczywiście, w pewnych okolicznościach musimy się opierać na prawdach równie ogólnych i pospolitych — np. w cytowanym wyżej, poświęconem znaczeniu mojej »trzeciej przyczyny«, rozumowaniu ze str. 467 mojej *Positive Theorie*, albo, na szerszą skalę, w całej teorii oszczędności i gromadzenia kapitałów¹⁾ — ale z wyżej podanych przyczyn nie uważam za konieczne, ani też stosowne, stawiać je w szeregu specjalnych faktów, zapewniających dobrom terażniejszym pierwszeństwo przed przyszłemi.

Tak samo rzecz się ma i z trzecią, »historyczną« przyczyną O s w a l t a. Faktycznie całkowicie uznaję warunek »względnej rzadkości« — tylko nie wyimaginowanej usługi kapitału, lecz dóbr terażniejszych — i w doktrynie mojej często i dobitnie moment ten podkreślałem²⁾. Ale samodzielne i równorzędne wprowadzanie go pomiędzy przyczyny wyższego szacunku dóbr terażniejszych uważam za zbyteczne powtórzenie, gdyż »rzadkość kapitału«, tam, gdzie występuje, jest skutkiem pośrednim, wywołanym przez inne »przyczyny« powstawania zysku, a nie odrębną przyczyną. Sam O s w a l t właściwie dobrze to rozumiał i wyraźnie wypowiedział, wyprowadzając (str. 82) zysk ze współdziałania dwóch tylko faktów, »technicznego« i »subiektywnego«, na trzeciem zaś miejscu wymieniony fakt »historyczny«,

¹⁾ Patrz moją *Positive Theorie*, np. str. 183 i nast., a szczególnie str. 635 i nast.

²⁾ Np. *Pos. Theorie* str. 540 i nast. i *Ekskurs XII*, str. 350 i nast.

który stworzoną przez dwa pierwsze »możliwość« zysku czyni »rzeczywistością« (str. 86), określając »ściślej«, jako »stopień działania dwóch wymienionych czynników«.

Tyle o kwestji, czy zmieniony przez Oswalta układ uznanych i przez nas ogólnych i szczegółowych uzasadniających zysk faktów, jest istotnie lepszy. Jeszcze tylko parę słów o uwydatnionym przez niego w ostrej polemice poglądzie, że zjawisko zysku wywołać może nie, jak twierdziłem, każda poszczególna przyczyna powstawania zysku, a tylko współdziałanie faktu technicznego i subiektywnego. Sądę, że polemika ta opiera się w połowie na nieporozumieniu, w połowie zaś na rzeczowym błędzie. Rzeczowo błędnem wydaje mi się twierdzenie Oswalta, że bez współdziałania jego pierwszej, (mojej »trzeciej«) przyczyny t. j. bez najwyższej technicznej wydajności metod kapitalistycznych zysk wogóle istnieć nie może. Ja, przeciwnie, nie mam żadnej wątpliwości, że i bez współdziałania tej przyczyny, np. u szerepu, żyjącego z całkiem niekapitalistycznego zbierania owoców, doskonale może mieć miejsce konsumcyjna pożyteczka z »konsumcyjnym zyskiem«.

Po tem, co mówiłem uprzednio, łatwo przekonać się, że na nieporozumieniu opiera się też zarzut, że moja »trzecia przyczyna« nie może zjawiska zysku wywołać sama, a tylko w związku z »faktem subiektywnym« Oswalta. Naturalnie, nie może tego uczynić bez tej części Oswaltowskiego »subiektywnego faktu«, która w przeciwstawieniu do moich dwóch pierwszych przyczyn wkracza w dziedzinę rzeczywistości; nie mogłaby tego uczynić mianowicie, gdyby nie istniały żadne obecne potrzeby, albo gdyby stałe były wbrew zasadzie gospodarności stawiane na ostatnim planie. Może to jednak uczynić, jeśli słowom »sama przez się« nadać sens, jaki ja przypuszczałem, to jest bez współdziałania którejkolwiek z moich pierwszych przyczyn powstawania zysku¹⁾.

Nie chciałbym zakończyć rozbioru teorii Oswalta bez podkreślenia raz jeszcze uwagi, którą wypowiadałem już odnośnie do kilku autorów: moje zadanie krytyka zmusza

¹⁾ Późniejsze, szczegółowsze jeszcze wyjaśnienia w moim Ekskursie XII-ym (którego Oswalt jeszcze nie znał) całkowicie chyba uniemożliwiły na przyszłość takie i podobne nieporozumienia.

mię, niestety, do jednostronnego wskazywania na błędy i braki doktryny, która poza spornymi punktami zawiera mnóstwo świetnych dowodów głębokiej wiedzy teoretycznej i wysokiego poziomu naukowego wykładu.

IV.

Teoria wstrzemięźliwości stała się w ostatnich dziesiątkach lat przedmiotem żywych, powiedzialbym nawet, nieoczekiwane żywych teoretycznych zainteresowań. Zaczynając od drobnych szczegółów, stwierdzimy, że w znacznym stopniu zwróciła na nią uwagę skuteczna obrona, prowadzona przez kilku pisarzy, przeciw najhałaśliwшему zarzutowi agitacyjnej polemiki, skierowanej na nią przez socjalistów. Był to zarzut, że właśnie najwięksi kapitaliści najmniej mają sposobności do uprawiania »wstrzemięźliwości«, co wywołuje jawną dysharmonję pomiędzy wielkością domniemanej przyczyny — uprawianej wstrzemięźliwości — i jej wrzekomego skutku — otrzymanej sumy zysku.

Powołując się na ideę, wspólną teorii Ricarda i teorii użyteczności krańcowej, z wielu stron nie bez słuszności jęto wskazywać, że przy trzeźwym zbadaniu dysharmonja ta nie może jednak służyć za przekonujący dowód przeciw prawdziwości teorii wstrzemięźliwości. Zważyć bowiem trzeba, że zasadniczo odszkodowanie, jakie cena rynkowa produktów zapewnia wzamian za poniesione przy ich wytwarzaniu ofiary, przy różnej wielkości tych ofiar dąży do dorównania najwyższej wymaganej jeszcze ofierze. Nic więc dziwnego, że ta sama stopa zysku, wystarczająca dla wynagrodzenia najwyższej przez wstrzemięźliwość wywołanej ofiary, zawierać będzie wygórowaną zapłatę dla osób, które przy gromadzeniu i utrzymywaniu kapitału poniosły stosunkowo mniejsze ofiary (Marshalla »savers surplus«¹⁾). —

¹⁾ Najdobitniej wykorzystał ten bieg myśli dla apologji teorii wstrzemięźliwości Macfarlane, Value and distribution, Philadelphia 1899, str. 175—177. Zgadza się z nim co do treści już Loria (La rendita fondiaria, Medjolan 1880, s. 619 i nast.), Marshall ze swoją teorią »savers surplus« (Principles, 3 wyd., Londyn 1895, str. 606); dalej Carver, Barone i wogóle wszyscy uznani zwolennicy »teorii wartości krańcowej«, którzy jednocześnie skłaniają się do teorii wstrzemięźliwości; patrz też wyżej rozdział IX, t. I, str. 285 i nast.

Ale odpiera to tylko jeden, i w dodatku najpowierzchniejszy, zarzut, skierowany przeciw teorii wstrzemięźliwości; rozumowanie to nie dotyczy zarzutu głębiej sięgającego, opartego na wewnętrznych, logicznych podstawach, którego ja przeciwko tej teorii użyłem¹⁾.

Dosyć ważną zmianę terminologiczną wprowadził Macvane, zastępując budzące liczne wątpliwości wyrażenie »wstrzemięźliwość« łagodniejszym i trafniejszym słowem »oczekiwanie« (waiting)²⁾. Zawiera się w tem pewne zbliżenie do stanowiska teorii, kładących w swem wyjaśnieniu zysku główny nacisk na różnicę w czasie pomiędzy dobrami teraźniejszymi i przyszłymi; znamienne jest, że od tego czasu dosyć liczni najnowsi zwolennicy teorii wstrzemięźliwości uważają ją za identyczną w treści swej z »teorią aggia«³⁾. Złaniu się obu teoryj stał jednak i stoi jeszcze na przeszkodzie ten zasadniczy fakt, że Macvane i jego następcy wymagali dla zmienionej w »oczekiwanie« wstrzemięźliwości stanowiska samodzielnej, obok pracy osobno wynagradzanej, ofiary.

W najnowszych czasach, jak i w okresie poprzednim, daje się zauważyć skłonność teoretyków wstrzemięźliwości do eklektycznego wciągania twierdzeń z innych doktryn do swoich rozważań zagadnienia zysku. Przykładem tego, łatwo zrozumiałym po wszystkim, co się wyżej powiedziało, jest najczęściej zachodzące pomieszanie z pierwiastkami »teorii aggia«. Ale zauważyć można i inne eklektyczne kombinacje; u Lorii np. kombinację z pierwiastkami teorii wyzysku⁴⁾.

¹⁾ Odnosząca się do tego uwaga Macfarlane'a (op. cit. str. 179), nie sięga, mojem zdaniem, do jądra sprawy i zawiera raczej głoślowe zaprzeczenie, niż dowodowe zbijanie zarzutu.

²⁾ Analysis of cost of production, Quart. Journ. of Econ. Juli 1887; patrz też wyżej str. 621.

³⁾ Macfarlane np. uważa, że podaje tylko w ulepszonej i rozszerzonej formie (»The theory here proposed is, after all, but an extension of Böhm-Bawerks analysis«, op. cit. str. 231) uznaną zasadniczo przez niego. »Exchange-theory«, jak ją nazywa (patrz wyżej str. 158, ods. 4) i dla tej ulepszonej formy stwarza też ulepszone określenie w postaci nazwy »Normal Value theory«. — Podobnie o stosunku obu teoryj myśli Carver (patrz niżej), a może i prof. Marshall.

⁴⁾ Sądzę, że nie popełniam błędu, zaliczając głównie do teorii wstrzemięźliwości niezbyt wyraźne dla mnie przekonania Lorii. Przynajmniej najbardziej ważne ustępy dawniejszych

Z całego szeregu związanych ze sobą pozytywnych wykładów omawianej teorii dwa poddam szczegółowemu rozpatrzeniu. Jeden z nich jest wzorem, odpowiadającym wymaganiom współczesnym teorii wstrzemięźliwości, opartym o autorytet jednego z najwybitniejszych uczonych, który, posiadając wszystkie dary, niezbędne dla badacza i wykładającego, rzeczywiście starał się dać wyjaśnienie, całkowicie zamknięte w sobie, a zarazem szeroko uwzględniające wszystkie ostateczne pierwiastki, mające jakiegokolwiek znaczenie. Druga doktryna zasługuje na uwagę, jako oryginalna próba nadania »ofierze wstrzemięźliwości« zupełnie nowej treści.

Pierwszą jest doktryna Alfreda Marshalla.

Prof. Marshall widzi zasadnicze przyczyny zysku z kapitału w dwóch okolicznościach, które określa, jako »prospectiveness« i »productiveness« kapitału. »Prospectiveness« polega na tem, że kapitał w przyszłości dopiero korzyść swoją przynosi: by zgromadzić kapitał, muszą ludzie dokonać aktu przezorności (men must act prospectively); muszą »czekać« i »oszczędzać«, »teraźniejszość poświęcić przyszłości«¹⁾. »Productiveness« uzasadniają korzyści produkcyjne, jakie zapew-

dziel jego przybierają ten kierunek (Rendita fondiaria str. 610 i nast., Analisi della proprietà capitalista, Turin 1889 passim.). a zgodnie z nimi w najnowszym obszernym dziele tego autora (La costituzione economica odierna, Turin 1899) »astensione« kapitalistów określona jest, jako pierwiastek, odegrywający zasadniczą rolę przy podziale produktów (np. str. 36 i nast., 75). Ten sam kierunek przybierają też oświadczenia autora o motywach i granicach gromadzenia (np. Costituzione 73 i nast., 98 i nast.). Ale we wszystkich dziełach Lorii znajdują się też zdania, które pozwalają przypuszczać, że autor jest zdania, iż w zjawisku zysku, przynajmniej w dzisiejszej jego postaci i rozciągłości, poważny udział bierze i moment wyzysku (np. Costituzione str. 34 i nast., 821). Znaną specjalnością Lorii jest, że przypisuje on apropracji ziemi szczególnie decydujący i daleko idący wpływ na kształtowanie się i wysokość dochodu z kapitału (np. Costituzione 35, 37, 67 i nast.). Pogląd ten uważam za całkiem mylny (szczegółowe przedstawienie go i obalenie znajduje się w subtelnych »Studi sulla teoria dell' interesse«, Grazianiego, Turin 1898, str. 46—50), jak też wogóle nie mogę zataić uwagi, że teoretyczne spekulacje Lorii wydają mi się bardziej fantastyczne, niż ścisłe, i zawierają znaczną ilość dosyć płytkiego niezrozumienia cudzych poglądów.

¹⁾ Principles of Economics, 3 wyd. str. 142, 662. Wydane ostatnie 4-a i 5-a edycja w niczem istotnem z trzecią się nie różnią

nia współpraca kapitału: produkcja staje się łatwiejszą i wydajniejszą¹⁾. Produkcyjność czyni kapitał przedmiotem pożądanego (demand); podaż jednak, wskutek związanej z jego »prospectiveness« ofiary, utrzymuje się na tak niskim poziomie, że użytkowanie kapitału uzyskuje cenę i staje się źródłem dochodu²⁾.

Wszystkie szczegóły wynikają z ogólnego prawa wymiany, za której poszczególny wypadek uważa Marshall zjawisko zysku. Według tego ogólnego prawa ustala się z biegiem czasu »normalna« wartość towarów na takim poziomie, przy którym popyt równoważy się z kosztami produkcji; Marshall szczególnie podkreśla współrzędne stano- wisko tych dwu czynników, wzajemnie na siebie wpływających. Istotne kosztą przedstawia całokształt »wysiłków i ofiar«; których wymaga wytworzenie danego dobra. Te zaś, oprócz pracy, obejmują też »ofiary« (sacrifice), związaną z każdym »wyczekiwaniem«, z każdym odsunięciem spożycia, nierozłącznym z gromadzeniem i zastosowywaniem kapitału (putting off consumption, postponement of enjoyment)³⁾. Mniej trafnie i wiodącym do nieporozumień, co się też u starszych ekonomistów niejednokrotnie zdarzało, będzie, jeśli ofiarę tę określimy, jako »wstrzemięźliwość«: największe bowiem nagromadzenie kapitału obserwujemy u bardzo bogatych ludzi, którzy napewno nie stosowali »wstrzemięźliwości« w sensie wyrzeczenia; prawidłowiej, za przykładem Macvane'a, treść ofiary określać, jako proste odsunięcie spożycia, chwilowe »wyczekiwanie« (waiting). W każdym razie uzasadnia to prawdziwą ofiarę, która na równi z zastosowaną pracą powinna być wciągnięta w rachunek (668).

¹⁾ 142, 622, 751. W tym, i wogóle we wszystkich ustępach, w których tłumaczy ową »productiveness«, prof. Marshall ujmując ją całkiem trafnie, jako techniczną produkcyjność, wyrażającą się w nadwyżce ilości produktów, wytwarzanych przy tym samym wydatku pierwiastkowych sił produkcyjnych; a więc tak, jak i ja w mojej teorii zysku rozumiem fizyczną czy techniczną produkcyjność. Zdaje się, że prof. Marshall i w tem zgadza się ze mną, że uważa kapitalistyczną produkcję za produkcję »pośrednią«, »round about methods« (porówn. np. Principles str. 612, ale też i sprzeczny z tem odsyłać do str. 664).

²⁾ Str. 662.

³⁾ Op. cit. str. 216, 315.

Ofiara ta musi więc, również jak i praca, znaleźć wynagrodzenie swe w stałych cenach towarów i to według swej »marginal rate« (607) t. j. wynagrodzenie musi być tak wielkie, by móc stanowić odszkodowanie za najprzyskrzejszą, najniechętniej poniesioną część ofiary, niezbędnej dla wywołania podaży (217). Wynagrodzenie to — to zysk z kapitału, który też trafnie wytłumaczony jest jako płaca za ofiarę, związaną z wyczekiwaniem (reward of the sacrifice involved in the waiting, 314). Zapewne, znaleźliby się ludzie, którzyby i bez tej zapłaty oszczędzali, jak są tacy, co gotowi są pracować bez wynagrodzenia; znaczna część kapitałów zgromadzonaby została przy stopie zysku, niższej od panującej: wynika z tego to tylko, że ci właśnie oszczędzający, w myśl zasady, że cena musi zawierać wynagrodzenie najcięższej odczutej części podaży, otrzymaliby wynagrodzenie, przewyższające ich skromną ofiarę, które Marshall nazywa »savers«, albo »waiters surplus«. Ale ponieważ nie wielu jest ludzi, którzyby bez płacy, zawartej w zysku, robili odpowiednie oszczędności, mamy zupełne prawo nazwać zysk »reward of waiting« (314). Zwracając się przeciw socjalistom, którzy twierdzą, że wartość towarów zależy wyłącznie od niezbędnych dla ich wytworzenia ilości pracy, powiada Marshall z naciskiem, że poglądy socjalistów wtedy — ale jedynie wtedy — byłyby prawidłowe, gdyby usługi, oddawane przez kapitał, mogły być dostarczane bez żadnych ofiar, jako »wolne dobro« (669); są jednak nieprawidłowe, gdyż odsunięcie zaspokojenia potrzeb wymaga naogół ofiary ze strony tych, co się na to decydują (the postponement of gratifications involves in general a sacrifice on the part of him who postpones; 668).

Sądzę, że nie popełnię błędu, określając naogół wypowiedziane przez prof. Marshalla poglądy, jako przezornie sformułowaną i ulepszoną w terminologii teorii wstrzemięźliwości. W zasadniczych rysach zgadza się ona całkowicie z doktryną Seniora. Gromadzenie kapitału wymaga ze strony kapitalisty rzeczywistej ofiary, polegającej na odwleczeniu wynikającej ze spożycia przyjemności; ofiara ta stanowi obok pracy odrębną część składową kosztów produkcji i wobec tego w cenie dóbr znaleźć musi odrębne wynagrodzenie, w taki sposób i według tych samych praw (tylko sta-

ranniej przez Marshalla sformułowanych); według których wogóle kosztu wpływają na cenę dóbr¹⁾.

Oczywiście w tych warunkach pogląd mój na teorię zysku prof. Marshalla nie będzie się zbyt różnił od poprzednio już w tej książce wypowiedzianego poglądu na teorię wstrzemięźliwości wogóle. Zgadzam się najzupełniej z prof. Marshall'em, że zarówno »prospectiveness«, jak i »productiveness« kapitału mają coś do czynienia z wyjaśnieniem zjawiska zysku, ale sądzę, że związującemu te dwie rzeczy wyjaśnieniu zarówno on, jak i inni teoretycy wstrzemięźliwości nadali postać, która z jednej strony nie bardzo się zgadza z faktami, z drugiej zaś wchodzi w konflikt nieunikniony z zasadami logicznego myślenia.

Przedewszystkiem uważam za nieprawidłowe dopatrywanie się w opóźnieniu spożycia, związanem ze skierowaniem pracy ku dalej w czasie leżącemu celowi, specjalnej ofiary, którąby obok pracy można było policzyć. Wypowiedziałem już wyżej²⁾ szczegółowo, dlaczego się na to tak zapatruję. Ale zdaje się, że prof. Marshall, który, znając dokładnie poglądy moje i ich uzasadnienie, dał doktrynę w istocie swej identyczną z teorią wstrzemięźliwości, uważał je za niewystarczające. Sprobuję tedy podtrzymać je jeszcze paru wyjaśniającemi rozumowaniami; dobrego punktu wyjścia dostarczają mi przytem niektóre uwagi, które znalazłem w teorii Marshalla.

Podobnie jak Jevons³⁾, wprowadził i Marshall do doktryny swojej parę psychologicznych uwag na temat szacowania przyszłych cierpień i radości. Natura ludzka jest w istocie taka, że większość ludzi nie szacuje przyszłej przyjemności, nawet, jeśli jej uzyskanie jest zupełnie pewne, równie wysoko, jak taką samą przyjemność teraźniejszą; przyszłą przyjemność szacuje się przeważnie, jak gdyby się »dyskontowało« jej wielkość, z odliczeniem, które u różnych osób może być bardzo rozmaite i związane jest z rozmaitym stopniem cierpliwości i panowania nad sobą, które te osoby posiadają⁴⁾. Teraźniejsza wartość przyszłych przyjem-

¹⁾ Porówn. przedstawienie teorii Seniora, wyżej t. I, str. 279 i nast.

²⁾ W rozdziale IX-ym.

³⁾ Patrz wyżej str. 121 i nast.

⁴⁾ Principles 195—197; podobnie 794 i gdzieindziej. Mar-

ności, a więc i teraźniejsza użyteczność krańcowa oddalonego w czasie źródła pewnej przyjemności (the present marginal utility of a distant source of pleasure) jest tedy niższą, niż wartość podobnej teraźniejszej przyjemności, lub wartość tej samej przyszłej przyjemności w tej chwili, w której ona istotnie nastąpi. Jeśli np. ktoś według swego temperamentu dyskontuje wogóle przyszłe przyjemności według stopy 10%, to obecną wartość przyjemności, która dopiero za rok nastąpi i będzie wówczas miała faktyczną wielkość 11, dzisiaj oszacuje, z gruba rachując¹⁾, na 10. Z licznych oświadczeń Marshalla wynika, że psychologiczny fakt, iż olbrzymia większość ludzkości oddaje pierwszeństwo zaspokojeniu teraźniejszych potrzeb przed przyszłemi, jest właśnie podstawą dla jego twierdzenia, że czekanie (wstrzymanie się) zawiera w sobie ofiarę²⁾. Że naogół oddajemy pierwszeństwo przyjemnościom teraźniejszym przed równemi im przyszłemi i że również naogół odczuwamy czekanie na przyszłe przyjemności, jako ofiarę, zwiększającą koszt nabycia — są to w doktrynie Marshalla dwa różne sposoby wyrażenia tego samego psychologicznego faktu.

W istocie zaś są to nie dwa różne sposoby wyrażenia, lecz różne sposoby ujęcia, i to, — co obchodzi właśnie naszą sprawę, — dwa sprzeczne, niemożliwe do połączenia ze sobą sposoby ujęcia, z których jeden jest prawidłowy, a drugi fałszywy, i które stanowczo nie mogą być obok siebie brnione. Rzecz się ma bowiem w ten sposób.

Shall równie wyraźnie, jak słusznie, odróżnia to niższe szacowanie przyszłych przyjemności od innych różnic szacowania, które mogą pochodzić z różnicy czasu, ale mają inną przyczynę: a mianowicie z jednej strony niższe szacowanie przyszłych dóbr i przyjemności, wynikające z niepewności ich osiągnięcia, z drugiej zaś różnice w szacowaniu, wynikające stąd, że zmiana innych okoliczności zmienić może charakter, lub rozmiary samej przyszłej przyjemności; np. przypuszczalna zmiana w zdolności odczuwania przyjemności (wycieczki w góry w podeszłym wieku!), albo zmiana w rozmiarach zaopatrzenia, wywierająca wpływ na jego użyteczność krańcową (jaja, przechowane na zimę).

¹⁾ Pomijając procent od procentu; Marshall sam rozwija szczegółową algebraiczną formułę w matematycznym przypisku V-ym w dodatku do »Principles«.

²⁾ 331 i nast., 429 ods. 1-y, 662, 663 ods. 1-y, 668; pośrednio też 794 przypisek V, o ile »interest«, wyjaśniany gdzieindziej, jako »reward of waiting« związany jest z »discontinuing« tych »future pleasures«.

Nikt nie zaprzeczy, że ten psychologiczny fakt, o którego prawidłową interpretację nam tu chodzi, między innymi w tem się przejawia, że zgadzamy się ponosić nierówne ofiary w pieniądzech, względnie w pracy dla osiągnięcia jednakowych, tylko w różnych okresach czasu umieszczonych, celów spożycia. Jeśli np. obiektywna suma pewnego celu spożycia wynosi 10, to — jeśli ten cel daje się osiągnąć natychmiast — gotowi jesteśmy dla jego zdobycia zrobić ofiarę z pracy do wysokości tej samej sumy 10-u, lub odpowiednią ofiarę pieniężną, np. 10 fl. Jeśli zaś ten sam cel spożycia w sumie 10-u oddalony jest od nas o rok czasu, to — jeśli dany fakt psychologiczny przy naszych konkretnych warunkach działa w nas z siłą, wymagającą stopy dyskontowej 10%, — zgodzimy się dla jego zdobycia podjąć najwyżej trud pracy nieco wyższej, niż 9 (dokładnie 9,09), albo złożyć ofiarę pieniężną najwyżej nieco większą, niż 9 fl. (dokładnie 9 fl. 9 gr.). Gdyby ten sam cel spożycia oddalony był od nas o lat pięć, to gotowość nasza zdobywania go za cenę teraźniejszej ofiary z pracy, lub pieniędzy, znalazłaby swą granicę już przy pracy około 6 (ściśle 6,21), lub ofierze pieniężnej wysokości 6 fl. 21 gr.¹⁾

Fakt ten, co do istnienia którego nie zachodzi pomieędzy mną i Marshall'em żadna różnica zdań²⁾, dopuszcza dwa wyjaśnienia. Jedno możliwe wyjaśnienie wyszłoby z tego założenia, że oddalenie w czasie zmniejsza w naszych oczach rozmiary celu spożycia: oceniamy przyszłą korzyść niżej, niżbyśmy to zrobili dla teraźniejszej, dlatego właśnie, że jest przyszłą. To jest właśnie wyjaśnienie, które zawierają wspomniane wyżej psychologiczne uwagi Marshalla o szacowaniu przyszłych przyjemności. Teraźniejsza wartość przyszłych przyjemności jest niższą, niż 10; przy oddaleniu jednego roku wynosi trochę więcej, niż 9, przy oddaleniu pięciu lat trochę więcej, niż 6; ponieważ zaś cel nie

¹⁾ Przypuszczam i tu, i dalej, dla uproszczenia, że cała ofiara z pracy, lub pieniędzy, poniesiona być winna w jednym, i to teraźniejszym właśnie punkcie czasu.

²⁾ Marshall notuje go np. z powodu przykładu budowy domu, którego utility »when finished« pokryć musi »efforts required for building« obok pewnego »amout increasing in geometrical proportion (a sort of compound interest) for the period that would elapse between each effort and the time when the house would be ready for his use« (429).

jest dla nas wart więcej, niż 9, względnie 6, nie podejmujemy dla jego osiągnięcia ofiary większej, niż wyrażona cyframi 9 i 6.

Jasne jest więc, że przy tem tłumaczeniu cyfry 9 i 6 oznaczają nie część tylko ofiary z pracy, lub pieniędzy, lecz oznaczają i ograniczają całość ofiary, którą wogóle gotowi jesteśmy ponieść dla zdobycia przyszłej przyjemności; innymi słowy, przy tem tłumaczeniu niema już miejsca na dodatkową ofiarę z »waiting« obok ofiary z pracy, czy pieniędzy: równie jest bowiem jasne, że sprzeczneby było ze wszystkimi zasadami ekonomicznego postępowania, gdybyśmy dla przyjemności, ocenianej przez nas na 9 lub 6, podejmowali sumę ofiar, składającą się z pracy i waitingu, lub pieniędzy i waitingu i w ten sposób przekraczającą samą wartość celu, wynosząc np. 10.

Drugie, dające się pomyśleć, tłumaczenie, przeciwnie prowadzi właśnie do przyjęcia istnienia takiej wyższej ofiary. Tłumaczenie to zawiera się w twierdzeniach Marshalla o istnieniu ponoszonej obok ofiary z pracy ofiary z »waitingu«. Przedstawia się ono w sposób następujący: Względ na przyszłą przyjemność, która po roku, lub po pięciu latach, będzie miała wartość 10, skłania nas do podjęcia sumy ofiar, składającej się z pracy i wyczekiwania; po obliczeniu stopnia przykrości, jaką nam przyczynia wyczekiwanie i prawdopodobnej długości tegoż, sumę ofiar oznaczamy również cyfrą 10.

Jasne jest chyba znowu, iż to tłumaczenie przebiegu rzeczy przypuszcza, że względ na przyszłą przyjemność, jaką możemy osiągnąć wpływa na obecne nasze postanowienia całkowitą, niezminiejszą siłą tej przyjemności: tylko w razie przypisywania przyszłej przyjemności jej całkowitej, niezminiejszej wartości 10, możemy rozsądnie z punktu widzenia gospodarczego zdecydować się na poniesienie dla jej zdobycia ofiary wysokości 10. Teoria wstrzemięźliwości podkreśla tę myśl szczególnie dobitnie. Twierdzi ona, że wartość przyszłego produkcyjnego, czy spożywczego celu właśnie dlatego nie może spaść poniżej (dla przykładu przyjętej) liczby 10, że pojawienie się ofiary z czekania podnosi do niej łączną sumę kosztów, i że przy niższej wartości celu wytwórca nie czułby się wystarczająco wynagrodzonym za ofiarę takiej wielkości; — ten bieg myśli, najwyraźniej przypusz-

cza, że wartość przyszłego celu figuruje w obliczeniach wytwórcy w niezmnieszonej wysokości 10.

Innemi słowy, wynika z tego najdobitniej, że możemy przyjąć to drugie tłumaczenie tylko w takim razie, jeżeli wyrzekniemy się pierwszego. Możemy przypuścić, albo, że odległość w czasie zmniejsza w ocenie naszej korzyść przyszłego, oczekiwanego celu, albo też, że zwiększa ona przewidzianą w naszej ocenie ofiarę o »ofiarę z czekania«: pewnem jest w każdym razie, że nie możemy przyjąć obu tych rzeczy równocześnie. Byłby to przecież nonsens gospodarczy i matematyczny, gdyby w obliczeniach wytwórcy przyszła korzyść zmniejszała się z 10 do 6, ofiara jednocześnie wskutek doliczenia ofiary z czekania wzrastała z 6 do 10, a produkcja mimo wszystko była uważaną za opłacającą się!

Abym nie dopuścić do ewentualnego nieporozumienia, postaram się odrazu zbić pewien możliwy zarzut. Przy powierzchownem badaniu mogłaby się komuś sprawa przedstawiać w sposób następujący. Przyszła, po pięciu latach dopiero uzyskiwana, korzyść o wartości 10 tylko w perspektywie zmniejsza się przy terażniejszym szacowaniu i ustala na 6,21. Tej terażniejszej wartości odpowiada też terażniejsza ofiara (z pracy lub pieniędzy) wysokości 6,21, ofiara z czekania leży jeszcze w przyszłości i tam znajduje swój odpowiednik w całkowitej przyszłej wartości, w wysokości 10. Tak więc z jednej strony mamy zupełnie sobie odpowiadającą terażniejszą wartość i terażniejszą ofiarę, z drugiej zaś — przyszłą wartość i całkowitą wielkość ofiary; obejmującą też ofiarę przyszłą. Ten bieg myśli zapomina jednak, że każde racjonalne gospodarcze obliczenie musi równie dobrze i w natychmiast brać w rachubę zarówno poniesione, jak i nie poniesione jeszcze ofiary. Jeśli obliczam, czy mam kupić dom za 20.000 fl., płatnych w dwudziestu rocznych ratach po 1000 fl. każda, to nie mogę porównywać obecnej wartości domu tylko z wartością obecnie przypadającą raty mojej ofiary, t. j. z pierwszą wypłacaną sumą 1000 fl., ale muszę ją oczywiście porównywać ze wszystkimi ratami — obecną i przyszłymi — razem wziętymi; przytem raty jeszcze nie wypłacone wchodzi w rachubę z pewnem odliczeniem, redukującem je do ich wartości terażniejszej. Podobnie, w sensie teorii wstrzemięźliwości, całkowita ofiara, ponoszona dla oddalonych przyjemności składa

się z pierwszej raty ofiary, z pieniędzy, lub pracy, natychmiast przypadającej i z całego szeregu dalszych rat »ofiary wyczekiwania«, stopniujących się w całym przeciągu czasu, jaki upływa od pierwszej chwili poniesienia ofiary aż do osiągnięcia celu. Te ostatnie raty mogą wprawdzie występować w natychmiastowym obliczeniu — jak późniejsze raty ceny domu — z pewnem obniżeniem wysokości, odpowiadającem ich oddaleniu w czasie, ale w każdym razie występować muszą, zwłaszcza, że, jak wiemy, w myśl teorii wstrzemięźliwości właśnie względ na nie ma powstrzymywać wytwórcę od skierowywania produkcji do mniej wartościowych przyszłych celów. W naszym przykładzie ujęcie to wyrazi się w następującym układzie liczb: ofiara z pracy (pieniędzy), którą trzeba natychmiast ponieść, wynosi 6,21. Zgodnie z tem suma pięcioletniej ofiary, która stopniowo dopełniać ma całkowitą ofiarę do wysokości 10, wynosi 3,79. Ponieważ jednak te ofiary wyczekiwania znajdują się jeszcze w przyszłości i przeciętnie dopiero po 2½ latach mają być »odcierpiane«, wartość ich terażniejsza musi być obliczana odpowiednio niżej; jeśli przyjmniemy za miernik redukcji 10%, to wartość ta ustali się mniej więcej na 2,96. Tak więc wartość terażniejsza wszystkich ofiar, branych pod uwagę, jest $6,21 + 2,96 = 9,17$, a terażniejsza wartość celu pożądanego — 6,21; taki stosunek wielkości nie może, oczywiście, być podstawą żadnego rozsądnego postępowania. Bardzo się dziwię, że prof. Marshalla nie zatrzymały w jego matematycznym opracowaniu zagadnienia takie nonsensa, nieuchronnie występujące nawet w liczbach. Nie jestem matematykiem, więc nie mogę szczegółowo określić, czy i w jaki sposób udało się prof. Marshallowi uniknąć, czy zasłonić przed sobą w rzeczywistości niewątpliwie istniejące błędy we wszystkich zawikłanych matematycznych wzorach, w których on wyraża zarówno dyskontujące zmniejszanie się przyszłej korzyści ze spożycia, jak i wzrastającą w geometrycznym postępie ofiarę wyczekiwania (przypisek XIII i XIV dodatku matematycznego)¹⁾.

¹⁾ Przypuszczam — niech matematycy sprawdzą prawdziwość tego przypuszczenia — że Marshall dzięki temu uniknął otwartego konfliktu w swoim rachunku, że zamiast zilustrowania poglądów swoich jednym wzorem, podaje w matematycznym przypisku XIII dwa kolejne wzory, wrzekomo różniące się pomie-

Skoro się jednak raz uzna, że należy wybrać jeden z dwóch poglądów, które prof. Marshall połączył w swojej doktrynie, to sędzę, że wybór ten będzie zupełnie jasny i prosty, nawet dla wybitnego uczonego, którego zdanie zmuszony tu jestem zwalczać. Z jednej strony mówi nam doświadczenie, zbyt dobitnie, byśmy temu zaprzeczyć mogli,

dzi sobą tylko odmiennym w czasie »punktem wyjścia«, do którego się odnoszą, w istocie zaś różniące się całkowicie przeciwnym ujęciem; każdy z nich zastosowuje Marshall do innego z dwu sprzecznych sposobów tłumaczenia. Pierwszy wzór, mający za punkt wyjścia datę zaczęcia budowy domu, przeprowadza nic innego, jeśli się nie mylę, jak ujęcie teorii aggia, według którego wartość przyszłej przyjemności przedstawia się w zmniejszeniu, ale żadna ofiara wyczekiwania w rachubę nie jest brana. Drugi wzór, którego punktem wyjścia jest data ukończenia domu, przeciwnie, liczy całkowitą wartość produkcyjnego celu, ukończonego domu, a wśród ofiar, niezbędnych dla produkcji, stawia obok ofiary z pracy ofiarę wyczekiwania. Tę zmianę w zasadzie obliczania osłania do pewnego stopnia komplikacja, którą zawiera wybrany przez Marshalla przykład budowy domu. Gdy chodzi o długotrwały przedmiot spożycia, jakim jest dom, osiągnięcie produkcyjnego celu, ukończenie domu, nie pokrywa się z osiągnięciem celu spożycia, zaspokojeniem potrzeby przez zamieszkanie domu; do pierwszego okresu czekania, upływającego od chwili zaczęcia budowy do jej ukończenia, dochodzi jeszcze drugi, upływający od chwili ukończenia domu do faktycznego uzyskania rozdzielonej na wiele lat korzyści, jaką przedstawia długotrwałe dobro — dom mieszkalny. Tę drugą część okresu czekania oblicza Marshall we wzorze drugim tak samo, jak w pierwszym. Oblicza mianowicie wartość teraźniejszą gotowego domu według zdykontowanej wartości jego przyszłych usług użytecznych i znów nie wprowadza ofiar wyczekiwania do rachunku ofiar za czas po ukończeniu domu. Do pewnego stopnia więc w połowie wzoru II następuje zmiana punktu widzenia: do chwili ukończenia domu liczy Marshall, jak zwolennik teorii wstrzemięźliwości, dalej zaś — jak zwolennik teorii aggia. Ponieważ zaś we wzorze II część tak jest obliczana, jak we wzorze I, powstaje pozór, że w obu wzorach przeprowadzona jest ta sama zasada rachunku, a różnica w dalszej części ostatniego polega istotnie tylko na tem, że punktem wyjścia obliczenia jest inny moment czasu. W istocie jednak ma miejsce złamanie samej zasady. Chociaż bowiem z chwilą ukończenia domu zaczyna się używanie go, to oczywiście nie może być mowy o tem, by ta pierwsza chwila używania miała stanowić wynagrodzenie za całą pracę wytwarzania domu; przeważna część pracy wytwarzania musi jeszcze czekać na swoje wynagrodzenie w postaci używania. Skoro więc na skutek oczekiwania na przyszłe spożycie, jak to wyraźnie mówi Marshall w myśl swojej teorii wstrzemięźliwości w przypisku 1-ym do księgi V, rozdz. IV, § 1-go, »przykrość, lub uciążliwość« wysiłków

że ludzie, zwłaszcza beztroscy, wyżej cenią natychmiastową przyjemność, niż wzgląd na przyszłą przyjemność tejże wielkości; z drugiej strony mamy wątpliwości, przemawiające przeciw istnieniu odrębnej ofiary wstrzemięźliwości, lub wyczekiwania, które omówilem szczegółowo w IX-ym roz-

wytwórczych w z r a s t a w geometrycznej proporcji do czasu oczekiwania, to ten sam wzrost ofiar w stosunku do niewynagrodzonych jeszcze przez używanie domu części pracy wytwórczej musiałby trwać i po wykończeniu domu; to też niekonsekwencją i zaprzeczeniem własnej doktryny wydać się musi fakt, iż Marshall nie bierze pod uwagę tego wzrostu ofiar w drugiej części swego wzoru. Taką samą niekonsekwencją i zaprzeczeniem było już to, że Marshall nie brał tego wzrostu pod uwagę w całym swoim wzorze I: mógł go wziąć pod uwagę ze stopniowym odliczeniem dyskonta, jak to już wykazałem wyżej w tekście, ale tak czy inaczej powinien był to zrobić — i nie zrobił. To bowiem, co tam przyjmuje z pewnem zmniejszeniem po stronie ofiar, to nie ofiary wyczekiwania, a tylko »wartość« także kolejno przynoszonych ofiar pracy ze swego konkretnego przykładu (długotrwałe!) budowy domu. Gdyby, zamiast budowy domu, Marshall wybrał przykład, w którymby wydatek pracy z jednej, a spożycie dobra z drugiej strony koncentrowały się w jednym (różniącym się oczywiście dla każdego z tych wypadków!) momencie, to cały rachunek byłby o wiele prostszy i przejrystszy, a dylemat końcowy o wiele wyraźniejszy: albo popełnić niekonsekwencję, przyjmując różne punkty wyjścia, albo rachować fałszywie. — Na zakończenie jeszcze dwie uwagi. Przedewszystkiem sędzę, że punkt wyjścia wzoru II, który Marshall uważa za »naturalniejszy z punktu widzenia zwykłego postępowania«, nie jest wogóle wskazany dla uwidocznienia tego, co należało uwidocznnić zgodnie z odpowiednimi ustępami tekstu i całym biegiem wyjaśnienia teorii wstrzemięźliwości: mianowicie wpływającego na postanowienie wytwarzania i kierującego niem rachunku korzyści i ofiar. W rachunku tym muszą korzyści i ofiary tak się układać, jak się przedstawiają przyszłemu wytwórcy przed zaczęciem aktu produkcji (a więc w punkcie wyjścia wzoru I), a nie po jego zakończeniu! Następnie zaś prof. Marshall w nowym, dodanym do 5-go wyd., przypisku (przypisek 3 na str. 352) stanowczo przeczy zarzutowi »podwójnego rachowania« zysku, który to zarzut dostrzega w wywodach mojego tekstu. Rzecz zaś, jak to już wykazałem wyżej, ma się w ten sposób, że Marshall wprowadził faktycznie nie rachował zysku podwójnie — coby oczywiście natychmiast wyszło na jaw w fałszywym rezultacie rachunku — ale że przy danym stanie swych teoretycznych przesłanek musiałby go rachować podwójnie, i że uniknął tego podwójnego rachunku tylko przez niekonsekwentne wahanie się pomiędzy dwiema niemożliwemi do połączenia przesłankami; wrzeczono zaś wyjaśniający komentarz, w jaki zaopatruje Marshall swoje najnowsze wywody, może mię w tem zapatrywaniu tylko umocnić.

dziale tej książki; wobec konieczności wyboru przechyla one szalę nawet w oczach tego, kto się dotychczas nie poddawał ich wpływowi. Sądzę, że przy ponownem, starannem badaniu nikt się chyba nie oprze przekonaniu, że nie-spożycie nie jest jednak cierpieniem, i że praca, która nie osiągnęła wyniku nie może przedstawiać ofiary bezgranicznie wielkiej, t. j. składającej się z ograniczonej ilości pracy i z nieograniczonego, na całą wieczność się rozciągającego wyczekiwania. Na wypadek jednak, gdyby jaki szczególnie sceptyczny czytelnik zachował jeszcze pewne wątpliwości, chciałbym tu umieścić jeszcze następujące rozważania.

Ten, kto uważa, zgodnie z teorią wstrzemięźliwości, wyczekiwanie za odrębną ofiarę, musi się zgodzić z płynącą z tej teorii konsekwencją, że nawet osoby beztroskie, nie myślące o przyszłości, gotowe są ponieść równie wielką ofiarę dla osiągnięcia przyjemności dalekiej, jak i dla przyjemności, nęcącej w chwili najbliższej: ta sama suma ofiar składałaby się tylko z innych części; w wypadku natychmiastowej przyjemności z samej tylko pracy, w wypadku przyjemności przyszłej z nieco mniejszej pracy i z sumy »waitingu«, dopełniającej do tego samego poziomu całość ofiary!

I jeszcze jedno. Niewątpliwie i według zdania samego Marshalla, dyskutowane zjawisko psychiczne rozciąga się nie tylko na ocenę przyszłych przyjemności, ale i na ocenę przyszłych przykrości¹⁾. Przypuśćmy, że komuś grozi pewna przykreść i, jeżeli się jej natychmiast nie zapobieże, po roku nastąpi i osiągnie siłę, równającą się 10. Oczywiście zainteresowany, jeśli wogóle dyskontuje przyszłe wypadki według stopy 10%, skłonny będzie ponieść dla uniknięcia tej przykrości ofiarę z pracy nie większą, niż 9. Ostatecznie mógłbym sobie jeszcze wyobrazić, że, gdy chodzi o przygotowanie jakiejś pozytywnej przyjemności, czekanie na nią może być odczuwane, jako ofiara, która całkowitą ofiarę podniesie do wysokości 10. Ale w żaden sposób nie mogę zrozumieć, jaka ofiara mieści się w tem, że w czasie, gdy grożąca przykreść jeszcze mi nie dolega, nie mogę jej zapobiec. Jakie na przykład bolesne cierpienie, wynikające z »trwa-

¹⁾ Str. 768; prof. Marshall rozciąga najwyraźniej działanie »telescopic faculty« na odpowiednio wysoką ocenę »future ills and benefits«.

nia stanu potrzeby«¹⁾, mieścić się ma w tem, że w pełnem lecie nie posiadam jeszcze zimowej odzieży, która tymczasem znajduje się na warsztacie przedzalnianym, lub tkackim? albo w tem, że człowiek trzydziestoletni, który jako pięćdziesięcioletni potrzebować będzie okularów z powodu dalekowidztwa, musi przez dwadzieścia lat »czekać« na wykończenie tych okularów, dla których wytworzenia odległe przygotowawcze roboty, jak roboty górnicze, fabrykacja maszyn i t. p. już się w tym czasie zaczęły? Sądzę, że dla nieuprzedzonego obserwatora związek ten jest jasny, jak słońce: Nie jest to wcale szala ofiary, którąby obciążało dodatkowo niemile oczekiwanie na usunięcie nieistniejącej przykrości, dodające się do położonej już na nią ofiary pracy, aż do chwili osiągnięcia równowagi z całkowitą przyszłą korzyścią wysokości 10; równowaga obu szal została już zawczasu, w decydującym momencie gospodarczego obrachunku i decyzji, ustaliła w ten sposób, że szacunek odległej, grożącej przykrości się zmniejsza w perspektywie, usunięcie jej traktuje się więc jako korzyść odpowiednio mniejszą, równoważącą się z mniejszą ofiarą z pracy!²⁾

Teoria wstrzemięźliwości popelnia więc błąd zasadniczy przez to, że w bilansie naszego dobrobytu zaksiegowuje po fałszywej stronie wpływające nań różnice, wynikające

¹⁾ »Endurance of want«, Jevons, Theory of Pol. Ec., wyd. 2-e, str. 254.

²⁾ Na możliwy zarzut, że pracę, obróconą na zapobieżenie przyszłej przykrości, można by zastosować przy przygotowaniu innej, i to natychmiastowej pozytywnej przyjemności, i że to »nieistnienie« tej innej przyjemności jest podstawą ofiary wyczekiwania, odpowiem przedewszystkiem, że przez takie przerzucanie się unika się tylko zasadniczej kwestji, ale się jej nie rozwiązuje; zresztą nieporozumienie to najłatwiej przeciąć, badając taki stan rzeczy, w którym niema miejsca dla podobnych uchylań się. Przypuśćmy np., że przedmiotem naszego przykładu jest więzień, który nie posiada ciepłej odzieży, a wie, że jego uwolnienie nastąpi po roku, w czasie najostrejszych chłódów zimowych; zgodnie z regulaminem swego więzienia ma on możność, ale nie przymus, zarobienia sobie robotami więziennymi sumy, wystarczającej na zakupienie zimowego ubrania, sumy, którą przed uwolnieniem w żaden sposób nie może rozporządzać dla przygotowania sobie jakiejś wcześniejszej przyjemności. Niema tu już absolutnie materiału dla stworzenia jakiejś ofiary wyczekiwania, któraby obok ofiary z pracy wynikała z konieczności skierowania tej pracy na zdobycie ciepłej zimowej odzieży; i jeśli ktoś nie decyduje się na

niewątpliwie z oddalenia w czasie, że tam, gdzie w rzeczy samej leży tylko pewne »mniej« korzyści, wpisywać chce większą ofiarę, że, słowem, z dwu możliwych tłumaczeń stanu rzeczy wybiera fałszywe. Ale prof. Marshall — a z nim wszyscy uczeni, którzy chcieli połączyć z przyjęciem teorii wstrzemięźliwości wprowadzony do nauki przez R a e'a i J e v o n s a fakt psychologiczny niższego szacunku przyszłych bólów i radości¹⁾ — popełniają jeszcze ten błąd, że wcale nie widzi, iż tu zachodzić musi wybór pomiędzy dwoma niemożliwymi do połączenia tłumaczeniami.

Oto są najglówniejsze — nie wszystkie, — przyczyny, które mi nie pozwalają uznać w ujęciu prof. Marshalla zadawalającego rozstrzygnięcia zagadnienia zysku. Jak to już wskazywałem w innych okolicznościach²⁾, profesor Marshall skłonny jest przykładać niewielką tylko wagę do samego faktu odrębności lub niedokładności w wyrażeniu pewnej myśli, a zarazem bardzo szeroko rozciąga pojęcie, że coś jest tylko odmianą w formie wyrażenia. Tutaj jednak mieści się bezwątpienia coś więcej, niż poprostu mniej zalecająca się, mniej szczęśliwa forma wyrażenia prawidłowej myśli: chodzi tu o istotne i charakterystyczne ogniwo logicznego łańcucha, jakiego ma dostarczyć wyjaśnienie zysku z kapitału. Że sam prof. Marshall uważa właśnie to krytyczne ogniwo za bardzo ważne, wynika stąd, że uzależnia on — błędnie, jak mi się zdaje — całą różnicę pomiędzy tłumaczeniem swoim, a socjalistów od tego czy obok pracy daje się umieścić ofiara wyczekiwania, jako odrębna ofiara, czy też nie³⁾. Że zaś pomiędzy jego ujęciem, a mojem, jest też materialna różnica, jasno wynika stąd, że według jego ujęcia ewentualny zanik tego psychologicznego faktu, który przejawia się w przekładaniu przyjemności teraźniejszych

bezwzględne zaprzeczenie faktu, że i u człowieka, znajdującego się w takim położeniu, wzgląd na przyszłość mniej jest skuteczny, niż wzgląd na teraźniejszą chwilę, będzie zmuszonym uznać za jedynie możliwe drugie tłumaczenie, z tylu innych wzglądów się już nasuwające, a mianowicie, że oddalenie w czasie zmniejsza w naszym teraźniejszym szacunku przyszłe bóle i radości!

¹⁾ Np. w dawniejszych czasach J. St. Mill i J e v o n s, za naszych dni Macfarlane i Carver: o tym ostatnim patrz jeszcze niżej.

²⁾ Patrz mój wstęp do drugiego wydania tej książki.

³⁾ Str. 668 i nast.

nad przyszłe, musiałoby pociągnąć jako skutek zniknięcie samego zysku¹⁾, podczas gdy według mego zdania wyschłoby tylko w tym wypadku jedno z kilku źródeł tego zjawiska, ono zaś samo, choć w słabszym stopniu, trwałoby dalej; niezależnie bowiem od tego stronnego niedoceniańa przyszłości, fakt, iż dłuższe procesy produkcji są wydajniejsze, zapewniać musi niezbędnym dla przejścia do takich właśnie procesów już istniejącym sumom dóbr pewną przewagę wartości ponad

¹⁾ Sam Marshall nie uważa takiej zmiany naszych fizycznych i moralnych skłonności za coś niemożliwego i — w całkiem logicznym wniosku, wypływającym z jego wyjaśnienia zysku, jako »reward of the sacrifice involved in the waiting« — wypowiada wyraźnie swoje zdanie, że w takim wypadku »interest would be negative all along the line«. Spodziewa się on mianowicie tego zjawiska już dla wypadku, gdy — bez całkowitego zniknięcia wyższej oceny obecnych przyjemności — czynna troska o przyszłe swe lata i o rodzinę tak silnie wzrośnie u tak wielkiej ilości ludzi, że sumy, z tego względu zaoszczędzone, przekroczą sumy zapotrzebowane na nowo otwierające się, korzystne sposobności zastosowania kapitałów (new openings for the advantageous use of accumulated wealth, 633 odsyłacz 1). — Dla subtelnych badaczy dodaje, że to ostatnie zastrzeżenie, dotyczące się korzystnych okazyj produkcji, wcale nie doprowadza do materialnego uzgodnienia naszych poglądów. Z jednej strony bowiem, według mego zdania, nawet w stanie całkowitego zastoju, więc przy zupełnym braku »nowych« sposobów zastosowania kapitału, sam fakt większej wydajności zabierających więcej czasu metod produkcji mógłby utrzymać zysk w ciągu dających się pomyśleć okresów (patrz o tem szczególniejszej moją pracę o »Einige strittige Fragen der Kapitalstheorie« Wiedeń 1900); z drugiej zaś strony w cytowanym ustępie prof. Marshall uważa liczne nowe okazje lokaty kapitału o tyle tylko za przeszkodę do całkowitego zniknięcia zysku, o ile pozostaje pewna różnica w szacunku jednakowych obecnych i przyszłych przyjemności. Trzeba przecie, jak to sam prof. Marshall na str. 197 ods. 1 swego dzieła z niezrównaną jasnością wyłożył, ściśle rozróżniać pomiędzy różną oceną jednakowych teraźniejszych i przyszłych przyjemności, a różną oceną jednakowych teraźniejszych i przyszłych ilości dóbr. Przy tej ostatniej ocenie może wybitną rolę odegrywać okoliczność, że ta sama ilość może w różnych okresach czasu przedstawiać niejednakową obiektywną użyteczność krańcową. W tym wypadku osoba, która naogół przenosi natychmiastową przyjemność nad taką samą przyjemność przyszłą, zdecydować się jednak może na oszczędzanie bez widoków na powiększenie zysku, ponieważ zaoszczędzona suma w przyszłości, np. w okresie bezsilności starczej, przedstawiać będzie odpowiednio większą użyteczność krańcową, niżby przedstawiała jej natychmiastowe wydanie. Rozumowanie prof. Marshalla bierze niewątpliwie

mające powstać dopiero w przyszłości¹⁾ — i to nietylko w chwilowo istniejących warunkach, ale w ciągu okresów, które mierzone według najściślej miernika, zaliczone być muszą do najdłuższych, »wiekowych okresów«²⁾.

Wkońcu chciałbym jeszcze zwrócić uwagę, że znajdujemy u Marshalla jeszcze jedną grupę oświadczeń, w których dosyć dobitnie podkreślony jest specjalnie stosunek zysku z kapitału do używania kapitału, i które, gdyby były jedynymi, dotyczącymi zagadnienia zysku, mogłyby wywołać wrażenie, że Marshall przyswoił sobie także wyobrażenia, charakterystyczne dla teorii usług kapitału³⁾. Wobec jednak okoliczności, że Marshall wyraża też wątpliwość, czy najwybitniejsi zwolennicy teorii usług kapitału istotnie

pod uwagę powyższe rozważania. Dopóki zapotrzebowanie kapitału na nowe jego zastosowania pokrywa się już przez oszczędności tych, dla których zwiększenie efektywnej użyteczności krańcowej dóbr, przeniesionych w przyszłość, stanowi kompensatę niższego szacunku takich samych przyszłych przyjemności, dopóty w bilansie niema żadnej, wymagającej wynagrodzenia, ofiary wstrzemięźliwości, dopóty może nie być zysku. Skoro jednak suma kapitałów, potrzebnych do nowych zastosowań, przekroczy tę miarę, wtedy niższy szacunek przyszłych przyjemności nie jest wyrównywany przez wzrost efektywnej użyteczności tej samej ilości pewnego dobra i musi go wynagradzać jakiś zysk. Jeśli to jest prawdziwe przekonanie prof. Marshalla — a nie wątpię, że tak jest — w takim razie, w myśl jego twierdzeń, dalsze istnienie różnicy szacunku teraźniejszych i przyszłych przyjemności, jako podstawa wynagradzanych przez zysk ofiar wstrzemięźliwości, jest pewnym *conditio sine qua non* istnienia zysku. Mojem zdaniem zaś nie jest nim, gdyż niezbędna wprawdzie dla zysku rozmaita ocena obecnych i przyszłych dóbr mogłaby być i byłaby istotnie wywołaną przez samą tylko większą wydajność wymagających więcej czasu metod produkcji (patrz wskazany w następnym odsyłaczu ustęp mojej Positive Theorie).

¹⁾ Dla bliższych szczegółów patrz moją Positive Theorie, w 1-em wydaniu str. 284—286, w 3-em str. 466—468.

²⁾ Porówn. Marshall str. 450.

³⁾ 662, 663, 665, 666 i nast., 666 odsyłacz. Marshall w oświadczeniach tych kilkakrotnie określa użytkowanie, albo usługi (use, services) kapitału, jako przedmiot, za który się zysk płaci, wyklada szczegółowo, że pod tym względem niema żadnej istotnej różnicy (»no substantial difference«) pomiędzy wynajęciem dobra trwałego (np. konia), a pożyczaniem zużywającej się, względnie możliwej do zastąpienia sumy pieniężnej, i dodaje, że wprowadzone przez dawnych pisarzy rozróżnienie pomiędzy pożyczką a wynajęciem, jest wprawdzie »from an analytical point of view interesting«, ale posiada »bardzo małe praktyczne znaczenie«. — Cał-

chcieli dowodzić właściwych jej myśli w całej ich ścisłości¹⁾, nie mogą przypuścić, by sam chciał to czynić, sędzę raczej, że posługiwanie się zwrotami, charakterystycznymi dla teorii usług, przypisać należy pewnej dowolności, czy małej dbałości o wyrażenia, którą Marshall uważa za uprawnioną dla innych i siebie w dziedzinie teorii zysku, pomimo, że niejasności i dwuznaczności wyrażen właśnie na tem polu tyle już wywołały błędów i pomyłek, chociaż sam — i jak słusznie! — przypisuje tak wysoką wartość ясному wyrażaniu i trafnemu formułowaniu myśli.

Jak już mówiłem, najnowsze czasy przedstawiają nam do zanotowania jeszcze jedną ciekawą próbę nowej interpretacji starej teorii wstrzemięźliwości. Próbę tę podjął Amerykanin Carver²⁾ z wielką przenikliwością i godną uwagi zdolnością kombinacji, ale na skutek nieporozumienia, jak sędzę, błędzi w najważniejszym punkcie.

Nieco przesubtelniony, unaoczniony przez samego autora w szeregu wykresów geometrycznych jego bieg myśli daje się mniej więcej streścić w sposób następujący³⁾: Carver wychodzi z całkiem słusznego założenia, że ludzie nawet wtedy zaoszczędzaliby na przyszłość wielkie ilości dóbr teraźniejszych, gdyby za to nie otrzymywali żadnego zysku, a nawet dla przechowania sum zaoszczędzonych musieli ponieść pewne koszty.

Granice oszczędności bez nadziei zysku określa też najzupełniej prawidłowo. Człowiek, racjonalnie gospodarujący, będzie oszczędzał swój istniejący zapas dóbr aż do chwili,

kiem podobne — i podobnie oceniane — pomieszanie twierdzeń teorii wstrzemięźliwości ze zwrotami, tłumaczącymi się w sensie teorii usług kapitału, spotykamy też u Sidgwicka, Principles of Political Economy, wyd. 2-e (1887) str. 255 i nast., oraz 167 i nast. i 264.

¹⁾ Np. str. 142, ods. 1. Por. też wstęp do drugiego wydania tej książki.

²⁾ »The place of abstinence in the theory of interest«, Quarterly Journal of Economics, październik 1893, 40—61.

³⁾ Jak to wkrótce uważny czytelnik spostrzeże, bieg myśli Carvera idzie dość długo równolegle z pewnymi subtelniejszymi rozważaniami, któreśmy już spotkali u prof. Marshalla (patrz wyżej str. 203, ods. 1). Śmiem nawet przypuszczać, że Carver z tych ustępów Marshalla wziął pierwszą podniętą do swojej teorii, która jednak potem, poczynawszy od pewnego określonego punktu, schodzi na całkiem odmienne drogi.

gdy użyteczność (krańcowa użyteczność), którą ostatnio zaoszczędzona cząsteczka, np. ostatnio zaoszczędzony gulden będzie miał w przyszłości, równa się najściślej z użytecznością, jaką ma ostatni gulden, przeznaczony do natychmiastowego wydania. Jeśli np. ktoś posiada kapitał 100.000 zł., to, nawet jeśli ten kapitał nie daje żadnego zysku, racjonalnie gospodarując, nie wyda on tej całej sumy odrazu, ani nawet znacznej jej części, gdyż w takim razie zaspakajalby, obok niezbędnych i nie ważne, zbytłkowe potrzeby, a w przyszłości nie miałby czym pokryć potrzeb najniezbędniejszych. Teraźniejsze swoje wydatki zatrzyma raczej na takiej sumie, by — biorąc pod uwagę i inny zapewniony na przyszłość dopływ dóbr — użyteczność krańcowa ostatniego wydanego guldena równoważyła się z przyszłą użytecznością krańcową ostatniego guldena zaoszczędzonego.

Towarzyszy temu rozumowaniu jedno bardzo ważne i zupełnie prawidłowo zanotowane w wykresach Carvera zastrzeżenie. Przeważna większość ludzi, zależnie od swoich właściwości umysłowych i swego temperamentu, niedocenia przyszłych radości i bólów, a co za tem idzie, i ich użyteczności krańcowych. Człowiek beztroski, lub rozrutny, na przykład nie oceni może w danej chwili wyżej, jak na 10 przyjemności, czy korzyści, którą będzie miał za rok i która w chwili swego właściwego przyjścia dojdzie do wysokości 15. Ponieważ zaś na obecne gospodarcze decyzje wpływ wywierają oczywiście tylko teraźniejsze oceny zadowolenia potrzeb, pomiędzy którymi się wybiera, to powyższe prawidłó dla określania granic oszczędności bez nadziei zysku należy zmodyfikować w ten sposób, że oszczędność doprowadzana będzie do chwili, gdy użyteczność krańcowa ostatniego w danej chwili wydanego guldena zrównoważy się z t e r a ż n i e j s z y m s z a c u n k i e m przyszłej użyteczności krańcowej ostatniego zaoszczędzonego guldena. W naszym przykładzie granica ta zostanie osiągnięta, gdy użyteczność krańcowa ostatniego wydanego guldena będzie 10, a przyszła użyteczność krańcowa ostatniego guldena zaoszczędzonego — 15, gdyż 15 w dzisiejszem szacowaniu odpowiada natychmiastowej korzyści 10.

Aby dokładniej oświecić to, co jest nowego w wywodach Carvera, ustalimy tu zaraz jeszcze jedno. Wszyscy dawniejsi zwolennicy teorii wstrzemięźliwości, mniej lub

więcej dobitnie to wyrażając, łączyli ofiarę wstrzemięźliwości właśnie z ostatnią różnicą¹⁾. Pierwszeństwo oddawane obecnym przyjemnościom nad przyszłemi jest w ich oczach główną przyczyną, dla której powstrzymanie się od teraźniejszej przyjemności, albo oczekiwanie na nią odczuwane są wogóle, jako »ofiara«. Im silniej uwydatnionem jest to pierwszeństwo — przypominę znane stopniowanie od szczepów indyjskich, które za butelkę »wody ognistej« sprzedają ziemię swoich ojców, do rozsądnych i przezornych klas wykształconych narodów kulturalnych — tem większą przeszkodę stanowi dla oszczędności i gromadzenia kapitałów; przeszkodę, którą wtedy tylko i w takim stopniu można przemóc, jeśli związana z tem »ofiara« wynagrodzoną jest odpowiednio pomocą zysku. Wysokość zysku związana jest więc także ze stopniem, w którym się oddaje pierwszeństwo teraźniejszym dobrom nad przyszłemi. W myśl więc dawnych teorii wstrzemięźliwości właściwą siłą motoryczną jest ta wielkość, która w naszym — umyślnie wyjaskrawionym — przykładzie określona jest, jako różnica 15—10, prawdziwa wielkość przyszłej użyteczności m n i e j niższa teraźniejsza jej ocena.

Tutaj wstępuje Carver na zupełnie inną drogę. Jak już wyżej powiedziano, odrazu uznaje on i wyraźnie podkreśla istnienie tego faktu psychologicznego. Ale nie w niem upatruje istotną treść wymagającej wynagrodzenia wstrzemięźliwości, a w czemś zgoła innem. Dopóki oszczędność ma ten skutek, że przeniesione w przyszłość obecne dobra dostarczają nam w przyszłości korzyść, która w myśl teraźniejszej oceny większą jest od tego, co by przyniosły w razie natychmiastowego ich spożycia, dopóty nie jest związana z żadną istotną ofiarą. Ta część gromadzenia kapitału odbywa się »bez kosztów« i wobec tego nie wymaga żadnego zysku, jako wynagrodzenia ofiary (str. 49). Prawdziwa ofiara zaczyna się z chwilą, gdy oszczędność musi przejść poza tę granicę. Jeśli tedy w naszym przykładzie jeszcze więcej dóbr ma być odjętych natychmiastowemu spożyciu i przeniesionych w przyszłość, to może się to stać tylko za cenę niezaspokajania potrzeb o znaczeniu przewyższającym liczbę 10; więc np. szereg potrzeb, których znaczenie leży pomiędzy 10 a 11, nie zostaje już zaspokojony. Jeśli jednak te odjęte te-

¹⁾ Bardzo dobitnie np. u Milla, Principles, księga II, rozdz. XV, § 2 i księga I, rozdz. XI.

rażniejszości dobra dołączymy do przyszłego zapasu wystarczającego dzięki dawniejszemu oszczędzaniu »bez kosztów« do zaspokojenia potrzeb o obecnej ocenie nie niższej od 10, to ten nowy przyrost może znaleźć zastosowanie tylko przy zaspokajaniu jeszcze mniej ważnych potrzeb, np. szeregu potrzeb, których znaczenie leży pomiędzy 10 a 9. Dalsze oszczędzanie ma więc ten skutek, że pewna liczba dóbr, które w natychmiastowym zastosowaniu dostarczają użyteczności krańcowej od 10 do 11, w przyszłości dają tylko korzyść obecnie ocenioną od 10 do 9, a więc mniejszą. Różnica ta przedstawia wywołaną przez oszczędzanie czystą stratę, prawdziwą, niezbędną wskutek wstrzemięźliwości od natychmiastowych przyjemności, ofiarę, którejby nikt nie chciał i nie mógł ponosić, gdyby nie była odpowiednio wynagrodzoną, i tego dokonywa zysk z kapitału. »Strata w subiektywnej wartości, która występuje w tej ostatniej części oszczędzania, musi być wyrównana przez pewien przyrost w ilości dóbr obiektywnych, to jest przez pewien zysk«¹⁾. Gdyby potrzeby produkcji mogły być pokryte przez tak nieznaczne ilości kapitału, jakich dostarcza nie stanowiąca jeszcze ofiary część oszczędności, to zysk z kapitału wcaleby nie istniał (49). Jeśli zaś potrzeba więcej kapitału — to znaczy, jeśli przy stopniowym wykorzystywaniu wszystkich zyskowych sposobności lokaty kapitału można umieścić więcej, niż kapitały, zaoszczędzone bez kosztów, nie sprowadzając przytem do zera dochodu kapitału (»if more is needed — i. e. if more can be used, and still afford profit at the margin«), wtedy zysk musi się pojawić; w tym bowiem razie na to, by miało miejsce dalsze oszczędzanie, ktoś musi podjąć opisaną wyżej ofiarę z subiektywnej wartości oszczędzonych sum, a ta ofiara wymaga wynagrodzenia. O wysokości zaś zysku decyduje właśnie »the marginal sacrifice of saving«, t. j. wielkość ofiary przy ostatniej, najkosztowniejszej (związanej z największą stratą subiektywnej wartości) części oszczędności, która jest jeszcze niezbędna dla zaspokojenia potrzeb produkcji (53)²⁾.

¹⁾ »The loss in the subjective valuation of this last increment must be compensated for by an increase in objective goods or interest; op. cit. str. 53.

²⁾ Teoria Carvera w głównych zarysach przejęta została potem przez Landry'ego, w poszczególnych zaś rysach przez

Latwo dostrzec, że Carver faktycznie zupełnie inaczej, niż inni zwolennicy teorii wstrzemięźliwości, tłumaczy istotę ofiary wstrzemięźliwości, wynagradzanej przez zysk. Tamci nacisk kładą na to, że człowiekowi takiemu, jakim jest, oczekiwanie na przyjemność staje się udręką. Carver zaś nie wyprowadza ofiary z samego czekania na przyjemność, ale z uwarunkowanego przez nie dalszego faktu, że skłonność do oszczędzania tak zmienia stosunek zapotrzebowania i pokrycia, że ta sama suma dóbr ma mniejszą użyteczność krańcową i wartość w przyszłości, niż w chwili obecnej. Zdaniem Carvera istota ofiary polega nie na tem, że przyjemność następuje później, ale że jest mniejszą, niż współzawodnicząca z nią przyjemność natychmiastowa. Rozmaitość tych dwóch rzeczy uwidoczniają też cyfry naszego przykładu. Siła pierwszego momentu wyraża się w naszym przykładzie, jakśmy to już widzieli, w różnicy 15—10, różnicy pomiędzy istotną wielkością przyszłej przyjemności i teraźniejszym jej szacunkiem, wielkość zaś ofiary wstrzemięźliwości według Carvera daje się mierzyć zupełnie inną i z innych przyczyn powstającą różnicą 11—9, różnicą pomiędzy ostatnią istotnie zrealizowaną w danej chwili korzyścią, a teraźniejszym szacunkiem korzyści, która się dopiero w przyszłości zrealizuje.

Równie łatwo jednak dostrzec tu rzecz inną: Carver okoliczność tę, która jest czystym skutkiem zysku, mylnie wziął za jego przyczynę. Wszystkie fakta, jakie Carver przytacza, są prawidłowe, także i fakt zmniejszania się użyteczności krańcowej¹⁾, jeśli się okres przyszły wyposaża w większy zasób środków pokrycia, niż teraźniejszość. Tylko Carver płacze przyczynę i skutek. Nie dlatego, że przyszłość jest zasobniejsza i nie w tym stopniu, w jakim nią jest, ustala się zysk wogóle i zysk coraz to wzrastający, ale wręcz odwrotnie: zysk istnieć już musi, jako fakt, by mogło się zjawić ekonomiczne wyrachowanie w lepszym wyposażeniu przyszłości; im wyższym jest zysk, tem dalej można będzie zejść i zajdzie się w tem wyższym wyposażeniu

J. Fishera. Patrz odnośnie do pierwszego mój Ekskurs XIII, str. 454, ods. 1, odnośnie do Fishera Ekskurs XII do Pos. Theorie, str. 425

¹⁾ Ja sam zwróciłem już uwagę na to samo zjawisko (patrz moja »Positive Theorie« wyd. 1-e, str. 446, wyd. 3-e, str. 639.

przyszłości. Jeśli zysk wynosi 5% i dlatego, że tak jest, można będzie rozsądnie zwiększyć zasoby na przyszłość do tego stopnia, aby 105 sztuk pewnego dobra za rok dawało nam taką korzyść, jak 100 sztuk tego samego dobra w chwili obecnej; jeśli zysk wynosi 20% i dlatego, że tak jest, trzeba będzie zwiększać zasoby na przyszłość do chwili, gdy 120 sztuk danego dobra za rok dają tę samą korzyść, co 100 sztuk natychmiast (wszystko zawsze sprowadzone do teraźniejszego szacunku) i tak dalej.

W wywoływaniu zysku, przeciwnie, wyrażnie i niewątpliwie bierze udział ten drugi, psychologiczny moment, w którym inni zwolennicy teorii wstrzemięźliwości widzą istotę ofiary wstrzemięźliwości. Skoro ludzie natychmiastową przyjemność o tyle wyżej cenią niż zaspokojenie przyszłych potrzeb, że w obecnym szacunku przeciwstawiają przyszłej przyjemności o efektywnej wielkości 15 teraźniejszą przyjemność o efektywnej wielkości 10, to cecha ta ma niewątpliwie wszelkie dane na to, aby być rzeczywistą przyczyną faktu, że produkta, wytwarzane na przyszłość, użytkują — i utrzymują wartość większą, niż koszt ich wytworzenia. Na skutek tej cechy, wytwórcy nie mogą być skłonni do poniesienia większej, niż 10, sumy kosztów dla uzyskania produktu, który w swoim czasie będzie miał wartość 15, sprowadzoną w ich teraźniejszym szacunku do 10. Przeprowadzenie procesu produkcji dostarcza jednak po upływie roku produktu o wartości 15, podczas gdy koszt produkcji wynosiły tylko 10; z tego sama przez się już wynika nadwyżka wartości, czyli zysk, wysokości 5. I zwrócić należy uwagę, że wynika nawet wtedy, gdy jeszcze w grę nie wchodzi żadna Carverowska ofiara wstrzemięźliwości, to jest, gdy na przyszłość odkłada się tyle tylko środków, że jednostka dobra, w teraźniejszości i w przyszłości, według teraźniejszego szacunku posiada taką samą użyteczność krańcową 10.

Niwelację tej nadwyżki wartości przez współzawodnictwo mógłby w danych warunkach skutecznie wstrzymać ten sam motyw, który samą nadwyżkę wywołał, bez pomocy ofiary wstrzemięźliwości Carvera. Jeśli bowiem np. chwilowy wzrost produkcji zmniejsza obiektywną wartość odnośnego wytworu z 15 na 14, to, dopóki współczynnik niższej oceny w przyszłości pozostaje bez zmiany, tej liczbie 14

w teraźniejszym szacunku odpowiadać będzie suma mniejsza, niż 10, a mianowicie 9,3. Jeśli, jak przyjęliśmy, zaopatrzenie natychmiastowego spożycia zatrzymuje się na użyteczności krańcowej 10, to odłożenie pewnych środków dla celu spożycia, ocenionego na 9,3 wydaje się nieekonomicznym. Pierwszeństwo musiałby otrzymać ten szereg potrzeb obecnych, których znaczenie leży poniżej liczby 10, ale powyżej liczby 9,3, przyszłość rozporządza wskutek tego mniejszymi środkami, wytwarzanie dóbr na później się ogranicza, a przez to wartość ich znów się podnosi, aż dopóki nie ustali się znów dawny stosunek — obiektywna przyszła wartość 15, której w teraźniejszym szacunku odpowiada teraźniejsza użyteczność krańcowa 10 — a z nim i nadwyżka wartości 5. Skoro jednak owe istotnie czynne siły powołały zysk do życia, ustala się i zjawisko, będące jego skutkiem; ludzie odkładają nieco więcej na przyszłość, niżby czynili, gdyby zysk nie istniał; i to właśnie powoduje zauważone przez Carvera opadanie przyszłej użyteczności krańcowej jednostki dobra w teraźniejszej ocenie poniżej teraźniejszej użyteczności krańcowej jednostki dobra — co naturalnie nie jest wcale równoznaczne z opadaniem poniżej tego poziomu rzeczywistości, właśnie czasowo tylko niższej szacowanej, użyteczności krańcowej przyszłego dobra. Ale to wszystko jest jedynie i wyłącznie skutkiem zysku. Może być, że z tego skutku wynika jakieś wtórne oddziaływanie na wysokość samegoż zysku. Należy jednak zwrócić uwagę, że to oddziaływanie skierowuje się tylko ku zmniejszeniu zysku; przytem rola czynnej tutaj wtórnej przyczyny niewątpliwie przypada w udziale zwiększonej oszczędności, a nigdy carverowskiej ofierze wstrzemięźliwości, która musiałaby zmieniać się w przeciwnym kierunku, a mianowicie wzrastać, przy zwiększonej oszczędności, hojnie zaopatrującej przyszłość, a tem samem znacznie obniżającej użyteczność krańcową jednostki zaoszczędzonej!

Dochodzimy do punktu, w którym najlepiej może daje się oświecić błąd Carvera. Bez kwestji zysk wypływa z ograniczoności kapitału, co jest równoznaczne z ograniczonością odłożonych na przyszłość środków zaspokajania potrzeb: Carver zaś dochodzi do tego, że wyprowadza go wręcz odwrotnie, z bogactwa tych środków, że skutków pewnego rodzaju nadmiaru oszczędności! Istotne

miejsce tych całkiem prawidłowo przez Carvera zaobserwowanych faktów w łańcuchu przyczyn określi najlepiej przeprowadzenie następującego porównania. Jak wywołany przez brak pieniędzy wzrost wartości pieniądza sprowadza zazwyczaj prąd wtórny, dążący do osłabienia jego własnej intensywności, a mianowicie wysoka siła kupna pieniądza sprowadza do mennicy pewne ilości szlachetnych metali, które służyły dotychczas, jako przedmioty ozdoby, nakrycia stołowe i t. p. i w ten sposób zwiększa podaż pieniądza, tak też i zysk, wypływający z ograniczoności kapitału, przez sam fakt swego istnienia wywołuje prąd wtórny, dążący do złagodzenia jego własnych rozmiarów: istnienie zysku popycha do oszczędzania aż do przekroczenia punktu, w którymby się musiało zatrzymać, gdyby zysku nie było. Ale jak wzmózione przetapianie na pieniądze srebrnych i złotych przedmiotów nie może być i nie jest uważane za rzeczywistą przyczynę wzrostu wartości pieniądza, podobnie niepodobna w wywołanej przez istnienie zysku wzmóżonej oszczędności i towarzyszącemu jej obniżeniu użyteczności krańcowej zaozczędzonej jednostki dopatrywać się głównej siły, która jest przyczyną zysku i ustala jego wysokość!¹⁾

Dopóki tedy w grę wchodzi przy wyjaśnieniu zysku motyw »wstrzemięźliwości« muszę przyznać staremu ujęciu teorii wstrzemięźliwości względne przynajmniej pierwszeństwo przed nową interpretacją Carvera. Pierwsze bowiem miało przynajmniej na oku rzeczywiste podstawowe zjawisko, które istotnie współdziała w wywoływaniu zysku, jako pierwiastkowa siła motoryczna, i tylko błędnie ujmuje i przedstawia rodzaj tego współdziałania. Carvera zaś głęboka, lecz błędna kombinacja sprowadziła z dobrej drogi, gdyż zamiast istotnej przyczyny zysku zajął się zjawiskiem, towarzyszącym mu i występującym, jako jego skutek²⁾.

¹⁾ Porównaj też mój Ekskurs XII, str. 425, gdzie przeprowadzam podobne porównanie dla wyjaśnienia bardzo zbliżonego błędu Fishera.

²⁾ Ciekawe, że Carver, podobnie, jak Macfarlane, uważa moją teorię zysku w jej istocie za teorię wstrzemięźliwości (związaną z niektórymi pierwiastkami teorii produktywności), na którą się w zasadzie zgadza, a tylko jest zdania, że przedstawia ją sam w odmianie, prostującej ją poniekąd i łatwiejszej do zrozumienia. »With certain corrections, which will be noticed later« — powiada o mojej teorii — »his theory may be regarded as correct:

V.

Teorię pracy podzieliłem w mojej »Historji i krytyce« na trzy, różniące się między sobą w zasadniczych ry-
sach, odmiany. Pierwsza, którą dawniej reprezentowali James Mill i Mc. Culloch, nie znalazła, o ile wiem, zwolennika w nowszych czasach i może być uważana za teorię umarłą¹⁾.

Druga odmiana, »francuska«, która uważa zysk za wynagrodzenie moralnej »pracy oszczędzania«, nie zdobyła, o ile mogę sądzić, żadnego nowego zwolennika, aczkolwiek może nie straciła na znaczeniu pośród tego szczupłego grona, w którym je wogóle miała.

Co się tyczy trzeciej odmiany, która uważa zysk za rodzaj poborów, za pełnienie urzędu przez kapitalistów, wykonujący czynność społeczną gromadzenia kapitałów i prowadzenia produkcji, to z literatury ostatnich czasów można zanotować, że Adolf Wagner, którego warunkowo zaliczyłem do tej grupy, po pewnem wahaniu zdecydował się uważać ideę teorii pracy nie tylko za usprawiedliwienie, ale i za teoretyczne wytłumaczenie zysku o tyle, o ile wogóle to wyjaśnienie jest potrzebne dla dopełnienia wyjaśnienia zysku danego przez moją teorię »naogół wystarczającą, ale wymagającą wykończenia«²⁾.

but it is to be hoped that the interest problem can be explained upon principles more easily understood by the average reader« (op. cit. str. 44). Przykład jego i Macfarlane'a, dołączony do nader subtelnych, ale jednak niewystarczających wywodów takich wybitnych uczonych, jak Jevons i Marshall, służyć może za nader pouczającą ilustrację tego, jak wiele rozgąleń może mieć ujęcie tak prostego pozornie stosunku teraźniejszości i przyszłości, a i tego, że nie jest z mojej strony zbyt dużą pedanterją, że tak w krytyce, jak i w Pozytywnej Teorii nie zadawałm się po-bieżnemi wskazaniem na »prospectiveness« i »productiveness« kapitału, a kładę nacisk na to, iż te idee muszą mieć charakter określony i to ten właśnie, w którym jedynie doprowadzić nas mogła do rzeczywistego ostatecznego, rzeczowo i logicznie prawidłowego wyjaśnienia naszego zjawiska.

¹⁾ Najbardziej może zbliża się do tej odmiany teorii pracy wspomniana już przeze mnie krótko przy innej okazji teoria Giddingsa (patrz wyżej str. 159). We wszystkich jednak innych teoretycznych przypuszczeniach stoi ona na tak różnem, o tyle postępowsem stanowisku, że uważałem za słuszniejsze zaliczyć ją do innej, bardziej współczesnej, grupy teorii.

²⁾ Patrz wyżej, t. I, str. 314, ods. 1-y.

Tę samą odmianę teorii pracy podejmuje też i szczegółowo uzasadnia Stolzmann¹⁾. Ponieważ teoria jego zawiera pewne oryginalne cechy, a jest zarazem najstarszym i najbardziej zamkniętym wyrazem myśli teorii pracy, poświęcimy tu jej nieco obszerniejszy opis i ocenę.

Punktem wyjścia jest dla Stolzmann'a teoria wartości. Jest on przedstawicielem swoistej odmiany tego, co sam nazywa »teorią kosztów pracy«²⁾. Wartość zamienna dóbr określa ją powszechnie kosztu pracy, niezbędnej dla ich wytworzenia; ale nie, jak twierdzą Ricardo i socjaliści, ilość włożonej w produkt pracy, i nie, jak nauczali i nau-

¹⁾ Die soziale Kathedorie in der Volkswirtschaftslehre, Berlin 1896. Od tego czasu wydał Stolzmann jeszcze drugą książkę — o przeszło 800 stronicach pod tytułem »Der Zweck in der Volkswirtschaft« (1909), której celem jest w istocie rzeczy polemiczna obrona pierwszej, i to głównie przed moją w tym czasie wypowiedzianą krytyką. Ponieważ w tej drugiej pracy Stolzmann zatrzymuje wszystkie zasadnicze myśli pierwszej, poddawać będę i teraz krytyce głównie tekst »Soziale Kathedorie«, o wiele bardziej zamknięty i systematyczny, korzystając oczywiście przysgodnie z późniejszych dodatków i wyjaśnień z drugiej pracy. Polemikę Stolzmann'a pomijam całkowicie, poczęści dlatego, że jej rozległość wymaga szczegółowszego zbadania, poczęści zaś, że tak gęsto w niej rozsiane nieporozumienia wymagałyby bardzo nużących wyjaśnień. Porównaj też mój odsyłacz ze str. 284 3-go wydania mojej Positive Theorie.

²⁾ Na str. 234 swojego »Zweck« protestuje Stolzmann przeciwko temu zaliczeniu swojej teorii wartości do »szufladki« teorii kosztów pracy i przy tej sposobności zwraca uwagę, iż »nie jest zwolennikiem, lecz raczej przeciwnikiem tej teorii«. Muszę mu wobec tego przypomnieć, że w swojej »Soziale Kathedorie« np. na str. 364 określa, jako »niezaprzeczoną prawdę« zdanie, iż »wartość dóbr — z wyjątkiem przedmiotów niezwyklej rzadkości — ustala się na zasadzie kosztów pracy, jakich wymagała produkcja«, a tamże na str. 329 oświadcza, że »tylko przeróbka, ale nie odrzucenie teorii kosztów pracy« może doprowadzić do prawdziwej drogi. Czy może przemawiać w ten sposób przeciwnik teorii kosztów pracy — pomijając już to, że przedstawiona dalej szczegółowo jego doktryna jest w istocie niewątpliwą, rzeczywistą teorią kosztów pracy? Jeśli zaś — co wcale nie wynika ani z dosłownego brzmienia danego ustępu, ani z całości tekstu — to wypieranie się Stolzmann'a dotyczyć miało tylko Ricardo-Marxowskiej odmiany teorii kosztów pracy, to ten polemiczny protest był wręcz bezprzedmiotowy, gdyż, jak to wskazują powyższe słowa mego tekstu, podkreślam sam jak najdobitniej różnice, zachodzące pomiędzy teorią Stolzmann'a a teorią Ricarda-Marxa.

czają niektórzy inni teoretycy, wielkość związanej z pracą przykrości, lub trudu; określającą jest tu praca, »ponieważ otrzymuje wynagrodzenia, i o tyle, o ile je otrzymuje«, »a więc właściwie nie sama praca«, a jej wynagrodzenie, płaca robocza (str. 335). Płacę tę zaś — i to jest druga podstawowa przesłanka systemu Stolzmann'a, — równie jak i cały podział dóbr wogóle, określa układ sił społecznych. Robotnik musi żyć. Na każdą chwilę swego istnienia potrzebuje on pewnej sumy środków żywności (w najszerszym tego słowa znaczeniu), którą Stolzmann nazywa jego »jednostką wyżywienia«. Do pojęcia tego przykładają niezwykle wielką wagę. Wydaje mu się ono niezbędnym łączącym ogniwem przy kształtowaniu się i określaniu wartości dóbr. Wychodząc z dosyć szeroko rozpowszechnionego przekonania, że poszczególne potrzeby są niewspółmierne¹⁾, przypuszcza, że z tego powodu wartość dóbr nie może być z nich wyprowadzana, ani według nich określaną, i że raczej »tu, jak i wszędzie w nauce, cały człowiek wraz z całokształtem wszystkich swoich potrzeb winien być ujmowany, jako najbliższa, możliwa do ogarnięcia, jednostka wartości« (264). Kształtowanie się wartości odbywa się więc w sposób następujący. Przedewszystkiem przez układ i stosunek sił społecznych, ustalają się rozmiary jednostki wyżywienia, której robotnik może dla siebie wymagać. Nie jest to bowiem wielkość fizjologiczna, czy inna, ustalona przez prawa przyrody, ale wynik społecznego zmagania się, przyczem nie tylko czysto ekonomiczne stosunki, ale i układ sił decydują o tem, jaką sumę środków żywności może uzyskać robotnik, na jakim poziomie ustala się jego stopa życiowa. Z wielkości środków żywności, otrzymywanych w postaci płacy roboczej wypływa następnie wartość zamienna poszczególnych wytworów według tego prostego klucza, że dany produkt zawsze wart jest tyle jednostek wyżywienia, ile jego wytworzenie kosztowało odpowiednich jednostek pracy (np. dni pracy), względnie odpowiednich części jednostki pracy.

Stolzmann rozwija to prawo kosztów pracy naj-

¹⁾ Na innym miejscu (Conrads Jahrbücher N. F. t. XIII, str. 46 i nast., a ostatnio w mojej »Positive Theorie« 3 wyd., str. 331 i nast. i ekskurs X) wypowiedziałem się szczegółowo na temat tego przekonania; tutaj z zasady unikam wszelkiej antykrytyki i dlatego nie będę się nad tą sprawą rozwodził.

pierw dla pewnego hypotetycznego prymitywnego pierwowzoru. Przypuszcza on, że grupa społeczna, złożona z dziesięciu osób wytwarza sobie swoje dziesięć jednostek wyżywienia, względnie dziesięć razy pokrycie całokształtu ludzkiego zapotrzebowania i to według jednolitego gospodarczego planu, stosując podział pracy. Każdy ze stowarzyszonych — równie pilnych i zręcznych — oddaje się wytwarzaniu jednego z dziesięciu rodzajów dóbr, składających całokształt zapotrzebowań, i, przeprowadzając to wytwarzanie od początku do końca, wyrabia w ciągu takiego samego czasu dziesięć sztuk danego dobra. W tych warunkach — powiada Stolzmann — nie może być żadnego innego podziału całokształtu produktu pomiędzy poszczególnych towarzyszy, jak ten, że każdy z nich, wzamian za pełną jednostkę pracy, jaką włożył w produkcję, otrzymuje równą jej, pełną jednostkę żywności, składającą się z dziesięciu dóbr, po jednej sztuce z każdego z dziesięciu rodzajów, poszczególne zaś dobra, wytworzone przez taką samą część jednostki pracy i przedstawiające taką samą część jednostki wyżywienia, wymieniałyby się pomiędzy sobą na tej samej stopie, gdyby wogóle do formalnej wymiany doszło. Dlaczego? Dlatego, że w danych warunkach wszyscy stowarzyszeni mają równą potęgę, żaden z nich nie podlega »stosunkom przymusowym« — przeciwnie, w razie, gdyby inni towarzysze usiłowali ograniczyć jednostkę wyżywienia jednego z pomiędzy siebie, względnie gorzej wynagradzać go za wytworzone dobra, uciśniony skutecznie bronić się może groźbą »ucieczki«, wycofania się ze spółki¹⁾.

Prawo kosztów pracy, doprowadzone w ten sposób do zgodności z »pierwowzorem«, przenosi następnie Stolzmann, z pewnemi, występującymi później, zmianami, na rozwiniętą gospodarkę społeczną. Tu podział jest o wiele bardziej skomplikowany: poczęści dlatego, że jednostki wyżywienia nie dają się poprostu »złożyć« ze swoich części składowych, a wymagają skomplikowanych procesów wymiany; poczęści dlatego, że w podziale biorą udział nie tylko robotnicy, ale też i kapitaliści i właściciele ziemscy. Istota procesu podziału pozostaje ta sama. Stolzmann wielokrotnie i z największym naciskiem odrzuca myśl, że każdy ze

współdziałających czynników produkcji ma prawo do części całości produktu, zależnie od stopnia, w jakim się do wytworzenia jego przyczynił, i że również momenty z zakresu techniki produkcji, czyli ekonomiczne, decydują o rozmiarach sum podziałowych, przypadających tej, czy innej stronie — zresztą całe jego dzieło, nie przypadkowo noszące tytuł: »Die soziale Kategorie«, poświęcone jest dowodzeniu, że nie czysto ekonomiczne, lecz głównie społeczne stosunki i układy sił rządzą współczesnym podziałem dóbr. »Siła jedynie, prawa podziału, oznaczają rozmiary poszczególnych udziałów« (41). »Ocena udziału czynnika natury z punktu widzenia techniki idzie zupełnie innemi drogami, niż społeczna ocena jego udziału i wydzielenie mu dochodu« (341). »O rozmiarach tego udziału decyduje nie usługa, którą pewien czynnik oddaje przy technicznym wytwarzaniu produktu, ale to, co człowiek, posiadający dany czynnik, może i musi uzyskać za jego udzielenie, jako dywidendę produktu« (338). Wartość całkowitego produktu dzieli się pomiędzy posiadaczy trzech czynników produkcji nie według określonego liczbowo udziału, jaki każdy z nich brał w wytwarzaniu całkowitego produktu, »ale według innych, dalszych zasad, a mianowicie według społecznego układu sił« (61).

A to w następujący sposób. Robotnik potrzebuje i wymaga swojej »jednostki wyżywienia robotnika«. Rozmiary tej jednostki zależą nie od produkcyjnego wyniku pracy, jak twierdzą inni teoretycy, ale w istocie od »każdorazowych społecznych stosunków klasowych«: »dotychczasowy sposób życia robotników, ich siła, ich chciwość i szacunek, który się ma dla nich, jako dla bliźnich, zależny od pojmowania godności ludzkiej, oraz wskazań etyki i religii« decydują o wysokości płacy, którą robotnik ma otrzymać (334). Ale i kapitalista chce żyć. I on potrzebuje i wymaga »jednostki wyżywienia kapitalisty«, której wielkość, podobnie, jak wielkość jednostki wyżywienia robotnika określa społeczny układ sił i usposobień, który przedstawia np. wysokość kultury, rozmiary i zakres modnych potrzeb, wykształcenie klasy kapitalistów, jej zrzeszenie w związki, syndykaty, koalicje, wreszcie wpływy i względy państwowe i t. p. (371 i nast.). Decydującem dla wysokości zysku z kapitału jest przytem dostawianie do tych wszystkich społecznych względów zapotrzebowanie »ostatniego« najmniejszego kapitalisty; innemi sło-

¹⁾ Op. cit. str. 31—36; porówn. też str. 304.

wy, kapitał musi dawać tyle procentów dochodu, by wynikała z tego wystarczająca jednostka żywności kapitalisty dla najmniejszego, w dzisiejszych warunkach posiadania i produkcji stojącego na granicy zdolności współzawodniczenia, a niezbędnego dla produkcyjnego zabezpieczenia społeczeństwa przedsiębiorcy, przy przeciętnie utrzymującym się stosunku pomiędzy kapitałem własnym, a pożyczonym.

W ten sposób określone są pierwiastki, z których przy rozwiniętej gospodarce społecznej wynika wartość zamienna produktów. Wartość zamienna towarów ustala się ostatecznie na takim poziomie, jaki jest niezbędny, by zastosowana przy wytwarzaniu praca została wynagrodzona według wymaganej przez robotników stopy płac roboczych, a współdziałający kapitał według stopy zysku, potrzebnej dla pokrycia jednostki wyżywienia kapitalisty. Właściciel ziemski natomiast występuje w roli »residual claimant«; otrzymuje, jako rentę gruntową tą część produktu, którą wyzyskując swe prawo własności gruntu może zagarnąć, a której wielkość określa się tem, co pozostaje po odliczeniu obu pierwszych, określonych udziałów z całkowitej wartości wyniku produkcji« (411).

W jaki sposób można było dojść do tego, by przedstawioną wyżej teorię wartości, która obok pracy i płac roboczych dostrzega też pierwiastek wartościotwórczy w wynagradzanych usługach kapitału, nazwać »teorią kosztów pracy«? — Określając funkcje kapitalistów, wynagradzanych zapomocą zysku z kapitału, jako pewien rodzaj pracy. Czyni to Stolzmann, określając, w samym końcu wykładu swego systemu, swoje ujęcie dochodu z kapitału, jako »społecznie niezbędne wynagrodzenie społecznie niezbędnych funkcji gromadzenia i zastosoowywania kapitału«, jako ujęcie »nie nowe« i w jądrze rzeczy zgodne z tem ujęciem, które nazwaliśmy wyżej niemiecką odmianą teorii pracy. Stolzmann cytuje zarazem zdanie A. Wagnera, według którego »praca«, którą kosztują produkta, obejmuje też niezbędne usługi prywatnych kapitalistów i przedsiębiorców, i oświadcza wręcz, że na myśli tej opiera nietylko, śladem Wagnera, społeczno-polityczne usprawiedliwienie zysku, ale i jego właściwe wytłumaczenie¹⁾. Jednak, zdaje

¹⁾ Op. cit. str. 421 i nast.

się, że Stolzmann nie zawsze miał przed oczyma to z punktu widzenia systematyki niezbędne zakończenie swojej teorii; są też w dziele jego ustępy, w których, określające wartość, kosztu pracy pokrywają się dla niego z sumami »jednostek wyżywienia robotnika«, otrzymywanymi przez robotników w węższym znaczeniu tego słowa¹⁾. Właściwy jego pogląd stanowi, mojem zdaniem, nie ten szereg ustępów, sprzecznych z jego zasadą, ale podniesienie funkcji kapitalistów do poziomu wymagającego wynagrodzenia rodzaju pracy.

Sądzę, że doktryna Stolzmann'a podlega na całej linii szeregowi zarzutów. Nie będę powtarzał raz jeszcze tego, co gdzieindziej mówiłem o teorii pracy w ogólności, a co dotyczy, oczywiście, i teorii pracy Stolzmann'a. Zadowolę się wskazaniem najbardziej rzucających się w oczy słabych stron, odznaczających specjalnie Stolzmannowskie sformułowanie teorii pracy.

Przedewszystkiem nie daje się utrzymać już z teorii wartości utworzony fundament całej jego doktryny, prawo kosztów pracy. Stolzmann usiłuje przedstawić je, jako jedyną możliwą podstawę kształtowania się wartości, na specjalnie ułożonym przykładzie-»pierwowzorze«. Popelnia przytem jednak błąd, ciekawy wskutek towarzyszących mu okoliczności. Sam Stolzmann słusznie zarzuca Ricardo'wi, który swoje prawo o ilościach pracy wyprowadzał z takiego samego, dowolnie zbudowanego przykładu-pierwowzoru, przeoczenie faktu, iż zgodność wartości z ilościami zastosowanej pracy możliwa jest tylko przy przypadkowych warunkach umyślnie wybranego przykładu (34

¹⁾ Np. str. 330, gdzie powiada: »kapitał w wartości swej odpowiada zawartym w nim kosztom pracy, kosztu pracy zaś równają się wypłaconym robotnikom, jako płace robocze, jednostkom wyżywienia robotnika«. Podobnież na str. 372, a później — tu już z liczbowym przykładem — na str. 378. Zwracam jeszcze uwagę, że w tych wywodach przyjmuje się istnienie kapitału w rozwiniętym społeczeństwie, a nie stan pierwotny, przed-kapitalistyczny. Te ustępy upoważniły mnie do zrobienia Stolzmannowi zarzutu (w omówieniu pracy Stolzmann'a w Zeitschrift für Volksw., Sozialpol. u. Verwaltung t. VII, str. 424), że ignoruje wpływ nierównych okresów czasu na kształtowanie się wartości. Po ponownem rozważeniu dochodzę jednak do przekonania, że ustępy te są tylko wynikiem prostego przeoczenia, a prawdziwe zdanie Stolzmann'a jest wyłożone w tekście.

i nast.). W tym samym zaś momencie popada w ten sam błąd. Potrójne przypuszczenie, że wszyscy stowarzyszeni z pierwotnego wzoru są równie pilni, równie zdolni i pracują okresach produkcji zupełnie równej długości¹⁾, wyeliminowało z warunków przykładu wszystkie momenty, któreby mogły odchylić wartość produktu od linii równoległej nie tylko z ilością pracy Ricarda, ale równie dobrze i z kosztami pracy Stolzmann'a, a zbliżyć ją ku innej, różniącej się od nich »wytycznej«. Z tegoż samego powodu klucz, który daje Stolzmann dla podziału produktu jest tylko »przypadkową cechą szczególną tej właśnie hipotezy«, ale nie zachowującym swe znaczenie we wszystkich wypadkach teoretycznym poznaniem. Gdyby Stolzmann do hipotezy swej wprowadził stowarzyszonych nie jednakowo zdolnych, lub pilnych, to szybko i pewnie by się przekonał, że nawet, gdy niema stosunków przymusowych, nie zawsze dadzą się uzyskać pełne, równe jednostki wyżywienia robotnika, i że przynajmniej znaczna część tego, co autor obejmuje tytułem »siły«, daje się wyprowadzić poprostu z ekonomicznej działalności odnośnych czynników produkcji. Jasne jest, że groźba »ucieczki« leniwego, czy niezręcznego robotnika o wiele trudniej »wymusi« na jego współtowarzyszach większą jednostkę wyżywienia dla niego, niż podobna groźba zręcznego i pilnego robotnika!

Zupełnie tak samo ma się rzecz z rozmaitą wielkością okresów czasu, który upływa pomiędzy zaczęciem pracy, a uzyskaniem gotowego do spożycia jej owocu, i musi być przez kogobądź wyczekany. W pierwowzorze Stolzmann'a względ na ten okres czasu nie może w niczem zawadzać wynalezionemu przezeń kluczowi kosztów pracy, gdyż Stolzmann przyjął, iż okres ten dla wszystkich prac i wszystkich rodzajów produktów jest jednakowy, a więc w każdym

¹⁾ Tego trzeciego przypuszczenia nie wypowiada Stolzmann dosłownie, ale implicite występuje ono całkiem wyraźnie, skoro z jednej strony przypuszcza się, że każdy stowarzyszony »od początku do końca wykańcza« wytwarzany przez siebie rodzaj dóbr, a więc przebiega cały okres produkcji, z drugiej zaś »w każdym okresie spożycia« istnieje dla zużytkowania ta sama ilość sztuk każdego rodzaju dóbr, tak, że okresy produkcji wszystkich dóbr muszą się równać okresom spożycia, a przez to samo muszą być równe pomiędzy sobą. Zdanie, uprawniające do takiego ujęcia, znajduje się też na str. 32-ej.

wypadku z innemi wzajemnie się równoważący. Ale Stolzmann nie może przecież i wprost nie chce przyjmować, że ta jednakowość okresów zdarza się też w życiu rzeczywistym i to tak często, że można ją uznać za wypadek normalny i podstawę do wyprowadzenia praw o powszechnem znaczeniu; tak samo nie powinienby Stolzmann bez dowodów przyjmować, że rozmaitość okresów, tam gdzie faktycznie występuje, niema znaczenia dla kształtowania się wartości. W istocie jednak przyjmuje to.

Porusza tę sprawę na str. 303 swojej książki, gdzie powiada, że »wykonana wcześniej«, i »wykonana później« praca jest »w istocie swej równa«, a różnica jest »tylko« w czasie i (w jego pierwowzorze) »nie wywiera żadnego wpływu na przyrost wartości i na podział«. »Stawka« pracy jest w obu wypadkach taka sama, więc przy podziale praca wcześniej wykonana zrównana być musi z późniejszą. Czas przy kształtowaniu się wartości i podziale może wogóle odegrywać rolę tylko jako czas pracy w ten sposób, »że wartości, dzielone pomiędzy poszczególnych robotników, jako wielokrotne jednostki wyżywienia, lub jej części, ustosunkowują się do długości czasu wypełnionego poszczególnemi pracami«, — niezależnie od tego, czy te prace zostały wykonane wcześniej, czy później. — Sądzę, że jest to poprostu przypuszczenie, sprzeczne z faktami, przypominające podobnie pozbawione dowodów zaprzeczenie wpływu czasu wyczekiwania u Marxa¹⁾, i będące u obu autorów *petitio principii* na korzyść zasady wartości, na którą się powołują²⁾.

Po tem, co już mówiłem o teorjach pracy w ogólności, nie potrzebuję powtarzać, jak nienaturalne i niezgodne z rze-

¹⁾ Patrz wyżej str. 561 i nast.

²⁾ Stolzmann usiłuje w szczególny sposób cios odwrócić, i mnie przypisać, jako *petitio principii*, dosyć chyba szczegółowo umotywowane dowodzenie, że nie tylko czas pracy, ale i czas wyczekiwania jest okolicznością, nieobojętną dla kształtowania się wartości i wynagrodzenia. Nie będę się tu wdawał w szczegółową antykrytykę, zwrócę tylko uwagę, że wszystkie próby Stolzmann'a wykazania, iż nawet w wypadku obioru dłuższych okresów produkcji »oczekiwanie« jest zbędnem dzięki zręcznemu przeprowadzonemu odpowiadaniu sobie stopni produkcji i zapotrzebowania (Soziale Kategorie str. 304 i nast., szczególnie 307, 308, 313), wydają mi się zawodne. Najdowcipniejsze ułożenie nie może koldry uczynić dłuższą, niż jest, i gdy Stolzmann uważa za możliwe spokojnie przypuścić, że właśnie »w każdym

czywistością jest przytoczone ujęcie Stolzmann'a, mia-
nujące wyraźny dochód z posiadania — płacą roboczą.

Całkowicie i wyraźnie błędem wydaje mi się wresz-
cie usiłowanie Stolzmann'a przypisania »jednostce wy-
żywienia kapitalisty« określającej, czy też przyczynowej roli
w procesie kształtowania się wartości i podziału. Jeśli jest
coś na świecie, co na całej linii jest nie przyczyną, ale skut-
kiem istnienia i wysokości zysku z kapitału, to właśnie stopa
życiowa kapitalistów. Niema żadnego minimum posiadana,
od któregoby jakaś społeczno-gospodarcza, czy z techniki pro-
dukcji wynikająca konieczność wymagała utrzymania posia-
dacza na pewnej określonej stopie życiowej z dochodu
z kapitału. Gospodarka społeczna kapitału potrzebuje; po-
nieważ gromadzenie kapitałów odbywa się przeważnie przez
osoby prywatne, i dopóki tak będzie, potrzebuje też kapita-
listów, ale w najmniejszym stopniu nie wymaga i nie po-
trzebuje, by pewna osoba, czy klasa osób utrzymywała się
przy pewnej stopie życiowej wyłącznie z dochodów
z kapitału. Jeśli ktoś ma za mało kapitału, by z docho-
dów jego żyć stosownie do swego stanu w sposób, jaki mu
odpowiada, to nie potrzebuje bynajmniej tego stanu porzu-
cać (można i próżniującego rentiera określić, jako odrębny
»stan«, na który jednak napewno niema nieodpartego gospo-
darczego zapotrzebowania!), ani ginąć ekonomicznie, ale
może sobie doskonale zdobyć to, czego mu brakuje, przez
zaofiarowanie, czy też wzmoczenie własnej swojej działal-
ności. Tak postępuje właściciel małego kapitału, który za-
razem dorabia sobie pewien dochód, jako urzędnik, lekarz,
służący, i tak postępuje też przedsiębiorca, który się nie
ogranicza do ogólnego kierownictwa w swoim przedsię-
biorstwie, ale sam w niem przykłada ręki do dzieła, odda-

czasie będą przygotowane do bezpośredniego spożycia w wystar-
czającej ilości dobra obecne« (313), uwalniające społeczeństwo od
wszelkiego uciążliwego czekania, to te »w wystarczającej ilości
dobra obecne« odegrywają w rozumowaniu jego rolę *deus ex
machina*: ich »gotowość« usunęłaby wprawdzie wszystkie trudno-
ści, ale nie jest ona wcale wytłumaczoną, podobnie, jak ich za-
pewniona »wystarczalność! — Szczegółowy rozbiór tej kwestji,
podjętej już wcześniej przez Clarka, a ostatnio przez Schum-
petera, patrz w *Zeitschrift für Volkswirtschaft, Sozialpolitik und
Verwaltung*, t. 16 (1907), str. 19 i n., 437 i nast., 455 i nast. (od-
nośnie do Clarka) i t. 22 (1913) str. 23 i nast. (odnośnie do
Schumpetera).

jąc faktyczne usługi dyrektora, kierownika, czy wykonawcy
robót przygotowawczych, bądź wreszcie prostego robotnika,
i w ten sposób we własnym swym przedsiębiorstwie zapraco-
wuje sobie na utrzymanie, na płacę roboczą.

Stolzmann dostrzega cały szereg trudności, jakie
przedstawia dla jego doktryny decydująca jednostka wyży-
wienia ostatniego kapitalisty: to, że kapitaliści, i to właśnie
najmniejsi, są to osoby, nie potrzebujące żyć z dochodu z ka-
pitału, tak samo jak drobni rzemieślnicy, robotnicy, urzęd-
nicy; że kapitalista nie zawsze oznacza to samo, co przedsię-
biorca; że próżniaczy kapitalista-właściciel pieniędzy wcale
nie jest koniecznością społeczną; że jeśli za osobistość de-
cydującą uznamy nie kapitalistę-właściciela pieniędzy, ale
przedsiębiorcę, produkcyjnie kapitał stosującego, to przedsię-
biorca znowu pracuje zazwyczaj nie tylko ze swoim własnym
kapitałem, tak że kapitał, posiadany przez ostatniego przed-
siębiorcę, wcale się nie pokrywa z kapitałem, jaki przedsta-
wia ostatnie przedsiębiorstwo i t. p. Przeglądowi tych wy-
liczonych przez samego autora trudności towarzyszy wyraźne
uznanie ich wagi. Wymyka się autorowi wyznanie, że przy
wejrzeniu w całkowitą rzeczywistość ujęciu jego »przeciw-
stawiają się zgola nieodparte trudności«, i że w szczególności
stanowiący podstawę jego teorii stosunek czynnika rzeczow-
wego do osobowego, czynnika produkcji — kapitału do jego
osobowego posiadacza — kapitalisty »może się wydać wcale
nieistniejącym, albo bardzo drugorzędnym i luźnym« (380).
Przechodząc do szczegółów, jedną z przeciwstawiających się
trudności uważa za »bardzo poważną«, a na pierwszy rzut
oka »prawie druzgocącą«; inna każe »prawie wątpić«, o pra-
widowości jego ujęcia, inna znowu zdaje się mu zgola »za-
przeczać« i t. d. Pomimo to sądzi Stolzmann, że zapomocą
całego systemu krętych i zawitych wyjaśnień, oraz śmiałych
dedukcji udaje mu się osłonić swoją teorię przed temi piętrzą-
cemi się trudnościami; zdaje mi się jednak, że tylko ktoś,
z góry przekonany o słuszności bronionej przez Stolzmann-
a teorii, jak sam jej autor, może się temi wywodami za-
dowolić. Uważam tedy dalszą szczegółową krytykę ich za
zbyteczną i chciałbym tylko, zachęcony przez najnowsze
oświadczenia Stolzmann'a, oświecić lepiej jeden jedyny
punkt.

W drugim wydaniu pracy niniejszej wyraziłem błęd-

nie przypuszczenie, że w myśli Stolzmann'a rola ostatniego, t. j. »najmniejszego« zdolnego do współzawodnictwa przedsiębiorcy-kapitalisty przypaść też może rzemieślnikowi, lub innemu przedsiębiorcy, żyjącemu nietylko z dochodu z kapitału, ale z połączonego dochodu z kapitału i z pracy, a więc istotnie »małemu«, i z tego wyprowadziłem pewne argumenty przeciw Stolzmann'owi. Stolzmann wystąpił z autentyczną interpretacją, w której najwyraźniej usunął ze swego pojęcia »ostatnich kapitalistów« rzemieślników i wogóle ludzi, »pracujących także z pomocą kapitału«; bierze on pod uwagę tylko tych przedsiębiorców-kapitalistów, dla przedsiębiorstw których stosowanie kapitału stanowi »zasadniczą podstawę«, którzy, jako posiadacze »czysto kapitalistycznych« przedsiębiorstw występować mogą i działać na rynku »potężnie« i »rozstrzygająco«, którzy wreszcie »ostatecznie w ciężkich czasach zarządzają przedsiębiorstwem po zwolnieniu dyrektora«, ale przeciętnie nie wykonywują w nim żadnej pracy; »kapitalista« bowiem nie »pracuje« i nie otrzymuje żadnej »płacy«, płaca, wyliczana we własnym przedsiębiorstwie to *contradictio in adjecto*, to »nonsens«¹⁾.

W sensie tedy tej autentycznej interpretacji można, używając dziwnego, ale jasnego wyrażenia, przez Stolzmann'a zresztą nie użytego, powiedzieć, że potrzeby życiowe »najmniejszego wśród największych« ustalają wysokość stopy zysku z kapitału: kapitał dawać musi tyle procentów dochodu, by wyżej opisany »najmniejszy« przedsiębiorca-kapitalista, bez żadnego dodatku zapracowanej płacy roboczej, która z góry jest dla niego wykluczona, »wyłącznie z dochodu z kapitału«²⁾ mógł żyć na odpowiedniej swemu stanowisku stopie.

Zdaje mi się, że przeciwnik, któryby chciał doktrynę Stolzmann'a doprowadzić *ad absurdum*, nie mógłby jej w tym celu lepiej zaostrzyć, niż to on sam w swoich dobitnych wyjaśnieniach uczynił. Przecież jak ironja brzmi już przejęte ze świata pojęć zwolenników teorii wartości krańcowej pojęcie »ostatniego, najmniejszego kapitalisty«, którego szukać należy w szeregach wielkich kapitalistów! Ale,

¹⁾ »Zweck« str. 418, 419, 421.

²⁾ Słowa te sam Stolzmann (»Zweck« 422) podkreśla przez rozstawienie liter.

co ważniejsza, zaostrenie to najdobitniej wykazuje, jak słusznym był mój zarzut przeplatania przyczyn i skutków, postawiony teorii Stolzmann'a. Już podstawowa idea teorii podziału Stolzmann'a, idea »niezbędnej społecznie jednostki wyżywienia« przewraca, mojem zdaniem, do góry nogami, i to na całej linii, naturalny związek rzeczy. Fakt, że ludzie żyją na pewnej określonej stopie, jest wynikiem procesu podziału, a nie jego wyjaśniającą przyczyną. Nie dlatego, że ludzie »społecznie niezbędnie« na pewnej określonej stopie żyć muszą, należące do nich czynniki produkcji przynoszą tyle, że się na tej stopie mogą utrzymać, ale dlatego, że należące do nich czynniki produkcji, według praw, na wyjaśnieniu których polega właśnie zagadnienie podziału, uzyskują wynagrodzenia pewnej określonej wysokości, mogą stojące za temi czynnikami osoby prowadzić życie na danej stopie i przyzwyczaić się do niego, aż do uznania go za odpowiadające ich stanowi. Stosuje się to, jak się coraz jaśniej przekonujemy, do płac roboczych, w stosunku do których jeszcze najłatwiej powstałby mógł pozór odwrotny. Ale i odnośnie do płac roboczych współczesne teorie nie mogą zadowolić się prawem Ricarda o »naturalnych«, odpowiadających stanowi i przyzwyczajeniom płacach roboczych, gdyż gromadzone w ciągu dziesięcioleci doświadczenia coraz jaśniej wykazują, że prawo to, jeśli wogóle zgadza się z faktami, odwraca stosunek przyczynowy: płaca nie jest wysoka dlatego, że robotnicy przywykli do wyższej stopy życiowej, ale robotnicy przywykli do wyższej stopy życiowej dlatego, że płace w ciągu dłuższego czasu były wysokie, a to z przyczyn całkiem innych, które wyjaśniać powinna teoria płac¹⁾.

Najjaskrawiej dotyczy to dochodu z kapitału. Daremnym trudem byłoby usiłowanie przekonania nas, że kapitał dlatego daje zysk, i to zysk o określonej wysokości, że »społecznie niezbędnie« istnieć muszą ludzie, którzy, stojąc na czele przedsiębiorstw, trzymają płatnych dyrektorów, a prócz tego z samego dochodu z kapitału prowadzić mogą życie, odpowiadające stanowi wielkiego kapitalisty. Dla każdego nieuprzedzonego umysłu aż nadto jest jasnym, że przeciwnie,

¹⁾ Porównaj o tem świeżo wydana praca Tugan-Baranowsky'ego »Soziale Theorie der Verteilung« 1913, str. 20.

tylko dlatego istnieć mogą ludzie tego rodzaju, że kapitał daje dochód z innych przyczyn, które teoria właśnie powinna wyjaśnić; a przy badaniu tych przyczyn znacznie więcej powinno być mowy o pewnych faktach natury przyrodniczo-technicznej, które Stolzmann gwałtem usiłuje odsunąć na plan dalszy, jak np. o większej wydajności metod produkcji stosujących większe kapitały i t. p., niż o całkiem wątpliwych »koniecznościach społecznych« pewnych »najmniejszych«, bez osobistej współpracy żyjących tylko z dochodu z kapitału, wielkich przedsiębiorców!

Nie mogę na zakończenie nie zauważyć, że wywody Stolzmann'a w poszczególnych ustępach bardzo mi się podobają przez swe świeże i oryginalne rysy, oraz przez widoczną energię swoich sposobów badania; pozytywne ich, teoretyczne wyniki jednak, jak już powiedziałem, uważam za tak mało zadawalające, że w historii teorii zysku z kapitału nie odegrają chyba nigdy większej roli.

VI.

Niemalą jest też liczba tych teoretyków, którzy w ostatnich czasach przyznają się do motywowanej teorii produkcyjności, bądź w czystej formie, bądź eklektycznie. Nie pretendując do wyczerpania ich listy, wymienię z pisarzy romańskich Maurice'a Blocka¹⁾, Pantaleoniego²⁾ i Landry'ego³⁾, z anglo-amerykańskich Francisa Walkera⁴⁾, J. B. Clarka⁵⁾ i Seagera⁶⁾, z niemieckich znów Dietzela, który przez dziwną eklektykę w metodzie część zjawiska zysku stara się wyjaśnić za pomocą teorii wyzysku, część zaś zapomocą teorii produk-

¹⁾ Progrès de la science économique depuis Adam Smith (Paris 1890) II, 319 i n., 328, 335 i nast.

²⁾ Principii di Economia pura, Florencja 1889 (drugie, zmienione wydanie 1894), str. 301; ujęcie Pantaleoniego, zaznaczone bardzo krótko, porusza się, moim zdaniem, całkowicie w kierunku i zakresie teorii Wiesera, szczegółowo omówionej poniżej.

³⁾ L'intérêt du capital 1904.

⁴⁾ Quarterly Journal of Economics, lipiec 1892; porównaj też mój artykuł w odpowiedzi na to, tamże, kwiecień 1895.

⁵⁾ Distribution of wealth 1899; Essentials of economic theory 1907.

⁶⁾ Principles of Economics 1913.

cyjności¹⁾, następnie zaś Philippovicha²⁾, Diehla³⁾, Juljusza Wolfa⁴⁾, Wiesera⁵⁾, Gebauera⁶⁾, Engländera⁷⁾, Bundsmanna⁸⁾, wreszcie Karola Adlera⁹⁾.

Wśród tych pisarzy osobne miejsce zajmują ci, którzy teorię swoje określają mniej lub więcej wyraźnie, jako »teorię produkcyjności«, ale w całym motywowanym rozumowaniu, zapomocą którego wyprowadzają zysk z produkcyjności kapitału, wykazują tyle pokrewieństwa z współczesnym kręgiem myśli teorii aggia, że faktycznie bliżsi są jej, niż teorii produkcyjności dawnego typu. Taka odmiana teorii produkcyjności nie powinna nas zbytnio zadziwiać, gdyż teoria aggia tak często posilkowała się też i użytkowała zasadnicze fakty, które zazwyczaj określa się jako »produkcyjność kapitału«, a mianowicie większą wydajność kapitalistycznych metod produkcji, że już niejednokrotnie tak zwolennicy jej, jak i przeciwnicy określali ją, jako rodzaj teorii produkcyjności¹⁰⁾.

Charakterystyce tej odpowiadają w powyższej liście ostatnio wydane prace, szczególnie teorie Clarka, Sea-

¹⁾ Patrz niżej, VIII.

²⁾ Grundriss der Pol. Oekonomie, t. I, 1893; § 119; wyd. 10-e 1913, § 108—110.

³⁾ P. J. Proudhon, Seine Lehre u. sein Leben, II Abt. (Jena 1890), 216—225.

⁴⁾ Sozialismus und kapitalistische Gesellschaftsordnung, Stuttgart, 1892.

⁵⁾ Der natürliche Wert, Wien 1889.

⁶⁾ Das Wesen des Kapitalzinses und die Zinstheorie von Böhm-Bawerk, Breslau 1904.

⁷⁾ Zur Theorie des Produktivkapitalzinses. Halle 1908.

⁸⁾ Das Kapital, Innsbruck 1912.

⁹⁾ Kapitalzins und Preisbewegung, München 1913.

¹⁰⁾ Np. już Pierson w »de Economist« 1899 str. 217 i nast., następnie Wicksell, Über Wert, Kapital und Rente str. 86, Diehl w Conradische Jahrbücher, 3 F. B. 35 (1908) str. 551, a ostatnio znów Brown The marginal productivity versus the impatience theory w Quart. Journal of Economics, sierpień 1913, str. 631. Ja sam już przed wielu laty (w artykule »Zins« w Handwörterbuch der Staatswissenschaften) oświadczyłem, że »gdyby się tego określenia używało bez błędnego pobocznego znaczenia, które nadawali mu dawni zwolennicy teorii produkcyjności, a które, niestety, i dziś jeszcze często i chętnie mu się nadaje, to nie miałbym mu wiele do zarzucenia, oprócz tego, że w moim ujęciu produkcyjność kapitału nie jest bezpośrednią, a i nie

gera, Landry'ego, Bundsmanna, Karola Adlera, także i Philippovicha, który przynajmniej w ostatnich wydaniach swego znanego i szeroko rozpowszechnionego podręcznika wykazuje poważne zbliżenie do poglądów teorii aggia.

Inne teorie pozostają przeważnie w typowych dla teorii produktywności ramach, a jeśli wychodzą z nich cokolwiek,

jedyną przyczyną zjawiska zysku. Takie jest moje zdanie i dzisiaj. Jeśli się chce tylko ogólnikowo wyrazić, że i teoria aggia główną część swoich wyjaśnień czerpie z (technicznej!) produktywności kapitału, to można ją ostatecznie nazwać motywowaną teorią produktywności. Nie będzie to jednak całkowicie prawdziwe. Przedewszystkiem bowiem takie określenie zacierą zupełnie skoordynowane, choć słabsze co do stopnia, współdziałanie przy powstawaniu zysku »pierwszej« i »drugiej przyczyny« z mojej teorii, następnie zaś pomija właśnie rys charakterystyczny, odróżniający teorię aggia od innych, pokrewnych jej, teorii zysku: przeprowadzenie oddziaływania wszystkich trzech dalszych przyczyn powstawania zysku zapomocą wspólnego ognia pośredniczącego — różnicy wartości pomiędzy dobrami teraźniejszymi i przyszłymi. Wiem doskonale, że ten rys właśnie stanowi kamień obrazy dla wielu zbliżonych do mnie zresztą teoretyków; pomimo to jednak muszę, jak to już zaznaczyłem wyżej (t. I, str. 347 i nast.), uważać go za właściwy rys decydujący. Nie widzę przynajmniej wcale, w jaki inny sposób jakakolwiekby teoria zysku dałaby się uzgodnić z powszechnie już dziś prawie przyjętym w teorii twierdzeniem, że wartość środków produkcji wyprowadza się z wartości wynikających z nich produktów i zasadniczo im się równa. Kto przyjmuje to twierdzenie, nie może już, sędzę, przyjąć bez pośredniego oddziaływania produktywności kapitału w kierunku wytwarzania się nadwartości. Próby takie, jakie podejmował np. swego czasu Wieser, a ostatnio Landry, muszą zawsze zawieść. (Patrz jeszcze niżej i Ekskurs XIII). Fisher popelniał błąd odwrotny, przyjmując, że produktywność kapitału działać może tylko za pośrednictwem subiektywnych przyczyn, (określonych przez niego, jako »impatience«), a więc w łańcuchu wyjaśnień stoi jeszcze o jedno ogniwo poza »impatience«. Brown ma niewątpliwie słuszną przeczecą mu i podkreślając, że produktywność i »impatience« stać muszą na jednej linii obok siebie, że więc produktywność działa niemniej bezpośrednio, niż »impatience«: obie oddziałują na zysk za pośrednictwem wspólnego ognia pośredniego — wyższej wartości dóbr teraźniejszych; wskutek czego to ogniwo pośrednie zdaje mi się być ogniwem właściwego wyjaśnienia, a nie zwykłym rysem »opisowym«. Patrz też wyżej str. 177, ods. 1-y. Zatrzymuję to samo potraktowanie sprawy i w stosunku do ostatnich wywodów Fettera w jego bardzo interesującym artykule »o starych i nowych teoriach zysku« (patrz wyżej str. 161, ods. 2-i),

to tak nieznacznie, że przedstawienie ich i krytyka nie mogłyby się obejść bez uciążliwych dla czytelnika powtarzań znanych mu już biegów myśli¹⁾. Na szczegółowy rozbiór zasługuje tylko zupełnie samoistna teoria Wiesera.

Wieser zasłużył sobie na trwałą wdzięczność nauki przez swoje głębokie badania rozmaitych stosunków zachodzących pomiędzy wartością dóbr, składających się na ko-

¹⁾ Dotyczy to też bardzo szczegółowych, ale też zdaniem mojem bardzo niejasnych wywodów Wolfa. Przypuszczając on istnienie »zdolności kapitału produkowania wartości«, ale przy uzasadnianiu tego przypuszczenia zadawała się twierdzeniami, których ja żadną miarą nie mogę uważać za uzasadnienia i wyjaśnienia, tylko za parafrazy samego zagadnienia. Przypuszczoną przez siebie zdolność produkowania wartości tłumaczy, jako »zdolność kapitału dawania dochodu, przekraczającego 1-0: własne jego koszty, 2-0: koszty czynników produkcji, ewentualnie technicznie zdolnych do odtwarzania kapitału«, i tezę tę »popiera« »przez każdymu dostępne spostrzeżenie«, że nadwyżki tego rodzaju pojawiają się, gdy za pośrednictwem kapitału uzyskuje się korzyści, wypływające z podziału pracy, używania maszyn, metod wielkiego przemysłu i wymagających »wkładów« sił przyrody. Kapitał jest tedy »bezwątpienia obiektywnym pośrednikiem produktywności« (op. cit. str. 461 i nast.). — Zapewne, że używanie kapitału bezwątpienia »pośredniczy« przy powstawaniu nadwyżki wartości; to jest przecież przyczyną, dla której te nadwyżki wartości teoretycznie i praktycznie określa się wogóle, jako dochody z kapitału, albo zysk z kapitału, a nie np. jako płacę roboczą, lub dochód przedsiębiorcy. Ale ten fakt jest właśnie przedmiotem zagadnienia zysku, przedmiotem wyjaśnienia dla wszystkich teorii zysku, a wcale nie dowodem, czy poparciem prawdziwości pewnej określonej teorii, przypuszczającej np. zdolność kapitału »produkowania wartości«. W polemicznej części swojej pracy czuje też Wolf potrzebę pewnego uzupełnienia swojego »wyjaśnienia«. Powiada mianowicie, że trzeba, by spożywcza wyżej cenil sumę produktów, zwiększoną powiedzmy w czwórnasób dzięki zastosowaniu kapitału, niż samo zużycie kapitału, jeśli »wytwórca ma się wogóle decydować na posługiwanie się kapitałem«, a spożywcza dlatego gotów będzie wyżej ją cenić, że »ceniąc ją wyżej, otrzymuje też usługę kapitału, bez której za produkt w czwórnasób większy, musiałby płacić też w czwórnasób więcej, gdy tak płaci tylko trzy, lub dwa razy więcej. Ten więc, kto decyduje o wartości towaru (spożywcza), aby mieć jakiś dochód z zastosowania kapitału, musi, pod naciskiem celowego i rozsądnego rozumowania, dawać kapitaliście coś więcej, prócz prostego zwrotu jego wydatków, i w ten sposób dopomagać mu do uzyskiwania zysku z kapitału«. W ten sposób prosta zdolność kapitału produkowania dóbr przechodzi w zdolność produkowania wartości (str. 466). — Ale zresztą, jak wiadomo, »celowe i roz-

szła wytwarzania, a wartością ich produktów¹⁾, a także przez nieprześcignione w jasności wyjaśnienie, iż istnieje zagadnienie ekonomicznego zaliczania, różne od fizycznego zaliczania udziału kilku współdziałających czynników w wytwarzaniu jednego wspólnego produktu, i że to zagadnienie tak teoretycznie, jak i praktycznie może być rozwiązane²⁾. Zdaje mi się, że Wieser ma nieco mniej szczęśliwą rękę przy pozytywnym ukształtowaniu swojej próby rozwiązania zagadnienia, szczególnie przy zastosowaniu swojej teorii zaliczania do wyjaśnienia zysku z kapitału; sądzę, że głównie dlatego, iż nie został całkowicie wiernym własnym teoretycznym przypuszczeniom i w wyjaśnieniu przeszedł do myśli, zupełnie dla rozwiązania tego nieodpowiedniej, a prócz tego jaskrawo sprzecznej z innymi przesłankami teorii zaliczania Wiesera.

W swoim wzorowym postawieniu zagadnienia zaliczania wychodzi Wieser z założenia, że gospodarczy udział, jaki każdy z licznych współdziałających czynników bierze w wytwarzaniu wspólnego produktu (Wieser nazywa go »produkcyjnym przyczynkiem«), daje się wyśledzić i wydzielić; i że wartość dóbr produkcyjnych wypływa z wielkości tego »zaliczonego« na ich dobro udziału w wyniku; to ostatnie w ten sposób, że łączna wartość miarodajnego³⁾, w sensie »prawa krańcowych jednostek«, produktu zostaje dana do podziału pomiędzy wszystkie współdziałające przy jego wytwarzaniu dobra produkcyjne, przyczem częśćka wartości,

sądne rozumowanie« przy stanie skutecznego współzawodnictwa w ten sposób kieruje postępowaniem obu partij rynkowych, że cena produktów sprowadza się do ceny kosztów: obniżenie kosztów wyraża się w stanieniu towarów. Dlaczego właśnie tu tego nie czyni, przynajmniej nie do końca? Powinno to być nieco wyraźniej wytłumaczone, niż zapomocą podanego już przez Adama Smitha patryjarchalnego motywu, że kapitalista musi mieć zysk, bo inaczej nie miałby żadnego interesu w produkcyjnym zastosowaniu kapitału! — O ile można sądzić, i w ostatniej swej pracy »Nationalökonomie als exakte Wissenschaft« 1908, stoi Wolf bez zmiany na stanowisku teorii produkcyjności.

¹⁾ Über den Ursprung und die Hauptgesetze des wirtschaftlichen Wertes, Wien 1884, str. 129 i nast.; Der natürliche Wert, Wien 1889, str. 67 i nast., 164 i nast.

²⁾ Der natürliche Wert, § 20.

³⁾ Der natürliche Wert, str. 96 i nast.

przypadająca na każdy poszczególny czynnik, opiera się na wielkości jego »produkcyjnego przyczynku«, suma zaś wszystkich produkcyjnych przyczynków dokładnie pokrywa się z wartością produktu¹⁾.

Nie potrzebujemy tu opisywać sposobu, w jaki się, zdaniem Wiesera, wydziela wielkość produkcyjnego przyczynku każdego poszczególnego czynnika²⁾: chociaż kwestja ta może być dla innych zagadnień bardzo ważną, ale żadnej roli nie odegrywa w rozwiązaniu, jakie Wieser chce dać problematowi zysku. Wystarczy raz na zawsze stwierdzić, że według Wiesera produkty z zasady powstają ze współdziałania ziemi, kapitału i pracy, i że każdemu z tych trzech czynników, a więc i czynnikowi-kapitałowi, zaliczyć trzeba pewną część wyniku, jako jego produkcyjny przyczynek. Że z tego ostatniego dobywa się czysty zysk z kapitału, zależy zdaniem Wiesera — tu stanowczo ma słuszość — nie od tego, czy produkcyjny przyczynek kapitału w porównaniu do przyczynku ziemi, czy pracy, odmierzany jest wyżej, czy niżej, ale wyłącznie od zjawisk, które się w pewnej mierze odbywają wewnątrz należnej kapitałowi części wyniku produkcji. A to następującym sposobem.

»Każdy kapitał daje najpierw i bezpośrednio tylko dochód brutto, t. j. taki, który się opłaca zmniejszeniu substancji kapitału«³⁾. Warunki, w których ten dochód brutto może się stać źródłem dochodu czystego, formuluje Wieser w ten sposób, że w dochodzie brutto wszystkie zużyte części kapitału znajdują się odtworzone na nowo, a pozatem istnieć tam jeszcze musi pewna nadwyżka. W tej nadwyżce i skierowanej ku wytwarzaniu jej »produkcyjności kapitału« odróżniać należy fizyczną nadwyżkę i fizyczną produkcyjność kapitału z jednej strony, i nadwyżkę wartości oraz zdolność kapitału do produkowania wartości z drugiej. Kto chce rozwiązać zagadnienie zysku z kapitału musi ostatecznie tę zdolność produkowania wartości udowodnić i wyjaśnić. Niezbędnym mostem, prowadzącym do tego udowodnienia, jest wcześniejsze udowodnienie fizycznej

¹⁾ Der natürl. Wert, str. 85 i nast., szczególnie 87, 90, 91, 92.

²⁾ Patrz też o tem szczegółowe rozważania w moim Exkursie VII do 3-go wydania Positive Theorie, szczególnie str. 70 i n.

³⁾ Natürl. Wert, str. 123.

produkcyjności kapitału¹⁾. Wieser przeprowadza tedy swoje wyjaśnienie przez dwa etapy: w pierwszym stara się udowodnić i wyjaśnić fizyczną produkcyjność kapitału w tym sensie, że suma zdobytych dóbr dochodu brutto jest większą, niż suma zniszczonych dóbr-kapitałów²⁾; w następnym trzeba wyjaśnić, że wartość dochodu brutto jest większą, niż wartość zużytego kapitału³⁾.

Dowiedzeniu pierwszego członu rozumowania poświęca Wieser następujący ustęp:

»Niewątpliwie łączny produkt wszystkich trzech czynników produkcji, ziemi, kapitału i pracy, jest dosyć duży, by zastąpić zużyty kapitał i dać czysty dochód. Jest to notoryczny fakt gospodarczy i równie mało wymaga dowodzenia, jak i fakt, że wogóle istnieją dobra, albo produkcja. Oczywiście, tu i tam jakimś produkcyjnemu przedsięwzięciu się niepowodzi, tak, że nie może pokryć swoich wydatków, niektóre przedsiębiorstwa nie dają wcale wytworów, zdalnych do użytku, ale są to wyjątki; zasada jest, że się używa czyste dochody, i to czyste dochody ogromnych rozmiarów, nie tylko utrzymując więcej, niż miliard ludzi, ale dostarczające źródeł dalszego pomnażania kapitałów. Może powstawać tylko jedna kwestja, czy należy część tych niewątpliwych czystych zysków przypisywać czynnikowi kapitałowi — ale i ta kwestja nie może być stawiana poważnie. Dlaczego by taka część nie miała przypadać właśnie kapitałowi? Skoro raz się zrozumiało i przyznało, że kapitał jest gospodarczym czynnikiem produkcji, na rachunek którego zalicza się część produkcyjnego wyniku, to trzeba również zrozumieć i przyznać, że należy mu się też część czystego dochodu, w który się dopiero wciela wynik produkcyjny. Czyżby kapitał był w stanie wytworzyć tylko nieco mniej, niż odtworzenie siebie samego? Przypuszczenie takie byłoby wręcz dowolne. Czyżby miał zawsze tylko siebie odtwarzać, niezależnie od tego, jakby cała produkcja wypadła? I to

¹⁾ »Zadaniem teorii jest ostatecznie dowiedzenie zdolności kapitału produkowania wartości, ale dla tego celu trzeba najpierw dowieść fizycznej produkcyjności, która jest dla pierwszej podstawą. Zdolność produkowania wartości przypuszcza z góry określenie wartości kapitału, do określenia zaś wartości kapitału można dotrzeć tylko po załatwieniu sprawy zaliczenia fizycznego dochodu, gdyż wartość kapitału opiera się na zaliczonych częściach dochodu«. Op. cit. str. 124.

przypuszczenie byłoby równie dowolne. Można kapitałowi odmówić czystego dochodu tylko wtedy, jeśli mu się wogóle odmówi udziału w wyniku produkcji⁴⁾.

Tutaj, zdaniem mojem, uczynił Wieser pierwszy krok błędny na swojej drodze. Przypuszczając, że wogóle drogą zaliczania można bezpośrednio przysądzić pewnemu czynnikowi czysty dochód, lub część czystego dochodu, wymaga od operacji zaliczania rzeczy, której ona z natury swej dokonać nie może. Wyrzeknijmy się wszystkich zwodniczych słów i trzymajmy się całkiem sucho i trzeźwo istoty rzeczy. Jaki jest — według samegoż Wiesera — przedmiot i zadanie zaliczania?

Podział łącznego wyniku produkcji pomiędzy czynniki, współdziałające przy jego wytwarzaniu. A więc rozpoznawanie udziału tych czynników w uzyskiwaniu wyniku brutto. Tak postawił Wieser zagadnienie zaliczania w licznych i zupełnie niedwuznacznych oświadczeniach, tak je wyjaśnił na praktycznych przykładach, i tak też powinno być rozumiane, jeśli umożliwiające przez nie wyśledzenie zaliczanych udziałów⁵⁾ ma znaleźć zastosowanie. Gdy np. Wieser zalicza wartość cynowego naczynia na rachunek roboty snycerza i materiału, z którego zostało wyrzeźbione⁶⁾, gdy przy wyśledzaniu udziału w wyniku produkcji, jaki przypada ziemi, za punkt wyjścia przyjmuje łączną wartość owoców tej ziemi⁷⁾, gdy sumę wszystkich produkcyjnych przyczynków pokrywa dokładnie wartością łącznego wyniku produkcji⁸⁾, a wartość każdego poszczególnego czynnika wyprowadza z jego produkcyjnego przyczynka, to jasne jest, że przedmiotem tego zaliczania jest i musi być wynik brutto produkcji, a specjalnie produkcyjny przyczynek czynnika kapitału jest i musi być częścią tego wyniku brutto i niczem innym. Jeśli np. pewien rolnik używa ze swojej ziemi, przy współdziałaniu robotników i kapitału, składającego się z ziarna siewnego, narzędzi rolniczych, nawozów sztucznych, bydła i t. p. łączny dochód 330 korcy zboża, to zaliczanie ma rozstrzygnąć, jaką część tych

⁴⁾ Op. cit. str. 124 i nast.

⁵⁾ Op. cit. str. 87.

⁶⁾ Op. cit. str. 86.

⁷⁾ Op. cit. str. 113.

⁸⁾ Str. 87.

330 korcy zawdzięcza rolnik swojej ziemi, jaką współdziałającemu i zużywającemu się w części rolniczemu kapitałowi. Jeśli rozważania, na podstawie których się to rozstrzyga, przypadkowo wykażą, że każdemu z trzech czynników przypada taki sam udział w wytwarzaniu tego wyniku, to produkcyjny przyczynek każdego z nich oznaczmy liczbą 110 korcy, przyczem jasnym jest zupełnie, że udział 110 korcy, przypisany współdziałaniu kapitału, jest częścią wyniku brutto. Czy w tej części dochodu brutto znajdzie się też część dochodu czystego, a także, czy części dochodu brutto, przypisane ziemi i pracy, mogą się z jakiegokolwiek punktu widzenia przedstawić, jako czyste dochody, są to pytania, wychodzące poza zakres zagadnienia zaliczania; pytania, dla rozwiązania których wielkość przypisywanych różnym czynnikom części dochodu brutto może być pierwiastkiem ważnym, a nawet bardzo ważnym, ale jednak zawsze tylko poszczególnym pierwiastkiem, obok którego wpływ wywierają i inne fakty i postrzeżenia, nic nie mające do czynienia z operacją zaliczania. Zaliczanie kończy się w naszym przykładzie oświadczeniem, że z łącznego wyniku produkcji 330 korcy wytwórcza zawdzięcza po 110 korcy współdziałaniu ziemi, pracy i kapitału: ale nic więcej już nie mówi.

Jednakże Wieser uważa za możliwe wykazywać, iż drogą zaliczania należy też przypisać kapitałowi część czystego dochodu. Ale, rzecz równie ciekawa, jak charakterystyczna, dlatego tylko mógł nawiązać to swoje dowodzenie, że — oczywiście nieświadomie — używa wyrażenia »czysty dochód« w sensie dwuznacznym, prowadzącym do licznych błędów. »Niewątpliwie« — powiada w cytowanym wyżej ustępie — »łączny produkt wszystkich trzech czynników produkcji, ziemi, kapitału i pracy, jest dosyć duży, by zastąpić zużyty kapitał i dać czysty dochód«. Zapewne, i to w bardzo zrozumiały sposób. W tym zwrocie nazwana jest »czystym dochodem« nadwyżka łącznego wyniku pracy ziemi, pracy i kapitału, albo, innymi słowy, nadwyżka wartości, wytworzonej przez trzy czynniki ponad wartość jednego z nich. Fakt zaś, że trzy czynniki, razem wzięte, mogą wytworzyć więcej, niż wart jest jeden z nich, jest nietylko sam przez się rzeczą bardzo prawdopodobną, ale zgoła oczywistą w zakresie doktryny, która, jak doktryna Wiesera, zasadniczo każe wartości produktu po-

krywać się z wartością sumy czynników produkcji: w oświeceniu takiego ujęcia istnienie »czystego zysku« oczywiście jest w tym samym stopniu i z tej samej przyczyny, jak to, że całość musi być większą od części, albo, że pełna paka musi mieć nietylko »wagę brutto«, ale jeszcze i pewną »wagę netto«, oprócz wagi samej pustej paki!

Zupełnie jasne jest przytem, że przyczyny, dla których przy konstruowaniu tego czystego dochodu, jaki daje całość produkcji, odlicza się z jej surowego wyniku wartość zużytego kapitału, a nie wartość zużytej usługi ziemi i spożytej pracy, zupełnie nie niema do czynienia z zagadnieniem zaliczania. Przyczyn tych, jak wiadomo, szukać należy jedynie we właściwościach punktu widzenia, z jakiego obserwujący ocenia wynik produkcji. Jeśli się zmienia ten punkt widzenia, to zmienia się też i postępowanie w kwestji odliczania, lub nieodliczania wartości pozostałych czynników produkcji. Przedsiębiorca na przykład, który kupuje i opłaca cudzą pracę, musi ze swego indywidualnego gospodarczego stanowiska odliczać z dochodu brutto także wartość zużytej pracy¹⁾. Jeśli zaś stanimy na tak zwanym społeczno-gospodarczym stanowisku — jak to np. robi Wieser w swoim powiedzeniu, że z tego »czystego dochodu w najszerszym zakresie« utrzymuje się więcej, niż miliard ludzi — to odliczanie takie znów nie może mieć miejsca. Jasnym jest przytem zupełnie, że zagadnienie zaliczania nic nie ma do czynienia z wyborem pomiędzy temi dwoma możliwymi punktami widzenia i odpowiadającymi im różnymi metodami obliczania czystego dochodu: ile dochodu brutto zalicza się na dobro czynnika pracy? to jedno pytanie, i to pytanie z zakresu zaliczania; ale czy opierając się na tej zaliczonej części wyniku wartość samej pracy należy odliczać z dochodu

¹⁾ Można też rozważać rzecz, przynajmniej o ile chodzi o wytwarzających na własny rachunek, z tego punktu widzenia, czy wynik pracy wyrównuje, czy zgoła przekracza przykrość pracy: jeśli korzyść, jaką pracujący osiąga z wyniku pracy, jest mniejsza, niż związana z pracą przykrość, to z pewnego, dopuszczalnego i ważnego, punktu widzenia można powiedzieć, że praca się nie opłaca; i odwrotnie, nadwyżkę korzyści ponad wycierpianą dla jej uzyskania przykrość, ująć można, jako »czystą korzyść« (Marshalla »producer's surplus«; Principles, wyd. 3-e, str. 217).

brutto, czy też nie, to pytanie drugie, zupełnie odrębne i niezależne.

Pomimo to Wieser chce wyzyskać istnienie czystego dochodu o opisanem wyżej pochodzeniu i właściwościach, jako drogę do wyjaśnienia, że specjalnie na korzyść kapitału zaliczyć należy pewien czysty dochód. Powstać mogłoby tylko jedno pytanie — tak wyraża się on w cytowanym wyżej ustępie — czy należy zaliczyć też na korzyść czynnika kapitału część tego niewątpliwego czystego dochodu: ale i to nie może być poważnie kwestjonowane. Bo »dlaczegoż właśnie kapitałowi nie miałyby przypaść taka częśćka?«

Odpowiedź bardzo prosta: dlatego, że to, co nazywamy czystym dochodem z kapitału, właśnie jest nie »takim« czystym dochodem, ale wielkością o zupełnie innych cechach, a w istnieniu swem związaną z zupełnie innymi i o wiele ściślejszymi warunkami. Bo gdy czysty dochód produkcji, oglądany z wyżej opisanego punktu widzenia, już istnieje, gdy cały dochód brutto, wytworzony przez trzy współdziałające czynniki, razem wzięte, większy jest, niż wartość zużytego kapitału, czysty dochód z kapitału zjawia się wtedy dopiero, gdy już przypisana czynnikowi kapitałowi część dochodu brutto większą jest, niż zużyty kapitał. I ziszczenie się pierwszego stosunku, właśnie wskutek całkowitej rozmaitości przypuszczeń, absolutnie nie pociąga za sobą konsekwencji nawet w najmniejszym stopniu opartej na prawdopodobieństwie, czy analogji, że i drugi stosunek musi, czy powinien się ziścić. Zupełnie prawidłowem i jasnem jest, że trzech ludzi razem są w stanie podnieść ciężar większy, niż waga jednego z nich; ale z tego, że trzech ludzi razem są w stanie podnieść wagę większą, niż waga jednego z nich, nie wynika bynajmniej, że i ten jeden będzie w stanie sam podnieść wagę większą, niż jego własna. Możliwe, że będzie mógł to zrobić; ale jeśli to przypuścimy i zechcemy wytłumaczyć, będziemy musieli przytoczyć specjalne, odnoszące się do tej jednej osoby, dowody; niepodobna ich jednak wydobywać z faktu, że trzech ludzi razem mogą podnieść wagę większą, niż waga jednego ze swoich towarzyszy!

Ale jeśli zburzymy tę drogę wyjaśniającą, jaką Wieser przeprowadza od czystego dochodu w jednym do czy-

stego dochodu w drugim sensie, to w całym dowodzeniu jego nie pozostanie nic, na czemby się wyjaśnienie czystego zysku z kapitału oprzeć mogło. Gdy na pytanie: »Czyżby kapitał był w stanie wytworzyć tylko nieco mniej, niż odtworzenie siebie samego?« autor odpowiada: »przypuszczenie takie byłoby wręcz dowolne« — ma najzupełniejszą słuszość. Ale gdy zapytuje w dalszym ciągu: »Czyżby miał zawsze tylko siebie odtwarzać, niezależnie od tego, jakby cała produkcja wypaść mogła?« i znów odpowiada: »i to przypuszczenie byłoby również dowolne« — to tego już nie można przyjąć bez zastrzeżeń. Dochód z kapitału, zależnie od stopnia powodzenia przedsiębiorstwa, mógłby się bowiem wprowadzić odchyłać w tę, lub w drugą stronę od sumy zużytego w produkcji kapitału, ale mogłaby jednak istnieć tendencja do przeciętnego dochodu z kapitału takiego, któryby tylko pokrywał zużyty kapitał i właśnie w związku z doktryną, która, jak to u Wiesera ma miejsce, przeprowadza zasadniczo wartość produktu na środki, niezbędne dla jego wytwarzania, przypuszczenie takie nie powinno się wydawać całkiem dowolnem. Ale jeśli nawet przypuścimy, że takiem jest, to z dowolności tych dwu pierwszych przypuszczeń nie wynika bynajmniej, że trafnem i słusznem, czy nawet uzasadnionem jest trzecie przypuszczenie, że kapitał z zasady wytwarzać musi więcej, niż potrzeba dla jego odtworzenia. Oczywiście, dowolnością byłoby przypuścić, że człowiek jest w stanie podnieść tylko ciężar mniejszy od własnej swej wagi, równą dowolnością byłoby też przypuścić, że jest w stanie podnieść ciężar dokładnie równy jego własnej wadze nie mniejszy i nie większy, ale tak samo, o ile niema żadnej innej pozytywnej racji po temu, dowolnością byłoby przypuścić, że każdy człowiek jest w stanie podnieść więcej, niż sam waży. Jeśli z trzech możliwych zasad dwie nie dają się dowieść, to wcale z tego nie wynika, że trzecia jest prawdziwą, a tylko wogóle może być podane w wątpliwość istnienie jakiejkolwiek bądź prawidłowości. A skoro, jak w naszym wypadku, nie z takich sylogizmów, ale z innych źródeł, z doświadczenia wiemy, że istotnie zaliczana na korzyść kapitału część wyniku produkcji z zasady przekracza sumę zużytego kapitału, to z tych nic nie stwierdzających sylogizmów nie pada na fakt ten ani jeden promyk wyjaśnienia, które jest zadaniem każdej teorii zysku.

I w dalszym ciągu nic podobnego niema miejsca. Wieser chce na konkretnym przykładzie lepiej oświecić swoje ogólne twierdzenie i wybiera w tym celu wypadek maszyny, wypierającej pracę ręczną. »Wszędzie, gdzie kapitał wypiera pracę, gdzie np. maszyna przejmie pracę, wykonywaną dotychczas rękami ludzkimi, należy kapitałowi, maszynie, przypisać co najmniej dotychczasowy dochód pracy. Ponieważ zaś był to czysty dochód, więc i na korzyść dobra-kapitału (maszyny) zaliczyć należy czysty dochód«¹⁾. Nie potrzebuję już chyba znowu tłumaczyć uważnemu czytelnikowi, że i ten sylogizm nie ma innego oparcia, niż zganione wyżej dwuznaczne używanie wyrażenia »czysty dochód«. Błędność wniosku jest tu jeszcze widoczniejsza. Czysty dochód w pierwszym sensie — gdy się nie odlicza wartości pracy od jej wyniku — dać może nawet zastosowanie pracy niewydajnej, nieekonomicznej, nie pokrywające kosztów pracy, np. zastosowanie, w którym się zużywa pracę wartości 100 fl., a dodaje się do wyrobionego surowca tylko wartość 50 fl. Któżby jednak mógł, pozostając w ramach Wieserowskiego wnioskowania, dojść do przekonania, że nawet kapitałowi, zastępującemu taką pracę, o takim, czy nawet trochę korzystniejszym wyniku, nie zbędnie przypisać należy nietylko dochód brutto, ale i pewien czysty dochód, chociażby ten dochód, jaki się przypisywało wypartej przezeń pracy, i że to będzie »czysty dochód«?

Gdy dalej w długich, do Thünera nawiązanych, wywodach²⁾, usiłuje Wieser wykazać, że technicznie możliwym jest dopomaganie kapitału do wytwarzania produktu, przekraczającego jego własne rozmiary, to rozbija się o tę samą rażę, o którą rozbił się w swoim czasie Thüner. Kapitał nie odtwarza literalnie siebie samego i jeszcze coś w dodatku. Wytwarza on zupełnie inne produkty, które są z nim współmierne tylko pod względem wartości. Łuk i strzały dają, jako swój produkt, ubitą zwierzynę, a nie nowy łuk i strzały; a że ta ubita zwierzyna posiada większą wartość, niż zużyte dla jej zdobycia łuk i strzały, to nie jest to fakt techniczny, któryby mógł wyjaśnić przedmiot za-

gadnienia zysku, t. j. czysty dochód z kapitału, ale właśnie sam fakt, stanowiący przedmiot zagadnienia, a przez to wymagający wyjaśnienia¹⁾. Wieser widzi doskonale tę rażę: wyraźnie podkreśla, że dochód łuku i strzały »jest dochodem brutto w innych przedmiotach, które pierwszych nie zastępują, i porównywać się z nimi dają tylko w wartości, ale nie w ilości«²⁾. Wydaje mu się jednak, że omija trudność zapomocą dosyć mglistego »pośredniego działania kapitału«. »Raz zdobyte posiadanie łuku, strzał i sieci ułatwia ich odtwarzanie, choć na nie bezpośrednio nie wpływa: ułatwia je przez nadzwyczajny wzrost dochodu brutto w rybach i zwierzynie, którego skutkiem jest możliwość poświęcania więcej czasu i pracy na wytwarzanie dóbr-kapitałów. Dlatego trzeba ostatecznie w łącznym wyniku produkcji przypisać czysty dochód tym dobrom-kapitałom, tak, jak gdyby się same bezpośrednio z nadwyżką odtwarzały«.

Sądzę, że powstać już mogą wątpliwości, czy ten »pośredni« związek jest dosyć mocny i nieprzerwany, by można było oprzeć na niem dokładne zaliczanie. Szczególnie wątpliwym może być, czy techniczna współmierność pomiędzy produktami, które pracujący spożywa, a temi, które ma znów wytworzyć nie jest raczej przerwana, niż ułatwiona przez wprowadzenie członą pośredniego w »osobie pracującego«, ponieważ pracujący subiekt gospodarczy — poza wypadkiem niewolnictwa, traktowanego z najbrutalniejszego punktu widzenia posiadacza niewolników — przedstawia niewątpliwie z jednej strony, jako czynnik produkcji, elementarną siłę produkcyjną, z drugiej zaś, jako spożywca, ostatecznego odbiorcę, cel i zakończenie trudów odbytego procesu produkcji, tak, że jego wystąpienie oznaczać może raczej przerwę w technicznym procesie produkcji, zamknięcie produkcji dotychczasowej, przechodzącej w spożycie, a rozpoczęcie innej, nie zaś dalsze prowadzenie tego samego procesu produkcji.

Pozostawię tymczasem na stronie tę równie delikatną, jak trudną kwestję. Gdyby się nawet usiłowane przez Wiesera wyjaśnienie nie natknęło na żadną z licznych wątpliwości, do których prowadzi, to zachwiałoby się w każdym razie w drugiej części swego programu, tej, której zadaniem

¹⁾ Str. 125.

²⁾ §§ 36 i 37.

¹⁾ Patrz wyżej, I, s. 170 i nast.

²⁾ Str. 130.

jest wyprowadzenie zdolności kapitału produkowania wartości z jego produkcyjności fizycznej. Przypuśćmy nawet, że udało nam się dowieść, iż na korzyść kapitału zaliczyć należy fizyczną masę produktu, większą od masy, przedstawiającej zużyty kapitał, to jednak pozostaje jeszcze dowieść i wytłumaczyć, że ta większa masa produktu musi też mieć większą wartość, niż kapitał, z którego wynika. Nietylko, że nie jest to wcale oczywiste, ale wręcz sprzeczne z ogólnymi przypuszczeniami teorii zaliczania Wiesera. Cała teoria wartości i teoria zaliczania Wiesera opiera się na idei, że wartość dóbr wynika z przypisywanej im (krańcowej) użyteczności. Ważne to jest zarówno dla dóbr produkcyjnych, jak i dla dóbr, przeznaczonych wyłącznie do spożycia. Dobra produkcyjne są użyteczne za pośrednictwem swoich produktów: więc korzyść, jaką się zawdzięcza jakiemuś dobru produkcyjnemu równa się z zasady korzyści, jaką się zawdzięcza jego produktom. To też i dobro produkcyjne, skoro w prowadzi wartość swoją z tej samej wielkości korzyści, powinno mieć z zasady tę samą wartość, co przypisywany mu produkt; tak więc — jeśli się nie wmięsza z innej strony — całkiem nowy, specjalny wpływ — nadwyżka wartości produktu ponad wartość odpowiadającego mu dobra produkcyjnego, a więc zdolność kapitału produkowania wartości, musi być z góry wykluczona.

Wieser dostrzega też i tę rafa, na którą zwracałem uwagę, omawiając dawniejsze teorie produkcyjności¹⁾, i wskazuje ją wyraźnie sobie i czytelnikowi. »Kapitał« — powiada — »wartość swą otrzymuje od swych owoców; jeśli się tedy... od wartości tych owoców odejmiemy zużycie kapitału z jego wartością, to... rachunek musi się sprowadzić do zera — zawsze odjąć trzeba tyle, ile wynosi wartość owoców, która przecież daje miarę tego, co trzeba odjąć; obrachunek wartości nie pozostawia więc żadnego czystego dochodu i zysk z kapitału nietylko nie zostaje wyjaśniony, ale jest wręcz wykluczony«²⁾. Wieser sądzi jednak, że »rozwiąże« te wątpliwości z pomocą podtrzymania, jakiego mu dostarczają wyniki jego badań nad zaliczaniem. Jego teoria zaliczania upoważnia go do przypisywania kapitałowi nietylko dochodu

brutto, ale i fizycznego czystego dochodu. »W dochodzie brutto odtwarza się kapitał z fizyczną nadwyżką, czystym dochodem; z tego wynika, że kapitał nie może być ocenionym w wysokości całej wartości dochodu brutto. Przy odtwarzaniu kapitał przedstawia tylko część swego własnego wyniku, a więc może brać na siebie tylko część jego wartości. Skoro dochód brutto posiada wartość 105, a część tej sumy 5 odchodzi na owoce produkcji, które mogą być spożyte bez naruszenia pełnego odtworzonego kapitału »to tylko reszta 100 może być uważana za wartość kapitału«¹⁾.

Zdaje mi się, że temu biegowi myśli zarzucić można dwie rzeczy. Przedewszystkiem, jak starałem się już wykaazać, zwalczać można przesłankę, że zasady zaliczania wogóle prowadzą do zaliczenia kapitałowi pewnego fizycznego czystego dochodu²⁾. Ale gdyby nawet ta przesłanka była prawdziwą, to wyprowadzony z niej wniosek nim nie jest. Gdyby rzeczywiście na korzyść kapitału, składającego się ze 100 sztuk pewnego dobra, należało zaliczyć surowy dochód, obejmujący 105 takich samych sztuk tego samego dobra, a więc »fizyczny czysty dochód« z 5 sztuk, to z tego stanu rzeczy, przy ogólnej zasadzie identyczności wartości środków produkcji i ich produktu, wyciągać się daje jedyny prawidłowy wniosek, że wartość poszczególnej sztuki nie jest ta sama w obu pokoleniach kapitału, a 100 sztuk pierwszego pokolenia kapitału musi być warte tyleż, co 105 sztuk następnego, np. pokolenia z następnego roku; w takim wypadku zapewnioną byłaby równa wartość kapitału i całego jego dochodu brutto.

Do swego przeciwnego wniosku, że wartość kapitału wyraża się w sumie mniejszej, niż suma jego surowego dochodu brutto, dochodzi Wieser tylko zapomocą dalszego logicznego błędu, wynikającego z mylnego zwrotu dyalektycz-

¹⁾ Op. cit. str. 136; porówn. też 134 i nast.

²⁾ Aby uniknąć nieporozumienia, muszę wyraźnie zwrócić uwagę, że Wieser przypuszcza istnienie fizycznej produkcyjności kapitału w takim sensie, który się różni od wszystkich licznych znaczeń wyrażenia »produkcyjność kapitału«, jakie wyliczyłem i wyjaśniłem w rozdziale VII-ym pracy niniejszej, na str. 109 i nast. t. I., a także i od tego, jakie ja sam przyjąłem w swojej własnej pozytywnej teorii dla fizycznej produkcyjności, oraz uczynilem podstawą dla części mojego dowodzenia; patrz »Positive Theorie« wyd. 3-e, str. 154 i nast.

¹⁾ Patrz wyżej, I, str. 194.

²⁾ Op. cit. str. 134 i nast.

nego. Powtarza się tu błąd, znany w dziejach teorii zysku. Podobnie, jak dawni kanoniści wraz ze swymi ówczesnymi przeciwnikami¹⁾, a ostatnio jeszcze K n i e s²⁾, przypuszcza Wieser identyczność pierwotnego kapitału z równą liczbą takich samych sztuk tego samego dobra w następnym okresie. Fikcję tę przeprowadza dialektycznie. Przypuszczony z góry — słusznie, czy niesłusznie — stan rzeczy, w którym na korzyść kapitału zalicza się większa ilość produktu, niż ta, z której on sam się składa, wyraża w niebezpiecznych słowach: »w dochodzie brutto odtwarza kapitał siebie z pewną fizyczną nadwyżką«; z tej podstawy wywodzi krok za krokiem dalej: »kapitał przy odtwarzaniu stanowi tylko część swego własnego dochodu brutto« i wskutek tego, może on (kapitał) zawierać tylko część wartości dochodu brutto. Wyrażając się prawidłowo, powinienby był Wieser w pierwszym zdaniu powiedzieć tylko: »W dochodzie brutto wytwarza kapitał rozporządzalną w warunkach innego czasu jednakową ilość takich samych sztuk tego samego dobra i jeszcze pewną ich ilość ponadto«; drugie zdanie brzmiałoby wtedy prawidłowo: »ta jednakowa ilość stanowi tylko część dochodu brutto«, wniosek wreszcie to tylko mógłby twierdzić, że ta jednakowa ilość może przejmować tylko część wartości dochodu brutto. Krótko mówiąc, jasnym i dowiedzionym jest, że 100 sztuk, czy jednostek drugiego pokolenia kapitału mają mniejszą wartość, niż 105 sztuk tego drugiego pokolenia; ale wobec tego, że pierwotny kapitał, składający się ze 100 sztuk, wcale a wcale nie jest identyczny ze 100 sztukami drugiego pokolenia, nie ma też żadnego uzasadnienia do przeniesienia tego stosunku wartości do dochodu brutto na pierwotny kapitał.

Prawdą byłoby raczej stwierdzenie, że kapitał wart jest tyleż, co cały jego dochód brutto, chociażby nawet składający się z większej ilości sztuk; byłoby to też zgodniejsze z ogólnymi zasadami teorii Wiesera, którym autor nie pozostał całkowicie wierny. Skąd się bierze później, wobec tej początkowej jednostajności, przyrost wartości, który jest podłożem zysku z kapitału, to jest właśnie zasadniczy moment zagadnienia zysku; wyjaśnienia dla niego dostarcza,

¹⁾ Patrz wyżej, t. I, str. 261 i nast., szczególnie 266.

²⁾ Patrz wyżej, t. I, str. 251 i nast., również moja »Positive Theorie« wyd. 3-e, str. 491.

mojem zdaniem, wpływ oddalenia w czasie na ocenę wartości dóbr, względnie dojrzwowanie mniej wartościowych z początku dóbr przyszłych do całkowitej wartości dóbr teraźniejszych¹⁾, ale nigdy sprzeczne z zasadą przypuszczenie, że w przeciwieństwie do wszystkich innych dóbr, dobra-kapitały wyprowadzają wartość swoją tylko z części korzyści, której powstanie im się przypisuje!

Rzecz szczególna, w dalszym biegu swoich badań dochodzi też Wieser do uznania twierdzenia, stanowiącego punkt środkowy mojej teorii zysku, że teraźniejsze dobra z zasady mają większą wartość, niż przyszłe; uważa je jednak nie za punkt wyjścia, ale za skutek przedstawionych przez siebie wzajemnych zależności, nie za przyczynę zjawiska zysku, ale za jego skutek²⁾. Jeśli się całkowicie nie mylę, to twierdzenia tego nie można też wyprowadzić jako konsekwencję, z poglądów Wiesera, gdyż poprostu niepodobna go z nimi pogodzić. Skoro kapitał, składający się ze 100 sztuk, w ciągu roku przynosi dochód brutto ze 105 sztuk, to nie może być jednocześnie prawdą, że kapitał, składający się ze 100 sztuk teraźniejszych, posiada wartość o 5% mniejszą, niż jego dochód brutto, składający się ze 105 sztuk, i że te 100 sztuk teraźniejszych ma taką samą wartość, jak 105 sztuk z następnego roku! Wieser mógł dojść do tego ostatniego — całkowicie słusznego — twierdzenia³⁾ tylko przez to, że porzucił tutaj niedopuszczalną fikcję identyczności teraźniejszego kapitału z równą ilością sztuk jego dochodu, co prawda, nie powinienby był już tej samej fikcji wprowadzać do poprzednich swoich rozumowań!

Teoria zysku Wiesera, wyłożona bardzo wymownie i z wielu głębokimi momentami, jest więc tem ciekawszą, że przedstawia całkiem swoistą próbę zbudowania nawskróś współczesnego systematu na podstawie starych myśli: tyle razy i w tylu odmianach wprowadzanej na scenę »produk-

¹⁾ Bliżej w części II-ej pracy niniejszej.

²⁾ Op. cit. str. 138. »Wcale jednak nie jest obojętnem, czy się go (kapitał) posiada teraz, czy się będzie posiadało po latach, gdyż posiadanie dzisiejsze zapewnia pewien dochód, zysk... Suma obecna zawsze ma większą wartość, niż taka sama suma później posiadana«.

³⁾ Znajduje się ono na str. 138 op. cit. w tej formie, materialnie identycznej, że »100, które mam otrzymać dopiero za rok, dziś warte są mniej więcej tylko 95«.

cyjności kapitału» i starej, czcigodnej fikcji identyczności pierwotnego kapitału z »główną sumą«, służącą w następnym okresie dla jego »zastąpienia«. Próba ta, jak mi się zdaje, nie wypadła pomyślnie. Stare i nowe myśli kłócą się pomiędzy sobą. Tylko dzięki dialektycznej ustepliwości autora dała się od biedy ukryć w krytycznych ustępach sprzeczność myśli starych z nowymi, których ustalenie stanowi właśnie trwałą sławę Wiesera; ale wewnętrznego związku pomiędzy sprzecznymi pierwiastkami być nie mogło. Ale to, że nawet podjęta z takim bogactwem teoretycznych sił i środków, próba ożywienia teorii produkcyjności kapitału zawiodła, zdaje mi się najlepszym dowodem, że na tej drodze nie można wcale osiągnąć rozwiązania zagadnienia zysku¹⁾.

VII.

Teoria w zysku zataczała szerokie koła w teoretycznej dyskusji w ciągu całego omawianego okresu. Dyskusja ta była nawet tutaj szczególnie ożywiona i ruchliwa dzięki pewnemu odrębnemu osobistemu rysowi, a także pewnego rodzaju dramatycznemu napięciu, które ją cechowały. Wśród wszystkich pisarzy socjalistycznych Karol Marx wywarł największy wpływ na swych towarzyszy w poglądach — może przy niesprawiedliwej ocenie innych, szczególnie wysoko pod względem naukowym stojącego R o d-

¹⁾ Druk książki tej był już prawie ukończony, gdy mi wpadło w ręce świeżo wydane najnowsze dzieło Wiesera (*»Theorie der gesellschaftlichen Wirtschaft«*, jako część *»Grundriss der Sozialökonomik«*, Tübingen 1914). Mogłem je tylko w pośpiechu bardzo pobieżnie przejrzeć. Zdaje mi się, że rozpoznaję z niego, iż Wieser naogół wierny pozostaje poglądom na teorię zysku ze swoich prac wcześniejszych, ale oświadcza, że nie może się wdawać w szczegółowsze polemiczne wywody, i wskutek tego nie podaje całkiem wyraźnie konkretnych kontr-argumentów, zapożyczając których ma zamiar bronić swoich teorii zaliczania i zysku przed licznymi zarzutami: z niezmiennego w istocie swej powtarzania starych teorii dowiadujemy się, że skierowane przeciw niemu zarzuty go nie przekonały, ale nie wiemy, jakie ma podstawy ta niezmiennosc przekonań. W tych warunkach mogę tylko, niestety, skonstatować dalszą różnicę w poglądach na niektóre najważniejsze teoretyczne kwestje, jaka mię dzieli od tak blisko mi zresztą stojącego obojście i naukowo znakomitego badacza, ale nic w niej narazie zmienić nie mogę.

bertusa. Dzieło Marxa przedstawiało zarazem oficjalną doktrynę współczesnego socjalizmu. Stało się też punktem środkowym napaści i obrony: polemiczna literatura okresu jest zarazem literaturą Marxowską.

I to w szczególnie naprężonych okolicznościach. Marx umarł, nie doprowadziwszy do końca swego dzieła o kapitale. Brakujące części znalazły się jednak w jego spuściźnie w prawie wykończonym rękopisie. Miały one przedewszystkiem przynieść wyjaśnienie kwestji, która stanowiła ośrodek wszystkich napaści na teorię w zysku, i teraz miało być oczekiwana przez obie strony decydująca próba możliwości utrzymania systemu Marxa, jak oczekiwali jedni, czy też niemożliwości, jak się spodziewali drudzy: kwestji, w jaki sposób jednolita — jak wykazuje doświadczenie — stopa zysku z kapitału da się pogodzić z rozwinięciem w pierwszym tomie pracy Marxa prawem wartości i całą teorią w zysku¹⁾. Właśnie wydanie dotyczącego tej kwestji trzeciego tomu przewlekło się o 11 lat jeszcze od śmierci Marxa, aż do 1894-go roku. Naprężone oczekiwanie rozstrzygnięcia tego, co sam Marx powie o tym najdrażliwszym punkcie swojej doktryny, znajdowało ujście w rodzaju literatury proroczej, która stawiała sobie za zadanie wyprowadzenia przypuszczalnego poglądu Marxa na »przeciętną stopę zysku« ze znajdujących się w pierwszym tomie przesłanek. Ta literatura prorocza wypełnia cały dziesięć lat od 1885 do 1894, i zawiera poważny szereg większych i mniejszych prac²⁾. Drugi akt, a zarazem punkt szczytowy dramatycznego

¹⁾ Patrz wyżej rozdz. XII, str. 88 i nast.

²⁾ Zestawienie ich podałem już przy innej sposobności (w pracy *»Zum Abschluss des Marxschen Systems«* w *»Festgaben für Karl Knies«* 1896, str. 6). Zawiera ono: Lexis, *Jahrbücher für Nationalökonomie*, 1885, N. F. t. XI, str. 452—465; Schmidt, *Die Durchschnittsprofitrate auf Grund des Marxschen Wertgesetzes*, Stuttgart 1889; omówienie tej pracy przez autora w *Tübinger Zeitschrift f. d. ges. Staatsw.*, 1890, str. 590 i nast., przez Lorie w *Jahrbüchern für Nationalökonomie*, N. F. t. 20 (1890) str. 272; Stiebeling, *Das Wertgesetz und die Profitrate*, New-York 1890; Wolf, *das Rätsel der Durchschnittsprofitrate bei Marx*, *Jahrb. für Nationalökonom.* III F. t. 2 (1891) str. 352 i nast.; znowu Schmidt, *Neue Zeit* 1892/3 N. 4 i 5; Landé, tamże N. 19 i 20; Fireman, *Kritik der Marxschen Werttheorie*, *Jahrb. f. Nationalökonom.* III F. t. 3 (1892) str. 793 i nast.; wreszcie Lafargue, Soldi, Coletti i Graziadei w *Critica Sociale* od lipca do listopada 1894.

rozwoju stanowi przypadające na r. 1894 wydanie pośmiertnego trzeciego tomu przez Engelsa. Jako trzeci akt dołącza się do tego nadzwyczaj żywa teoretyczna dyskusja, której przedmiot stanowiła krytyczna ocena tego trzeciego tomu, jego stosunek do punktu wyjścia systemu i dalsze widoki Marxizmu, a której koniec nie jest jeszcze bliski¹⁾.

Mogę się tu zadowolić prostym zarejestrowaniem tych faktów, ponieważ wyżej już przedstawiłem i podałem krytycznej ocenie ich treść naukową. Nie ukrywałem tam też swego przekonania, że wielka próba wypadła na niekorzyść doktryny Marxa o wartości i nadwartości, i że oznaczyła dla niej początek końca.

Rozpatrywany przez nas okres jest nacechowany przez inne jeszcze niezmiennie charakterystyczne swoiste teoretyczne zjawisko, które musi być wspomniane na tem miejscu, a które gdzieindziej już określiłem, jako »wulgarnie-ekonomiczną latorośl socjalistycznej teorii wyzysku«²⁾. Jest to mianowicie ten szczególny fakt, że różni wybitni teoretycy niesocjalistycznego kierunku, nie przyjmujący też w teorii wartości przesłanek socjalistycznej teorii wyzysku, przyznają się jednak do ogólnego poglądu na zysk z kapitału, różniącego się od poglądu teorii wyzysku nieco łagodniejszą i wstrze-

¹⁾ Z istniejących do dzisiaj pism tego charakteru należy wymienić: liczne artykuły w *Neue Zeit*, szczególnie Engelsa (XIV Jahrgang, t. I Nr. 1 i 2), Bernsteina i Kautsky'ego; następnie Loria, *L'opera postuma di Carlo Marx* (Nuova Antologia, luty 1895); Sombart, *Zur Kritik des oekonomischen System von K. Marx* (Archiv für soz. Gesetzgebung u. Statistik, t. VII, zeszyt 4); wyżej wymieniony artykuł autora, *Zum Abschluss des Marxschen Systems*, 1896; Komorzyński, *Der dritte Band von Karl Marx »das Kapital«* (w *Zeitschr. für Volksw., Sozialpol. u. Verwaltung*, t. VI, str. 242 i nast.); Wenckstern, »Marx«, Leipzig 1896; Diehl, *Über das Verhältnis von Wert und Preis im ökonomischen System von Karl Marx* (w *Festschrift zur Feier des 25-jährigen Bestehens des staatsw. Seminars in Halle, Jena 1898*); Labriola, *La teoria del Valore di C. Marx*, Mediolan 1899; Graziadei, *La produzione capitalistica*, Turyn 1899; Bernstein, *Die Voraussetzungen des Sozialismus und die Aufgaben der Sozialdemokratie*, Stuttgart 1899; Masaryk, *Die philosophischen und soziologischen Grundlagen des Marxismus*, Wien 1899; Weisengrün, *Das Ende des Marxismus*, Leipzig 1899. Patrz też literaturę, podaną wyżej na str. 58 i nast.

²⁾ Einige strittige Fragen der Kapitalstheorie, Wien 1900, str. 111 i nast., (wydrukowane też w t. VIII *Zeitschrift für Volkswirtschaft, Sozialpolitik und Verwaltung*).

mięźliwszą, czy mniej konsekwentną formą, ale nie istotą rzeczy.

Najwybitniejsze oświadczenia tego rodzaju pochodzą od Dietzela i Lexisa. Dietzel przyznaje się do mniemania, że »jego zdaniem teoria wyzysku w jądrze swem nie daje się zaprzeczyć« i oświadcza, że musi się trzymać zdania, »że ściąganie zysku jest »historyczną« kategorią, mającą swe korzenie we współczesnym prawie i jednym z rodzajów dochodu, na którego istotę słusznie »krzywo się patrzy«, że w porządku społecznym, takim, jak dzisiejszy, niezbędnie wykroczyć musi przeciw zasadzie »*suum cuique*«¹⁾. Lexis zaś wyraża zdanie, że normalny dochód z kapitału »uzależniony jest« od gospodarczego układu sił, uwarunkowanego przez posiadanie kapitałów i stan całkowitego nieposiadania. Nie da się zaprzeczyć jakim jest źródło dochodu posiadacza niewolników, to samo odnosi się i do »sweatera«. W normalnym stosunku przedsiębiorcy do robotnika niema wprowadzić »takiego wyzysku«, ale jest gospodarcza zależność robotnika, która niewątpliwie wywiera wpływ na podział wyniku pracy. Na udział robotnika w wyniku produkcji wpływa ta niepomyślna dla niego okoliczność, że nie może on samodzielnie wykorzystać swojej siły roboczej, a musi ją sprzedawać za mniej lub więcej wystarczające środki utrzymania, wyrzekając się własnego produktu²⁾. Przy innej sposobności szczegółowiej jeszcze wyjaśnia Lexis swój pogląd na pochodzenie zysku z kapitału, mówiąc, że »kapitalistyczni sprzedawcy, wytwórcy surowca, fabrykant, hurtownik, drobny kupiec mają dochód ze swoich przedsiębiorstw, bo każdy z nich sprzedaje drożej, niż kupił, więc własną swoją cenę kosztu towaru podnosi o pewną stopę procentową. Tylko robotnik nie jest w stanie zdobyć sobie podobnego dodatku wartości, wskutek swego niepomyślnego położenia w stosunku do kapitalisty zmuszony jest sprzedawać swoją pracę za własną cenę kosztu, t. j. za niezbędne środki utrzymania. Jeśli więc nawet kapitaliści, kupując ze swojej strony towary po zwiększonej cenie, tracą część tego, co nabyli, jako sprzedawcy, zapomocą nadwyżki ceny, to te nadwyżki zachowują swe całkowite znaczenie w stosunku do kupującego robotnika

¹⁾ Göttinger Gelehrte Anzeigen Nr. 23, 1891, str. 935 i 943.

²⁾ Schmollers Jahrbücher t. XIX, str. 335 i n.

i działają w kierunku przeniesienia części wartości łącznego produktu na klasę kapitalistów¹⁾.

Wszystkie te oświadczenia wyrażają niewątpliwie myśl, że dochód z kapitału — i to, podkreślam, nie tylko przesadna, zapomocą szczególnej presji osiągnięta, jego część, ale zwykły, »normalny« dochód z kapitału, jako taki — wynika z nacisku, jaki klasy posiadające wywierają na klasy nieposiadające, wykorzystując swoje silniejsze stanowisko w walce o ceny — a więc właściwie tę samą myśl, która stanowi treść socjalistycznej teorii wyzysku.

Przy obiektywnej charakterystyce tych wywodów wskazać należy na dwie okoliczności, które może łączyć pewna wzajemna zależność. Przedewszystkiem na to, że ukazywały się one dotąd, jako wywody okolicznościowe, i to właśnie w okolicznościach, które wprawdzie wymagały od autorów wyrażenia swego własnego poglądu na teorię zysku, ale bez konieczności ścisłego i mocnego uzasadnienia tego poglądu; przy krytycznym omawianiu cudzych (pochodzących od *Marxa* i od autora tej książki) teorii zysku. Następnie zaś wskazać trzeba na to, że te wywody przedstawiają się dotąd, jako proste wyrażenia przekonania, jako wyznania wiary swoich autorów; ci zaś nie dają wcale zamkniętego, możliwego do utrzymania teoretycznie, ich uzasadnienia, nawet nie starają się o to. *Dietzel* nie dodaje do odnośnych swoich oświadczeń ani słowa uzasadnienia, a skąpe uwagi, w które zaopatruje *Lexis* swoje poglądy, są tak mgliste i tak wyraźnie pozostawiają niewyjaśnionem samo jądro zagadnienia²⁾, że chyba sam autor nie uważa ich za istotne wyjaśnienie, odpowiadające chociażby w najogólniejszych zarysach współczesnym wymaganiom teoretycznym.

¹⁾ *Conrads Jahrbücher* N. F. t. XI (1885), 453.

²⁾ Że kapitalistyczni sprzedawcy i przy całkowitym nacisku współzawodnictwa — który jest przecież konieczną hipotezą dla sprawowania dochodu z kapitału do »normalnej« stopy — mogą stale uzyskiwać »nadwyżkę wartości« ponad własne koszty, to jest właśnie fakt, wymagający wyjaśnienia, któryby musiał być w każdym razie uzgodniony z prawami wartości i ceny, względnie z ich pomocą wytłumaczony w przekonujący sposób — a co do tego wywody *Lexisa* nie dają najmniejszego przyczynku. Porównaj moje szczegółowe omówienie tego przedmiotu we wspomnianej już pracy »*Einige strittige Fragen der Kapitalstheorie*« (Wien 1900, str. 110 i nast. — Rzeczą godną uwagi, że w wydanej w międzyczasie »*Allgemeine Volkswirtschaftslehre*« (2-e wyd. 1913)

Wobec tego, że wyżej wymienieni autorowie nie korzystają z tego uzasadnienia teoretycznego, na którym się zazwyczaj opierają twierdzenia teorii wyzysku, t. j. z socjalistycznej teorii wartości i nadwartości, i że dla poparcia swoich pokrewnych jej teorii zysku nie dają też żadnego innego, możliwego do przyjęcia, wyjaśnienia, mogę jedynie jako historyk doktryny zanotować fakt, że poglądy te faktycznie istnieją, i to istnieją tymczasem, jako niedowiedzione, że tak powiem bezteoretyczne przypuszczenia; czekać tedy należy, aż przyjdzie poważna próba podniesienia ich do rzędu prawdziwych, dających pewne uzasadnienie teorii, lub też, aż przebrzmia, jako prosty wyraz nastrojów, którym duch czasu jest przychylny, ale które nie dają się nawiązać do trwałych, naukowych przesłanek¹⁾.

Duże pokrewieństwo wewnętrzne z omówionymi dopiero co poglądami przedstawiają moim zdaniem ostatnio opublikowane teorie podziału *Oppenheimera*²⁾, oraz *Tugan-Baranowskiego*³⁾. Obaj wypowiadają myśli teorii wyzysku, i to jeszcze ostrzej, niż *Dietzel*, albo *Lexis*. Obaj odrzucają wyraźnie teorię wartości *Marxa*, jako podstawę teorii wyzysku: *Oppenheimer* wypowiada się za mieszaniną teorii kosztów i teorii użyteczności krańcowej, *Tugan-Baranowsky* całkowicie za tą drugą; u obu wskutek porzucenia starego uzasadniania powstaje, oczywiście, ta sama luka w wyjaśnieniu, której nie mogli wypełnić *Dietzel* i *Lexis* i której wypełnienie, moim zdaniem, im też nie przypadnie w udziale. *Tugan-Baranowsky* z »ekonomicznej« czy »społecznej przemocy« klas

Lexis tak wstrzemięźliwie porusza temat zysku z kapitału, że niepodobna w niej rozróżnić jakiegobądź wyraźnej teorii zysku; w każdym razie i to systematyczne dzieło nie przyniosło szczegółowszego omówienia tych myśli, jeszcze może skąpiej poruszonych, niż w poprzednich okolicznościowych wywodach.

¹⁾ Szczegółowiej wypowiedziałem się o tej swoistej odróżnieniu teorii wyzysku w niejednokrotnie wspomnianym tu artykule »*Einige strittige Fragen der Kapitalstheorie*«. — Nieco starszą próbę związania teorii wyzysku z inną teorią wartości, niż socjalistyczna, mieści ciekawa, ale moim zdaniem mało zgłębiająca krytyczną kwestję praca *Wittelshöfera* »*Untersuchungen über das Kapital*« (Tübingen 1890).

²⁾ *Theorie der reinen und politischen Oekonomie*, Berlin 1910, 2-e wyd. 1911.

³⁾ *Soziale Theorie der Verteilung*, Berlin 1913.

posiadających wyprowadza odrazu wyzyskujące przywłaszczanie przez nie produktu cudzej pracy, nie przeprowadzając wyjaśnienia przez pośrednie szczegóły kształtowania się wartości i ceny i stara się uprawiedliwić ten wymijający właściwe trudności zagadnienia logiczny przeskok zapomocą przypuszczenia, że zagadnienie podziału nie jest, jak się to powszechnie i z całą słuszością przyjmuje, specjalnym wypadkiem zastosowania ogólnego zagadnienia wartości i ceny do dóbr, występujących, jako »czynniki produkcji«, ale zagadnieniem *sui generis*, stojącym zupełnie poza zagadnieniem wartości i ceny¹⁾. Oppenheimer zaś usiłuje wypełnić lukę w wyjaśnieniu zapomocą pustego słowa o »monopolu«, jaki wrzekomo mają klasy posiadające; szczególnie niezadowolającym odcieniem jest przytem fakt, że Oppenheimer ostatecznie czyni odpowiedzialnym za powstawanie zysku z kapitału monopol na ziemię²⁾.

VIII.

Niemalą jest też w ostatnich czasach liczba i nie miżernem znaczenie tych teoretyków, którzy wyjaśnienie zysku z kapitału opierają eklektycznie na pierwiastkach, zaczerpniętych z różnych teoryj. Nie jest to wcale dziwne, jak to już zaznaczyłem przy innej sposobności³⁾. Nie można zaprzeczyć, i najnowsze badania właśnie w naszym zakresie coraz wyraźniej to wykazują, że nie jedna tylko grupa faktów znajduje się w przyczynowym związku ze zjawiskiem zysku z kapitału; szczególnie dotyczy to większej wydajności kapitalistycznej produkcji z jednej, oraz związanej z każdym ulokowaniem kapitału czasowej zwłoki w spożyciu dóbr z drugiej strony. Na każdym z tych momentów oparto samodzielne teorie i do chwili znalezienia, czy uznania jakiegoś stanowczego rozwiązania, któreby pozwoliło ujmować wzajemne oddziaływanie tych różnych częściowych przyczyn z jednolitego punktu widzenia, ogólnych autorów, nie zamykających oczu na żadne znane z doświadczenia fakty, kusi i będzie kusila próba eklektycznego łączenia ich w jedno.

¹⁾ Op. cit. str. 5 i n., 11 i n., 81 i n.

²⁾ Op. cit. str. 273 i n., oraz 415 i nast.

³⁾ Patrz wyżej rozdział XIII, str. 113.

Wspomniałem już wyżej o Lorii, który kombinuje pierwiastki teorii wstrzemięźliwości z pierwiastkami teorii wyzysku¹⁾. Diehl łączy rodzaj motywowanej teorii produkcji kapitału z rozważaniami i zwrotami teorii usług kapitału²⁾. Zwroty, charakterystyczne dla tej ostatniej teorii, spotykamy u Sidgwicka obok wyrażen, przedstawiających i broniących teorię wstrzemięźliwości³⁾; zresztą uważam za możliwe, że zwroty, utrzymane w duchu teorii usług kapitału użyte są tylko przypadkowo, a prawdziwy pogląd tego wybitnego uczonego wyraża jedynie teoria wstrzemięźliwości. Nieco mgliste wywody Neuratha nie pozwalają wykryć żadnego wyraźnego jądra, ale zbliżają się i skłaniają do całego szeregu pospolitych sposobów wyjaśnienia⁴⁾.

Sądzę też, że nie popełnię błędu, zaliczając do eklektyków uczonego i głębokiego autora pracy »le Progrès de la Science Economique depuis Adam Smith«, Maurycego Blocka: Przekonany zwolennik pełnego usprawiedliwienia zysku z kapitału, nie mógł się zdecydować na przyjęcie któregośkolwiek z licznych stanowisk, które mu się w równej mierze wydawały prawdopodobne i zyskowi z kapitału przychylne. W licznych ustępach, dotyczących naszego tematu znajdują zarówno ślady teorii produktywności, jak teorii wstrzemięźliwości i teorii usług kapitału⁵⁾; a że dla samego tego wybitnego uczonego myśl, że może być uważanym za eklektyka, nie przedstawiała nic przerażającego, dowodzi wyraźna jego obrona eklektyzmu, pomyślana też jako *oratio pro domo*⁶⁾.

Wywody Ch. Gide'a skłaniają się w części do teorii usług, w części do teorii aggia⁷⁾, oświadczenia zaś Nicholsona i Valentiego także w części do teorii aggia, w czę-

¹⁾ Patrz Dodatek, IV, str. 188, odsył. 4.

²⁾ P. J. Proudhon, *Seine Lehre und sein Leben*, część II, Jena 1890, str. 217—225 i str. 204.

³⁾ *Principles of Pol. Economy*, wyd. 2-e, Londyn 1887, str. 167, 168, 264; dalej 255 i nast.

⁴⁾ *Elemente der Volkswirtschaftslehre*, wyd. 2-e, Wiedeń 1892, str. 282 i n., 313 i n., 324 i nn.

⁵⁾ Patrz *Progrès* (Paryż 1890) t. II, str. 319, 320, 328, 335 i nast.; 321, 326, 339, wreszcie 310—322, 348.

⁶⁾ Op. cit. str. 344; porówn. też str. 349.

⁷⁾ *Principes d'Economie politique*, wyd. 3-e, str. 451 w odsyłaczu.

ści zaś do teorii wstrzemięźliwości¹⁾. Ostatnia kombinacja występuje wogóle w ostatnich czasach dosyć często, jak to już wykazałem w rozdziałach II i IV tego Dodatku.

Odrębne stanowisko wśród skłaniających się do eklektyzmu autorów zajmuje Dietzel. Ten zawsze głęboki, ale nie zawsze chłodno rozważający autor, omawiając szczegółowo moją teorię zysku z kapitału, przedstawił się, jako eklektyk w tym sensie, że różne możliwe teorie zysku, w szczególności teorię wyzysku i teorię produktywności kapitału uznał obok siebie za trafne i możliwe do zastosowania, każdą dla innej części zjawiska zysku. Powiada on, że »w zakresie teorii zysku dają się sformułować dla różnych kategorii społeczno-gospodarczych zjawisk różne wyjaśnienia, odpowiadające różnorodności gospodarczego położenia i ustosunkowania jednostek«. Jeśli np. wynajmujący fortepian, lub mieszkanie posiada kapitał, któryby wystarczył do nabycia fortepianu, lub domu mieszkalnego, ale który wynajmujący woli ulokować lub zatrzymać w jakimś produkcyjnym przedsiębiorstwie, to zysk, otrzymywany przez właściciela fortepianu, czy domu trafnie się tłumaczy produktywnością kapitału. Jeśli zaś wynajmujący nie posiada kapitału, wystarczającego do nabycia wynajmowanego przedmiotu, to otrzymywanie zysku tłumaczy się wyzyskiem wynajmującego, »potrzebna już jest dla wyjaśnienia zysku teoria wyzysku («w zasadzie swej niezaprzeczona»²⁾). Obok tego broni też Dietzel teorii usług kapitału³⁾, a wreszcie, jeśli go dobrze rozumiem, przyznaje też i mojej teorii zysku z kapitału słusność dla pewnej grupy zjawisk zysku, mianowicie dla wyjaśnienia zysku w kredycie konsumcyjnym⁴⁾.

Jak to rozwinąłem już szczegółowo na innym miejscu⁵⁾,

¹⁾ Nicholson, Principles of Pol. Economy, Londyn 1893 — 1897, porówn. szczególnie I, 388 i II 217 i 219; Valenti, Principii di Scienza Economica 1906 str. 384. W licznych, dobitnych podkreśleniach wypływających z kapitału »servigi produttivi« dźwięczy też u Valentiego pierwiastek teorii usług kapitału, podobnie, jak u Pareta.

²⁾ Göttinger Gelehrte Anzeigen, 1891, Nr. 23, str. 930 i nast., szczeg. 932—935.

³⁾ Op. cit. str. 933.

⁴⁾ Op. cit. str. 932 i nast.

⁵⁾ Einige strittige Fragen der Kapitalstheorie, Wiedeń 1900, str. 84 i nast.

uważam metodyczne stanowisko Dietzela za wysoce nie-szczęśliwe i niemożliwe do utrzymania. Zapewne, coś można zarzucić każdemu rodzajowi eklektyzmu. Ale jest jednak duża różnica, jeśli się, jak to zwykle czynią eklektycy, konstruuje dla wyjaśnienia pewnego zjawiska jedną teorię, w której się gromadzi niezbyt ze sobą sprzeczne pierwiastki różnych teorii, albo też jeśli, jak chce Dietzel, opracowuje się albo przyjmuje zasadniczo odmienne, do głębi różniące się teorie dla każdej grupy wypadków jednego i tego samego zjawiska. Jeśli ta forma dochodu, którą ekonomiści dla odróżnienia od renty gruntowej, płacy roboczej i dochodu przedsiębiorcy określają, jako zysk z kapitału, albo renta z kapitału, posiada jakąś cechę charakterystyczną, która łączy między sobą należące do niej wypadki, a dzieli ją od innych rodzajów dochodu, to ta cecha charakterystyczna nie może być dla każdego poszczególnego wypadku czemś innym, do gruntu różnym, a nawet sprzecznym ze sobą. I każdy, kto będzie z Dietzelem usiłował wyjaśnić poszczególne wypadki tego samego zasadniczego zjawiska zapomocą sprzecznych ze sobą teorii, nie ustrzeże się od uwikłania w absurdałne konsekwencje — któżby się zgodził np. z wyciągnięciem z doktryny Dietzela taką konsekwencją, że właściciel domu, wynajmujący luksusowe mieszkanie w ciągu dwu lat kolejnych za tę samą sumę 2000 fl., raz dyrektorowi banku o pensji 15.000 fl.; a drugi raz posiadaczowi fabryki o 15.000 fl. renty z tego kapitału, raz zawdzięcza otrzymany zysk uprawianemu przez siebie wyzyskowi, a drugi raz produktywności kapitału? — i nie ustrzeże się także od uwikłania w najoczywistsze sprzeczności: każda bowiem ze sprzecznych teorii zawiera przesłanki, które trzeba przyjąć, jeśli się chce choć jeden jedyny wypadek wyjaśnić w duchu danej teorii, a które stoją w najjaskrawszej sprzeczności z przesłankami innych teorii, które też trzeba przyjąć, jeśli się chce przeprowadzić wyjaśnienie innych faktów według wskazówek Dietzela. Kto potrafi wytłumaczyć choć jeden wypadek pobierania zysku w duchu teorii produktywności kapitału, jeśli uważa teorię wyzysku za słuszną w istocie swojej, i odwrotnie?! Dietzel uniknął tych drażliwych kwestyj tylko dlatego, że zastosowywał swoją, nieco lekkomyślnie ogłoszoną, mojem zdaniem, metodyczną maksymę raczej, jako

krytyk, niż jako twórca systemu, i dlatego nie potrzebował sam wypróbować, czy nadaje się ona do zastosowania.

IX.

Te liczne i różnorodne poglądy do dziś dnia ściągają się ze sobą. Ostatecznego rezultatu tego ściągania się niepodobna, oczywiście, przewidzieć. Ale walka nie pozostaje wciąż na tem samym miejscu. Na całej przestrzeni wielkiego placu boju odniesiono niejedno niewątpliwe zwycięstwo i poniesiono równie niewątpliwe porażki. Niektóre poglądy mają lot szeroki, posuwający się szybko naprzód, inne muszą ustępować, lub z trudem bronić niepomysłnych, lub bardzo zacończonych stanowisk. Jeśli mam się wogóle odważyć na nakreślenie obrazu obecnego stanu walki, takiego, jakim mi się przedstawia, to uczynię to w sposób następujący.

Na czoło w tej szeroko rozgałęzionej walce wysuwa się bój pomiędzy teorią wyzysku z jednej, a różnemi przychylnymi zyskowi teorjami z drugiej strony. Tutaj rozstrzygnięcie wydaje się wyraźne, przewaga teorii wyzysku została przełamana. Poniewolne odrzucenie podstawowej dla niej teorii wartości wyparło ją aż na stanowisko, niemożliwe do utrzymania. Oczywiście, zwolennicy jej będą jeszcze czekali, ale jakiś walkę podtrzymywali, a z agitacyjnej części partyjnych wydawnictw dogmat wyzysku nieprędko jeszcze zniknie z nauk już wkrótce i nazawsze umieści go w szeregu ostatecznie odrzuconych błędów. Co się tyczy »wulgarno-ekonomicznej latorośli« teorii wyzysku, o którym wspominałem wyżej, to nie wytarczy jej chyba siły rozpędowej dla zapewnienia nowego odrodzenia i owocnego dalszego rozwoju obumierającej w pniu macierzystym doktrynie.

Ale i opór, jaki się toczył jednocześnie pomiędzy współzawodniczącymi ze sobą »przychylnymi zyskowi« teorjami — jeśli mam wogóle używać tej krótkiej, ale bezstronnej teorii — niezupełnie odpowiadającej nazwy — pozostawił trwałymi wyniki. Sądzę, że możemy już dziś uważać za całkiem pewne postrzeżenie, że zjawisko zysku ma z jednej strony do czynienia z pewnymi faktami z zakresu techniki produkcji, z drugiej zaś z czasową zwłoką w spożyciu, jako z ostatecznymi swymi przyczynami — zupełnie, albo mniej więcej tak, jak to wyraził prof. Marshall w swoim popularnem okre-

szeniu »productiveness« i »prospectiveness« kapitału. Te odgałęzienia teorii, które tego nie uznają, albo przynajmniej nie liczą się z tem wcale w biegu swego wyjaśnienia, nie mogą już, mojem zdaniem, rachować na to, że jakiś ruch wsteczny skieruje znów rozwój doktryny na ich, opuszczone dziś, drogi. Dotyczy to, sądzą, poszczególnych odnog »teorii pracy«, a także prawdziwych, wyraźnych »teorii produkcyjności kapitału«. Te ostatnie szczególnie, które niegdyś tak szerokie koło zataczały w teorjach ekonomicznych, zawierają, według naszych współczesnych poglądów, dwa grzechy główne, coraz powszechniej dziś za takie uznawane; raz, że już przez swoje założenia nie mogą osiągnąć pozytywnego celu wyjaśnienia na logicznej drodze, nie wywracając przytem logicznych koziółków; powtórze zaś, że pomijają dobrą połowę faktycznych przyczyn zjawiska zysku. Znamienną oznaką tego beznadziejnego położenia prawdziwych teorii produkcyjności wydaje mi się fakt, że znów się zaczyna — wykraczając, mojem zdaniem, przeciw faktycznemu stanowi rzeczy i historycznej wierności — całkowicie podawać w wątpliwość istnienie takich prawdziwych teorii produkcyjności kapitału, a zwolennikom ich przypisywać inne poglądy, bardziej zbliżone do rozpowszechnionych dzisiaj ujęć zagadnienia¹⁾.

Żywotne gałęzie rozwijające się doktryny skierowują badacze jednomyślnie do celu, o którym dzisiaj co najwyżej niejedni badacze mają wątpliwość, że jest prawidłowo wybranym celem badań poznawczych; mogą wprowadzić jeszcze istnieć wątpliwości, która z dróg, wiodących do niego, będzie najprawdopodobniejszą, ale sam cel wcześniej, czy później, napewno zostanie osiągnięty. Celem tym jest znalezienie takiego wyjaśnienia, któreby w równej mierze oddało sprawiedliwość obu grupom przyczyn, faktom, związanym z techniką produkcji i faktom psychologicznym, związanym z odłożeniem spożycia, tak, by nietylko każda część wyjaśnienia była logicznie i rzeczowo bez zarzutu, ale by obie razem stanowiły logicznie i rzeczowo nienaganną całość.

Wśród różnych teorii, współzawodniczących przy osiągnięciu tego celu, teorii usług kapitału trzeba przyznać, że prawidłowo i całkowicie rozumiana, nawiązuje do

¹⁾ Patrz mój wstęp do drugiego wydania tej pracy.

obu grup przyczyn, a więc obejmuje kwestję dosyć szeroko: ale w przeprowadzeniu wyjaśnienia wpada ona w ciężkie rzeczowe i logiczne błędy, które też, jak się zdaje, w coraz szerszych kołach naukowych za błędy są uważane i traktowane, jako takie.

Teoria wstrzemięźliwości również natyka się na wybranej przez siebie drodze wyjaśnienia na trudności rzeczowe i logiczne, które wskazywałem na poprzedzających stronicach wyraźniej jeszcze, niż uprzednio; przytem zdaje mi się, że sposób, w jaki stara się pogodzić »productiveness« kapitału z jego — wyciskającą swoiste piętno na jej wyjaśnieniu — »prospectiveness«, nie prowadzi do szczęśliwego zlania się wszystkich pierwiastków w jednolitą teorię.

Eklektycy znowu walczyć muszą ze swoistymi słabemi stronami, które przypadają każdej teorii, zbudowanej na eklektycznej kombinacji, a także z oporem różnorodnych pierwiastków przeciw stopieniu ich w harmonijną całość.

Od czasów Rae'a moment czasowej zwłoki w spożyciu miał zapewnione ujęcie, wolne od wątpliwych dodatków interpretacyjnych teorii wstrzemięźliwości. Natomiast w drugiej gałęzi wyjaśnienia wpadł Rae w błędy myśli i wyobrażeń, charakterystyczne dla zwolenników teorii produkcyjności. Jevons jest znów w tej drugiej gałęzi nieco szczęśliwszy, za to nieco mniej szczęśliwy w nawracającym na drogi teorii wstrzemięźliwości traktowaniu »prospectiveness«, a w każdym razie nie zaspokaja żądania połączenia w logicznej harmonii rozmaitych dowodów i podstaw wyjaśnienia.

Wreszcie najmłodsza w szeregu współzawodniczących teorii zysku, »teoria agia«, zrobiła próbę, która, niezależnie od tego, jak ocenimy jej wynik, miała przynajmniej przed oczyma świadomie i jasno cel, do którego dążyła: z wszechstronnego uwzględnienia wszystkich wpływów wywierających ostatecznych przyczyn wyprowadzić spoiste, jednolite wyjaśnienie zjawiska zysku.

Żadna ze stron walczących nie poda w wątpliwość, że teoria agia pozostała wierna programowi przynajmniej w przeprowadzeniu pierwszej jego części: za znamienity dowód wszechstronnego uwzględnienia zarówno »productiveness«, jak i »prospectiveness«, może służyć fakt, że jedni z jej zwolenników zgodę swoją na jej twierdzenia zaopa-

trzyli w uwagę, oraz motywowali tem, że jest ona właściwie w treści swej teorią produkcyjności, drudzy zaś — że jest teorią wstrzemięźliwości¹⁾. A może jeszcze jaśniej wpływa to uznanie w pewnym zarzucie jednego z moich najwybitniejszych przeciwników. Skoro mi prof. Marshall zarzuca przecenianie różnic poglądów wobec moich poprzedników w teorii zysku i podkreśla ten zarzut twierdzeniem, że i w ich poglądach znajduje się już równorzędne uwzględnienie »productiveness« i »prospectiveness«, to to równorzędne uwzględnienie uważane tu jest wyraźnie za wspólną część składową naszych zasadniczych poglądów, a więc nie można go odmówić i mojej teorii agia.

Czy teoria agia była szczęśliwą, czy przynajmniej szczęśliwszą niż jej współzawodnicy, także i w wypełnieniu drugiej części swego programu — wykaże dalsza wyskusja. Im bardziej wyniki dotychczasowych badań i krytyki zacieśnią zakres, w którym muszą leżeć i winny być szukane drogi, po których wyjaśnienie musi zdążać do celu, tem staranniej winno się szukać i będzie się szukało i badało wewnątrz tego zakresu. Przybliżony kierunek znamy. Albo, jak się raz optymistycznie, ale nie całkiem niesłusznie, wyraził J. B. Clark w swoim głębokim rzucie oka na »Przyszłość teorii ekonomicznych«: »Explanations of interest that cannot be far from the truth have been offered«¹⁾. Chodzi już tedy tylko o to, by wewnątrz tego zakresu krok za krokiem badać, czy różne szlaki, jakie nam wskazują współzawodniczące dziś jeszcze teorie, mogą nas w nieprzerwanym ciągu prowadzić do celu. Jeszcze surowiej, z większymi wymaganiami, bardziej skrupulatnie, niż dotychczas, bo jesteśmy dziś na tyle zorientowani, że przybliżone, ale nie zupełnie pewne wskazówki nie mogą nas nęcić. Niezależnie od tego, jak się ostatecznie ustali wynik tego przyszłego krytyczno-teoretycznego rozwoju doktryny, jedno zdaje mi się pewnem już dzisiaj: że raz nastrojony krytycznie umysł nie zadowolili się roz-

¹⁾ Pierson w szczegółowym omówieniu mojej »Positive Theorie« w De Economist, marzec 1889, str. 217, powiada: »Autor nasz stoi obydwiema nogami na gruncie teorii produkcyjności; Macfarlane znowu udowodnieniu, iż »abstinence is recognised in the exchange theory« poświęca cały paragraf (107) swojego dzieła »Value and distribution«.

²⁾ Quarterly Journal of Economics, październik 1898, Nr. 1. Kapitał II.

wiązaniem innym, jak takie, któreby czyniło zadość najsurowszym naukowym wymaganiom i że na zawsze już minęło niebezpieczeństwo zatrzymania się na jakimś płytkiem pozornem rozwiązaniu, dającym się łatwo ująć w wygodne, pięknie brzmiące słowa, ale niemożliwem do pomyślenia jako prawidłowy łańcuch myśli.

~~BIBLIOTEKA EKONOMICZNA~~
~~przy AV Uniwersytecie w Warszawie~~



148106

2